

Nebula '95

# EKSPERYMENT TERMINALNY



Robert J. Sawyer

ROBERT J. SAWYER

# EKSPERYMENT

TERMINALNY

(THE TERMINAL EXPERIMENT)

Przełożył Michał Jakuszewski

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Zysk i S-ka: 1997

# Spis treści

Karta tytułowa

Motto

Dedykacja

PODZIĘKOWANIA

PROLOG GRUDZIEŃ 2011

ROZDZIAŁ 1 STYCZEŃ 1995

ROZDZIAŁ 2 LUTY 2011

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4 SIERPIEŃ 2011

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11 WRZESIEŃ 2011

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14 PAŹDZIERNIK 2011

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19 LISTOPAD 2011

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31.

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33 GRUDZIEŃ 2011

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

EPILOG

W ostatecznym rozrachunku to nasze wyobrażenie na temat śmierci decyduje, jakich odpowiedzi udzielamy na wszystkie pytania stawiane przez życie.

Dag Hammarsjold (1905 — 1961) Sekretarz generalny ONZ

Dla Teda Bleaneya z wyrazami uznania za dwadzieścia lat przyjaźni

# PODZIĘKOWANIA

Ta powieść zaistniała dzięki pomocy wielu wspaniałych osób, między innymi Christophera Schellinga i Johna Silbersacka z HarperCollins, Stanleya Schmidta z „Analogu” oraz Richarda Curtisa, mojego agenta. Niezmiernie pomocne były wskazówki doktora Davida Gotliba. Cennymi uwagami służyli też koledzy pisarze: Barbara Delaplace, Terence M. Green, Edo van Belkom i Andrew Weiner. Również moi przyjaciele: Shaheen Hussain Azmi, Asbed Bedrossian, Ted Bleaney, David Livingstone Clink, Richard Gotlib, Howard Miller i Alan B. Sawyer udzielili mi wartościowych porad. Na szczególne wyrazy wdzięczności zasłużyła Rada do spraw Sztuki stanu Ontario, która przyznała mi subwencję z Funduszu dla Pisarzy, pomagając w ten sposób w stworzeniu tej powieści. Na koniec składam najgorętsze podziękowania mojej żonie, Carolyn Clink.



# PROLOG

## GRUDZIEŃ 2011

— W której sali leży inspektor Philo? — zapytał Peter Hobson, wysoki, szczupły, czterdziestodwuletni mężczyzna mający tyle samo włosów czarnych, co i siwych.

Siedząca za biurkiem przysadzista pielęgniarka była pogrążona w lekturze.

Podniosła wzrok.

— Słucham?

— Inspektor Sandra Philo — powtórzył Peter. — W której sali leży?

— Czterysta dwunastej — odparła pielęgniarka. — Ale lekarz powiedział, że mogą ją odwiedzać tylko najbliżsi krewni.

Peter ruszył wzdłuż korytarza. Pielęgniarka wyszła zza biurka i rozpoczęła pościg.

— Nie może pan tam wejść — oznajmiła stanowczo.

Peter odwrócił się na chwilę, by na nią spojrzeć.

— Muszę się z nią zobaczyć.

Pielęgniarka minęła go i stanęła przed nim.

— Jest w stanie krytycznym.

— Jestem Peter Hobson. Doktor Peter Hobson.

— Wiem, kim pan jest, panie Hobson. Wiem też, że nie jest pan doktorem medycyny.

— Jestem członkiem rady nadzorczej Szpitala North York.

— Świetnie. Niech pan tam pojedzie kogoś sterroryzować. Na moim oddziale nie będzie pan siał zamętu.

Peter wypuścił głośno powietrze z płuc.

— Niech pani posłucha. Muszę zobaczyć się z panią Philo. To sprawa życia lub śmierci.

— Na OIOM—ie wszystko jest sprawą życia lub śmierci, panie Hobson. Pani Philo śpi i nie pozwolę jej niepokoić.

Peter ruszył naprzód.

— Zawołam ochronę — zagroziła pielęgniarka, starając się mówić cicho, by nie niepokoić pacjentów.

Peter nie obejrzał się za siebie.

— Świetnie — warknął. Długie nogi niosły go szybko wzdłuż korytarza.

Pielęgniarka wróciła kaczkowatym chodem do swego stanowiska i podniosła słuchawkę.

Znalazł salę czterysta dwanaście i wszedł do środka bez pukania. Sandra była podłączona pod EKG. Nie był to aparat Hobsona, lecz Peter nie miał problemu z odczytaniem zapisu. Na statywie przy łóżku rannej policjantki ujrzał podłączoną kroplówkę.

Sandra otworzyła oczy. Wydawało się, że potrzebowała chwili, by skupić spojrzenie na nim.

— To ty! — odezwała się wreszcie głosem słabym i ochryplym na skutek porażenia wiązką.

Peter zamknął drzwi.

— Mam tylko kilka chwil. Wezwano już strażników, żeby mnie stąd wyprowadzili.

Każde słowo wymawiała z trudem.

— Kazałeś... mnie... zabić — stwierdziła.

— Nie — zapewnił Peter. — Przysięgam, że to nie była moja robota.

Sandra zdołała wydać z siebie słaby krzyk, zbyt cichy jednak, by można go było usłyszeć przez zamknięte drzwi.

— Siostro!

Peter przyjrzał się jej. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, zaledwie kilka tygodni temu, była zdrową, trzydziestosześcioletnią kobietą o ogniście rudych włosach. Teraz wychodziły jej one całymi kępami, cerę miała pożółkłą i ledwie mogła się ruszać.

— Nie chcę być nieuprzejmy, Sandro — powiedział — ale zamknij się, proszę, i wysłuchaj mnie.

— Siostro!

— Słuchaj, do cholery! Nie miałem nic wspólnego z morderstwami. Ale wiem, kto miał. I mogę dać ci szansę, żeby go dopaść.

W tej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie. Do środka wpadła przysadzista pielęgniarzka z dwójką podążających u jej boku silnie zbudowanych strażników.

— Wyprowadzić go — rozkazała.

Strażnicy ruszyli naprzód.

— Do cholery, Sandro — mówił Peter. — To twoja jedyna szansa. Daj mi pięć minut.

— Jeden ze strażników złapał go za ramię. — Pięć minut, na Boga! To wszystko, o co proszę.

— Idziemy — nakazał strażnik.

Głos Petera przybrał błagalne brzmienie.

— Sandro, powiedz im, że chcesz, bym został!

Nienawidził siebie za to, co powiedział później, lecz nie przyszło mu na myśl nic bardziej skutecznego.

— Jeśli tego nie zrobisz, umrzesz, nie wykrywszy sprawcy.

— Zjeżdżaj stąd w tej chwili — odezwał się drugi ze strażników grubym głosem.

— Nie... niech pan zaczeka! Sandro, proszę!

— Idziemy...

— Sandro!

— Pozwólcie... mu... zostać — rozległ się wreszcie głos, słaby i wyczerpany.

— Nie możemy, proszę pani — odparł jeden ze strażników.

Zebrała trochę sił.

— To kwestia policyjna... pozwólcie mu zostać.

Peter wyrwał rękę z uścisku.

— Dziękuję ci — powiedział do Sandry. — Dziękuję.

Pielęgniarka popatrzyła na niego spode łba.

— Nie zostanę długo — zapewnił ją. — Obiecuję.

Sandra zdołała odwrócić lekko głowę w kierunku kobiety.

— Wszystko... w porządku — powiedziała słabym głosem.

Pielęgniarka wrzała z gniewu. Ten stan trwał przez kilka sekund, po czym kobieta skinęła głową.

— Niech będzie — powiedziała. Być może rozmowa o policyjnych kwestiach i nie wykrytych sprawcach przekonała ją, że to wykracza poza jej kompetencje.

— Dziękuję — zwrócił się do niej z ulgą Peter. — Bardzo pani dziękuję.

Pielęgniarka spojrzała na niego groźnie, obróciła się na pięcie i wyszła. Jeden ze strażników natychmiast podążył za nią. Drugi wycofywał się z twarzą zastygłą w gniewie, przez cały czas wskazując ostrzegawczo palcem na Petera.

— Powiedz... mi — wydusiła z siebie Sandra, gdy znowu zostali sami.

Peter znalazł krzesło i usiadł obok łóżka.

— Po pierwsze, zapewniam cię, że jest mi naprawdę szalenie przykro z powodu tego, co się wydarzyło. Uwierz mi, że nigdy nie chciałem, by tobie czy komukolwiek innemu stała się krzywda. To... to wszystko wymknęło się spod kontroli.

Sandra nie powiedziała nic.

— Czy masz jakąś rodzinę? Dzieci?

— Córkę — odparła zaskoczona kobieta.

— Nie wiedziałem o tym.

— Jest teraz z moim byłym mężem.

— Chcę, żebyś wiedziała, że zaopiekuję się nią finansowo. Zapewnię jej wszystko, czego potrzebuje: ubrania, samochody, uniwersytet, wakacje w Europie, co tylko zechce.

Zapłacę za to. Ustanowię fundusz powierniczy.

Sandra wybałuszyła szeroko oczy.

— Nigdy nie chciałem, by doszło do czegoś takiego. Przysięgam, że wielokrotnie próbowałem to powstrzymać.

Przerwał, cofając się myślą do początku całej tej przekłetej afery. Do innej szpitalnej sali, w której próbował dodać otuchy innej odważnej kobiecie, która umierała.

Wrócił do punktu wyjścia.

— Sarkar Muhammed miał rację. Powinienem był zwrócić się do ciebie wcześniej.

Potrzebuję twojej pomocy, Sandro. To musi się skończyć. — Peter wypuścił powietrze z płuc zastanawiając się, od czego zacząć. Wydarzyło się tak wiele. — Czy wiedziałaś — zapytał — że można wykonać mapę wszystkich sieci neuronalnych w ludzkim mózgu i stworzyć we wnętrzu komputera dokładny duplikat umysłu badanego?

Sandra potrząsnęła lekko głową.

— No więc można. To nowa metoda. Sarkar Muhammed był jednym z jej pionierów.

Co byś powiedziała, gdybym cię poinformował, że sporządzono taką mapę i wykonano kopię mojego mózgu?

Sandra uniosła brwi.

— Co dwie głowy... to nie jedna.

Peter uśmiechnął się z przekąsem na tę uwagę.

— Być może. W rzeczywistości jednak sporządzono trzy symulacje mojej osoby.

— I jedna z nich... jest winna... morderstw?

Zaskoczyło go, że tak szybko się zorientowała.

— Tak.

— Tak też myślałam, że... jest w to zamieszana sztuczna inteligencja.

— Próbowaliśmy je powstrzymać — powiedział Peter. — Nic nie poskutkowało.

Przynajmniej jednak wiem już, która symulacja jest winna — przerwał. — Dam ci wszystko, czego będziesz potrzebowała, Sandro, łącznie z pełnym dostępem w systemie pytań i

odpowiedzi do map mojego mózgu. Poznasz mnie ze wszystkimi intymnymi szczegółami.

Lepiej niż ktokolwiek w świecie rzeczywistym. Poznasz mój sposób myślenia i da to ci wiedzę potrzebną, by przechytryć morderczą symulację.

Sandra uniosła lekko ramiona.

— Nic nie mogę zrobić — rzekła słabym, smutnym głosem. — Umieram.

Peter zamknął oczy.

— Wiem. Ogromnie mi przykro. Jest jednak pewien sposób, Sandro, byś mogła to wszystko zakończyć.

# ROZDZIAŁ I

## STYCZEŃ 1995

Sandra Philo przystąpiła do sondowania wspomnień Petera Hobsona.

Zgroza, jak się dowiedziała, zaczęła się w roku 1995, przed szesnastoma laty.

Peter Hobson nie był jeszcze wówczas w centrum kontrowersji dotyczącej nauki i wiary, która wstrząsnęła światem. Był wtedy jedynie dwudziestosześcioletnim absolwentem Uniwersytetu Toronto, odbywającym podyplomowe studia z zakresu inżynierii biomedycznej, który miał przeżyć największy szok w życiu...

W pokoju akademika, w którym mieszkał Peter Hobson, zadzwonił telefon.

— Mamy zjadacza — usłyszał głos Kofaxa. — Czujesz się na siłach?

Zjadacza. Zmarłego. Peter wciąż usiłował przyzwyczaić się do nieczułości Kofaxa.

Potarł powieki, by odegnąć senność.

— T... tak. — Postarał się nadać swemu głosowi pewniejsze brzmienie. — Jasne — powiedział. — Oczywiście, że tak.

— Mamikonian zabierze się do szatkowania — mówił Kofax — a ty będziesz mógł obsługiwać EKG. W ten sposób zaliczysz spory kawał wymaganego pensum.



Mamikonian. Wyszkolony w Stanford chirurg transplantolog. Sześćdziesiąt kilka lat, ręce nieruchome jak u posągu. Pobieranie narządów. Chryste, tak jest, chciał w tym uczestniczyć. — Kiedy?

— Za parę godzin — odpowiedział Kofax. — Chłopak jest podłączony pod respirator.

Dbamy o świeżość mięsa. Mamikonian jest w Mississauga. Minie sporo czasu, nim tu dotrze i się przygotowuje.

Powiedział „chłopak”. Życie jakiegoś chłopaka zostało przerwane.

— Co mu się stało? — zapytał Peter.

— Wypadek motocyklowy. Wyrzuciło go w powietrze, kiedy buick uderzył go z boku.

Nastolatek. Peter potrząsnął głową.

— Przyjdę — obiecał.

— Sala operacyjna numer trzy — poinformował go Kofax. — Przygotowania zacznij za godzinę.

Peter odwiesił słuchawkę, ubierał się w pośpiechu.

Wiedział, że nie powinno się tego robić, ale nie potrafił się powstrzymać. Po drodze na salę operacyjną zatrzymał się przed izbą przyjęć i spojrzał na aluminiowe tabliczki umieszczone w obracających się wokół osi ramkach. Jakiegoś faceta zszywano po tym, jak przebił ciałem okno z grubego szkła. Inny miał złamaną rękę. Rana od noża. Bóle żołądka.

Ach...

Enzo Bandello, lat siedemnaście.

Wypadek motocyklowy, tak jak mówił Kofax.

Pielęgniarka podeszła do niego ukradkiem i spojrzała mu przez ramię. Na jej identyfikatorze widniało nazwisko Sally Cohan. Zmarszczyła brwi.

— Biedny dzieciak. Mam brata w tym samym wieku. — Po chwili dodała: — Rodzice są w kaplicy.

Peter skinął głową.

Enzo Bandello, pomyślał. Siedemnaście lat.

Próbując ratować chłopaka, zespół urazowy podał mu dopaminę i celowo doprowadził do odwodnienia licząc, że w ten sposób zmniejszy obrzęk mózgu towarzyszący zwykle poważnym obrażeniom głowy. Zbyt wielka dawka tego środka mogła jednak prowadzić do uszkodzenia mięśnia sercowego. Według historii choroby o drugiej czternaście w nocy zaczęli wymywać lek z ciała, podając w zamian płyny. Ostatnie zapisy wskazywały, że ciśnienie krwi wciąż było zbyt wysokie — efekt działania dopaminy — lecz wkrótce powinno opaść. Peter przerzucił kartki. Wynik testów serologicznych — Enzo nie był zarażony WZW ani AIDS. Morfologia oraz czas krwawienia i krzepnięcia również wyglądały dobrze.

Idealny dawca, pomyślał Peter. Tragedia czy cud? Części jego ciała miały uratować życie pół tuzina ludzi. Mamikonian najpierw wyjmie serce. Taka operacja trwała trzydzieści minut. Potem wątroba — dwie godziny roboty. Następnie zespół nerkowy usunie te narządy — kolejna godzina cięcia. Później rogowki. Na koniec kości i inne tkanki.

Do pochowania nie zostanie zbyt wiele.

— Serce pojedzie do Sudbury — poinformowała go Sally. — Podobno próba krzyżowa wypadła znakomicie.

Peter umieścił tabliczkę z powrotem w karuzeli i wyszedł przez dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do dalszej części szpitala. Do sali operacyjnej numer trzy wiodły dwie równie dobre trasy. Wybrał tę, która przechodziła obok kaplicy.

Nie był religijny. Jego rodzina, pochodząca z Saskatchewan, wyznawała mdły kanadyjski protestantyzm. Peter ostatnio odwiedził kościół podczas czyjegoś ślubu.

Poprzednim razem był to pogrzeb.

Dostrzegł rodziców Enza z korytarza. Siedzieli w środkowej ławie. Matka płakała cicho. Ojciec objął ją ramieniem. Mocno opalony mężczyzna, na którego roboczej koszuli w kratę widniały plamy z cementu. Może był murarzem. Bardzo wielu zamieszkałych w Toronto Włochów z jego pokolenia pracowało na budowach. Przybyli tu po drugiej wojnie światowej. Nie znali angielskiego i podejmowali się ciężkiej pracy fizycznej, by zapewnić swym dzieciom lepsze życie.

A teraz dziecko tego człowieka nie żyło.

Kaplica była neutralna wyznaniowo, lecz ojciec chłopaka spoglądał w górę, całkiem jakby widział na ścianie krucyfiks, i wiszącego na nim swego Jezusa. Przeżegnał się.

Peter wiedział, że gdzieś w Sudbury trwa święto. Dostaną serce, które uratuje życie.

Gdzieś się radowano.

Ale nie tutaj.

Ruszył dalej korytarzem.

Dotarł na odcinek przedoperacyjny. Przez wielkie okno widział salę operacyjną.

Większa część zespołu chirurgów dotarła już na miejsce. Ciało Enza było już przygotowane.

Ogolono tułów i pomalowano dwiema warstwami rdzawej jodiny, a nad polem operacyjnym rozciągał się czysty plastik.

Peter spróbował spojrzeć na to, co pozostali nauczyli się już ignorować — na twarz pacjenta. Nie zobaczył wiele. Większą część głowy Enza pokrywała cienka płachta odsłaniająca jedynie rurę respiratora. Zespołu transplantologów celowo nie informowano o tożsamości dawcy. To podobno ułatwiało sprawę. Peter był zapewne jedynym, który wiedział, jak chłopak się nazywał.

Na zewnątrz sali operacyjnej znajdowały się dwie urny walki. Peter przystąpił do regulaminowego ośmiominutowego mycia. Czas odmierzał elektroniczny zegar umieszczony nad zlewem.

Po pięciu minutach zjawił się sam doktor Mamikonian, który przystąpił do mycia nad drugą umywalką. Miał stalowosiwe włosy i kwadratową zuchwę. Przypominał raczej starzejącego się superbohatera niż chirurga.

— A pan kim jest? — zapytał Mamikonian podczas mycia.

— Peter Hobson, panie doktorze. Odbywam studia podyplomowe z inżynierii biomedycznej.

Mamikonian uśmiechnął się.

— Miło mi pana poznać, Peter. — Nie przestawał się myć. — Proszę mi wybaczyć, że nie uścisknę panu dłoni — dodał chichocząc. — Na czym polega dziś pańska rola?

— Podczas naszego kursu musimy zaliczyć czterdzieści godzin pracy na prawdziwym sprzęcie medycznym. Profesor

Kofax — on jest moim promotorem — załatwił, bym mógł dzisiaj obsługiwać EKG — przerwał. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Proszę bardzo — odrzekł Mamikonian. — Niech pan patrzy i się uczy.

— Zrobię to, panie doktorze.

Czasomierz nad umywalką zapiszczał. Peter nie był przyzwyczajony do takiego szorowania. Odnosił wrażenie, że obdarto mu dłonie ze skóry. Uniósł ociekające wodą ramiona na wysokość klatki piersiowej. Pojawiła się instrumentariuszka z ręcznikiem. Peter wziął go, wytarł dłonie i wsunął się w sterylny, zielony fartuch, który dla niego trzymała.

— Rozmiar rękawiczek? — zapytała.

— Siódemka.

Rozerwała opakowanie, wyjęła lateksowe rękawiczki i założyła mu na ręce.

Wszedł do sali operacyjnej. Na górze, na galerii dla obserwatorów, stało dwunastu ludzi przyglądających się przez szklany sufit.

Na środku sali stał stół, na którym spoczywało ciało Enza. Wnikało w nie kilka przewodów: trzy cewniki infuzyjne, cewnik do pomiaru ciśnienia tętniczego metodą krwawą oraz cewnik do pomiaru centralnego ciśnienia żylnego, wprowadzony do serca, by określać poziom nawodnienia. Na stołku siedziała młoda kobieta pochodzenia azjatyckiego.

Jej oczy śledziły monitor przepływu krwi, monitor poziomu dwutlenku węgla oraz wolumetryczną pompę infuzyjną.

Do chwili jego przybycia kobieta obserwowała również oscyloskop aparatu EKG umieszczony nad głową Enza. Peter zajął pozycję tuż obok niego i poprawił kontrast obrazu.

Tętno było normalne. Nie dostrzegało się żadnych cech uszkodzenia mięśnia sercowego.

Przeszył go dreszcz. Prawo uważało tego faceta za zmarłego, a mimo to miał tętno.

— Jestem Hwa — przedstawiła się kobieta. — Pierwszy raz?

Peter skinął głową.

— Widziałem już kilka drobnych zabiegów, ale nic w tym rodzaju.

Usta Hwy przesłaniała maska, lecz Peter dostrzegł wokół oczu zmarszczki uśmiechu.

— Przyzwyczaj się pan — stwierdziła.

Na negatoskopie po drugiej stronie sali zawieszono zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej Enza. Płuca nadal funkcjonowały i klatka piersiowa była przejrzysta.

Serce — sylwetka na środku zdjęcia — wyglądało normalnie.

Mamikonian wszedł do sali. Zebrani zwrócili oczy na niego, dyrygenta ich orkiestry.

— Dzień dobry wszystkim — powiedział. — Bierzmy się do roboty, zgoda?

Podszedł do ciała Enza i stanął nad nim.

— Ciśnienie krwi trochę spada — oznajmiła Hwa.

— Przygotować krystaloid — polecił, spojrzawszy na ekrany.  
— I dodajmy też trochę dopaminy.

Mamikonian zatrzymał się po prawej stronie Enza, na wysokości klatki piersiowej.

Naprzeciwko niego stała instrumentariuszka, a obok niej drugi chirurg, trzymający hak brzuszny. Pięć litrowych pojemników z lodowatym płynem Ringera ustawiono na stole w równym szeregu, by można go było szybko wylać do otwartej klatki piersiowej.

Instrumentariuszka miała również sześć gotowych do użytku opakowań masy erytrocytarnej.

Peter starał się trzymać na uboczu, stojąc u wezłowia.

Tuż obok niego perfuzjonista, Sikh noszący zakrywającą turban wielką zieloną czapę, obserwował serię ekranów oznaczonych „monitor temperatur”, „went filtru linii tętniczej” i „ssak kardiotorakijny”. Nie opodał inny technik z uwagą obserwował unoszenie się i opadanie czarnych miechów respiratora, by się upewnić, że Enzo nadal oddycha prawidłowo.

— Zaczynamy — powiedział Mamikonian. Instrumentariuszka zbliżyła się i wstrzyknęła coś do ciała Enza. Przemówiła do mikrofonu zwisającego z sufitu na cienkim przewodzie.

— Myolock podano o dziesiątej zero dwie.

Doktor Mamikonian poprosił o skalpel i dokonał nacięcia. Zaczął tuż poniżej jabłka Adama i przesunął narzędzie aż na środek klatki piersiowej. Skalpel z łatwością przeciął skórę, przebił się przez mięśnie i tłuszcz, aż wreszcie zatrzymał się na mostku.

EKG zadrżało lekko. Peter spojrzął na jeden z monitorów Hwy. Ciśnienie krwi również rosło.

— Panie doktorze — odezwał się. — Akcja serca przyśpiesza.

Mamikonian spojrział na oscyloskop Petera, mrużąc powieki.  
— To normalne — stwierdził poirytowany, że mu przerwano.  
Skalpel, śliski teraz i karmazynowy, oddał instrumentariuszce. Ta wręczyła mu piłę do kości. Włączył ją. Jej bzyczenie zagłuszyło sygnały EKG Petera. Obracające się ostrze przecięło mostek. Z jamy ciała rozeszła się gryząca woń sproszkowanej kości. Gdy już uporano się z mostkiem, do akcji przystąpiło dwóch techników z torakotomem.

Obracali korbą, aż pojawiło się uderzające raz na sekundę serce.

Mamikonian uniósł wzrok. Na ścianie znajdował się zegar mierzący czas niedokrwienia. Włączano go w chwili, gdy narząd zostanie wycięty, by określić, jak długo nie będzie przez niego przepływała krew. Obok chirurga stała plastikowa miska wypełniona fizjologicznym roztworem soli. Tu zostanie opłukane serce, by zmyć z niego starą krew.

Następnie przełoży się je do pojemnika wypełnionego lodem i przetransportuje drogą lotniczą do Sudbury.

Mamikonian poprosił o następny skalpel i nachylił się, by przeciąć osierdzie. W tej samej chwili, gdy ostrze przebiło błonę otaczającą serce... pierś Enza Bandella, oficjalnie zmarłego dawcy narządów, uniosła się wysoko.

Z rury respiratora wyrwało się westchnienie.

W chwilę później dało się słyszeć drugie.

— Chryste — powiedział cicho Peter.

Mamikonian wyglądał na zdenerwowanego. Pstryknął schowanymi w rękawiczce palcami na jedną z instrumentariuszek.



— Więcej myolocku! Pielęgniarka wykonała drugi zastrzyk. W głosie chirurga brzmiał sarkazm.

— Przekonajmy się, czy damy radę skończyć tę cholerną robotę, nim dawca odejdzie, zgoda?

Peter był oszołomiony. Mamikonian oddalił się z wyciętym sercem. Oznaczało to, że operator EKG nie będzie już potrzebny, więc Peter przeszedł na piętro dla obserwatorów, by stamtąd przyglądać się pobieraniu pozostałych organów. Gdy zabiegi się skończyły — gdy pustego trupa Enza Bandella zaszyto i odwieziono do prosektorium — zszedł chwiejnym krokiem na odcinek przedoperacyjny. Spotkał tam Hwę, która ściągała rękawiczki.

— Co tu się stało? — zapytał. Kobieta dyszała głośno. Była wyczerpana.

— Chodzi panu o oddechy? — Wzruszyła ramionami. — To się czasami zdarza.

— PrzecieżENZ... dawca był nieżywy.

— Oczywiście. Ale napompowano go środkami podtrzymującymi życie. Czasem dochodzi do reakcji.

— A... o co chodziło z tym myolockiem? Co to takiego?

Hwa rozwiązywała fartuch.

— To środek powodujący zwiotczenie mięśni. Muszą go podawać. Jeśli tego nie zrobią, kolana dawcy czasem podchodzą pod klatkę piersiową, kiedy się ją otwiera.

Peter był przerażony.

— Naprawdę?

— Mhm.

Wrzuciła fartuch do kosza.

— To tylko odruch mięśniowy. W dzisiejszych czasach znieczulanie trupa jest rutynową procedurą.

— Znieczulanie trupa...? — powtórzył powoli Peter.

— Aha — odparła. — Oczywiście Dianne nie wykonała dziś wystarczająco dobrej roboty.

— Hwa przerwała. — Robię się nerwowa, kiedy zaczynają się tak ruszać, ale cóż, taka już jest chirurgia transplantacyjna.

Peter trzymał w portfelu małą kopię planu zajęć swej dziewczyny, Cathy Churchill.

Był na pierwszym roku studiów podyplomowych, a ona na ostatnim roku chemii.

Miała zakończyć ostatnie dzisiaj ćwiczenia — z polimerów — za jakieś dwadzieścia minut. Pognął z powrotem na campus i czekał na nią w korytarzu pod salą.

Zajęcia skończyły się i Cathy wyszła na zewnątrz, gadając żywo ze swą przyjaciółką Jasmine, która dostrzegła Petera jako pierwsza.

— Hej — powiedziała z uśmiechem, pociągając Cathy za rękaw. — Zobacz, kto tu stoi.

Twój wybrany.

Peter uśmiechnął się przelotnie do Jasmine, lecz w rzeczywistości widział tylko Cathy.

Miała twarz w kształcie serca, długie czarne włosy i ogromne niebieskie oczy.

Jak zwykle załśniły promiennie na jego widok. Bez względu na to, co widział wcześniej tego dnia, Peter poczuł, że się uśmiecha. Tak działo się za każdym razem. Przepływał między nimi prąd.

Jasmine i inni ich przyjaciele często wygłaszali uwagi na ten temat.

— Zostawiam was, papużki, samych — oznajmiła Jasmine, nie przestając się uśmiechać.

Peter i Cathy powiedzieli jej „do widzenia”, po czym złączyli się w pocałunku. W tej krótkiej chwili Peter poczuł, że wraca mu życie. Chodzili ze sobą już od trzech lat, lecz nadal każdy uścisk wydawał się cudowny.

— Co chcesz zrobić z resztą dnia? — zapytał, kiedy oderwali się od siebie.

— Miałam zamiar zajrzeć na Katedrę Humanistyki, żeby się przekonać, czy będę mogła skorzystać z pieca do wypalania, ale to może zaczekać — odparła figlarnym tonem Cathy. Nad ich głowami panował półmrok, co drugą świetlówkę usunięto bowiem celem obniżenia kosztów, lecz dla Petera uśmiech dziewczyny rozjaśniał cały korytarz. — Masz jakieś pomysły?

— Tak. Chcę, żebyś poszła ze mną do biblioteki.

Znowu ten cudowny uśmiech.

— Żadne z nas nie jest aż tak ciche — powiedziała. — Nawet gdybyśmy zrobili to w jakimś miejscu, które zapewne będzie opustoszałe — może w sekcji literatury kanadyjskiej — podejrzewam, że hałas mógłby przeszkadzać ludziom.

Nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Pochylił się, by pocałować ją raz jeszcze.

— Może później — odparł — ale najpierw musisz mi pomóc wyszukać pewne dane.

Proszę cię.

Wzięli się za ręce i ruszyli przed siebie.

— Czego mają dotyczyć?

— Śmierci — odpowiedział.

Cathy wybałuszyła oczy.

— Dlaczego?

— Odrabiałem dzisiaj część praktyki przy aparacie EKG podczas operacji pobrania serca celem przeszczepu.

Jej oczy zatańczyły.

— To brzmi fascynująco.

— Było fascynujące, ale...

— Ale co?

— Ale nie sądzę, by dawca był martwy, gdy zaczęli wyjmować z niego narządy.

— Och, nie mów! — odrzekła Cathy, puszczać jego dłoń na chwilę wystarczająco długą, by klepnąć go lekko w ramię.

— Mówię poważnie. Gdy zaczęła się operacja, wzrosło mu ciśnienie, a akcja serca przyśpieszyła się. To klasyczne objawy stresu albo nawet bólu. Do tego znieczulili ciało.

Zastanów się — znieczulają rzekomo zmarłą osobę.

— Naprawdę?

— Tak. A kiedy chirurg naciął osierdzie, pacjent westchnął.

— Mój Boże! I co zrobił chirurg?

— Kazał wstrzyknąć więcej środków zwiotczających, a potem operował dalej.

Wszyscy sprawiali wrażenie, że to całkowicie normalne i sensowne. Oczywiście gdy operacja dobiegła końca, dawca faktycznie był martwy.

Wyszli z gmachu i ruszyli na północ, w kierunku Bloor Street.

— A czego chcesz się dowiedzieć? — zapytała Cathy.

— W jaki sposób określają, że ktoś jest martwy, nim zaczną wycinać mu narządy.

Przeglądali książki już od jakiejś godziny, gdy Cathy weszła do pomieszczenia, w którym siedział Peter.

— Coś znalazłam — oznajmiła.

Podniósł z oczekiwaniem wzrok.

Cathy przysunęła krzesło i ułożyła sobie ciężkie tomisko na kolanach.

— To książka dotycząca procedury przeszczepiania. Jest tutaj napisane, że problem z przeszczepami polega na tym, iż nigdy nie wyłącza się respiratora. Gdyby to zrobiono, narządy zaczęłyby się rozkładać. Dlatego, mimo że dawców uznano za zmarłych, ich serca nigdy nie przestały bić. Jeśli chodzi o zapis EKG, oficjalnie zmarły dawca jest tak samo żywy, jak ty czyja.

Podeksytowany Peter skinął głową. To właśnie miał nadzieję odnaleźć.

— Jak więc określają, czy dawca zmarł?

— Jednym ze sposobów jest wstrzyknięcie mu lodowatej wody do uszu.

— Żartujesz.

— Nie. Jest tu napisane, że to kompletnie dezorientuje człowieka, nawet pogrążonego w głębokiej śpiączce. Często też powoduje spontaniczne wymioty.

— Czy to jedyny sprawdzian?

— Nie. Pocierają też powierzchnię gałki ocznej, żeby się przekonać, czy dawca spróbuje mrugnąć. Wyciągają też... jak to się nazywa? Przewód do oddychania?

— Rurkę intubacyjną.

— Tak — powiedziała. — Wyciągają ją na chwilę, żeby się przekonać, czy brak tlenu spowoduje, że ciało wznowi samodzielne oddychanie.

— A co z EEG?

— Cóż, to brytyjska książka. Kiedy ją napisano, tamtejsze prawo nie wymagało jego użycia celem stwierdzenia zgonu.

— Niewiarygodne — odparł Peter.

— Ale z pewnością u nas, w Północnej Ameryce, trzeba go używać, prawda?

— Tak sobie wyobrażam. W większości jurysdykcji.

— A ten dawca, którego dzisiaj widziałeś, musiał mieć płaski zapis, nim nakazano usunięcie narządów.

— Zapewne tak — zgodził się Peter. — Ale na kursie EEG profesor opowiadał o ludziach, którzy mieli całkowicie płaski zapis, a potem wystąpiła u nich pewna aktywność mózgu.

Cathy pobladła lekko.

— Ale — powiedziała — nawet jeśli dawca daje oznaki życia w jakimś niewielkim stopniu...

Potrząsnął głową.

— Nie jestem pewien, czy to taki niewielki stopień. Serce bije, do mózgu dociera natleniona krew i występują objawy odczuwania bólu.

— Niemniej jednak — zastanawiała się Cathy — nawet jeśli wszystko to prawda, musi również być prawdą, że mózg, który przez długi okres nie przejawiał żadnej aktywności, z pewnością jest poważnie uszkodzony. Mówisz o roślinie.

— Zapewne — przyznał Peter. — Ale istnieje różnica między pobieraniem narządów od zmarłych, a wyrywaniem ich z ciał

żywych, bez względu na to, jak głęboko upośledzeni umysłowo mogą być.

Cathy zadrżała. Wróciła do poszukiwań. Wkrótce odnalazła wydaną przed trzema laty pracę na temat chorych z zatrzymaniem akcji serca napisaną w Szpitalu Henry'ego Forda w Detroit.

U jednej czwartej pacjentów ze stwierdzonym brakiem czynności serca w rzeczywistości występowała ona, co ujawniły wprowadzone do strumienia krwi cewniki. Ze sprawozdania wynikało, że uznano ich za zmarłych przedwcześnie.

Tymczasem Peter wyszukał kilka dotyczących tej samej kwestii artykułów w „London Times” z 1986 roku. Kardiolog David Wainwright Evans wraz z trzema innymi starszymi lekarzami odmówił wykonywania przeszczepów uważając, że nie jest jasne, kiedy dawca jest naprawdę zmarły. Dali wyraz swemu zaniepokojeniu w pięciostronicowym liście do Brytyjskiej Konferencji Królewskich Kolegów Medycznych.

Pokazał te artykuły Cathy.

— Ale konferencja odrzuciła ich obawy jako nieuzasadnione — stwierdziła dziewczyna.

Peter potrząsnął głową.

— Nie zgadzam się.

Spojrzał jej w oczy.

— W jutrzejszym nekrologu Enza Bandella napiszą, że zmarł wskutek obrażeń głowy odniesionych podczas wypadku motocyklowego. To nieprawda. Widziałem, jak umierał.

Byłem na miejscu, gdy to się stało. Zabito go, wyrrywając mu serce z klatki piersiowej.





# ROZDZIAŁ 2

## LUTY 2011

Inspektor Sandra Philo kontynuowała przesiewanie wspomnień Petera Hobsona.

Po ukończeniu studiów w 1998 roku pracował przez kilka lat w Szpitalu East York, po czym założył własną firmę produkującą sprzęt biomedyczny. W tym samym roku on i Cathy Churchill, nadal bardzo w sobie zakochani, wzięli ślub. Cathy porzuciła swe zainteresowania chemią. Peter nie rozumiał jeszcze dlaczego. Podjęta nie wymagająca twórczych uzdolnień praca w agencji reklamowej Doowap Advertising.

W każdy piątek, po pracy, Cathy i jej koledzy z pracy szli trochę się napić. W rzeczywistości, jak przekonała się Sandra, choć określali swe zamiary słowem „trochę”, znacznie trafniejsze byłoby określenie „dużo”. Pod koniec wieczoru kilku z nich zawsze udawało się dokonać stopniowania przymiotnika: pijany, bardziej pijany, najbardziej pijany — często w formie kończącej się puszczaniem pawia...

Było zimno i ciemno — typowy lutowy wieczór w Toronto. Peter pokonał na piechotę siedem przecznic dzielących trzypiętrowy budynek Hobson Monitoring od pubu Bent Bishop.

Nie lubił zbyt wielu kolegów Cathy, wiedział jednak, jak ważna jest dla niej jego obecność.

Mimo to zawsze starał się przychodzić na końcu. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, były towarzyskie rozmówki z głównym księgowym albo dyrektorem. W reklamie było coś płytkiego, co go odstręczało.

Otworzył ciężkie drewniane drzwi lokalu i stanął w wejściu, by przyzwyczać oczy do panującego wewnątrz półmroku. Po lewej stronie widniała tablica, na której wypisano, co szef kuchni dzisiaj poleca. Po prawej zawieszono reklamujący Molson's Canadian plakat z kształtną kobietą w czerwonym bikini. Obie sterczące ku górze piersi zakrywały klonowe liście. Seksizm w reklamie piwa, pomyślał Peter, dawniej, obecnie i pewnie zawsze.

Opuścił przejście i rozejrzał się po pubie w poszukiwaniu Cathy. Całe pomieszczenie pełne było gęsto ustawionych pod przypadkowymi kątami długich szarych stołów przywodzących na myśl lotniskowce w oceanicznym korku ulicznym. Z tyłu dwóch ludzi rzucało do tarczy strzałkami.

Byli tam. Zgromadzili się wokół stołu ustawionego z boku. Ci, którzy byli zwrócenii plecami do ściany udekorowanej plakatem z kolejną ślicznotką Molsona, siedzieli na kanapie.

Reszta rozpierała się w kapitańskich fotelach z drinkami w dłoniach. Niektórzy jedli nachos ze wspólnej miseczki. Stół był wystarczająco duży, by mogły się przy nim toczyć dwie albo trzy odrębne rozmowy. Ich uczestnicy krzyczeli, by przebić się przez ogłuszającą muzykę, starą melodię Mitsou, graną głośniej, niż mogły to wytrzymać głośniki.

Cathy była bardzo inteligentną kobietą. To pierwsza rzecz, która przyciągnęła do niej uwagę Petera. Dopiero później

zmienił swe wyobrażenia na temat ideału kobiecej urody — zawsze dotąd skłaniające się ku blondynkom o bujnych kształtach, przypominającym te z reklam piwa — i zaczął uważać jej czarne jak noc włosy oraz wąskie wargi za piękne. Siedziała na długiej kanapie wraz z dwójką kolegów. Toby, zgadza się? I ten prymityw Hans Larsen.

Spoczywali po obu jej stronach, nie mogła więc wyjść, dopóki któryś z nich jej nie przepuści.

Gdy Peter się zbliżył, Cathy podniosła wzrok, uśmiechnęła się promiennie i pomachała ręką. Ciągle jeszcze odczuwał podniecenie na widok jej uśmiechu.

Chciał usiąść obok niej, lecz było to niemożliwe. Uśmiechnęła się raz jeszcze z miłością wyraźnie wypisaną na twarzy, po czym wzruszyła przepraszająco ramionami i wskazała gestem wolne krzesło stojące przy sąsiednim stole. Peter przyniósł je, a koledzy Cathy przesunęli się, by zrobić dla niego miejsce. Wylądował między jedną z wymalowanych damulek po lewej — typ sekretarek i koordynatorów produkcji, które stosowały zbyt silny makijaż — a pseudointelektualistą po prawej. Ten ostatni jak zwykle ustawił przed sobą czytnik książek. Przez okienko w obudowie można było dostrzec okładkę karty danych. Proust. Sukinsyn lubił ostentację.

— Dobry wieczór, doktoru — powiedział pseudointelektualistą.

Peter uśmiechnął się.

— Co u pana?

Pseudointelektualistą miał około pięćdziesięciu lat. Wyglądał tak mizernie, jak szansę Toronto Maple Leafs w pucharze

Stanleya. Paznokcie miał długie, a włosy brudne.

Howard Hughes w okresie szkolenia.

Pozostali pozdrowili Petera, a Cathy obdarzyła go kolejnym specjalnym uśmiechem z przeciwnej strony stołu. Jego przybycie wystarczyło, by na chwilę zamilkły odrębne rozmowy. Hans, siedzący po prawej stronie Cathy, wykorzystał okazję, by ściągnąć na siebie uwagę wszystkich.

— Mojej starej nie będzie dzisiaj w domu — oznajmił obecnym. — Pojechała odwiedzić swoje siostrzenice. — Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że są to również jego siostrzenice. — To znaczy, moje panie, że jestem dziś wolny.

Kobiety siedzące wokół stołu jęknęły bądź zachichotały. Wszystkie słyszały już od Hansa podobne propozycje. Trudno by go było nazwać przystojnym mężczyzną. Miał brudne jasne włosy i przypominał nieco knedel. Mimo to jego niewiarygodna śmiałość miała specyficzny powab. Nawet Peter, który uważał niewierność Hansa za odrażającą, musiał przyznać, że jest w nim coś wzbudzającego spontaniczną sympatię.

Jedna z wymalowanych damulek podniosła wzrok. Pokryła sobie karmazynową szminką obszar większy niż same wargi.

— Przykro mi, Hans. Muszę dzisiaj umyć włosy.

Ogólny śmiech. Peter spojrzał na pseudointelektualistę, by się przekonać, czy dotarła również do niego myśl, że mycie włosów może być czymś ważnym. Nie dotarła.

— Poza tym — dodała kobieta — dziewczyna musi mieć pewne wymagania. Obawiam się, że nie potrafisz im sprostać.

Toby, siedzący po lewej stronie Cathy, zachichotał.

— Aha — odezwał się. — Nie bez powodu nazywają go małym Hansem.

Hans uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Jak zwykł mawiać mój stary, zawsze można poradzić sobie sposobem.

Popatrzył na kobietę z namalowanymi wargami.

— Poza tym nie pieprz głupot, dopóki... dopóki nie pieprzyłaś się ze mną!

Ryknął z zachwytu nad własnym dowcipem.

— Zapytaj Ann—Marie z księgowości. Ona ci powie, jaki jestem dobry.

— To jest Anna—Marie — poprawiła go Cathy.

— Drobiazgi, szczegóły — odparł Hans, machając dłonią przypominającą rękawicę o jednym palcu. — A zresztą, jeśli ona za mnie nie poręczy, zapytaj tę blondynkę zatrudnioną tymczasowo w płacach. Tę z wielkimi buforami.

Petera zaczęło to męczyć.

— Dlaczego nie spróbujesz umówić się z nią? — zaproponował, wskazując na kobietę z plakatu Molsona. — Jeśli żona wróci niespodziewanie do domu, będziesz mógł z niej zrobić jaskółkę i wyrzucić przez okno.

Hans ryknął raz jeszcze. Peter musiał mu przyznać, że był dobroduszny.

— Hej, doktoriek sobie zażartował! — zawołał, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą, skłaniając wszystkich, by zachwycili się rzekomym cudem, jakim był fakt, że Peter wypowiedział dowcipną uwagę. Ten, zażenowany, odwrócił wzrok i przypadkowo spojrział prosto w oczy młodego

człowieka podającego drinki. Uniósł brwi. Tamten podszedł do niego.

Peter zamówił duży sok pomarańczowy. Nie pił alkoholu.

Hans jednak nie ustępował łatwo.

— No, dalej doktorku. Opowiedz nam jeszcze jakiś kawał. W swojej pracy musisz ich słyszeć mnóstwo.

Ryknął po raz kolejny.

— No dobra — odrzekł Peter. Postanowił, że spróbuje się dostosować do towarzystwa, ze względu na Cathy. — Rozmawiałem wczoraj z jednym prawnikiem i opowiedział mi fajny dowcip.

Dwie kobiety wróciły do przegryzania nachos, najwyraźniej nie zainteresowane jego kawałem, lecz reszta grupy spoglądała na niego wyczekująco.

— Pewna kobieta zabiła męża, waląc go w głowę flaszką przyprawy do sałaty.

Gdy kawał opowiadano Peterowi, była mowa o mężu, który zabił żonę, nie potrafił jednak odmówić sobie odwrócenia ról w nadziei, że podsunie to Hansowi myśl, iż żona może nie aprobować jego przygód.

— No więc — ciągnął Peter — sprawa trafiła do sądu i pani prokurator królewski chciała przedstawić narzędzie zbrodni. Podniosła z biurka flaszkę, która wciąż była zamknięta zatyczką i w większej części wypełniona płynem. Zaczęła iść z nią w stronę sędziego.

Powiedziała: „Wysoki sędzie, oto przedmiot, za pomocą którego dokonano zbrodni.

Chciałabym go przedstawić jako koronny dowód rzeczowy numer jeden”. Uniosła flaszkę ku światłu. „Jak widać, nadal jest pełna oliwy i octu...” No i w tej chwili adwokat natychmiast wstał i walnął pięścią w stół. „Sprzeciw, wysoki sędzie!”, krzyknął. „Ten dowód jest nierozpuszczalny!”

Wszyscy wbili w niego wzrok. Peter uśmiechnął się, by dać do zrozumienia, że to już koniec kawału. Cathy zrobiła, co mogła, by się roześmiać, choć słyszała ten dowcip już wczoraj.

— Nierozpuszczalny — powtórzył słabym głosem Peter. Nadal nie było wyraźnej reakcji.

Popatrzył na pseudointelektualistę. Ten zachichotał protekcjonalnie. Zrozumiał kawał albo udawał, że rozumiał. Twarze pozostałych były jednak obojętne.

— Nierozpuszczalny — powtórzył Peter. — To znaczy, że nie mieszają się ze sobą.

— Przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. — Oliwa nie rozpuszcza się w occie.

— Och — odezwała się jedna z wypacykowanych damulek.

— Ho, ho! — dodała następna.

Peterowi podano sok pomarańczowy. Hans wykonał gest naśladujący upadek bomby, gwizdząc przy tym w obniżającej się tonacji. Następnie wydał z siebie dźwięk imitujący wybuch. Gdy podniósł wzrok, powiedział: — Hej, wszyscy, czy znacie ten kawał o kurwie, która... Peter przemęczył się jeszcze godzinę, choć miał wrażenie, że trwało to dłużej. Hans nie przestawał atakować kobiet, zbiorowo i indywidualnie. Wreszcie Peter nie mógł już więcej znieść jego, hałasu i marnego soku

pomarańczowego. Spojrzał w oczy Cathy i popatrzył znacząco na zegarek.

Uśmiechnęła się wyłącznie do niego, by mu powiedzieć: „Dziękuję za wyrozumiałość”, po czym podnieśli się oboje, by wyjść.

— Tak szybko spływasz, doktorku? — odezwał się Hans wyraźnie bełkotliwym głosem.

Jego lewa ręka objęła na stałe ramiona jednej z kobiet.

Peter skinął głową.

— Naprawdę powinieneś pozwolić Cath zostać dłużej.

Niesprawiedliwa uwaga rozgniewała Petera. Skinął krótko głową, Cathy się pożegnała i ruszyli ku drzwiom.

Była dopiero siódma trzydzieści, lecz niebo zrobiło się już czarne i uliczne latarnie świeciły jak gwiazdy. Cathy ujęła Petera pod ramię i ruszyli powoli naprzód.

— Mam go już serdecznie dosyć — powiedział Peter. Jego słowa stawały się obłoczkami skroplonej pary.

— Kogo? — zapytała Cathy.

— Hansa.

— Och, on jest nieszkodliwy — zapewniła. Przysunęła się bliżej do Petera.

— Szczeka, ale nie gryzie?

— No, tego bym nie powiedziała — odrzekła. — Wygląda na to, że spotykał się z niemal wszystkimi kobietami z biura.

Peter potrząsnął głową.

— Czy nie potrafiał go przejrzeć? Jemu chodzi tylko o jedno.

Zatrzymała się. Uniosła głowę, by go pocałować.

— Dziś w nocy mnie też, kochanie.



Uśmiechnął się do niej, a ona do niego i z jakiegoś powodu wydało im się, że wokół wcale nie jest już zimno.

Kochali się. Było cudownie. Ich obnażone ciała złączyły się ze sobą. Każde starało się zaspokoić pragnienia drugiego. Po dwunastu latach małżeństwa, siedemnastu wspólnego życia, a dziewiętnastu od pierwszej randki, znali nawzajem rytm swych ciał. A jednak, po wszystkich tych latach, wciąż potrafili znaleźć nowe sposoby, by się zaskakiwać i sprawiać sobie przyjemność. Wreszcie, po północy, zasnęli obejmując się, spokojni, odprężeni, wyczerpani, zakochani.

Okolo trzeciej nad ranem Peter obudził się jednak nagle, zlany potem. Znowu miał swój sen — ten sam, który prześladował go już od szesnastu lat.

Leżał na stole operacyjnym, uznany za zmarłego, choć nim nie był. Skalpele i piły do kości przecinały jego ciało. Z tułowia wyjmowano mu narządy.

Cathy, wciąż naga, obudzona nagłym ruchem męża, wysliznęła się z łóżka, podała mu szklankę wody i usiadła, tak jak robiła to podczas wielu nocy, by objąć go mocno, nim przerażenie nie ustąpi.

## ROZDZIAŁ 3

Peter widywał już te reklamy w czasopismach i w sieci. „Żyj wiecznie!

Współczesna nauka może zapewnić, że twoje ciało nigdy się nie zużyje”. Sądził, że to lipa, dopóki nie natrafił na artykuł na ten temat w „Biotechnology Today”. Najwyraźniej pewna kalifornijska firma potrafiła uczynić człowieka nieśmiertelnym za cenę dwudziestu milionów dolarów. Nie wierzył, że to naprawdę możliwe, ale stosowana do osiągnięcia tego celu technika była fascynująca. Ponadto teraz, gdy miał już czterdzieści dwa lata, świadomość, że spędzą razem z Cathy jeszcze tylko kilka dziesięcioleci, była jedyną rzeczą w życiu, która go zasmucała.

Tak czy inaczej, ta kalifornijska firma — Life Unlimited — urządziła w całej Ameryce Północnej seminaria stanowiące promocję stworzonej przez nią metody. Z czasem dotarła też do Toronto i wynajęła salę w hotelu Royal York.

W śródmieściu nie sposób już było poruszać się samochodem. Peter i Cathy pojechali metrem do Union Station, która miała bezpośrednie połączenie z hotelem.

Seminarium odbywało się w luksusowej Sali Ontario. Wydawało się, że obecnych jest około trzydziestu osób i...

— Kurczę — powiedziała cicho Cathy do Petera.

Podniósł wzrok. Zbliżał się do nich Colin Godoyo. Był to mąż przyjaciółki Cathy, Naomi, wiceprezes Toronto Dominion Bank

— nadziany facet, który uwielbiał popisywać się swym bogactwem. Peter lubił Naomi, ale nigdy nie miał dobrego zdania o Colinie.

— Petey! — zawołał przybysz, wystarczająco głośno, by wszystkie głowy w sali zwróciły się w ich stronę. Wyciągnął muskularną dłoń ku Peterowi, który ją uścisnął. — I śliczna Catherine — dodał, nachylając się do pocałunku, którym Cathy niechętnie go obdarzyła. — Jak to wspaniale, że was widzę!

— Cześć, Colin — odparł Peter. Wskazał kciukiem w kierunku przedniej części sali, gdzie mówca przygotowywał się do wystąpienia. — Masz ochotę żyć wiecznie?

— To brzmi fascynująco, prawda? — odparł Colin. — A co z wami? Szczęśliwa para nie może znieść myśli, że śmierć ją rozłączy?

— Zainteresowało mnie to z uwagi na inżynierię biomedyczną — wyjaśnił Peter, nieco urażony przypuszczeniem Colina.

— Oczywiście — odrzekł ten irytującym tonem kogoś, kto wie lepiej. — Oczywiście.

A ty, Cathy? Chcesz zachować na zawsze ten wspaniały wygląd?

Peter poczuł potrzebę bronienia żony.

— Ona skończyła chemię, Colin. Po prostu zaintrygowały nas naukowe zasady tej metody.

W tej właśnie chwili mówca stojący z przodu sali odezwał się głośno: — Panie i panowie. Możemy już zaczynać. Proszę zająć miejsca.

Peter zauważył dwa wolne krzesła w zajęтым szeregu i szybko ruszył z Cathy w ich stronę. Wszyscy usiedli, by wysłuchać reklamowego wystąpienia.

— Nanotechnologia jest kluczem do nieśmiertelności — zwrócił się do audytorium facet z Life Unlimited. Był to muskularny Afroamerykanin po czterdziestce o przyprószonych siwizną włosach i szerokim uśmiechu. Jego garnitur sprawiał wrażenie kosztującego dwa tysiące dolarów. — Nasze nanomaszyny potrafią zapobiec wszystkim przejawom starzenia się.

Wskazał na widoczny na ściennym ekranie powiększony obraz mikroskopijnego robota.

— Oto jedna z nich — oznajmił. — Nazywamy je „nianiami”, ponieważ zajmują się opieką.

Zachichotał, zachęcając audytorium, by uczyniło to samo.

— A w jaki sposób nasze nianie, które rozprawdzamy po waszym ciele, zapobiegają starzeniu? — zapytał mężczyzna. — To proste. Większą część tego procesu kontrolują regulatory czasowe pewnych genów. Cóż, nie można ich wyeliminować, gdyż są konieczne do kierowania procesami cielesnymi, ale nasze nianie odczytują terminy, w jakich mają zadziałać, i w miarę potrzeby przestawiają je. Ponadto porównują DNA produkowane przez wasze ciało do obrazów waszego oryginalnego DNA. Jeśli pojawiają się błędy, poprawia się je na poziomie atomowym. Właściwie nie różni się to zbytnio od bezawaryjnej komunikacji komputerowej. Sumy kontrolne umożliwiają szybkie i dokładne porównania.

Spustoszenia spowodowane przez gromadzenie się toksycznych odpadów również stanowią znaczącą część procesu starzenia się, ale nasze nianie dbają o wszystko i usuwają także te zanieczyszczenia.

Inny element stanowią choroby wywołane autoagresją, jak reumatoidalne zapalenie stawów.

Jednakże podczas poszukiwań leku na AIDS dowiedzieliśmy się bardzo dużo o układzie odpornościowym i potrafimy teraz uporać się niemal z wszystkimi problemami.

Najgorszym aspektem starzenia się jest jednak utrata pamięci i funkcji poznawczych. W wielu przypadkach powodem jest po prostu niedobór witaminy B6 i B12. Objawy te wywołuje również zbyt mała ilość acetylocholiny oraz innych neuromediatorów. I w takich sytuacjach nasze nianie potrafią wyrównać poziom wszystkich substancji. A co z chorobą Alzheimera?

Jest genetycznie zaprogramowana, by ujawnić się w określonym wieku, choć jej wystąpienie może również być spowodowane wysokim poziomem glinu. Nasze nianie solidnie dobierają się waszym genom do skóry. Włączają i wyłączają regulatory. Znajdziemy instrukcję wywołującą chorobę Alzheimera, jeśli wasze DNA ją zawiera — nie wszyscy ją mają — i po prostu nie dopuścimy, by zadziałała.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Wiem, co sobie myślicie. Nic z tych rzeczy mi nie pomoże, jeśli bandy ta postrzeli mnie w pierś. Używając patentowanych metod Life Unlimited, możemy zapewnić, że ocalicie życie nawet wtedy. To fakt, że kula zatrzyma wasze serce, ale nasze

nianie monitorują poziom tlenu w waszej krwi i potrafią same dostarczać ją do mózgu, jeśli zaistnieje taka potrzeba. Działają jak ciągniki holujące czerwone krwinki. Tak jest, będziecie potrzebowali przeszczepu serca i może również innych napraw, ale wasz mózg zostanie utrzymany przy życiu, dopóki się tego nie zrobi. Dobra, a teraz myślcie sobie: „A co będzie, jeśli ten bandyta trafi mnie w głowę?” — Mówca uniósł cienki arkusz czegoś, co przypominało srebrną folię. — To jest poliester D5. Przypomina mylar. — Uniósł płachtę za jeden róg i pozwolił, by załopotała w powietrzu. — Ma mniej niż pół milimetra grubości — oznajmił. — Ale spójrzcie. — Przytwierdził wszystkie cztery boki arkusza do kwadratowej metalowej ramki, po czym wyciągnął pistolet ze sterującym z przodu tłumikiem. — Nie obawiajcie się — powiedział. — Mam na to specjalne pozwolenie. — Zachichotał. — Wiem, co wy, Kanadyjczycy, sądzicie o broni palnej.

Wycelował z pistoletu i strzelił z ukosa w taflę folii. Peter usłyszał trzask i dostrzegł język ognia wysuwający się z otworu wylotowego. Rozległ się dźwięk przypominający uderzenie piorunu. Z kurtyną rozwieszoną za sceną coś się stało.

Agent reklamowy podszedł do metalowej ramki i uniósł w górę mylarowy arkusz.

— Nie ma dziury — oznajmił.

W rzeczy samej była to prawda. Płachta łopotała w powiewie wywoływanym przez klimatyzator.

— Poliester D5 stworzono dla celów wojskowych. Obecnie powszechnie używa się go do produkcji kamizelek kuloodpornych dla policji na całym świecie. Jak widzicie, jest

bardzo giętki, chyba że coś uderzy w niego w wielką prędkością. Wtedy sztywnieje i staje się twardszy niż stal. Kula, którą przed chwilą wystrzeliłem, odbiła się od niego.

Obejrzał się za siebie. Na scenę wszedł jego asystent trzymający coś w metalowych szczypcach. Wrzucił przedmiot do małego szklanego naczynka stojącego na podium.

— Oto ona.

Mówca zwrócił się w stronę audytorium.

— Pokrywamy czaszkę cienką, perforowaną warstwą poliestru D5. Oczywiście nie musimy w tym celu zdzierać skalpu. Po prostu wstrzykujemy nanosondy, które rozprawdzają materiał. Gdy już znajdzie się on na miejscu, nawet gdy trafi was w głowę kula, przejedzie po niej samochód albo spadniecie na nią z budynku, nie rozbijecie sobie czaszki. Poliester robi się tak sztywny, że wstrząs prawie wcale nie dociera do mózgu.

Uśmiechnął się promiennie do zebranych.

— Proszę państwa, sprawa wygląda tak, jak powiedziałem na początku. Możemy was tak wyposażyć, że nie umrzecie. Ani ze starości, ani z powodu dowolnego wypadku, jaki tylko mógłby wam przyjść do głowy. Prawdę mówiąc, oferujemy dokładnie to, co obiecujemy — autentyczną nieśmiertelność. Czy są chętni?

Była pierwsza niedziela miesiąca. Zgodnie z dawno zakorzenioną tradycją oznaczało to kolację z teściami Petera.

Rodzice Cathy mieszkali na Bayview Avenue w North York. Dom Churchillów, wybudowany w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku — z jednej strony parterowy, a z drugiej

jednopiętrowy budynek z garażem na jeden samochód — mógł niegdyś uchodzić za duży, teraz jednak wydawał się maleńki przy monstrualnych gmachach wzniesionych po jego obu stronach. Powodowały one, że przez większą część dnia padał na niego cień.

Nad garażem widać było zardzewiałą obręcz od kosza pozbawioną siatki.

Cathy kciukiem otworzyła zamek. Weszła do środka pierwsza. Peter podążył za nią.

— Jesteśmy — krzyknęła. Jej matka pojawiła się u szczytu schodów, pragnąc ich przywitać. Bunny Churchill — niech jej Bóg pomoże, naprawdę miała tak na imię — była niską, zadbaną, sześćdziesięciodwuletnią kobietą. Miała siwe włosy, których nie chciała ufarbować.

Peter bardzo ją lubił. Oboje z Cathy skierowali się do salonu. Peter bywał w nim od lat, lecz nigdy nie zdołał się przyzwycząić do jego wyglądu. Znajdował się tu tylko jeden mały regał, na którym stały płyty kompaktowe oraz trochę laserowych płyt wizyjnych, w tym pełen zestaw wideokalendarzy „Playboya” od 1998 roku.

Ojciec Cathy uczył wychowania fizycznego. Nauczyciele gimnastyki prześladowali Petera w młodości. To oni pierwsi podsunęli mu myśl, że nie wszyscy dorośli koniecznie muszą być inteligentni. Co gorsza, Rod Churchill kierował swą rodziną jak szkolną drużyną futbolową. Wszystko zaczynało się na czas. Już w tej chwili Bunny gnała jak opętana, by postawić jedzenie na stole, nim zegar wybije szóstą. Wszyscy znali swe miejsca i, oczywiście, wszyscy wykonywali polecenia trenera Roda.



Zasiadał on na honorowym miejscu. Bunny siedziała przy przeciwległym końcu stołu, a Cathy i Peter po bokach, naprzeciwko siebie. Czasami, gdy Rod wdał się w jedną ze swych nudnych opowieści, bawili się w stopki.

To był indyczy miesiąc. Na te kolacje podawano na przemian indyka, pieczeń wołową i kurczaka. Rod wziął w rękę nóż do krajania mięsa. Zawsze obsługiwał Petera jako pierwszego — „najpierw goście” — podkreślając, że po trzynastu latach małżeństwa z jego córką nadal pozostaje on obcym.

— Wiem, co chcesz dostać, Peter. Nóżkę.

— Właściwie to wolę białe mięso — odparł uprzejmie Peter.

— Myślałem, że lubisz ciemne.

— Lubię ciemne mięso kurczaka — wyjaśnił Peter, tak jak robił to co trzeci miesiąc. — Ale u indyka wolę białe.

— Jesteś pewien? — zapytał Rod.

Nie, kurwa, wymyśliłem to sobie dopiero przed chwilą.

— Tak.

Rod wzruszył ramionami i zaczął kroić pierś. Był próżnym człowiekiem. Miał jeszcze tylko rok do emerytury, włosy farbował sobie na brązowo. Właściwie tylko to, co z nich zostało. Pozwalał, by z prawej strony wyrastały długie, a potem zczesywał je sobie na łysinę.

Dick Van Patten w sportowym dresie.

— Cathy lubiła nóżki, kiedy była mała — stwierdził.

— Teraz też je lubię — odezwała się Cathy, lecz ojciec sprawiał wrażenie, że jej nie słyszy.

— Dawałem jej wielką nóżkę i przyglądałem się, jak próbuje ugryźć kawałek.

— Mogła się zadławić na śmierć — zauważyła Bunny.

Rod chrząknął.

— Dzieciaki potrafią sobie radzić — odrzekł. — Pamiętam, jak kiedyś spadła ze schodów.

Roześmiał się, jak gdyby życie było jedną wielką komedią. Popatrzył na Bunny.

— Wystraszyłaś się bardziej niż Cathy. Nim zaczęła płakać, poczekała, aż zgromadzi się wystarczająco wielu widzów. — Potrząsnął głową. — Dzieciaki mają kości z gumy.

Wręczył Peterowi talerz z dwoma nierówno wyciętymi kawałkami indyczej piersi.

Peter przyjął go, po czym sięgnął po miskę z pieczonymi kartoflami. Z jakiegoś powodu piątkowe wieczory w Bent Bishop przestały mu się w tej chwili wydawać takie najgorsze.

— Miałam siniaki przez wiele tygodni — odezwała się Cathy lekko urażonym tonem.

— Na tyłeczku. — Rod zachichotał.

Peter wciąż miał na udzie długą bliznę pozostałą po wypadku na lekcji wf. w szkole średniej. Ci cholerni wuefiści. Odczekał, aż wszyscy zostaną obsłużeni, po czym sięgnął po sosjerkę. Następnie podał ją Rodowi.

— Dziękuję — odparł ten. — Ostatnio raczej nie jem sosów.

Peter zastanowił się, czy nie zapytać go dlaczego, postanowił jednak tego nie robić.

Podał sosjerkę Cathy, po czym z uśmiechem na ustach zwrócił się w stronę teściowej.

— Co nowego u ciebie, Bunny?

— Sporo — odparła. — W środowe wieczory chodzę na konwersacyjne kursy francuskiego. Chyba już pora zacząć się uczyć.

Peter był pod wrażeniem.

— Gratuluję.

Popatrzył na Roda.

— Czy to znaczy, że w środy sam musisz sobie robić kolację?

Rod chrząknął.

— Zamawiam ją w Food Food — odparł.

Peter zachichotał.

— Indyk jest pyszny — pochwaliła matkę Cathy.

— Dziękuję, moja droga — odrzekła Bunny. Uśmiechnęła się.

— Pamiętam, jak grałaś indyka w szkolnym przedstawieniu na Dzień Dziękczynienia.

Peter uniósł brwi.

— O tym nie słyszałem, Cathy. — Popatrzył na teścia. — I jak wypadła, Rod?

— Nie wiem. Nie poszedłem tam. Nie uważam, by oglądanie dzieci przebranych za inwentarz było najlepszym pomysłem na spędzenie wieczoru.

— Ale to twoja córka — powiedział Peter, po czym natychmiast tego pożałował.

Rod nałożył sobie trochę gotowanej marchewki. Peter podejrzewał, że syna grającego w małej lidze poszedłby obejrzeć.

— Tata nigdy nie był zbyt zainteresowany dziećmi — wyjaśniła neutralnym tonem Cathy.

Rod skinął głową, jakby wypowiedź córki wyrażała całkiem naturalne i rozsądne podejście ojca do dzieci. Peter pogłaskał delikatnie stopą nogę żony.

# ROZDZIAŁ 4

## SIERPIEŃ 2011

W ciągu sześciu miesięcy mijają dwie pory roku. Dlaczego miałyby być dziwne, że inne rzeczy również zmieniają się w tym czasie?

Peter ściągnął z sieci najnowszy numer „Time” i właśnie go przeglądał.

Wiadomości ze świata. Ludzie. Przełomowe wydarzenia.

Przełomowe wydarzenia.

Narodziny, małżeństwa, rozwody, śmierci.

Nie wszystkie przełomowe wydarzenia było tak łatwo opisać. Gdzie zrelacjonowano takie rzeczy, jak umieranie romantyczności? Gdzie były zapiski z przeciągającego się złego samopoczucia, z pustki w sercach? Kto odnotował śmierć szczęścia?

Przypomniawszy sobie, jak sobotnie popołudnia wyglądały kiedyś. Próżnowanie.

Kochanie się. Wspólne czytanie gazety. Trochę oglądania telewizji. Zmierzanie w pewnej chwili do sypialni.

Przełomowe wydarzenia.

Cathy schodziła ze schodów. Peter podniósł na chwilę wzrok. W tym ruchu była nadzieja na to, że ujrzy dawną Cathy, tę, w której się zakochał. Jego spojrzenie opadło z powrotem na

czytnik. Westchnął. Nie teatralnie, nie dla jej uszu, lecz dla siebie, próbując ciężkim wydechem usunąć smutek z ciała.

Szybkim zerknięciem dokonał przeglądu jej sylwetki. Miała na sobie wytarty pulower z napisem Uniwersytet Toronto oraz luźne dzinsy. Była bez makijażu. Włosy — pośpiesznie uczesane, lecz nie wyszczotkowane — opadały w czarnych kłębach na ramiona.

Okulary zamiast szkieł kontaktowych.

Kolejne ciche westchnienie. Bez grubych soczewek balansujących na nosie wyglądała bez porównania lepiej, lecz Peter nie pamiętał, kiedy ostatni raz założyła szkła kontaktowe.

Nie kochali się ze sobą od sześciu tygodni.

Krajowa przeciętna wynosiła dwa i jedna dziesiąta raza na tydzień. Tak napisali w „Time”.

Rzecz jasna, było to amerykańskie czasopismo. Może w Kanadzie przeciętna była inna.

Może.

W tym roku mijała trzynasta rocznica ich ślubu.

I nie kochali się ze sobą od sześciu pieprzonych tygodni. Sześciu tygodni bez pieprzenia.

Podniósł wzrok raz jeszcze. Stała na trzecim stopniu, ubrana jak jakiś cholerny babo — chłop.

Miała czterdzieści jeden lat. W zeszłym miesiącu były jej urodziny. Zachowała dobrą figurę, lecz Peter nie oglądał jej już zbyt często. Te pulowery, za duże swetry i długie spódnice — te worki, które ostatnio zaczęła nosić — ukrywały praktycznie wszystko.

Nacisnął klawisz PgDn, pochylił głowę i wrócił do czytania. Kiedyś w sobotnie popołudnia kochali się bardzo często. Ale, Chryste, jeśli miała zamiar tak się ubierać...

Przeczytał pierwsze trzy akapity artykułu, który miał przed oczyma, i zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, o czym w nim mowa. Nie dotarło do niego ani jedno słowo.

Podniósł wzrok po raz kolejny. Cathy wciąż stała na trzecim stopniu, patrząc na niego.

Ich oczy spotkały się na chwilę, po czym opuściła spojrzenie i zeszła do salonu, trzymając rękę na drewnianej poręczy.

— Co byś chciała zjeść na kolację? — zapytał Peter, skupiając wzrok na czasopiśmie.

— Nie wiem — odparła.

„Nie wiem”. Hymn państwowy Cathylandii. Chryste, miał już tego dość. Co byś chciała robić dziś wieczorem? Co byś chciała zjeść na kolację? Czy chcesz gdzieś wyjechać?

Nie wiem.

Nie wiem.

Nie wiem.

Kurwa mać.

— Bo ja chętnie zjadłbym rybę — powiedział Peter, raz jeszcze uderzając w klawisz PgDn.

— Co tylko sprawi ci przyjemność — odpowiedziała.

Największą przyjemność by mi sprawiło, gdybyś chciała ze mną rozmawiać, pomyślał. Gdybyś nie ubierała się cały czas w te pieprzone łąchy.

— Może powinniśmy coś zamówić — stwierdził. — Na przykład pizzę albo coś z chińszczyzny.

— Jak sobie życzysz.

Raz jeszcze przeszedł na następną stronę. Ekran wypełniły nowe słowa.

Trzyście lat małżeństwa.

— Może zadzwonię do Sarkara — powiedział, by wysondować sytuację. — Pójdziemy gdzieś razem coś przekąsić.

— Jeśli sobie życzysz.

Peter wyłączył czytnik.

— Do cholery, nie chodzi tylko o to, czego ja sobie życzę. Czego ty byś chciała?

— Nie wiem.

Zdawał sobie sprawę, że coś narastało od tygodni. Wzbierało w nim. Ciśnienie rosło.

Zbliżał się wybuch. Jego westchnienia nigdy nie wypuszczały wystarczająco wiele tego, co się nagromadziło, co było gotowe eksplodować.

— Może powinienem pójść z Sarkarem i już nie wrócić.

Stała bez ruchu po drugiej stronie pokoju. Za jej plecami wznosiły się schody.

Wyglądało na to, że jej dolna warga drży lekko. Jej głos był cichy.

— Jeśli to by cię uszczęśliwiło.

Rozpada się, pomyślał Peter. Rozpada się właśnie w tej chwili.

Włączył z powrotem czytnik, lecz niemal natychmiast wyłączył go ponownie.

— To już koniec, prawda? — zapytał.

Trzyście lat...



Powinien teraz wstać z kanapy, ubrać się i wyjść.

Trzy naście lat...

— Jezu Chryste — powiedział pośród ciszy. Zamknął oczy.

— Peter...

Wciąż miał je zamknięte.

— Peter — powiedziała Cathy. — Spałam z Hansem Larsenem.

Popatrzył na nią z otwartymi ustami. Serce mu waliło. Nie spojrzała mu w oczy.

Przeszła niepewnie na środek pokoju. Przez kilka minut panowała między nimi cisza.

Peter czuł ból w żołądku.

— Chcę poznać szczegóły — odezwał się wreszcie drżącym, ochrypłym głosem, całkiem jakby nagły cios pozbawił go tchu w piersiach.

— Czy to ma znaczenie?

Mówiła cicho. Nie patrzyła na niego.

— Ma. Oczywiście, że ma. Jak długo trwał ten... — przerwał — ten romans?

Chryste, nigdy się nie spodziewał, że użyje tego słowa w podobnym kontekście.

Jej dolna warga znowu zaczęła drżeć. Cathy postąpiła krok ku niemu, jak gdyby zamierzała usiąść obok niego na kanapie, zawahała się jednak, gdy ujrzała wyraz jego twarzy.

Przesunęła się powoli w stronę krzesła i usiadła na nim ciężkim ruchem, całkiem jakby króciutki spacer do salonu był najdłuższą podróżą w jej życiu. Ułożyła z uwagą ręce na kolanach i wbiła w nie wzrok.

— To nie był romans — odparła cicho.

— A jak, do licha, byś to nazwała? — zapytał Peter.

Słowa były gniewne, ale nie ich ton. Ten był wyczerpany, pozbawiony życia.

— To był... to nie był związek — powiedziała. — Nie prawdziwy. To po prostu się wydarzyło.

— W jaki sposób?

— W piątek wieczorem, po pracy. Tym razem się nie zjawiłeś. Hans poprosił, żebym go podwoziła do metra. Wróciliśmy razem na firmowy parking i wsiedliśmy do mojego samochodu. Wszyscy już odjechali. Było całkiem ciemno.

Peter potrząsnął głową.

— W samochodzie? — zapytał. Odczekał dłuższą chwilę, po czym dodał cicho: — Ty... — następny wyraz nadszedł powoli, nie wzywany. Gdy wyrwał się z jego warg, towarzyszyło mu lekkie wzruszenie ramion, całkiem jakby żadne inne określenie nie mogło być odpowiednie — ...dziwko.

Twarz miała obrzmiałą, a oczy czerwone, lecz nie płakała. Poruszyła lekko głową do tyłu i do przodu, jak gdyby chciała odrzucić to słowo, słowo, którym nikt dotąd jej nie określił, po czym wzruszyła ramionami. Być może zaakceptowała ów termin.

— Co się wydarzyło? — zapytał Peter. — Co dokładnie zrobiliście?

— Uprawialiśmy seks. To wszystko.

— Jaki seks?

— Normalny. Po prostu ściągnął portki i uniósł mi spódnice. Wcale... wcale mnie nie dotknął.

— Ale i tak byłaś wilgotna?

Zjeżyła się.

— Za... za dużo wypiałam.

Peter skinął głową.

— Nigdy przedtem nie piłaś. Dopóki nie zaczęłaś z nimi pracować.

— Wiem o tym. Przestanę.

— I co jeszcze się wydarzyło?

— Nic.

— Pocałował cię?

— Przedtem, tak. Potem, nie.

— Powiedział ci, że cię kocha? — spytał pełen sarkazmu.

— Hans mówi to wszystkim.

— Ale czy powiedział to tobie?

— Tak... ale to były tylko słowa.

— A ty mu to powiedziałaś?

— Oczywiście, że nie.

— Czy... czy miałaś orgazm?

— Nie — odparła szeptem. Potem po jej policzku spłynęła pojedyncza łza. — Zapytał... zapytał mnie o to. Jak gdyby ktoś mógł mieć orgazm po czymś takim. Tylko włożyć i wyjąć.

Zapytał mnie i powiedziałam „nie”. Roześmiał się. Roześmiał się i wciągnął spodnie.

— Kiedy to było?

— Pamiętasz ten piątek, kiedy przyszedłam później i wzięłam prysznic?

— Nie. Zaczekaj... pamiętam. Nigdy wieczorem nie brałaś prysznic. Ale to było przed kilkoma miesiącami...

— W lutym — powiedziała Cathy.

Peter skinął głową. Z jakiegoś powodu fakt, że wydarzyło się to tak dawno, czynił całą sprawę łatwiejszą do zniesienia.

— Sześć miesięcy temu — stwierdził.

— Tak — odparła. Potem padły słowa przypominające trzy kule przebijające mu serce: — Po raz pierwszy.

W jego mózgu kłębiły się głupie pytania. „Chcesz powiedzieć, że były inne razy?”

Tak, Peter, to właśnie chciałam powiedzieć.

— Ile razy?

— Jeszcze dwa.

— Czyli w sumie trzy.

— Tak.

— Ale słowo „romans” nie jest właściwym określeniem — stwierdził znowu z odcieniem sarkazmu.

Cathy milczała.

— Jezu Chryste — powiedział cicho Peter.

— To nie był romans.

Peter skinął głową. Wiedział, jakiego rodzaju osobą jest Hans. Oczywiście nie był to romans. Oczywiście nie było w tym miłości.

— Po prostu seks — rzucił.

Cathy, rozsądnie, nie powiedziała nic.

— Chryste — powtórzył po raz kolejny Peter. Wciąż trzymał w ręku czytelnik czasopism.

Popatrzył na urządzenie myśląc, że powinien cisnąć nim na drugą stronę pokoju, rozbić je o ścianę. Po chwili po prostu

upuścił je na kanapę obok siebie. Podskoczyło bezgłośnie na tapicerce.

— Kiedy był ostatni raz? — zapytał.

— Trzy miesiące temu — odparła cichym głosem. — Próbowałam się zdobyć na odwagę, żeby ci powiedzieć. Nie... nie sądziłam, że będę mogła. Próbowałam już przedtem dwa razy, ale nie potrafiłam.

Peter milczał. Nie było żadnej odpowiedniej reakcji, żadnego sposobu, by się z tym uporać. Nic. Otchłań.

— Mia... miałam ochotę się zabić — odezwała się Cathy po bardzo długiej przerwie głosem słabym niczym wiatr przed świtem. — Ale nie trucizną czy przez podcięcie żył. To nie mogło być nic, co wyglądałoby jak samobójstwo. — Spojrzała mu na chwilę w oczy.

— Wypadek samochodowy. Chciałam uderzyć w mur. Wtedy nie przestałbyś mnie kochać.

Próbowałam. Byłam na to całkowicie przygotowana, ale kiedy miało to nastąpić, w ostatniej chwili skręciłam. — Po jej policzkach spływały łzy. — Jestem tchórzem — stwierdziła na koniec.

Cisza. Peter usiłował się w tym wszystkim połapać. Nie było sensu pytać jej, czy odejdzie do Hansa. On nie chciał żadnego związku. Nie z Cathy ani z żadną inną kobietą.

Hans. Pierdolony Hans.

— Jak mogłaś się związać z Hansem? Akurat z nim? — zapytał. — Wiesz, kim on jest.

Wbiła wzrok w sufit.

— Wiem — rzekła cicho. — Wiem.

— Zawsze starałem się być dobrym mężem — powiedział Peter. — Wiesz o tym.

Służyłem ci wsparciem na wszelkie możliwe sposoby. Rozmawiamy o wszystkim. Nie mieliśmy kłopotów z porozumieniem. Nie możesz mi zarzucić, że nie chciałem cię wysłuchać.

W jej głosie po raz pierwszy pojawił się ostry ton.

— Czy wiedziałeś, że od miesiący płakałam przed zaśnięciem?

Przy łóżku stała para wentylatorów, których używali jako generatorów białego szumu zagłuszającego dobiegające z zewnątrz odgłosy ruchu ulicznego, a także zdarzające się im niekiedy chrapanie.

— W żaden sposób nie mogłem o tym wiedzieć — odparł.

Od czasu do czasu zauważał zasypiając, że jej ciało drży obok niego. Na wpół przytomny zastanawiał się wtedy, czy jego żona się onanizuje. Zachował tę myśl dla siebie.

— Muszę o tym pomyśleć — powiedział cicho. — Nie jestem pewien, co chcę zrobić.

Skinęła głową.

Odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie długie, ochryple westchnienie.

— Chryste, będę musiał przemyśleć nasze sześć ostatnich miesięcy. Ten wyjazd do Nowego Orleanu. To było po tym, jak ty i Hans... I to, jak pożyczylśmy na weekend domek Sarkara. To również było później. Wszystko to wygląda teraz inaczej. Wszystko.

Każdy zachowany w pamięci obraz z tego okresu, każda szczęśliwa chwila — fałszywa, skażona.

— Przykro mi — odezwała się Cathy, bardzo cicho.

— Przykro? — Ton Petera był lodowaty. — Mogłoby ci być przykro, gdyby to się wydarzyło tylko raz. Ale trzy razy? Trzy pierdolone razy?

Jej wargi drżały.

— Przykro mi.

Peter westchnął po raz kolejny.

— Zadzwonię do Sarkara i zapytam, czy mógłbym z nim zjeść kolację.

Cathy milczała.

— Nie chcę, żebyś szła z nami. Chcę z nim porozmawiać na osobności. Muszę sobie to wszystko poukładać.

Skinęła głową.

## ROZDZIAŁ 5

Peter znał Sarkara Muhammeda od czasów, gdy obaj byli nastolatkami. Mieszkali na tej samej ulicy, Sarkar jednak chodził do prywatnej szkoły. Zapewne mogli się wydawać osobliwie dobraną parą przyjaciół. Sarkar poważnie zajmował się sportem, Peter zaś był członkiem redakcji szkolnej gazetki oraz kroniki. Sarkar był pobożnym muzułmaninem, a Peter w ogóle nie był pobożny. Mimo to zbliżyli się do siebie, gdy tylko rodzina Sarkara zamieszkała w sąsiedztwie. Mieli zbliżone poczucie humoru, obaj lubili czytać Agathę Christie oraz byli znakomitymi znawcami Star Treku. Ponadto, rzecz jasna, Peter nie pił, co bardzo cieszyło Sarkara. Jadał on co prawda w restauracjach mających koncesję, kiedy jednak tylko było to możliwe, unikał siadania przy jednym stoliku z kimś, kto spożywał alkohol.

Sarkar wyjechał na Uniwersytet Waterloo studiować informatykę. Peter studiował inżynierię biomedyczną na Uniwersytecie Toronto. Przez cały ten czas utrzymywali ze sobą kontakt, wymieniając listy przez e—mail. Po krótkim pobycie w Vancouver Sarkar wylądował z powrotem w Toronto, gdzie uruchomił własną firmę tworzącą systemy doradcze.

Sarkar był żonaty i miał troje dzieci, często jednak jadał kolację z Peterem, tylko we dwóch.

Zawsze robili to w barze przekąskowym Sonny’ego Gotlieba, na skrzyżowaniu Bathurst i Lawrence, w samym sercu



żydowskiej dzielnicy. Peter nie był w stanie znieść pakistańskiej kuchni, choć przyjaciel uporczywie zmierzał do poszerzenia jego upodobań kulinarnych, Sarkar natomiast musiał jadać tam, gdzie mógł dostać posiłki zgodne z islamskimi nakazami dotyczącymi pożywienia, a koszerna żywność zgadzała się z nimi wspaniale. Obaj zasiedli w tej samej łoży co zawsze, otoczeni przez zaydes i bubbehs gadających ze sobą w jidysz, po hebrajsku oraz rosyjsku.

Gdy już złożyli zamówienia, Sarkar zapytał Petera, co słychać.

— Nic szczególnego — odparł ten ostrożnym tonem. — A u ciebie?

Sarkar opowiadał przez parę minut o zawartym przez jego firmę kontrakcie na przygotowanie systemów doradczych dla Nowej Demokratycznej Partii Ontario. Była ona u władzy tylko raz, we wczesnych latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, lecz nigdy nie traciła nadziei na jej odzyskanie. Chodziło o utrwalenie wiedzy członków partii, którzy naprawdę sprawowali wówczas władzę, nim rządy kanadyjskich socjalistów całkowicie znikną z pamięci żyjących.

Peter słuchał tego wszystkiego jednym uchem. Zazwyczaj praca Sarkara wydawała mu się fascynująca, dzisiaj jednak przebywał myślami daleko stąd. Wrócił kelner, który przyniósł im dzbanek dietetycznej coli oraz koszyk pełen różnych obwarzanków.

Peter chciał opowiedzieć Sarkarowi o tym, co wydarzyło się z Cathy. Parokrotnie otwierał usta, by zacząć, lecz zawsze zabrakło mu w ostatniej chwili odwagi. Co Sarkar pomyślałby o

nim, gdyby się dowiedział? Co pomyślałby o Cathy? Z początku Peterowi wydawało się, że nie chce tego zdradzić przyjacielowi z uwagi na wyznawaną przez niego religię. Rodzina Sarkara zajmowała znaczącą pozycję w muzułmańskiej społeczności Toronto. Peter wiedział, że w tej grupie nadal praktykowano małżeństwa kojarzone przez rodziców. Nie chodziło jednak o to. Po prostu nie potrafił zdobyć się na powiedzenie głośno komukolwiek — komukolwiek — co się wydarzyło.

Choć nie był właściwie głodny, wziął z koszyka obwarzanek z makiem i posmarował go odrobiną dżemu.

— A jak Catherine? — zapytał Sarkar, łapiąc za obwarzanek z żytniej mąki.

Peter wykorzystał fakt, że miał pełne usta, by zdobyć kilka sekund na zastanowienie.

— W porządku — powiedział wreszcie. — Wszystko w porządku.

Sarkar skinął głową, przyjmując do wiadomości jego słowa.

— Czy moglibyśmy urządzić naszą wycieczkę na północ w drugi weekend września? — zapytał w chwilę później.

Już od sześciu lat spędzali wspólnie jeden weekend, obozując w Kawarthas.

— Musiałbym... musiałbym wpaść do ciebie w tej sprawie — odparł Peter.

Sarkar wziął sobie następny obwarzanek.

— Dobra.

Peter uwielbiał te weekendowe wyjazdy. Nie przepadał zbyt za obozowaniem pod gołym niebem, ale lubił oglądać gwiazdy. Nigdy właściwie nie zgodził się na te coroczne

wycieczki, ale dla Sarkara wszystko, co zrobiono dwa razy, natychmiast przeradzało się w niewzruszoną tradycję.

Dobrze byłoby się wyrwać, pomyślał. Bardzo dobrze.

Ale...

Nie mógł wyjechać.

Nie w tym roku.

Może już nigdy.

Nie mógł zostawić Cathy samej.

Nie mógł dlatego, że nie miał pewności, czy naprawdę będzie sama.

Cholera. Niech to wszyscy diabli.

— Musiałbym wpaść do ciebie — powtórzył Peter.

Sarkar uśmiechnął się.

— Już to mówiłeś.

Peter zdał sobie sprawę, że cały wieczór przerodzi się w katastrofę, jeśli nie skieruje myśli na coś innego.

— Jak się sprawuje ten nowy skaner mózgowy, który zbudowała dla was moja firma? — zapytał.

— Świetnie. Naprawdę uprości nasze badania nad sieciami neuronalnymi. To cudowna maszyna.

— Cieszę się — rzekł Peter. — Pracowałem nad jego udoskonaleniem. Starłem się uzyskać wyższą rozdzielczość.

— Obecna jest więcej niż wystarczająca dla moich celów — stwierdził Sarkar. — Do czego potrzebna ci lepsza?

— Pamiętasz, jak odbywałem ćwiczenia na Uniwersytecie Toronto? Opowiadałem ci o dawcy narządów, który obudził się na stole operacyjnym.

— Tak jest. — Sarkar zadrżał. — Wiesz, że moja religia odnosi się do przeszczepów z podejrzliwością. Uważamy, że ciało powinno w całości wrócić do ziemi. Podobne opowieści sprawiają, że wierzę w to jeszcze mocniej.

— Do dziś dręczy mnie to w koszmarach. Sądzę jednak, że uda mi się wreszcie przegnać tego demona.

— Tak?

— Ten skaner, który zbudowaliśmy z myślą o twojej pracy, był tylko pierwszym etapem. Tak naprawdę chciałem zbudować... nazwijmy to superEEG. Urządzenie zdolne wykryć wszelką elektryczną aktywność mózgu.

— Aha — odezwał się Sarkar, unosząc brwi. — Żeby móc stwierdzić, kiedy ktoś naprawdę nie żyje?

— Dokładnie.

Zjawił się kelner z głównymi daniami. Peter otrzymał stos montrealskiej wędzonki z chlebem z żytniej mąki, któremu towarzyszyła mała karuzela z różnymi musztardami oraz dodatkowe danie — placki ziemniaczane. Sarkar określał ten zestaw jako receptę na atak serca.

Sam zamówił faszzerowaną rybę.

— O to właśnie chodzi — mówił Peter. — Grzebałem w tym już od lat, ale teraz wreszcie udało mi się dokonać przełomu. Dobijała mnie kwestia stosunku sygnału do szumu, ale wędrując po sieci, znalazłem pewne algorytmy stworzone dla potrzeb radioastronomii, które pozwoliły mi rozwiązać wreszcie ten problem. Mam już funkcjonujący prototyp superEEG.

Sarkar odłożył widelec.

— To znaczy, że potrafisz dostrzec ostatnie tchnienie — jeśli tak można to określić — neuronów?

— Zgadza się. Wiesz, na jakiej zasadzie działa standardowe EEG. Każdy z miliardów neuronów mózgu nieustannie odbiera pobudzające impulsy synaptyczne, impulsy hamujące oraz kombinację obydwu. Zgadza się? Rezultatem jest nieustanna fluktuacja potencjału błonowego każdego neuronu. EEG mierzy ten potencjał.

Sarkar skinął głową.

— Ale w standardowym EEG elektrody mają średnicę znacznie większą niż pojedyncze neurony. Dlatego zamiast mierzyć potencjał błonowy poszczególnych komórek nerwowych, określają łączny potencjał wszystkich, które znajdują się w części mózgu poddanej pomiarom.

— Zgadza się — stwierdził Sarkar.

— No i ta niedokładność jest źródłem problemu. Jeśli na impuls synaptyczny reaguje tylko jeden neuron albo kilka tuzinów, czy nawet kilkaset, napięcie będzie o całe rzędy wielkości mniejsze od tego, co może odczytać normalne EEG. Dlatego, nawet jeśli zapis takiego aparatu jest płaski, aktywność mózgu — a w związku z tym życie — może jeszcze trwać.

— Jędrny problem — wtrącił Sarkar.

„Jędrny” było jego ulubionym słowem. Używał go w znaczeniach tak różnych, jak dobrze zdefiniowany, drażliwy, interesujący czy skomplikowany.

— A więc mówisz, że znalazłeś rozwiązanie? — dodał.

— Tak — odparł Peter. — Zamiast niewielkiej liczby elektrod wykorzystywanych przez standardowe EEG, moje superEEG

zawiera ponad miliard nanotechnologicznych czujników.

Każdy z nich jest nie większy od pojedynczego neuronu. Otaczają czaszkę niczym czepek kąpielowy. W przeciwieństwie do standardowego EEG, które odbiera połączony sygnał wszystkich neuronów w danym obszarze, te czujniki są w wysokim stopniu kierunkowe i wykrywają jedynie potencjał błonowy neuronów leżących bezpośrednio pod nimi. — Peter uniósł rękę. — Oczywiście linia prosta poprowadzona przez mózg przetnie tysiące neuronów, lecz przez porównywanie sygnałów pochodzących ze wszystkich czujników mogą wyizolować indywidualną elektryczną aktywność każdej poszczególnej komórki nerwowej w całym mózgu.

Sarkar zjadł kolejną rybną kulkę.

— Teraz rozumiem, dlaczego miałeś problemy ze stosunkiem sygnału do szumu.

— No właśnie. Ale już je rozwiązałem. Dysponując tym sprzętem, będę mógł wykryć wszelkie przejawy elektrycznej aktywności w dowolnym obszarze mózgu, nawet jeśli dotyczy ona tylko jednego neuronu.

Sarkar był najwyraźniej pod wrażeniem.

— Czy już to wypróbowałeś?

Peter westchnął.

— Tak. Na zwierzętach. Kilku dużych psach. Nie udało mi się dotąd zbudować sprzętu wystarczająco małego, by zrobić to na szczurach albo królikach.

— I czy to superEEG naprawdę robi to, czego od niego chcesz? Czy pokazuje dokładny, jędrny moment samej śmierci? Ostatecznego zanik elektrycznej aktywności mózgu?

Peter westchnął.

— Nie wiem. Mam już całe gigabajty zapisów fal mózgowych labradorów, ale nie mogę zdobyć pozwolenia na uśpienie któregoś z nich. — Rozsmarował sobie na mięsie jeszcze trochę musztardy. — Można to wypróbować we właściwy sposób jedynie na umierającym człowieku.

## ROZDZIAŁ 6

Peter zapukał, po czym wszedł cicho do izolatki w hospicjum. Wątła kobieta w wieku około dziewięćdziesięciu lat siedziała na łóżku, którego oparcie uniesiono pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Na statywach obok posłania wisiały dwie kroplówki z przezroczystym płynem. Po prawej stronie w obrotowe ramię wmontowano małe telewizor.

— Dzień dobry, pani Fennell — powiedział cicho Peter.

— Witam, młody człowieku — odparła kobieta słabym, ochryplym głosem. — Czy jest pan doktorem?

— Nie. Przynajmniej nie doktorem medycyny. Jestem inżynierem.

— Czy uważają mnie za maszynę?

— Nie, nie. Jestem...

— Żartowałam, synu.

— Przepraszam. Doktor Chong mówił, że ma pani właściwe nastawienie.

Wzruszyła ramionami w przyjaznym geście, wskazując tym ruchem na szpitalną salę, kroplówki i całą resztę.

— Staram się.

Peter rozejrzał się wokół. Nie było kwiatów ani pocztówek życzących powrotu do zdrowia. Wyglądało na to, że pani Fennell jest na świecie zupełnie sama.

Zastanawiał się, jak może być tak pogodna.



— Chciałem, hmm, prosić panią o przysługę — powiedział. — Potrzebuję pani pomocy w doświadczeniu.

— Jakim doświadczeniu?

Jej głos przypominał chrzęst suchych, zgniatanych liści.

— To w ogóle nie będzie bolało. Po prostu chciałbym, żeby nosiła pani na głowie specjalne urządzenie, które ma w sobie mnóstwo maleńkich elektrod.

Znowu ten głos o brzmieniu liści zgniatanych w sposób, który mógł być chichotem.

Pani Fennell wskazała na przewody wnikające w jej ramię.

— Parę połączeń więcej chyba mi nie zaszkodzi. Jak długo miałabym to nosić?

— Aż do... hmm... aż do...

— Aż do śmierci, zgadza się?

Peter poczuł, że czerwienią mu się policzki.

— Tak, proszę pani.

— Do czego służą te elektrody?

— Moja firma produkuje kontrolny sprzęt biomedyczny. Zbudowaliśmy prototyp nowego, superwrażliwego elektroencefalografu. Wie pani, co to jest EEG?

— Urządzenie zapisujące fale mózgowe.

Twarz pani Fennell wydawała się nieruchoma. Chong mówił, że kobieta przeżyła serię małych udarów. W jej oczach błyszczał jednak uśmiech.

— Jeśli spędza się w szpitalach tyle czasu, co ja, nie sposób się czegoś nie nauczyć.

Peter zachichotał.

— To specjalne urządzenie zapisujące fale mózgowo jest znacznie dokładniejsze od standardowych, które mają tutaj. Chciałbym zarejestrować, hmm...

— Chciałby pan zarejestrować moment mojej śmierci, tak?

— Przepraszam. Nie chciałem okazać się niewrażliwy.

— Nie okazał się pan. Dlaczego chciałby pan zarejestrować moją śmierć?

— No więc, widzi pani, obecnie nie istnieje stuprocentowo pewny sposób określenia tego, w której chwili dochodzi do trwałego zaprzestania czynności mózgu. To nowe urządzenie powinno być w stanie dokładnie określić moment śmierci.

— Dlaczego miałyby to kogoś obchodzić? Nie mam krewnych.

— Cóż, w wielu przypadkach ciała pozostają podłączone do aparatury podtrzymującej życie po prostu dlatego, że nie wiemy, czy dana osoba jest rzeczywiście martwa czy nie.

Staram się stworzyć definicję śmierci, która nie będzie miała charakteru wyłącznie prawnego, lecz faktyczny. Jednoznaczny test pozwalający dowieść, czy ktoś jest martwy, czy żywy.

— I w czym pomoże to ludziom? — zapytała. Sprawiała wrażenie, że ta kwestia jest dla niej najważniejsza.

— Przy przeszczepianiu narządów — wyjaśnił Peter.

Pochyliła głowę.

— Moich narządów nikt by nie chciał.

Peter uśmiechnął się.

— Być może nie, ale któregoś dnia moje urządzenie może dać nam pewność, dzięki której nie będziemy nieświadomie usuwać narządów ludziom, którzy jeszcze naprawdę nie umarli. Będzie również użyteczne w oddziałach nagłych

przypadków oraz na miejscach wypadków, by się upewnić, że próby uratowania pacjenta nie zostaną przedwcześnie przerwane.

Pani Fennell porządkowała przez chwilę te informacje.

— Właściwie nie potrzebuje pan mojego pozwolenia, prawda? — zapytała. — Mógł pan po prostu podłączyć sprzęt. Powiedzieć, że to rutynowy test. W połowie przypadków w ogóle nie wyjaśniają, co robią.

Peter skinął głową.

— To pewnie prawda. Ale pomyślałem, że wypadałoby zapytać.

Oczy pani Fennell uśmiechnęły się raz jeszcze.

— Jest pan bardzo miłym młodym człowiekiem, doktorze...

— Hobson. Ale proszę mi mówić Peter.

— Peter.

Wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki.

— Jestem tu już od miesiący i żaden z lekarzy nie zaproponował, żebym mówiła mu po imieniu. Sondowali wszystkie części mojego ciała, ale nadal uważają, że utrzymywanie emocjonalnego dystansu wchodzi w zakres ich obowiązków — przerwała. — Lubię cię, Peter.

Uśmiechnął się.

— Ja też panią lubię, pani Fennell.

Tym razem zdołała wydać z siebie niedwuznaczny, wyraźny śmiech.

— Mów mi Peggy — przerwała. Pod wpływem namysłu na jej pomarszczonej twarzy pojawiły się głębsze bruzdy. — Wiesz co, słyszę własne imię po raz pierwszy, odkąd mnie tu przyjęli. A

więc, Peter, czy naprawdę jesteś zainteresowany tym, co się dzieje w chwili śmierci?

— Tak, Peggy, jestem.

— W takim razie dlaczego nie usiądziesz sobie wygodnie, żebym ci mogła o tym opowiedzieć. — Ściszyła głos. — Widzisz, ja już raz umarłam...

— Słucham?

Wydawało się, że jest w pełni władz umysłowych...

— Nie patrz tak na mnie, Peter. Nie jestem wariatką. Usiądź. No, usiądź wreszcie.

Opowiem ci, co się wydarzyło.

Peter pochylił głowę, lekko i nieobowiązujuco. Znalazł pokryte winylem krzesło i przysunął je do łóżka.

— To było czterdzieści lat temu — zaczęła pani Fennell, zwracając przypominającą dzikie jabłko głowę w stronę Petera. — Na krótko przedtem stwierdzono u mnie cukrzycę.

Musiałam brać insulinę, ale nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, jak bardzo muszę być ostrożna. Mój mąż, Kevin, poszedł po zakupy. Wstrzyknęłam sobie rano insulinę, ale jeszcze nic nie jadłam. Zadzwoił telefon. To była znajoma. Gadała bez końca. Tak mi się przynajmniej zdawało. Zauważyłam, że się pocę i zaczyna mnie boleć głowa, ale nie chciałam nic mówić. Zdałam sobie sprawę, że serce mi wali, ręka drży i zaczynam widzieć niewyraźnie. Miałam już zamiar przerwać tej kobiecie, przeprosić ją i pójść coś zjeść, kiedy nagle zemdlałam. To była reakcja na insulinę. Hipoglikemia.

Choć twarz miała bez wyrazu, znieruchomiałą na skutek udarów, jej głos stawał się coraz bardziej ożywiony.

— Nagle znalazłam się na zewnątrz ciała — mówiła. — Widziałam siebie jakby z góry, leżącą na podłodze w kuchni. Wznosiłam się coraz wyżej, aż wreszcie wszystko jakby zapadło się do tunelu. Długiego i spiralnego. Na jego końcu lśniło piękne, czyste, jasne, białe światło. Było bardzo jaskrawe, ale patrzenie na nie w ogóle nie sprawiało bólu.

Ogarnęło mnie wrażenie spokoju, ciszy. To było absolutnie cudowne. Bezwarunkowa akceptacja, uczucie miłości. Poczułam, że ruszam ku temu światłu.

Peter pochylił głowę. Nie wiedział, co powiedzieć.

— Na granicy blasku pojawiła się postać — ciągnęła pani Fennell. — Z początku jej nie rozpoznałam, ale nagle dostrzegłam, że to ja. Tylko że to nie byłam ja, lecz ktoś, kto był bardzo do mnie podobny, ale nie był mną. Urodziłam się jako jedno z bliźnięt, ale moja siostra, Mary, umarła w kilka dni później. Zrozumiałam, że to jest Mary, która przybyła mnie przywitać. Podpłynęła bliżej i ujęła mnie za rękę, a potem poleciałyśmy razem tunelem, w stronę tego światła. Później zaczęłam dostrzegać obrazy z mojego życia, jakby był to film: z rodzicami, z mężem, przy pracy i podczas zabawy. Obie z Mary oglądałyśmy każdą z tych scen. Zastanawiałam się, gdzie postąpiłam słusznie, a gdzie nie. Nie miałam wrażenia, że to sąd, ale wydawało się ważne, bym wszystko zrozumiała, zdała sobie sprawę, jak moje uczynki wpłynęły na innych. Widziałam, jak bawiłam się na szkolnym boisku, ściągałam na egzaminie, pracowałam w szpitalu jako pomoc pielęgniarska i, och, mnóstwo innych rzeczy, wyraźnie, z niewiarygodną jasnością. Przez cały czas zbliżałyśmy się do tego pięknego światła. Wtem,

nagle, wszystko się skończyło. Poczułam, że coś ciągnie mnie do tyłu i w dół.

Nie chciałam wypuścić dłoni Mary — ostatecznie raz już ją utraciłam, nigdy nie miałam okazji naprawdę jej poznać — ale jej palce wysliznęły się z mojego uścisku i coś odciągnęło mnie do tyłu, dalej od światła. Raptownie znalazłam się z powrotem w ciele. Czułam, że wokół są inni ludzie. Wkrótce otworzyłam oczy i ujrzałam mężczyznę w fartuchu. To był lekarz z pogotowia. Miał w ręku strzykawkę. Zrobił mi zastrzyk z glukagonu. Mówił: „Nic pani nie będzie. Wszystko będzie w porządku”. Kobieta, z którą rozmawiałam przez telefon — ona też miała na imię Mary — w końcu zrozumiała, że zemdlałam, odwiesiła słuchawkę i zadzwoniła po karetkę. Załoga ambulansu musiała wyważyć drzwi. Gdyby przybyła kilka minut później, odeszłabym na dobre. Tak więc. Peter, wiem, jak wygląda śmierć. I nie boję się jej. To doświadczenie całkowicie zmieniło moje podejście do życia. Nauczyłam się zachowywać dystans, nie przejmować się. I chociaż wiem, że zostało mi już tylko kilka dni, nie boję się.

Wiem, że mój Kevin będzie na mnie czekał w tamtym świetle. I Mary też.

Peter z uwagą wysłuchał całej opowieści. Oczywiście słyszał już poprzednio podobne historie, a nawet czytał fragmenty sławnej książki Moody’ego Życie po tyciu, gdy kiedyś ugrzązł w domku krewnego i miał do wyboru oprócz tej jedynie książkę o rzekomym wpływie znaków zodiaku na życie miłosne człowieka. Nie wiedział wówczas, co sądzić o podobnych opowieściach. Teraz jego niepewność jeszcze wzrosła.

— Czy opowiadałaś o tym któremuś z tutejszych lekarzy? — zapytał.

Peggy Fennell zachnęła się.

— Ci faceci przemykają przez moją salę, jakby byli maratończykami, a moją kartę traktują jak pałeczkę sztafetową. Dlaczego, na Boga, miałabym się z nimi dzielić swymi najintymniejszymi przeżyciami?

Peter skinął głową.

— Tak czy inaczej, tak właśnie wygląda śmierć, Peter — oznajmiła pani Fennell.

— No więc... hmm... chciałbym...

— Chciałbyś i tak wykonać swój eksperyment, co?

— Hmm, tak.

Pani Fennell poruszyła lekko głową, starając się skinąć nią, jak tylko mogła.

— Proszę bardzo — powiedziała wreszcie. — Ufam ci, Peter. Wyglądasz na dobrego człowieka. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. Idź po swój sprzęt.

Od chwili wyznania Cathy Peter przeżył naprawdę piekielny tydzień. Nie rozmawiali ze sobą wiele, a jeśli już to robili, to tylko o takich sprawach, jak eksperymenty Petera z superEEG. Nic osobistego, bezpośrednio związanego z nimi. Wyłącznie bezpieczne tematy, by wypełnić niektóre z długich, melancholijnych okresów ciszy.

Teraz, w sobotnie popołudnie, Peter siedział w salonie na kanapie i czytał. Tym razem nie była to elektroniczna książka, lecz porządna, tradycyjna książka drukowana.

Dopiero niedawno odkrył stare powieści Roberta B. Parkera o Spenserze. Było coś pociągającego w absolutnym, bezwarunkowym zaufaniu, jakim darzyli się nawzajem Spenser i Hawk, a także w cudownej szczerości w związku między Spenserem i Susan Silverman.

Parker nigdy nie obdarzył swego bohatera imieniem, lecz Peter uważał, że jego własne — które znaczyło „skała” — byłoby odpowiednim wyborem. Z pewnością Spenser bardziej przypominał mocną skałę niż Peter Hobson.

Na ścianie za jego plecami wisiała oprawiona w ramki reprodukcja obrazu Alexa Colville'a. Peter z początku uważał jego dzieła za zbyt statyczne, z biegiem lat jednak podobały mu się coraz bardziej. Ten obraz — przedstawiający człowieka siedzącego na ganku chaty ze starym ogarem leżącym u jego stóp — bardzo przypadł mu do gustu. Zdał sobie wreszcie sprawę, że brak ruchu w obrazach Colville'a miał na celu wyrażenie stałości. Oto rzeczy, które trwają. Oto rzeczy, które są ważne.

Wciąż nie wiedział, co sądzić o tym wszystkim, jaka przyszłość może czekać jego i Cathy. Zdał sobie sprawę, że przed chwilą przeczytał zabawną scenę — Spenser uchylał się od odpowiedzi na pytania Quirka za pomocą serii pierwszorzędných żartów, a Hawk stał bez ruchu tuż obok z uśmiechem rozcinającym twarz — lecz nie rozśmieszyła go ona tak, jak powinna. Wsunął zakładkę do książki i położył ją obok siebie.

Cathy zeszła ze schodów. Miała rozpuszczone włosy. Założyła obcisłe niebieskie džinsy oraz luźną białą bluzkę, której dwa



górne guziki były rozpięte. Peter zdał sobie sprawę, że ów strój można było uznać albo za seksowny, albo za neutralnie praktyczny.

Najwyraźniej była równie zdezorientowana jak on i z uwagą starała się wysyłać sygnały, które — jak miała nadzieję — będą odpowiednie bez względu na jego nastrój.

— Mogę się przysiąść? — zapytała głosem przywodzącym na myśl piórko unoszące się na wietrze.

Peter skinął głową.

Kanapa składała się z trzech wielkich poduszek. Peter siedział na lewej. Cathy przycupnęła na granicy między środkową a prawą, raz jeszcze próbując osiągnąć jednocześnie bliskość i dystans.

Siedzieli razem przez długi czas, nie odzywając się.

Peter nie przestawał kiwać lekko głową w tył i w przód. Czuł ciepło. Nie potrafił skupić spojrzenia jak należy. Sądził, że to przez brak snu, lecz nagle zdał sobie sprawę, że zaraz się rozpłaczę. Zaczerpnął głęboko tchu, starając się powstrzymać płacz.

Przypomniał sobie, kiedy po raz ostatni naprawdę wybuchnął łzami — miał dwanaście lat. Zawstydzził się wtedy sądząc, że jest za duży, by płakać, lecz doświadczył przerażającego porażenia prądem, kiedy dotykał gniazdka. Przez trzydzieści lat dzielących go od owej chwili bez względu na wszystko zachowywał niewzruszoną twarz, lecz teraz wzbierało w nim...

Musiał wyjść, udać się w jakieś odosobnione miejsce, daleko od Cathy, daleko od wszystkich...

Było już jednak za późno. Jego ciało ogarnęły konwulsje. Policzki miał wilgotne.

Przekonał się, że nie może powstrzymać drżenia. Cathy uniosła rękę z kolan, jak gdyby chciała go dotknąć, lecz najwyraźniej uznała, że lepiej tego nie robić. Płakał przez kilka minut. Jedna duża kropla upadła na brzeg książki i wsiąkła powoli w gazetowy papier.

Chciał przestać, ale nie potrafił. Łzy nieustannie napływały. Leciało mu też z nosa.

Prychał w przerwach między gwałtownymi konwulsjami, które wywoływały nowe łzy.

Było tego zbyt wiele. Powstrzymywał się za długo. Wreszcie zdołał wykrztusić z siebie dwa słabe, ciche słowa.

— Zraniłaś mnie.

To było wszystko, co powiedział.

Cathy przygryzała dolną wargę. Skinęła lekko głową. Poruszała powiekami, powstrzymując własne łzy.

— Wiem.

## ROZDZIAŁ 7

— Cześć — odezwała się szczupła, czarnoskóra kobieta. — Witam w Towarzystwie Usług Rodzinnych. Jestem Danita Crewson. Wolisz Catherine czy Cathy?

Miała krótkie włosy. Ubrana w beżowy żakiet i spódnicę tego samego koloru.

Nałożyła kilka prostych, złotych kosztowności. Doskonały obraz nowoczesnej profesjonalistki.

Mimo to jej widok zniechęcił lekko Cathy. Danita Crewson wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia cztery lata. Spodziewała się spotkać kogoś starego i nieskończenie mądrego, a nie siedemnaście lat młodszego od siebie.

— Może być Cathy. Dziękuję, że przyjechałaś mnie tak szybko.

— Nie ma sprawy, Cathy. Czy wypełniłaś kwestionariusz rozliczeniowy?

Cathy wręczyła jej kwit.

— Tak. Pieniądze nie stanowią problemu. Mogę zapłacić pełną sumę.

Danita uśmiechnęła się, jak gdyby było to coś, co słyszała zbyt rzadko.

— Cudownie.

Kiedy się uśmiechała, w kącikach jej oczu nie pojawiały się zmarszczki. Cathy zazdrościła jej tego.

— No więc, na czym polega problem?

Cathy spróbowała się uspokoić. To, co zrobiła, dręczyło ją od miesięcy.

Boże, pomyślała. Jak mogłam być tak głupia?

Z jakiegoś powodu jednak dopiero wtedy, gdy na własne oczy zobaczyła, jak Peter płacze, zdała sobie sprawę, że musi poszukać gdzieś pomocy. Nie mogłaby tego znieść, gdyby znowu sprawiła mu podobny ból. Złożyła ręce na kolanach i powiedziała, bardzo powoli: — Hm, oszukiwałam męża.

— Rozumiem — odparła Danita profesjonalnie obojętnym tonem, wolnym od wszelkiego osądu. — Czy on o tym wie?

— Tak. Powiedziałam mu. — Cathy westchnęła. — To była najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu.

— I jak to przyjął?

— Był zrozpaczony. Nigdy nie widziałam, by był tak wstrząśnięty.

— Czy się rozgniewał?

— Był wściekły. Ale także bardzo smutny.

— Uderzył cię?

— Co? Nie. Nie jest agresywny. W najmniejszym stopniu.

— Ani fizycznie, ani słownie?

— Tak jest. Zawsze był dla mnie bardzo dobry.

— Ale go oszukiwałaś.

— Tak.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Jak się czujesz teraz, kiedy już powiedziałaś mężowi? — zapytała Danita.

Cathy zastanawiała się przez chwilę, po czym wzruszyła lekko ramionami.

— Lepiej. Gorzej. Nie wiem.

— Czy spodziewałaś się, że ci wybaczy?

— Nie — odparła Cathy. — Nie, zaufanie jest bardzo ważne dla Petera. I dla mnie.

Spo... spodziewałam się, że nasze małżeństwo się skończy.

— I skończyło się?

Cathy wyjrzała przez okno.

— Nie wiem.

— Czy chcesz, żeby się skończyło?

— Nie. Absolutnie nie. Ale... ale chcę, żeby Peter był szczęśliwy. Zasługuje na coś lepszego.

— Czy powiedział ci to? — Danita uniosła głowę.

— Nie. Oczywiście, że nie. Ale to prawda.

— Prawda, że zasługuje na coś lepszego?

Cathy skinęła głową.

— Wyglądasz na wartościową osobę. Dlaczego powiedziałaś coś takiego?

Cathy nie odrzekła nic.

Danita odchyliła się do tyłu na krześle.

— Czy wasze małżeństwo zawsze było dobre?

— Och, tak.

— Nie przeżyliście żadnej separacji ani czegoś podobnego — Nie. To znaczy, kiedy chodziliśmy ze sobą, raz doszło do zerwania.

— Tak? Dlaczego?

Cathy delikatnie wzruszyła ramionami.

— Nie jestem pewna. Spotykaliśmy się już prawie od roku, jeszcze na uniwersytecie. I nagle, pewnego dnia, po prostu z nim zerwałam.

— I nie wiesz dlaczego?

W tym momencie Cathy wyjrzała przez okno, jak gdyby czerpała moc ze słonecznego blasku. Zamknęła oczy.

— Chyba... Nie wiem, chyba nie potrafiłam uwierzyć, że ktoś mógłby mnie kochać tak bezwarunkowo.

— I dlatego odepchnęłaś go od siebie?

Skinęła powoli głową.

— Chyba tak.

— Czy znowu go od siebie odpychasz? Czy to jest powód twojej niewierności, Cathy?

— Może — odparła powoli. — Może.

Danita pochyliła się lekko do przodu.

— Dlaczego uważasz, że nikt nie mógłby cię kochać? — zapytała.

— Nie wiem. To znaczy, wiem, że Peter mnie kocha. Byliśmy ze sobą przez długi czas.

To był jedyny absolutnie pewny fakt w moim życiu. Wiedziałam to. Ale, nawet po tych wszystkich latach, nadal trudno mi było w to uwierzyć.

— Dlaczego?

Nieznaczące uniesienie ramion Cathy.

— Ze względu na to, kim jestem.

— A kim jesteś?

— Jestem... jestem nikim. Nikim szczególnym.

Danita złożyła palce.

- Wydaje się, że nie jesteś zbyt pewna siebie.
- Chyba nie — odparła po zastanowieniu Cathy.
- Mówisz, że skończyłaś uniwersytet?
- Och, tak. Byłam nawet na liście dziekańskiej.
- A praca? Dobrze ci w niej szło?
- Chyba tak. Kilka razy dostałam awans. Ale to nie jest skomplikowane zajęcie.
- Wydaje się więc, że przez te wszystkie lata radziłaś sobie nieźle.
- Tak sędzę — odparła Cathy. — To wszystko nie ma jednak znaczenia.

Danita uniosła brwi.

- A jaka jest twoja definicja czegoś, co ma znaczenie?
- Nie wiem. Może coś, co ludzie zauważają.
- Jacy ludzie?
- Zwyczajni.
- Czy twój mąż... Peter, zgadza się? Czy Peter zauważa, kiedy udaje ci się coś osiągnąć?
- Och, tak. Moim hobby jest ceramika. Szkoda, że nie widziałaś, jak się cieszył, kiedy w zeszłym roku zrobili mi wystawę w małej galerii. Zawsze taki był. Od początku było dla niego ważne wszystko, co robiłam. Kiedy ukończyłam uniwersytet z wyróżnieniem, urządził na moją cześć niespodziewane przyjęcie.
- I czy byłaś wtedy z siebie dumna?
- Cieszyłam się, że wreszcie mam studia za sobą.
- A czy rodzina była z ciebie dumna?
- Myślę, że tak.

— Twoja matka?

— Tak. Tak, chyba była dumna. Przyszła na rozdanie dyplomów.

— A jak ojciec?

— Nie, on nie przyszedł.

— Czy był z ciebie dumny?

Krótki, ostry śmiech.

— Powiedz mi, Cathy, czy ojciec był z ciebie dumny?

— Jasne.

W jej głosie pojawił się ton napięcia.

— Naprawdę?

— Nie wiem.

— Dlaczego nie wiesz?

— Nigdy mi tego nie powiedział.

— Nigdy?

— Mój ojciec nie jest... wylewną osobą.

— Czy to cię dręczyło, Cathy?

Uniosła brwi.

— Szczerze?

— Oczywiście.

— Tak, i to bardzo.

Próbowała zachować spokój, lecz do jej głosu zakradły się emocje.

— Dręczyło mnie to piekielnie. Bez względu na to, co zrobiłam, nigdy mnie nie pochwalił. Jeśli przyniosłam świadectwo z pięcioma piątkami i jedną czwórką, mówił tylko o czwórce. Ani razu nie przyszedł obejrzeć, jak gram w szkolnej



orkiestrze. Do dziś uważa, że moja ceramika to głupota. I nigdy...

— Czego nigdy nie zrobił?

— Nieważne.

— Proszę cię, Cathy, powiedz mi, co cię dręczy.

— Nigdy nie powiedział, że mnie kocha. Nawet karty urodzinowe — które wybierała za niego mama — podpisywał „Tata”. Nie „Kocham, tata”, a tylko „Tata”.

— Przykro mi — powiedziała Danita.

— Staralam się mu przypodobać. Sprawić, by był ze mnie dumny. Ale bez względu na to, co zrobiłam, zachowywał się tak, jakbym nie istniała.

— Czy rozmawiałaś z nim kiedykolwiek o tym?

Cathy odchrząknęła.

— Nigdy nie rozmawiałam z nim o niczym.

— Jestem pewna, że nie chciał cię skrzywdzić.

— Ale skrzywdził. A teraz ja skrzywdziłam Petera.

Danita skinęła głową.

— Mówiłaś, że nie potrafisz uwierzyć, że ktoś mógłby cię kochać bezwarunkowo.

Cathy przytaknęła.

— Czy to dlatego, że uważałaś, iż ojciec nigdy cię nie kochał?

— Chyba tak.

— Ale sądzisz, że Peter bardzo cię kocha?

— Gdybyś go znała, nie musiałabyś pytać. Wszyscy wokół dostrzegają, jak bardzo mnie kocha, to wyraźnie widać.

— Czy ci to mówi?

— Och, tak. Nie codziennie, oczywiście, ale często.

Danita ponownie odchyliła się na krześle.

— Może problemy w twoim związku z Peterem są powiązane z problemami, jakie miałaś z ojcem. Być może w głębi czułaś, że żaden mężczyzna nie mógłby cię kochać, gdyż ojciec zrujnował twoją samoocenę. Kiedy spotkałaś faceta, który cię pokochał, nie potrafiłaś w to uwierzyć i próbowałaś — nadal próbujesz — odepchnąć go od siebie.

Cathy siedziała nieruchomo.

— Obawiam się, że to często spotykany scenariusz. Kobiety zawsze miały problemy z niską samooceną, nawet w dzisiejszych czasach.

Cathy nadal była nieruchoma, poza tym że przygryzała dolną wargę.

— Musisz zdać sobie sprawę, że nie jesteś bezwartościowa, Cathy. Musisz uznać swą wartość, dostrzec w sobie te cudowne cechy, które widzi w tobie Peter. On nie próbuje cię stłamsić, prawda?

— Nie. Nigdy. Jak już mówiłam, zawsze mogę na niego liczyć.

— Przykro mi, że muszę znowu cię o coś zapytać. Chodzi o to, że kobiety często wychodzą za mąż za facetów, którzy przypominają ich ojców, tak samo jak mężczyźni żenią się z kobietami podobnymi do ich matek. A więc Peter nie przypomina twojego ojca?

— Nie. W najmniejszym stopniu. Ale to on się za mną uganiał. Nie wiem, jakiego mężczyzny ja szukałam. Nie wiem nawet, czy w ogóle jakiegoś szukałam. Chyba... chyba po prostu chciałam, by zostawiono mnie w spokoju.

— A co z tym facetem, z którym miałaś romans? Czy to był mężczyzna, jakiego szukałaś?

Cathy zachnęła się.

— Nie.

— Nie czułaś do niego pociągu?

— Och, Hans był niebrzydki, chociaż pucołowaty. Do tego w jego uśmiechu było coś rozbrajającego. Ale nie uganiałam się za nim.

— Czy dobrze cię traktował?

— Potrafił pięknie gadać, ale było widać, że to tylko słowa.

— Ale poskutkowały.

Cathy westchnęła.

— Był nieustępliwy.

— Czy ten Hans przypominał ci ojca?

— Nie, oczywiście, że nie — odparła natychmiast Cathy. Po chwili przerwy dodała: — Cóż, przypuszczam, że mają pewne wspólne cechy. Peter powiedziałby, że obaj są tępymi osiłkami.

— A czy Hans był dla ciebie dobry w czasie trwania waszego związku?

— Był okropny. Ignorował mnie całymi tygodniami, podczas których zapewne spotykał się z innymi kobietami.

— Ale kiedy wracał do ciebie, ulegałaś mu.

Westchnęła.

— Wiem, że to było głupie.

— Nikt cię nie osądza, Cathy. Chcę tylko zrozumieć, co się działo. Dlaczego ciągle wracałaś do Hansa?

— Nie wiem. Może...

— Tak?

— Może po prostu dlatego, że wydawał się typem faceta, na jakiego zasługuję.

— Dlatego, że traktował cię okropnie.

— Chyba tak.

— Dlatego, że traktował cię tak, jak twój ojciec.

Cathy skinęła głową.

— Musimy coś zrobić w sprawie twojej samooceny, Cathy. Musimy ci uświadomić, że zasługujesz na to, by traktowano cię z szacunkiem.

Głos Cathy był cichy.

— Ale ja nie...

Danita wydała z siebie ciche, szepczące westchnienie.

— Nasze zadanie jest już określone.

Wieczorem Peter i Cathy siedzieli razem w salonie, on na kanapie, a ona na kozetce po drugiej stronie pokoju.

Peter nie potrafił przewidzieć przyszłości. Wciąż usiłował uporać się z tym, co go spotkało. Zawsze starał się być dobrym mężem, okazywać autentyczne zainteresowanie jej pracą. Uznał, że nie ma powodu, by cokolwiek zmieniać, zapytał więc jak zawsze: — Jak było dziś w pracy?

Cathy odłożyła czytnik.

— Dobrze — przerwała. — Tobie przyniosł świeże truskawki.

Peter skinął głową.

— Ale... — dodała — ...wyszłam wcześniej.

— Tak?

— Hmm... poszłam do doradcy.

Peter był zaskoczony.

— Masz na myśli jakiegoś terapeutę?

— Tak jakby. Ona pracuje w Towarzystwie Usług Rodzinnych. Znalazłam je w książce telefonicznej.

— Doradca... — powtórzył Peter, przeżuując to słowo. Fascynujące. Spojrzał jej w oczy. — Gdybyś mnie poprosiła, poszedłbym z tobą.

Uśmiechnęła się przelotnie, ale ciepło.

— Wiem, że byś poszedł. Ale, widzisz, chciałam sama uporządkować niektóre sprawy.

— I jak poszło?

Spojrzała na swe kolana.

— Chyba dobrze.

— Tak?

Peter pochylił się do przodu, zatroskany.

— To było trochę deprymujące — powiedziała. Podniosła wzrok. Jej głos był cichy.

— Czy uważasz, że mam niską samoocenę?

Przez chwilę zachowywał milczenie.

— Hmm, zawsze sądziłem, że chyba siebie nie doceniasz.

Wiedział, że nie powinien posunąć się dalej.

Cathy skinęła głową.

— Danita — ona właśnie jest doradcą — uważa, że to się wiąże z moimi stosunkami z ojcem.

Pierwsze, co przyszło Peterowi na myśl, to była pogardliwa uwaga na temat freudystów. Potem jednak dotarło do niego pełne znaczenie tego, co powiedziała Cathy.

— Ma rację — przyznał, unosząc brwi. — Nie dostrzegałem tego przedtem, ale oczywiście ma rację. On traktuje ciebie i

twoją siostrę okropnie. Jakbyście byli pensjonariuszkami, a nie jego dziećmi.

— Wiesz, że Marissa też chodzi na terapię?

Nie wiedział o tym, skinął jednak głową.

— To ma sens. Chryste, jak mogłaś mieć pozytywne wyobrażenie o sobie, wzrastając w podobnym środowisku? A twoja matka... — Peter przerwał ujrawszy, że twarz Cathy zeszytowała — niała. — Przykro mi, bardzo ją lubię, ale Bunny nie jest, hmm, powiedzmy, nie jest idealnym wzorcem dla kobiety dwudziestego pierwszego wieku. Nigdy nie pracowała poza domem, nie dostrzegłem też, by twój ojciec traktował ją o wiele lepiej niż ciebie i twoją siostrę.

Cathy nie mówiła nic.

Wszystko stało się teraz oczywiste.

— Niech go diabli — powiedział Peter. Wstał i zaczął chodzić w obie strony.

Zatrzymał się i wbił wzrok w obraz Alexa Colville'a wiszący za kanapą. — Niech go wszyscy diabli.

## ROZDZIAŁ 8

Wtorek był dniem, w którym Peter i Sarkar z reguły jadali wspólnie kolację. Żona Sarkara, Raheema, chodziła w ten dzień na kurs, a Peter i Cathy zawsze pozostawiali sobie czas na interesujące ich zajęcia. Dziś wieczorem Peter był bardziej odprężony, gdyż zdecydował, że nie wspomni Sarkarowi o niewierności Cathy. Rozmowa dotyczyła prozy życia rodzinnego, polityki międzynarodowej, zdumiewającego występu Blue Jays i nędznego Leafs. Wreszcie Peter popatrzył na drugą stronę stołu i odchrząknął.

— Co ci wiadomo o doświadczeniach bliskiej śmierci?

Tego wieczoru Sarkar zamówił zupę z soczewicy.

— To lipa.

— Myślałem, że wierzysz w podobne rzeczy.

Sarkar zrobił zboląłą minę.

— Fakt, że jestem religijny, nie oznacza jeszcze, iż jestem idiotą.

— Przepraszam. Ale niedawno rozmawiałem z kobietą, która przeżyła podobne doświadczenie. Z całą pewnością wierzyła, że wydarzyło się to naprawdę.

— Miała klasyczne objawy? Pozacielesny punkt widzenia? Tunel? Jasne światło?

Wspomnienia życia? Poczucie spokoju? Spotkanie ze zmarłymi bliskimi?

— Tak.

Sarkar skinął głową.

— Doświadczenia bliskiej śmierci wydają się niewytłumaczalne tylko wtedy, gdy traktuje się je jako jedną wielką całość. Ich poszczególne elementy łatwo jest zrozumieć. Na przykład zamknij oczy i wyobraź sobie siebie na wczorajszej kolacji.

Peter zamknął oczy.

— Dobra.

— I co widzisz?

— Siebie i Cathy w Olive Garden na Keele.

— Czy nigdy nie jadacie w domu?

— Nie za często — odparł Peter.

— No tak — zauważył Sarkar, potrząsając głową. — Podwójne zarobki, brak dzieci.

Ale zastanów się, co przed chwilą powiedziałeś. Wyobraziłeś sobie siebie i Cathy.

— To fakt.

— Widziałeś siebie. Obraz, który przywołałeś, nie rozciągał się z punktu widzenia twoich oczu, półtora metra nad podłogą czy na jakiej tam wysokości są, kiedy siedzisz.

Wyobraziłeś sobie samego siebie widzianego z zewnątrz ciała.

— Tak, chyba się zgadza.

— Większość ludzkich wspomnień i wizji sennych ma charakter „pozacielesny”. W ten sposób pracują nasze umysły zarówno wtedy, kiedy przypominają sobie to, co wydarzyło się naprawdę, jak i wtedy, gdy fantazjują. Nie ma w tym nic mistycznego.



Peter realizował kolejną receptę na atak serca. Nałożył kawałki wędzonego mięsa na chleb z żytniej mąki.

— Ale ludzie twierdzą, że widzieli rzeczy, których nie mogli zobaczyć, jak na przykład nazwę producenta na lampie zamontowanej nad szpitalnym łóżkiem.

Sarkar skinął głową.

— Aha. Istnieją podobne doniesienia, ale nie są jędrne. Nie wytrzymują krytycznej analizy. W jednym z tych zdarzeń chodziło o faceta pracującego w firmie produkującej szpitalne oświetlenie. Rozpoznał wyrób konkurenta. Inne dotyczyły pacjentów, którzy mogli chodzić przed epizodem bądź po nim i mieli mnóstwo czasu, by sprawdzić szczegóły.

Ponadto w wielu przypadkach relacje są nieweryfikowalne, na przykład: „Widziałem muchę siedzącą na aparacie rentgenowskim”, albo wręcz fałszywe: „Na szczycie respiratora był otwór wentylacyjny”, podczas gdy w rzeczywistości żadnego otworu nie było.

— Naprawdę?

— Tak — odparł Sarkar. Uśmiechnął się. — Wiem, jaki prezent dostaniesz ode mnie na gwiazdkę. Prenumeratę „Skeptical Inquirer”.

— Co to jest?

— Czasopismo publikowane przez Komitet do spraw Naukowego Badania Twierdzeń o Zdarzeniach Paranormalnych. Nieustannie podważają w nim podobne rewelacje.

— Hmm. A co z tunelem?

— Czy miałeś kiedyś migrenę?

— Nie. Ale mój ojciec ją miewał.

— Zapytaj go. Widzenie tunelowe jest często spotykane w poważnych bólach głowy, anoksji i mnóstwie innych schorzeń.

— Pewnie tak. Ale słyszałem, że ten tunel może być wspomnieniem kanału porodowego.

Sarkar machnął łyżką do zupy w kierunku Petera.

— Zapytaj dowolną kobietę, która kiedyś rodziła, czy kanał porodowy choć w najmniejszym stopniu przypomina tunel z szerokim wylotem i jasnym światłem na końcu.

Dziecko otaczają ściany kurczących się mięśni. Nie ma żadnego tunelu. Do tego ludzie urodzeni cięciem cesarskim również opowiadają o tunelu, nie może to więc być żadne rzeczywiste wspomnienie.

— Hmm. A co z jasnym światłem na końcu tego tunelu?

— Brak tlenu powoduje nadmierną stymulację kory wzrokowej. W normalnych warunkach większość jej neuronów jest powstrzymywana przed wysyłaniem impulsów.

Gdy poziom tlenu spada, w pierwszej kolejności przestają funkcjonować chemiczne związki o działaniu odhamowującym. Efektem jest wrażenie jasnego światła.

— A wspomnienia życia?

— Czy nie uczestniczyłeś kiedyś w seminarium w Montrealskim Instytucie Neurologii?

— Hmm... tak.

— Kto był najślawniejszym lekarzem związanym z tym instytutem?

— Myślę, że Wilder Penfield.

— Nie mylisz się — odparł Sarkar. — Jest nawet na cholernym znaczku. Tak, Penfield, który pracował nad bezpośrednią stymulacją mózgu. Przekonał się, że można łatwo wywoływać żywe wspomnienia dawno zapomnianych wydarzeń. Raz jeszcze powtarzam, że w sytuacji anoksji mózg jest bardziej aktywny niż normalnie ze względu na brak czynników odhamowujących. Sieci neuronalne strzelają impulsami na lewo i prawo. Dlatego zalew mózgu obrazami z przeszłości jest całkowicie wiarygodny.

— A poczucie spokoju?

— Naturalne endorfiny, rzecz jasna.

— Hmm. Ale co z wizjami dawno zmarłych przyjaciół? Kobieta, z którą rozmawiałem, widziała swą bliźniaczą siostrę, Mary, która umarła wkrótce po urodzeniu.

— Czy widziała niemowlę?

— Nie, mówiła, że wizja wyglądała tak jak ona.

— Mózg nie jest głupi — stwierdził Sarkar. — Wie, że może wkrótce umrzeć. To w naturalny sposób wywołuje myśli o ludziach, którzy już nie żyją. Jest jednak jędrny szczegół: istnieją opisy doświadczeń bliskiej śmierci przeżytych przez małe dzieci. Czy wiesz, kogo one widzą?

Peter potrząsnął głową.

— Swoich rodziców albo towarzyszy zabaw. Ludzi, którzy jeszcze żyją. Dzieci nie znają nikogo, kto już umarł. Gdyby doświadczenia bliskiej śmierci naprawdę stanowiły okno do jakiegoś życia pozagrobowego, dzieci nie widziałyby żyjących osób.

— Hmm — odezwał się Peter. — Wiesz, że kobieta, która widziała swą siostrę, Mary, przeżyła to doświadczenie podczas rozmowy telefonicznej z inną kobietą imieniem Mary.

Sarkar zrobił triumfującą minę.

— Potęga sugestii. Te wszystkie przeżycia to tylko normalne, wytłumaczalne reakcje mózgu.

Przyszedł kelner z rachunkiem. Sarkar spojrział na kartkę.

— Moja religia uczy, że po tym bycie czeka nas inny, ale doświadczenia bliskiej śmierci nie mają nic wspólnego z prawdziwym życiem pozagrobowym. Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak ono wygląda, dam ci egzemplarz Koranu.

Peter sięgnął po portfel, by zapłacić swoją połowę rachunku.

— Chyba to sobie daruję.

## ROZDZIAŁ 9

Peter Hobson lubił swą szwagierkę Marissę. W roku 2004 jej pierwsze dziecko zmarło na zespół nagłego zgonu niemowląt. Dziewczynka po prostu przestała oddychać, ni z tego, ni z owego, w jakimś momencie trzeciego wieczoru swego życia. Marissa i jej były mąż używali standardowego dziecięcego monitora, mikrofonu połączonego z odbiornikiem, który nosili ze sobą po domu.

Mała Amanda umarła jednak bezgłośnie.

Gdy Marissa w rok później urodziła drugie dziecko, nie chciała się od niego oddalać.

W dzień czy w nocy, przez całe miesiące, nawet na moment nie spuszczała go z oka.

Rozumiała, że niemowlęta czasami umierają, ale emocjonalnie obwiniała siebie — gdyby była z Amandą, kiedy ta przestała oddychać, może potrafiłaby ją uratować.

W owym czasie Peter pracował nad prototypami bezkontaktowych instrumentów medycznych. Ponieważ plaga AIDS wciąż zagrażała światu, istniał wielki popyt na przyrządy nie stykające się z ciałem pacjenta. Zdalne monitory akcji serca były łatwe do skonstruowania przy użyciu odtajnionego sprzętu czujnikowego stworzonego pierwotnie dla potrzeb szpiegowskich. Czynność mózgu z reguły i tak wykrywano na odległość — za pomocą elektrod oddzielonych od niego grubością skóry pokrywającej głowę i kości czaszki. Po pewnym

czasie Peterowi udało się znaleźć sposób na odczytanie podstawowej aktywności mózgu ze znacznej odległości. Skóry pacjenta nie dotykało nic poza promieniem niskowatowego lasera podczerwonego.

Tak właśnie powstał Dziecięcy Monitor Hobsona, urządzenie zdolne wykryć objawy czynności życiowych niemowlęcia z sąsiedniego pokoju. Marissa i jej mąż otrzymali prototyp w prezencie. Wbudowane w monitor urządzenia alarmowe ostrzegłyby ich natychmiast, gdyby z dzieckiem było coś nie w porządku. Oboje byli zachwyceni tym przyrządem.

Za namową Cathy Peter zrezygnował z pracy w Szpitalu East York i założył małą firmę handlującą dziecięcymi monitorami.

I wtedy, pewnego ranka, gdy leżał w łóżku obok żony, poczuł, że musi oddać mocz.

Spojrzał na zegar radia i zobaczył, że jest szósta czterdzieści pięć. Budzik miał zadzwonić o siódmej. Wiedział, że jeśli Cathy śpi lekko, wstając obudzi ją i pozbawi ostatniego kwadransa snu, czego nie znoślił robić.

Leżał więc dalej, czując ucisk w pęcherzu. Żałował, że nie wie, czy Cathy śpi głęboko.

Może nawet już się obudziła i miała tylko zamknięte oczy.

Nagle coś przyszło mu do głowy. Zupełnie inne wykorzystanie jego metod monitorowania. Urządzenie zjawilo się w jego umyśle już gotowe. Pulpit umieszczony naprzeciw łóżka, z dwiema grupami wskaźników, po jednej dla obu śpiących osób. W obu zestawach jedna duża dioda elektroluminescencyjna i jedna mała. Duża wskazywałaby

aktualną fazę snu danej osoby, miała zaś fazę, która miała nastąpić po niej.

Byłby też cyfrowy licznik pokazujący, ile czasu pozostało do przejścia z jednej fazy do następnej.

Po kilku nocach prób przyrząd opanowałby bezbłędnie cykle snu indywidualnych użytkowników.

Diody zmieniałyby kolor: biały oznaczałby, że dana osoba nie śpi; czerwony, że śpi lekko i wszelki hałas albo ruch z pewnością jej przeszkodzi. Żółty kolor oznaczałby średnio głęboki sen, przy którym — o ile zachowa się ostrożność — można by wstać i pójść do toalety, kaszlnąć czy co tam jeszcze. Zielony sygnalizowałby, że użytkownik jest pogrążony w głębokim śnie i zapewne nie obudziłby się, nawet gdyby na łóżku tańczono limbo.

Urządzenie byłoby śmiesznie łatwe do odczytania — duże żółte światło z małym zielonym i zero siedem na liczniku oznaczałoby, że jeśli wstaniesz teraz, przeszkodzisz swej towarzyszce, ale jeśli wytrzymasz siedem minut, zapadnie ona w głęboki sen i będziesz mógł się wyśliznąć, nie budząc jej.

Gdy parcie na pęcherz wywołało u Petera typowy wczesno—poranny wzwód, zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze. Często budził się dręczony pożądaniem o drugiej czy trzeciej nad ranem i zastanawiał się, czy jego żona również nie śpi. Gdyby tak było, zapewne kochaliby się ze sobą, ale Peterowi nawet przez myśl nie przeszło, by ją budzić w tym celu.

Jeśli jednak aparat pokazywałby dla obojga białe światło, wówczas to, co powstało jako Dziecięcy Monitor Hobsona, mogłoby spowodować poczęcie mnóstwa nowych dzieci...

Z biegiem czasu Peter udoskonalił swój system. Wszystkie telefony w ich domu były teraz podłączone do Monitora Hobsona, a za jego pośrednictwem do zawiadującego domem komputera. To, czy telefony zadzwonią, czy też jedynie zasygnalizują rozmowę błyskiem światła, zależało od faz snu Petera i Cathy.

O trzeciej siedemnaście nad ranem ktoś faktycznie zadzwonił. Jeszcze przed chwilą Peter spał, teraz jednak skierował się do łazienki w amfiladzie, gdzie był mały, wyłącznie akustyczny telefon. Gdy wszedł do środka, rozbłysł mały wskaźnik. Peter zamknął drzwi, usiadł na sedesie i podniósł słuchawkę.

— Halo — odezwał się ochrypłym, suchym głosem.

— Doktor Hobson? — zapytał jakiś mężczyzna.

— Tak.

— Mówi Sepp van der Linde z Hospicjum Carlsona. Jestem naczelnym pielęgniarzem na nocnej zmianie.

— Słucham?

Peter poszukał dłonią szklanki i napełnił ją wodą z kranu.

— Myślę, że pani Fennell odejdzie dziś w nocy. Miała kolejny udar.

Peter poczuł nikłe ukłucie smutku.

— Dziękuję, że mnie pan powiadomił. Czy mój sprzęt jest nadal podłączony?

— Tak, doktorze, ale...

Z wysiłkiem stłumił ziewnięcie.

— W takim razie przyjadę rano odebrać dysk z danymi.

— Ale, doktorze Hobson, ona prosiła, żeby pan przyjechał.



— Ja? — zapytał Peter.

— Powiedziała, że jest pan jej jedynym przyjacielem.

— Już jadę.

Peter przybył do hospicjum około czwartej nad ranem. Pokazał przepustkę strażnikowi i wjechał windą na drugie piętro. Drzwi pokoju pani Fennell były otwarte.

Żarówka umieszczona bezpośrednio nad jej głową paliła się, choć świetlówki na suficie były wyłączone. Półmrok przy łóżku przeszywał zielony blask czterech diod wskazujących, że urządzenie Petera działa prawidłowo. Na stojącym obok krześle siedziała pielęgniarka ze znudzeniem wypisanym na twarzy.

— Jestem Peter Hobson — przedstawił się. — Jak z nią?

Pani Fennell poruszyła się lekko.

— Pe... ter — powiedziała, lecz wysiłek, jaki włożyła tylko w te dwie sylaby, wyraźnie ją osłabił.

Pielęgniarka podniosła się i stanęła obok Petera.

— Jakąś godzinę temu miała udar. Doktor Chong wkrótce spodziewa się następnego.

W tętnicach doprowadzających krew do mózgu utworzyło się kilka skrzepów.

Proponowaliśmy jej coś przeciwbólowego, ale odmówiła.

Peter podszedł do swego urządzenia zapisującego i włączył ekran, który natychmiast się rozjarzył. Od lewej do prawej przebiegła seria zygzakowatych linii.

— Dziękuję — powiedział. — Zostanę z nią. Może pani odejść, jeśli chce.

Pielęgniarka skinęła głową i wyszła. Peter usiadł na krześle. Winyłowe oparcie było wciąż ciepłe od ciała kobiety. Wyciągnął

rękę i ujął w nią lewą dłoń pani Fennell. W grzbiet dłoni wprowadzono cewnik, którego przewód łączył się z kroplówką stojącą tuż obok krzesła.

Ręka była chuda, cienkie kości pokrywała przezroczysta skóra. Peter otoczył palce pani Fennell własnymi. Uścisnęła bardzo słabo jego dłoń.

— Zostanę z panią, pani Fennell — powiedział.

— P...P...

Uśmiechnął się.

— Tak, pani Fennell. To ja, Peter. Potrząsnęła leciutko głową.

— P... P... — spróbowała raz jeszcze, a potem z wielkim wysiłkiem: — Peg...

— Ach, zgadza się — odparł. — Zostanę z tobą, Peggy.

Stara kobieta uśmiechnęła się bardzo lekko. Jej usta były tylko jeszcze jedną zmarszczką na twarzy. Nagle, niepostrzeżenie, palce w jego uścisku stały się bezwładne, a powieki zamknęły bardzo powoli. Na monitorze zielone fale przerodziły się w serię absolutnie prostych poziomych kresek. Po kilku chwilach Peter cofnął dłoń, zamrugał powoli kilka razy i poszedł po pielęgniarkę.

# ROZDZIAŁ 10

Opuszczając hospicjum, Peter zabrał ze sobą zapis superEEG. Gdy wrócił do domu, Cathy przygotowywała się do wyjścia do pracy, przegryzając kawałek suchej razowej grzanki i popijając herbatę. Wychodząc zostawił jej wiadomość w zawiadującym domem komputerze, wiedziała więc, gdzie jest.

— I jak poszło? — zapytała.

— Mam zapis.

— Nie wyglądasz na zbyt uradowanego.

— Umarła dziś bardzo miła pani.

Cathy przytaknęła. Na jej twarzy malowało się współczucie.

— Jestem wykończony — oznajmił. — Wracam do łóżka.

Ucałował ją pośpiesznie i zrobił to, co powiedział.

W cztery godziny później obudził się z bólem głowy. Powłókł się do łazienki, tam ogolił się i wziął prysznic. Następnie nalał sobie wielki kubek dietetycznej coli, wziął dysk i udał się do gabinetu.

Jego domowy komputer był potężniejszy niż mainframe\*,[\*\* Mainframe — duży komputer (nie osobisty) o mocy obliczeniowej znacznie większej od zwykłych PC.

Częściowo używane w sieciach. Czasami zwane superkomputerami. Przykład bardzo znanego mainframe — CRAY (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)] dostępem do którego musiał się w studenckich czasach dzielić z innymi. Włączył go, włożył dysk do stacji i uruchomił ścienny monitor

znajdujący się po drugiej stronie pokoju. Chciał zobaczyć chwilę wysłania ostatniego impulsu, chwilę, w której zadziałała ostatnia synapsa.

Chwilę śmierci.

Wybrał tryb wyświetlania graficznego. Odtworzył kilka sekund danych, kładąc komputerowi lokalizować każdy nerwowy impuls. Obraz na ekranie wyglądał dokładnie tak, jak sylwetka ludzkiego mózgu, co nie było zaskoczeniem. Peter skorzystał z opcji dodawania obwiedni, by naszkicować jego zarysy. Danych było wystarczająco wiele, by stworzyć trójwymiarowy obraz. Peter obracał go aż do chwili, gdy sylwetka mózgu ustawiła się prostopadle do niego, całkiem jakby patrzył zmarłej pani Fennell prosto w nerwy wzrokowe.

Pozwolił danym przepływać w czasie rzeczywistym. Komputer szukał regularności w impulsach neuronów. Każdej ich połączonej serii, która wysyłała jeden impuls, przyporządkowano kolor czerwony, dwóm impulsom odpowiadał pomarańczowy, trzem żółty i tak dalej przez siedem kolorów widma. Obraz mózgu był w przeważającej części biały — efekt zlania się rozmaitych barw maleńkich punkcików. Peter od czasu do czasu powiększał go, by przyjrzeć się z bliska jakiemuś fragmentowi rozjarzonemu szeregami mikroskopijnych choinkowych świateł.

Przyglądając się im, dostrzegł wyraźnie udar, który okazał się ostatnim ciosem dla Peggy Fennell. Kolory kodowe odnawiały się co jedną dziesiątą sekundy, lecz wkrótce w lewym płacie skroniowym, tuż pod wodociągiem mózgu, pojawił się obszar czerni.

Następnie doszło do wzrostu aktywności. Cały obraz stawał się coraz jaśniejszy, gdy odhamowywanie powodowało, że neurony emitowały jeden impuls za drugim. Po kilku chwilach można było dostrzec skomplikowany układ fioletowych świateł. Całe serie sieci neuronów ożywiały się w identycznych regularnościach, gdy mózgiem targały spazmy. Nagle sieci zaczęły zanikać i nie zastąpiły ich nowe. Po dziewięćdziesięciu latach funkcjonowania mózg Peggy Fennell oddawał ducha.

Peter miał nadzieję, że będzie w stanie przyglądać się temu wszystkiemu beznamiętnie. Ostatecznie to tylko dane. Była to jednak również Peggy, odważna i pogodna kobieta, która raz już stawiała czoło śmierci i pokonała ją, kobieta, która trzymała go za rękę w chwili, gdy przechodziła na drugą stronę.

Dane wciąż były wyświetlane. Wkrótce na ekranie migotało już tylko kilka świetlistych kształtów przypominających gwiazdozbiory w mglistą noc. Aktywność ustała bez żadnych widocznych efektów. Nie z hukiem. Nie ze skomleniem. Po prostu w nicości.

Tylko że...

Co to było?

Małeńki rozbłysk na ekranie.

Peter cofnął zapis i odtworzył go raz jeszcze na zwolnionej prędkości.

Widać tam było mikroskopijny kształt złożony z fioletowych świateł, utrzymujący się zarys, który raz za razem strzelał impulsami.

I poruszał się.

Rzecz jasna, neurony nie mogły zmieniać swego położenia. Były fizycznymi ciałami.

Urządzenie jednak wciąż rejestrowało ten sam kształt, powoli przemieszczający się w prawą stronę. Było przystosowane do rejestracji podobnych przesunięć, gdyż neurony nie zawsze wysyłały impulsy w dokładnie taki sam sposób, a mózg miał na tyle galaretowatą konsystencję, że ruchy głowy i tętno krwi mogły w nieznacznym stopniu zmienić fizyczne współrzędne jego komórek. Kształt poruszający się na ekranie musiał przenosić się od jednego neuronu do drugiego w etapach tak małych, że urządzenie mylnie brało każdy poszczególny przyrost za przejaw aktywności tych samych komórek. Peter spojrzął na pasek skali widoczny na dole ściennego ekranu. Fioletowy kształt, skomplikowany węzeł przypominający jelita wykonane z lamp neonowych, przesunął się już o pięć milimetrów, znacznie dalej niż mógł przemieścić się wewnątrz mózgu jakikolwiek neuron, pomijając przypadki silnego uderzenia w głowę, co Peggy Fennell z pewnością nie spotkało.

Peter nacisnął klawisz. Zapis przyśpieszył. Nie było wątpliwości — złożony z fioletowych punkcików węzeł wędrował w prawo, niemal w linii prostej. Podczas ruchu obrócił się lekko wokół osi, całkiem jak niesiona pustynnym wiatrem roślina.

Peter gapił się na to z ustami otwartymi ze zdumienia. Kształt nie przestawał się poruszać.

Przeszedł przez spoidło wielkie do drugiej półkuli, minął podwzgórze i dotarł do prawego płata skroniowego.

Każda część mózgu była z reguły dość dobrze odizolowana od pozostałych i typy fal elektrycznych charakterystyczne dla, powiedzmy, kory mózgowej nie występowały w mózdzku i na odwrót. Ten ciasny węzeł fioletowego światła przechodził, nie zmieniając jednak kształtu, przez kolejne struktury.

Awaria sprzętu, pomyślał Peter. No cóż. Za pierwszym razem nic nigdy nie funkcjonowało jak należy.

Tylko że...

Tylko że Peterowi nie przychodziło do głowy nic, co mogłoby spowodować podobną awarię.

A kształt wciąż wędrował przez ekran.

Spróbował wymyślić inne wyjaśnienie. Czy statyczne wyładowanie, być może spowodowane pocieraniem włosów Peggy o poduszkę, mogłoby wywołać podobny efekt?

Rzecz jasna, szpitalnym poduszkom celowo nadawano własności antystatyczne, właśnie po to, by nie zakłócały działania czułego sprzętu rejestrującego, a zresztą Peggy miała bardzo rzadkie białe włosy. Ponadto jej głowę osłaniał czepek skanera.

Nie, powodem musiało być coś innego.

Kształt zbliżał się do zewnętrznej granicy mózgu. Peter zastanawiał się, czy rozplynie się on na pozakręcanej powierzchni kory, czy też może odbije się i pomknie w drugą stronę, jak gdyby wewnątrz głowy toczyła się jakaś gra wideo.

Nie zrobił żadnej z tych rzeczy.

Dotarł do granicy mózgu... i powędrował dalej, przez spowijającą go oponę.

Zdumiewające.

Peter dotknął kilku klawiszy, dodając do sylwetki mózgu pani Fennell ekstrapolację zarysów głowy. Dał sobie w myśli kopa za to, że nie zrobił tego wcześniej. Było oczywiste, gdzie zmierza ten węzeł światła.

Prosto ku skroni.

Ku najcieńszej części czaszki.

Powędrował dalej, przez kość i pokrywającą ją cienką warstewkę mięśni.

Z pewnością się rozpadnie, pomyślał Peter. Tak, na skroni są nerwy. Dlatego uderzenie w nią jest bolesne. Tak, są one też w tkance mięśniowej, również w pokrywających skroń mięśniach szczękowych. Nerwy przebiegają także przez głębsze warstwy skóry. Nawet jeśli kształt zachował pewną spójność, Peter spodziewał się zobaczyć w tym miejscu zmianę.

Poza mózgiem nerwy są znacznie rzadziej rozmieszczone. Kształt mógł się rozdać, rozciągany między rzadszymi wysepkami tkanki nerwowej.

Ale tego nie zrobił. Zachował identyczne rozmiary, gdy wędrował, koziółkując powoli, przez mięśnie, skórę i...

Dalej. Przez pole czujników.

Nie rozpadł się. Po prostu odleciał. I zachował spójność. Pozostał nienaruszony do chwili, gdy zniknął z zasięgu pajęczej sieci instrumentów.

Niewiarygodne, pomyślał Peter. Niewiarygodne.

Przesunął wzrokiem po ekranie w poszukiwaniu oznak aktywności innych sieci neuronalnych.

Nie było żadnych.



Zarys mózgu Peggy Fennell był nieskażony, wolny od elektrycznej aktywności.

Była martwa.

Martwa.

I coś opuściło jej ciało.

Opuściło jej mózg.

Poczuł, że kręci mu się w głowie.

To było niemożliwe.

Niemożliwe.

Cofnął zapis i odtworzył go raz jeszcze, z innego punktu widzenia.

Dlaczego węzeł światła wędrował od lewej półkuli do prawej? Druga skroń była bliżej.

A! Przecież Peggy leżała na łóżku z głową na poduszce, której dotykała lewą skronią.

To prawa skroń stykała się z powietrzem. Mimo że była dalej, oferowała łatwiejszą drogę ucieczki.

Odtwarzał zapis raz za razem. Pod różnymi kątami. Przy użyciu różnych metod obrazowania, różnych kluczy kodowania barwnego. Bez względu na wszystko rezultat zawsze był taki sam. Porównał czas zarejestrowany na zapisie z innymi objawami czynności życiowych Peggy: tętnem, oddechem, ciśnieniem krwi. Węzeł światła oddalił się w chwilę po tym, jak jej serce przestało bić, jak odetchnęła po raz ostatni.

Znalazł dokładnie to, czego szukał — jednoznaczny znak świadcząca, że życie się skończyło, niepodważalny dowód na to, że pacjent stał się tylko kupą mięsa gotową do pobrania narządów.

Dowód.

To nie było właściwe słowo i Peter o tym wiedział. Celowo unikał myśli na ten temat.

Niemniej widział to. Jego własne superczułe instrumenty wykryły odejście duszy Peggy Fennell z ciała.

Wiedział, że jeśli poprosi Sarkara, by natychmiast przyjechał do niego, ten go usłucha.

Gdy jego przyjaciel przybył, Peter nie potrafił opanować podniecenia. Próbował, zapewne bez powodzenia, stłumić uśmiech. Zaprowadził Sarkara do swej pracowni, po czym raz jeszcze odtworzył zapis śmierci Peggy Fennell.

— Sfałszowałeś to — powiedział Sarkar.

— Nie sfałszowałem.

— Daj spokój, Peter.

— Naprawdę. Nawet nie wyczyściłem danych. Widziałeś dokładnie to, co się wydarzyło.

— Puść jeszcze raz ten ostatni kawałek — poprosił Sarkar. — Na jednej setnej prędkości.

Peter dotknął klawiszy.

— Subhanallah — powiedział Sarkar. — To niewiarygodne.

— Też tak sędzę.

— Wiesz, co to jest, prawda? — zapytał Sarkar. — Zarejestrowane na jędrnym obrazie. To jej nafs — jej dusza — opuszcza ciało.

Ku swemu zaskoczeniu Peter przekonał się, że zareagował negatywnie, gdy usłyszał tę myśl wypowiedzianą na głos.

— Wiedziałem, że to powiesz.

— A cóż innego mogłoby to być? — zapytał Sarkar.

— Nie wiem.

— Nic innego. To jedyne możliwe wytłumaczenie. Mówiłeś już o tym komuś?

— Nie.

— Ciekawe, jak się ogłasza coś takiego? W czasopiśmie medycznym? Czy po prostu informuje się gazety?

— Nie wiem. Dopiero zacząłem się nad tym zastanawiać. Przepuszczalnie urządzę konferencję prasową.

— Pamiętaj o Fleischmannie i Ponsie — ostrzegł go Sarkar.

— Facetach od zimnej fuzji? Tak, wiem, że się pośpieszyli i wylądowali z ręką w nocniku. Będę musiał zarejestrować więcej takich przypadków. Ostatecznie muszę mieć pewność, że coś takiego zdarza się u każdego. Nie mogę jednak czekać wiecznie.

Wkrótce natknie się na to ktoś inny.

— A co z patentami?

Peter skinął głową.

— Myślałem o tym. Opatentowałem już większość rozwiązań technicznych wchodzących w skład superEEG. Ostatecznie to tylko ulepszenie skanera mózgowego, który zbudowaliśmy dla twoich prac nad sztuczną inteligencją. Z pewnością nie ogłoszę nic publicznie, dopóki nie będę miał wszystkiego pod ochroną.

— Kiedy już to zrobisz — odezwał się Sarkar — zyskasz popularność i rozgłos. Nie można sobie wyobrazić nic większego. Udowodniłeś istnienie życia po śmierci.

Peter potrząsnął głową.

— Wykraczasz poza dane. W chwili śmierci małe, słabe pole elektryczne opuszcza ciało. To wszystko. Nie ma żadnych

dowodów, że jest ono świadome czy żywe.

— Koran mówi...

— Nie mogę polegać na Koranie, Biblii ani niczym innym. Wiemy tylko tyle, że po śmierci spójne pole energii opuszcza ciało. Absolutnie nie wiadomo, czy może ono potem przetrwać przez dłuższy czas ani czy niesie jakąś realną informację. Wszelkie inne interpretacje to w tym momencie tylko pobożne życzenia.

— Celowo okazujesz tępotę. To dusza, Peter. Wiesz o tym.

— Nie lubię używać tego słowa. To... stronniczość.

— Dobra, jeśli chcesz, nazwij to jakoś inaczej. Może być nawet Casper Przyjazny Duch. Ja jednak nazwałbym ten fizyczny przejaw falą duszy. On istnieje i wiesz równie dobrze jak ja, że ludzie uznają go za najautentyczniejszą duszę, dowód na istnienie życia pozagrobowego. — Sarkar spojrział przyjacielowi w oczy. — To zmieni świat.

Peter skinął głową. Nie można było powiedzieć nic więcej.

# ROZDZIAŁ 11

## WRZESIEŃ 2011

Peter nie widział Colina Godoyo od miesiący, od czasu seminarium na temat nanotechnologicznej nieśmiertelności.

Nigdy właściwie nie byli przyjaciółmi — a przynajmniej Peter tak nie uważał — kiedy jednak Colin zadzwonił do niego do pracy i poprosił, by zjadł z nim obiad, w jego głosie brzmiał tak naglący ton, że wyraził zgodę. Zresztą to spotkanie nie mogło się ciągnąć bez końca. O drugiej miał spotkanie z ważnym klientem z USA.

Poszli do małej, lubianej przez Petera restauracyjki na Sheppard East, bliżej Vic Park.

Indyczą pierś na kanapki klubowe krojono tam nożem, zamiast ciąć ją na maszynie na cienkie plasterki, a grzanki przypiekano na grillu, aż pojawiały się na nich brązowe kreski. Peter nigdy nie uważał się za szczególnie łatwego do zapamiętania, wyglądało jednak na to, że w połowie restauracji w North York uważano go za stałego klienta, mimo że — pomijając Sonny'ego Gotlieba — wpadał do każdej z nich tylko raz czy dwa w miesiącu.

Kelner przyjął zamówienie Colina (szkocka z wodą sodową), ale zapewnił, że wie, jakiego drinka chce dostać Peter.

— Dietetyczna cola z cytryną, zgadza się?

Kiedy się oddalił, Peter popatrzył wyczekująco na Colina.

— Co słytać?

Godoyo posiwiał od chwili, gdy widział go po raz ostatni, nadal jednak obnosił się ostentacyjnie ze swym bogactwem. Miał na palcach w sumie sześć złotych sygnetów.

Nieustannie spoglądał w różne strony.

— Chyba już słyzałeś o mnie i o Naomi.

Peter potrząsnął głową.

— Co miałem słyzyć?

— Jesteśmy w separacji.

— Och — odrzekł. — Przykro mi.

— Nie zdawałem sobie sprawy, jak wielu naszych przyjaciół to w rzeczywistości tylko jej przyjaciele — mówił Colin. Przybył kelner, który położył na stole małe serwetki, ustawił na nich drinki i oddalił się pośpiesznie. — Cieszę się, że zgodziłeś się zjeść ze mną obiad.

— Nie ma sprawy — odparł Peter. Nigdy nie radził sobie dobrze z podobnymi sytuacjami towarzyskimi. Czy powinien zapytać Colina, co się stało? Rzadko rozmawiał o prywatnych sprawach i z reguły nie lubił zadawać pytań na osobiste tematy ani odpowiadać na nie. — Przykro mi z powodu Naomi.

Jego dozownik komunałów zasugerował, by dodał: „Zawsze wydawaliście się tacy szczęśliwi”, Peter powstrzymał się jednak, nim zdążył ubrać tę myśl w słowa.

Niedawne doświadczenia nauczyły go nie ufać zbytnio pozorom.

— Mieliśmy problemy już od dłuższego czasu — wyjaśnił Colin.

Peter wycisnął cytrynę do szklanki.

— Trudno nam się było ostatnio porozumieć. — Najwyraźniej Colin miał własny dozownik komunałów. — Nie rozmawialiśmy ze sobą.

— Po prostu oddaliliście się od siebie — stwierdził Peter. Nie uczynił z tego pytania, gdyż nie chciał być wścibski.

— Aha — odrzekł Colin. Pociągnął spory łyk whisky. Skrzywił się, jak gdyby była to masochistyczna przyjemność. — Aha.

— Byliście razem przez długi czas — zauważył Peter. Po raz drugi z uwagą starał się zachować bezbarwny ton głosu, nie chcąc dopuścić, by wypowiedź przerodziła się w pytanie.

— Jedenaście lat, jeśli wliczyć okres, kiedy mieszkaliśmy ze sobą przed ślubem — powiedział Colin. Objął szklanekę obiema dłońmi.

Peter zastanawiał się jałowo, kto z kim zerwał.

Nie mój interes, pomyślał.

— To długo — stwierdził.

— Spotykałem... spotykałem się z inną kobietą — wyznał Colin. — W Montrealu. Co trzy tygodnie musiałem tam jeździć w interesach kolejką poruszającą się na poduszce magnetycznej.

Peter oniemiał. Czy w dzisiejszych czasach wszyscy pieprzyli się poza małżeństwem?

— Och — powiedział.

— To nie miało znaczenia — zapewnił Colin, wykonując lekceważący gest jedną ręką. — To był tylko, no, wiesz, sposób, żeby powiedzieć coś Naomi. — Podniósł wzrok. — Może krzyk o pomoc. Rozumiesz?

Nie, pomyślał Peter. Nie rozumiem.

— Po prostu krzyk o pomoc. Ale kiedy jej powiedziałem, wpadła w szal.

Oświadczyła, że to ostatnia kropla. Kropla, która przepełniła czarę.

Widocznie wszyscy mają dozowniki komunałów, pomyślał Peter.

— Nie chciałem jej skrzywdzić, ale, no, wiesz, miałem potrzeby. Nie uważam, by powinna mnie opuścić z takiego powodu.

Kelner zjawił się raz jeszcze, przynosząc kanapkę klubową dla Petera i makaron Primavera dla Colina.

— Co o tym sądzisz? — zapytał Colin.

Sądzę, że jesteś dupkiem, pomyślał Peter. Największym pierdolonym dupkiem na całej planecie.

— Miałeś pecha — stwierdził, wyciągając wykałaczkę z trójkątnej kanapki i smarując indyka majonezem. — Prawdziwego pecha.

— Zresztą — odezwał się Colin, być może wyczuwając, że pora zmienić temat. — Nie zaprosiłem cię na obiad, żeby rozmawiać o mnie. Chciałem, żebyś mi coś poradził.

Peter spojrzał na niego.

— Tak?

— Oboje z Cathy byliście na tym seminarium Life Unlimited. Co sądzisz na ten temat?

— Imponujące przedsięwzięcie reklamowe — stwierdził Peter.

— Chodzi mi o to, co sądzisz o tym procesie? Jesteś inżynierem biomedycznym. Czy uważasz, że może być



skuteczny?

Peter wzruszył ramionami.

— Jay Leno powiedział, że królowa Elżbieta poddała się takiemu zabiegowi, jedynym bowiem sposobem na uratowanie monarchii było dopilnowanie, by żadne z jej dzieci nigdy nie zasiadło na tronie.

Colin zachichotał uprzejmie, spoglądał jednak na rozmówcę, jak gdyby oczekiwał poważniejszej odpowiedzi. Peter przeżuł kawałek kanapki, po czym zaczął mówić: — Nie wiem. Podstawowe założenie wydaje się prawidłowe. To znaczy, istnieje bodajże pięć zasadniczych modeli procesów starzenia się prowadzących do śmierci.

— Zaczął je wyliczać na palcach. — Po pierwsze, teoria stochastyczna. Mówi ona, że nasze ciała są skomplikowanymi maszynami i, jak we wszystkich skomplikowanych maszynach, coś musi się w końcu zepsuć. Po drugie, mamy zjawisko Hayflicka. Wygląda na to, że ludzkie komórki mogą się dzielić tylko jakieś pięćdziesiąt razy. Po trzecie, hipoteza zamazanej odbitki. Za każdym razem, gdy DNA jest kopiowane, wkradają się małe błędy i w pewnym punkcie kopia staje się tak niewyraźna, że traci sens. Bum! Wąchasz kwiatki od dołu.

Numer cztery to teoria toksycznych zanieczyszczeń. Coś — być może wolne rodniki — sprawia ciału kłopoty od wewnątrz. Na koniec, jest hipoteza autoagresji, zgodnie z którą naturalne systemy obronne ciała ulegają dezorientacji i zwracają się przeciw zdrowym komórkom.

Colin skinął głową.

— I nikt nie wie, która hipoteza jest prawdziwa?

— Och, podejrzewam, że wszystkie są w pewnym stopniu prawdziwe — odrzekł Peter.

— Sedno sprawy jednak tkwi w tym, że produkowane przez Life Unlimited — jak je nazywają? nianie? — ich nianie stanowią odpowiedź na każdą z pięciu możliwych przyczyn.

Powiedziałbym więc, że istnieją realne szansę, iż ta metoda okaże się skuteczna.

Nie można mieć pewności, dopóki ktoś, kto poddał się temu procesowi, naprawdę nie przeżyje kilku stuleci.

— A... a więc uważasz, że warto wydać tyle pieniędzy? — zapytał Colin.

Peter ponownie wzruszył ramionami.

— Na pierwszy rzut oka wydaje się, że tak. To znaczy, ktoś nie chciałby żyć wiecznie?

Ale z drugiej strony byłoby szkoda, gdyby oznaczało to utratę wspaniałego nieba.

Colin przechylił głowę.

— Mówisz, jakbyś był religijny, Peter.

Peter skupił się na dokończeniu jedzenia.

— Przepraszam. To tylko takie jałowe myśli.

— A co Cathy sądziła o Life Unlimited?

— Nie sprawiała wrażenia zbytnio zainteresowanej — odparł Peter.

— Naprawdę? — zapytał Colin. — Ja uważam, że to brzmi wspaniale. Chyba miałbym wielką ochotę to zrobić.

— To kosztuje fortunę — zauważył Peter. — Zdefraudowa—  
łeś pieniądze z banku?

— Bynajmniej — odparł Colin. — Ale uważam, że to byłoby warte każdego grosza.

Potrzebował trzech tygodni, by zdobyć dwa dodatkowe zapisy fali duszy opuszczającej ludzkie ciało. Jeden z nich sporządził w Hospicjum Carlsona, gdzie poznał Peggy Fennell. Tym razem badanym był Gustav Reichhold, mężczyzna tylko o kilka lat starszy od niego. Umierał z powodu powikłań AIDS i postanowił zakończyć życie samobójstwem popełnionym w obecności lekarza.

Drugi zapis musiał jednak wykonać gdzie indziej, by krytycy nie twierdzili, że fala duszy nie jest bynajmniej uniwersalnym składnikiem ludzkiej egzystencji, a jedynie jakimś prozaicznym zjawiskiem powiązaniem z elektryczną instalacją w budynku albo bliskością linii wysokiego napięcia bądź też jakąś szczególną metodą terapii stosowaną w Hospicjum Carlsona. Dlatego, by zdobyć trzeci zapis, Peter dał do sieci ogłoszenie: Poszukiwana: osoba w stanie przedśmiertnym wywołanym chorobą lub obrażeniami, mająca uczestniczyć w testowaniu nowego biomedycznego urządzenia monitorującego.

Lokalizacja: południowe Ontario. Uczestnik otrzyma dziesięć tysięcy dolarów kanadyjskich.

Osobnicy w stanie przedśmiertnym bądź ich prawni opiekunowie mogą się poufnie zgłaszać do Hobson Monitoring (sieć: HOBMON).

Czuł się dziwnie, zamieszczając to ogłoszenie. Wydawało się takie zimne.

Zawstydzenie było zapewne głównym powodem, dla którego zaoferował tak wysoką kwotę.

Niemniej po dwóch dniach od skierowania go do sieci zgłosiło się czternastu chętnych.

Wybrał chłopca — zaledwie dwunastoletniego — który umierał na białaczkę. Dokonał tego wyboru zarówno ze względu na współczucie, jak i dlatego, że chciał urozmaicić zakres próbek. Rodzina chłopca doprowadziła się do bankructwa, by dotrzeć do Kanady z Ugandy w nadziei znalezienia lekarstwa dla syna. Pieniądze mogły jej nieco pomóc w spłaceniu szpitalnych rachunków.

Po zastanowieniu Peter uznał, że inni, którzy wcześniej brali udział w badaniach, zasługują na takie samo wynagrodzenie. Zapłacił dziesięć tysięcy dolarów spadkobiercom Gustava Reichholda, a ponieważ Peggy Fennell nie zostawiła nikogo, dokonał w jej imieniu darowizny dla Kanadyjskiego Stowarzyszenia do Walki z Cukrzycą. Doszedł do wniosku, że wkrótce naukowcy na całym świecie ze wszystkich sił będą się starali powtórzyć jego wyniki i uważał, że należy z góry ustalić zwyczaj hojnego wynagradzania badanych.

Wszystkie trzy zapisy wyglądały nadzwyczaj podobnie: maleńkie, spójne pole elektryczne opuszczało ciało dokładnie w chwili zgonu. Aby się zabezpieczyć, Peter skorzystał z innego aparatu celem zarejestrowania śmierci ugandyjskiego chłopca.

Zasady były takie same, ale użył zupełnie nowych elementów, z których część opierała się na innych rozwiązaniach inżynieryjnych, aby się upewnić, że poprzednich rezultatów nie wywołała jakaś awaria sprzętu zapisującego.

Jednocześnie, w ciągu kilku tygodni, Peter przebadał na superEEG wszystkich stu dziewiętnastu pracowników w Hobson

Monitoring, nie mówiąc nikomu — poza najstarszymi rangą — o co naprawdę chodzi. Rzecz jasna, nikt z jego pracowników nie był umierający, ale Peter chciał zdobyć pewność, że fala duszy faktycznie występuje u zdrowych ludzi, a nie jest jedynie swego rodzaju ostatnim elektrycznym westchnieniem umierającego mózgu.

Miała ona łatwe do rozpoznania elektryczne cechy charakterystyczne. Jej częstotliwość była bardzo wysoka, znacznie wyższa niż w przypadku normalnej aktywności elektrochemicznej mózgu, dzięki czemu, mimo że napięcie było mikroskopijnie małe, nie zagłuszała jej masa innych sygnałów. Wprowadziwszy do sprzętu pewne udoskonalenia, Peter bez większych trudności wyizolował ją w zapisach aktywności mózgu wszystkich swych pracowników, choć rozbawił go fakt, że potrzebował kilku prób, by zlokalizować ją u Caleba Martina, swego radcy prawnego.

Tymczasem ten sam Martin pracował ze wszystkich sił, by zapewnić ochronę patentową wszystkich elementów superEEG w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wspólnocie Europejskiej, Japonii, WNP i gdzie indziej. Koreańska firma, w której faktycznie powstawał sprzęt Hobson Monitoring, przygotowywała nową linię produkcyjną dla aparatów superEEG.

Wkrótce miał nadejść czas, by ogłosić istnienie fali duszy.

## ROZDZIAŁ 12

Peter czuł się tak, jakby znowu był studentem i uczestniczył w jakiejś błazenadzie, elementem której było wkładanie zwierzętom ubrań. Podszedł do jednej z krów i pogłaskał ją delikatnie u podstawy szyi. Minęły lata, kiedy ostatni raz zbliżył się tak bardzo do krowy.

Wychowywał się w Regina, ale w Saskatchewan mieszkali jego krewni, którzy mieli gospodarstwo mleczne, i w dzieciństwie tam spędzał część lata.

Jak wszystkie przedstawicielki tego gatunku, miała ona olbrzymie brązowe oczy i wilgotne nozdrza. Nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej dotykaniem Petera. Dzięki temu bez dalszych ceregieli założył jej delikatnie zmodyfikowany hełm skaningowy na podługowatą głowę. Krowa zaryczała, lecz raczej z zaskoczenia niż na znak protestu. Jej oddech cuchnął.

— Gotowe, doktorze? — zapytał brygadzysta.

Peter raz jeszcze spojrział na zwierzę. Było mu go trochę żal.

— Tak.

W tej rzeźni bydlę przed ubojem z reguły ogłuszano ładunkiem elektrycznym. Owa metoda przeciążyłaby jednak aparat Petera. Dlatego tę krowę miano pozbawić przytomności dwutlenkiem węgla, a potem poderznąć jej gardło, by wypłynęła z niej krew. Peter w ciągu lat widział wiele operacji chirurgicznych, lecz zawsze było to cięcie w celach leczniczych. Był zaskoczony tym, jak bardzo rozdrażniło go zabójstwo

zwierzęcia. Brygadzysta proponował, by został do końca i obejrzał również ćwiartowanie tuszy, lecz Peter nie czuł się na siłach.

Zabrał tylko skonstruowany specjalnie na krowią głowę hełm oraz sprzęt rejestrujący, podziękował różnym ludziom, którym sprawił kłopot, i skierował się z powrotem do swego biura.

Resztę dnia spędził na oglądaniu zapisu. Poddawał dane różnego rodzaju komputerowemu wzmocnieniu. Wynik był zawsze taki sam. Bez względu na to, jakiej metody używał czy jak uważnie się przyglądał, nie mógł znaleźć dowodu na to, że krowy mają duszę.

Wyglądało na to, że w chwili śmierci zupełnie nic nie opuszcza mózgu. Uznał, że nie jest to szczególnie zaskakujące odkrycie, choć szybko zdał sobie sprawę, że na każdą osobę, która obwoła go geniuszem za jego odkrycia, przypadnie inna, która go za nie potępi. W tym przypadku z pewnością niezadowolone będzie lobby radykalnych obrońców praw zwierząt.

Peter i Cathy mieli zamiar zjeść dziś kolację u Barberiana, w swej ulubionej restauracji specjalizującej się w potrawach mięsnych, lecz w ostatniej chwili Peter odwołał rezerwację. Poszli do lokalu wegetariańskiego.

Gdy Peter Hobson odbywał nadobowiązkowy kurs uniwersytecki z systematyki, dwa gatunki szympanсів zwały się Pan troglodytes (szympansy zwykłe) i Panpaniscus (szympansy karłowate).

Jednakże linie ludzi i szympanсів oddzieliły się od siebie zaledwie pięćset tysięcy pokoleń temu i około

dziewięćdziesięciu ośmiu procent ich DNA nadal jest identyczne. W roku 1993 grupa, w skład której wchodził między innymi ewolucjonista Richard Dawkins oraz popularny autor science fiction Douglas Adams, ogłosiła Deklarację w sprawie wielkich małp nawołującą do przyjęcia karty praw dotyczącej naszych małych kuzynów.

Potrzeba było na to trzynastu lat, lecz w końcu ich deklaracja trafiła pod obrady ONZ.

Przyjęto bezprecedensową rezolucję, która formalnie przeklasyfikowała szympansy, uznając ich za członków gatunku Homo. Znaczyło to, że od tej chwili ludzkość składa się z trzech gatunków: Homo sapiens, Homo troglodytes i Homo paniscus. Prawa człowieka podzielono na dwie szerokie kategorie: takie jak prawo do życia, do wolności oraz zakaz stosowania tortur, które przysługiwały wszystkim członkom gatunku Homo, oraz inne: jak prawo do szczęścia, swobód religijnych oraz posiadania ziemi, które były zarezerwowane wyłącznie dla Homo sapiens.

Oczywiście, zgodnie z prawami przysługującymi Homo, nikt już nie mógł zabijać szympanсів w celach doświadczalnych ani nawet przetrzymywać ich w laboratoriach.

W wielu krajach zmieniono obowiązujące w nich prawne definicje zabójstwa w ten sposób, by objęły one również uśmiercanie szympanсів.

Adrian Kortlandt, pierwszy etolog, który obserwował szympansy w stanie dzikim, nazwał je ongiś „niezwykłymi duszami ukrytymi pod zwierzęcym futrem”. Teraz jednak Peter Hobson był w stanie przekonać się, na ile dosłownie należy



traktować uwagę Kortlandta. Fala duszy występowała u Homo sapiens. Nie występowała u Bos taunts, bydła domowego. Peter popierał ruchy walczące o prawa małp, lecz całe dobro, które osiągnięto w ostatnich latach, mogło zostać zaprzepaszczone, gdyby dowiedziono, że ludzie mają dusze, a szympansy nie. Wiedział jednak, że jeśli sam nie przeprowadzi tego testu, prędzej czy później zrobi to ktoś inny.

Choć nie chwymano już szympanсів dla laboratoriów, zoo czy cyrków, niektóre z nich przebywały jeszcze w kierowanych przez ludzi instytucjach. Zjednoczone Królestwo, Kanada, USA, Tanzania i Burundi wspólnie ufundowały szympansi dom spokojnej starości — właśnie w Glasgow — dla tych przedstawicieli tego gatunku, którzy nie mogliby się już przystosować do życia w stanie dzikim. Peter zadzwonił do schroniska, by dowiedzieć się, czy któryś z szympanсів nie jest bliski zgonu. Zgodnie ze słowami dyrektora, Brendy MacTavish, kilka z nich przekroczyło pięćdziesiątkę, co było sędziwym wiekiem, lecz żaden nie stał w obliczu śmierci. Mimo to Peter załatwił, by wysłano do niej trochę sprzętu skaningowego.

— Tak to wygląda — powiedział Sarkarowi podczas ich wtorkowej kolacji u Sonny'ego Gotlieba. — Chyba jestem już gotowy ogłosić swe odkrycia. A, ludzie w dziale marketingu wymyślili nową nazwę dla superEEG. — Nazywają go wykrywaczem duszy.

— No nie! — zawołał Sarkar.

Peter uśmiechnął się.

— Hej, zawsze zostawiam takie decyzje Joginderowi i jego ludziom. Zresztą patenty na wykrywacz duszy są już załatwione

i mamy na składzie prawie dwieście aparatów gotowych do wysłania do klientów, sporządziłem trzy czytelne zapisy tego, jak fala duszy opuszcza ludzkie ciało, wiem, że przynajmniej niektóre zwierzęta nie mają dusz, i wkrótce mam nadzieję uzyskać dane dotyczące szympansów.

Sarkar pokrył połowę obwarzanka wędzonym łososiem.

— Nadal brakuje ci jednej istotnej informacji.

— Tak?

— Dziwi mnie, że sam nie pomyślałeś o tej kwestii, Peter.

— Jakiej kwestii?

— Odwrotnej stronie twego pierwotnego problemu. Wiesz już, kiedy dusza opuszcza ciało. Ale czy wiesz, kiedy się pojawia?

Peter zaniemówił.

— Chodzi... chodzi ci o płód?

— Dokładnie.

— Cholera jasna — powiedział Peter. — To... to pytanie może mi przysporzyć kupę kłopotów.

— Możliwe — odparł Sarkar. — Pamiętaj jednak, że gdy tylko ogłosisz swe odkrycia, ktoś je zada.

— Polemika będzie niewiarygodna.

Sarkar skinął głową.

— W rzeczy samej. Jestem zaskoczony, że nie przyszło ci to do głowy.

Peter odwrócił wzrok. Niewątpliwie tłumił tę myśl. Stara rana, dawno już zaleczona.

Tak przynajmniej sądził. Niech to cholera, pomyślał. Niech to jasna cholera.



## ROZDZIAŁ 13

Było to trzynaście lat temu, w pierwszym roku ich małżeństwa. Peter pamiętał wszystko bardzo wyraźnie.

31 października 1998 roku. Nawet wtedy nie jadali w domu zbyt często. Zawsze jednak uważali, że nietaktem byłoby wychodzenie w Halloween. Ktoś powinien być w domu, żeby wręczyć dzieciakom podarunki.

Cathy zrobiła makaron tasiemkowy Alfredo, Peter zaś przyrządził sałatkę Cezara z prawdziwymi kawałkami boczku przypieczonymi w kuchence mikrofalowej. Na deser wspólnie upiekli ciasto. Dobrze się bawili, gotując we dwoje, a ciasnota panująca w maleńkiej kuchni, jaką wtedy mieli, umożliwiała mnóstwo przyjemnych zetknięć, gdy przeciskali się obok siebie, manewrując w poszukiwaniu dostępu do najróżniejszych szafek i przyborów. W efekcie Cathy miała ślady z mąki w kształcie dłoni Petera na obu piersiach, on zaś ślady jej palców na pośladkach.

Gdy zjedli sałatkę i zabrali się za makaron, Cathy bez żadnych wstępów oznajmiła: — Jestem w ciąży.

Peter odłożył widelec i popatrzył na nią.

— Naprawdę?

— Tak.

— To... — Wiedział, że powinien powiedzieć: „To cudownie”, ale nie potrafił wykrztusić z siebie tego drugiego słowa. Zamiast tego zdecydował się na „ciekawe”.

Stała się wyraźnie chłodniejsza.

— Ciekawe?

— No, chciałem tylko powiedzieć, że to nieoczekiwane. Nic więcej. — Przerwa. — Czy nie... — Kolejna przerwa. — Cholera.

— To chyba wydarzyło się w ten weekend w domku moich rodziców — powiedziała. — Pamiętasz? Zapomniałeś...

— Pamiętam — odparł Peter z lekką irytacją w głosie.

— Mówiłeś, że kiedy skończysz trzydzistkę, zrobisz sobie wazektomię — zauważyła Cathy odrobinę defensywnym tonem.

— Powiedziałeś, że jeśli do tej chwili nadal nie będziemy chcieli mieć dzieci, zrobisz to.

— Ale, do cholery, nie miałem zamiaru robić tego w urodziny. Nadal mam trzydzieści lat. A poza tym ciągle jeszcze się zastanawialiśmy, czy mieć dziecko.

— To dlaczego się gniewasz? — zapytała Cathy.

— Nie... nie gniewam się.

Uśmiechnął się.

— Naprawdę się nie gniewam, kochanie. To po prostu takie niespodziewane. To wszystko. — Przerwał. — A więc, jeśli to wydarzyło się w ten weekend, to w którym jesteś tygodniu? W szóstym?

Skinęła głową.

— Nie miałam okresu, więc kupiłam test ciążowy.

— Rozumiem — odrzekł Peter.

— Nie chcesz tego dziecka.

— Tego nie powiedziałem. Nie powiedziałem, czego chcę.

W tej chwili rozległ się dzwonek. Peter wstał, by otworzyć drzwi.

Podarunek albo niespodzianka, pomyślał. Podarunek albo niespodzianka.

Peter i Cathy czekali jeszcze trzy tygodnie, rozważając swój wybór, swój styl życia, swe marzenia. Wreszcie jednak podjęli decyzję.

Klinika aborcyjna na College Street mieściła się w starym piętrowym budynku z piaskowca. Po lewej stronie znajdowała się brudna knajpka U Jowego — w tej pisowni — która polecała specjalne śniadania z dwóch jaj przyrządzanych „w dowolny sposób”. Po prawej stronie był sklep z przyborami gospodarstwa domowego. W jego oknie widniała ręcznie napisana wywieszka informująca: „Wykonujemy naprawy”.

A przed kliniką pikietowali protestujący, którzy maszerowali w obie strony po chodniku, niosąc transparenty z hasłami.

„Aborcja to morderstwo” — głosiło jedno z nich.

„Grzesznico, pokajaj się” — namawiało drugie.

„Dzieci teraz mają prawa” — informowało trzecie, być może wykonane przez tego samego rzemieślnika, co szyld Joego.

O mur z piaskowca opierał się policjant o znudzonej twarzy pilnujący, by protestujący nie posunęli się zbyt daleko.

Peter i Cathy zaparkowali po drugiej stronie ulicy i wysiedli z samochodu. Cathy popatrzyła na klinikę i zadrzała, choć nie było szczególnie zimno.

— Nie myślałam, że będzie tak wielu protestujących — powiedziała.

Peter naliczył ośmioro: trzech mężczyzn i pięć kobiet.

— Zawsze trochę ich się zbiera.

Skinęła głową.

Peter zbliżył się do niej i wziął ją za rękę. Ścisnęła jego dłoń i zdobyła się na słaby, odważny uśmiech. Zaczekali na przerwę w ruchu ulicznym, po czym przeszli na drugą stronę.

Gdy tylko się tam znaleźli, otoczyli ich protestujący.

— Niech pani tam nie wchodzi! — krzyknął jeden z nich.

— To pani dziecko! — dorzucił drugi.

— Proszę trochę poczekać — zawołał trzeci. — Przemyśleć sprawę!

Policjant zbliżył się na tyle, by mieć pewność, że protestujący nie dotykają Cathy ani nie uniemożliwiają jej wejścia do kliniki.

Cathy spoglądała prosto przed siebie.

Jaja przyrządzane w dowolny sposób, pomyślał Peter. Wykonujemy tu naprawy.

— Niech pani tego nie robi! — krzyknął raz jeszcze jeden z protestujących.

— To pani dziecko!

— Proszę trochę poczekać! Przemyśleć sprawę!

Do drewnianych drzwi kliniki prowadziły cztery kamienne stopnie. Ruszyła po nich.

Peter szedł tuż za nią.

— To...

— Niech...

— Proszę...

Peter wysunął się przed Cathy, by otworzyć przed nią drzwi.

Weszli do środka.

W następnym tygodniu zrobił sobie wazektomię. Nigdy nie rozmawiali z Cathy o tym epizodzie z przeszłości, czasem jednak, gdy przyjeżdżały z wizytą córki jej siostry albo gdy

wpadali na sąsiadkę spacerującą z niemowlęciem czy oglądali dzieci w telewizji, Petera ogarniał nastrój rzewnej, smutnej dezorientacji. Spoglądał wtedy ukradkiem na żonę i widział w jej dużych niebieskich oczach tę samą mieszaninę uczuć i niepewności.

A teraz musieli ponownie stawić czoło temu moralnemu problemowi.

Rzecz jasna, nie istniał sposób, by założyć płodowi czepek skaningowy. Peter jednak nie musiał rejestrować całej elektrycznej aktywności mózgu nie narodzonego dziecka.

Potrzebował jedynie sprzętu, który wykryłby falę duszy o wielkiej częstotliwości. Zajęło to kilka dni pracy, lecz wreszcie udało mu się zmontować aparat, który można było położyć na brzuchu ciężarnej kobiety celem wykrycia fali duszy. W jego skład wchodziły elementy wykorzystujące metodę zdalnego skanowania używaną w Monitorze Hobsona, a także czujnik kierunkowy, który miał zapewnić, że urządzenie nie odbierze omyłkowo fali duszy matki.

Sygnal był bardzo słaby, a płód znajdował się głęboko w ciele kobiety. Dlatego Peter podejrzewał, że — podobnie jak teleskop wykorzystujący celem uzyskania obrazu długotrwałe naświetlanie — czujnik będzie zapewne musiał działać około czterech godzin, nim będzie można określić, czy fala duszy jest obecna.

Zszedł na dół, do działu finansowego swej firmy. Jedną ze starszych analityków, Victoria Kalipedes, rozpoczęła właśnie dziewiąty miesiąc ciąży.

— Victorio — odezwał się. — Potrzebna mi twoja pomoc.



Podniosła z wyczekiwaniem wzrok. Peter uśmiechnął się na tę myśl. Wszystko robiła teraz z wyczekiwaniem.

— Skonstruowałem nowy prototypowy czujnik. Chciałbym, żebyś pomogła mi go wypróbować — powiedział.

Victoria była zaskoczona.

— Czy to ma coś wspólnego z moim dzieckiem?

— Zgadza się. To tylko pajęczyna czujników dotykająca twojego brzucha. Nie robi ci krzywdy. Nie może też w żaden sposób zaszkodzić dziecku. To... coś jak EEG.

Wykrywa aktywność mózgu płodu.

— I nie ma możliwości, żeby zaszkodziło dziecku?

Peter potrząsnął głową.

— Najmniejszej.

— Nie jestem pewna...

— Proszę cię.

Petera zaskoczył nacisk, z jakim wypowiedział te słowa.

Victoria zastanowiła się.

— No dobrze. Kiedy będę ci potrzebna?

— W tej chwili.

— Mam dzisiaj kupę roboty. Wiesz, jaki jest mój szef.

— Założenie czujnika zajmie tylko parę minut. Ponieważ sygnały są bardzo słabe, będziesz musiała go nosić przez resztę popołudnia, ale to nie przeszkodzi ci w pracy.

Victoria podniosła się — co nie było łatwe w tak zaawansowanej ciąży — i poszła z Peterem do jego prywatnego gabinetu.

— Opiszę ci, jak trzeba założyć czujnik — wyjaśnił Peter — a potem zostawię cię, żebyś zrobiła to sama. Powinien bez

trudności zmieścić się pod ubraniem.

Wysłuchiwała jego instrukcji, po czym skinęła głową.

— Dziękuję — powiedział Peter, zostawiając ją, żeby się rozebrała. — Bardzo ci dziękuję.

Pod koniec dnia miał już wyniki. Czujnik z łatwością wykrył falę duszy u płodu Victorii. Nie było to zbyt zaskakujące. Gdyby dziecko wyjęto z jej łona w tak późnym okresie ciąży, zapewne byłoby zdolne przeżyć. Ale w którym momencie fala duszy pojawia się po raz pierwszy?

Przeszukał swój komputerowy notatnik i znalazł potrzebny mu numer: Dinah Kawasaki, kobieta, z którą miał zajęcia na Uniwersytecie Toronto i która teraz prowadziła praktykę położniczą w szpitalu przy Don Mills.

Wsluchiwał się nerwowo w elektroniczne tony, gdy komputer wykręcał numer. Jeśli Dinah zdoła przekonać niektóre ze swych pacjentek, by mu pomogły, wkrótce otrzyma odpowiedź.

Zdał sobie sprawę, że boi się tego, jak może ona brzmieć.

# ROZDZIAŁ 14

## PAŹDZIERNIK 2011

Trzydzieści dwie ciężarne pacjentki Dinah Kawasaki zgodziły się uczestniczyć w testach sprzętu skaningowego Petera. Nie było to zaskakujące. Zaoferował pięćset dolarów honorarium za to tylko, by nosiły aparat przez cztery godziny. Każda z nich była o tydzień bardziej zaawansowana w ciąży od poprzedniej.

Peter zamierzał w przyszłości przeprowadzić badania wielu kobiet podczas całej ciąży, na razie już początkowe wyniki były jasne. Fala duszy zjawiała się gdzieś między dziewiątym a dziesiątym tygodniem. Przedtem po prostu nie istniała. Będzie potrzebował znacznie dokładniejszych testów, by określić, czy powstaje ona wewnątrz mózgu płodu czy też — co uważał za mniej prawdopodobne — w jakiś sposób przybywa z zewnątrz.

Wiedział, że ta informacja zmieni świat niemal w takim samym stopniu, jak świadomość, że naprawdę istnieje jakaś postać życia pozagrobowego. Niektórzy uciekną się do wykrętów, by odrzucić tę interpretację, lecz Peter potrafił teraz wyraźnie i zdecydowanie określić, czy dany płód jest osobą i czy jego usunięcie będzie po prostu wyssaniem niepożądanego narośli czy też morderstwem.

Wartość informacji miała być doniosła. Na przykład, jeśli uda się przekonać papieża, że fala duszy naprawdę jest fizyczną cechą charakterystyczną nieśmiertelnej istoty i że dusza

pojawia się dopiero w dziesiątym tygodniu ciąży, być może odwoła on swe zakazy dotyczące antykoncepcji i wczesnej aborcji. Peter przypomniał sobie, że w roku 1993 ówczesny papież rzeczywiście powiedział zgwałconym przez żołnierzy kobietom z Bośni i Hercegowiny, iż czeka je potępienie, jeśli nie wydadzą na świat poczętych w ten sposób dzieci. A obecny papież nadal odmawiał wyrażenia zgody na kontrolę urodzin na terenach dotkniętych klęską głodu, nawet jeśli niemowlęta miała czekać głodowa śmierć.

Oczywiście ruch wyzwolenia kobiet — za jego zwolennika Peter zawsze się uważał — również zareaguje.

Zawsze trudno mu było zaakceptować aborcję, zwłaszcza w uprzemysłowionych krajach. Istniały całkowicie pewne, nie—kłopotliwe metody antykoncepcji. Uznawał pogląd, że kobieta ma prawo do aborcji na żądanie, ale cała sprawa wydawała mu się przykra.

Niewątpliwie lepiej było po prostu uniknąć niepożądanego poczęcia. Z pewnością antykoncepcja — stosowana przez oboje pozostających w związku partnerów — nie była zbyt trudnym zadaniem. Po co obniżać wagę cudu reprodukcji?

Potrzebował tylko dziesięciu minut, by znaleźć w sieci wiadomość, że co piąta ciąża w Ameryce Północnej kończy się aborcją. Oczywiście, przed laty także on i Cathy poczęli dziecko, choć nie mieli takiego zamiaru, mimo że on miał doktorat, a ona skończyła chemię.

Oboje powinni lepiej się zabezpieczyć.

W rzeczywistości nic nigdy nie jest takie proste jak w teorii.

Teraz jednak być może znalazł usprawiedliwienie dla wczesnoporonnych środków antykoncepcyjnych. Dusza, czymkolwiek mogła być, zjawiała się dopiero mniej więcej w sześćdziesiątym dniu ciąży.

Nie był futurologiem, potrafił jednak przewidzieć, w jakim kierunku pójdzie społeczeństwo — nim minie dziesięć lat, prawo z pewnością ulegnie zmianie.

Pozwoli się na aborcję na żądanie do chwili zjawienia się fali duszy. Gdy będzie już ona obecna, sąd orzeknie, że nie narodzone dziecko jest prawdziwą istotą ludzką.

Chciał odpowiedzi — zimnych, twardych faktów. I teraz je znalazł.

Zaczerpnął głęboko tchu. Był racjonalistą. Wiedział, że na moralne pytanie związane z problemem aborcji zawsze istniały tylko trzy możliwe odpowiedzi. Pierwsza: dziecko jest człowiekiem od chwili poczęcia. Uważał to za niedorzeczność. W chwili poczęcia dziecko jest tylko pojedynczą komórką.

Druga: dziecko staje się człowiekiem w chwili, w której opuszcza ciało kobiety.

To wydawało się równie głupie. Mimo że płód czerpie od matki pożywienie do czasu przecięcia pępowiny, już na całe tygodnie przed terminem porodu jest wystarczająco rozwinięty, by w razie potrzeby móc utrzymać się przy życiu. Przecięcie pępowiny było niewątpliwie równie rozstrzygającym momentem jak przecięcie wstążki podczas otwarcia nowego domu towarowego. Płód jest człowiekiem mającym własne serce i mózg — oraz myśli — nim wyjdzie na świat.

Udało mu się więc jedynie dowieść tego, co powinno być intuicyjnie oczywiste.

Stanowiło to trzecią ewentualność — w którejś chwili między dwoma krańcami — poczęciem i narodzinami — płód staje się człowiekiem i powinny mu przysługiwać prawa człowieka.

Należało się spodziewać, że trzecia odpowiedź okaże się prawidłowa. Również wiele religii twierdziło, że do zjawienia się duszy dochodzi w jakimś momencie ciąży.

Święty Tomasz z Akwinu pozwalał na aborcję do szóstego tygodnia w przypadku płodów płci męskiej oraz trzeciego miesiąca w przypadku płodów płci żeńskiej, gdyż uważał, że wtedy właśnie dusza wnika do ciała. Sarkar mówił, że w przekonaniu muzułmanów nafs dostaje się do płodu w czterdziestym dniu od chwili poczęcia.

Co prawda, żadna z tych liczb nie zgadzała się z uzyskanym przez Petera wynikiem dziewięciu lub dziesięciu tygodni. Niemniej pewna wiedza, że istnieje określona chwila, w której zjawia się dusza — pomyślał o tym po raz kolejny — zmieni świat. I oczywiście nie wszyscy uznają, że jest to zmiana na lepsze.

Zastanowił się, co będzie, gdy zobaczy w telewizji, jak palą jego kukłę.

Upłynęło nieco ponad dziewięć tygodni od chwili, gdy Cathy powiedziała Peterowi o swym romansie. Przez cały ten okres stosunki między nimi pozostawały napięte.

Teraz jednak stało się konieczne, by porozmawiali ze sobą poważnie. Porozmawiali o innym kryzysie, który wydarzył się w przeszłości.

Był poniedziałek, dziesiąty października. Kanadyjski Dzień Dziękczynienia. Oboje mieli wolne. Peter wszedł do salonu. Cathy siedziała na kozetce, rozwiązując krzyżówkę z „New York Timesa”. Peter podszedł do niej i usiadł obok.

— Cathy — zaczął. — Muszę ci coś powiedzieć.

Jej olbrzymie oczy spojrzały na niego. Zdał sobie nagle sprawę, co myśli jego żona.

Podjął decyzję, uznała. Opuści ją. Widział w jej twarzy cały strach, cały smutek, całą odwagę.

Usiłowała zapanować nad sobą.

— Chodzi o nasze dziecko — powiedział.

Wyraz jej twarzy zmienił się raptownie. Była teraz zbита z tropu.

— Jakie dziecko?

Przełknął z wysiłkiem ślinę.

— To, które usunęliśmy dwanaście lat temu.

Cathy przesuwiała wzrok w różne strony. Wyraźnie go nie rozumiała.

— W przyszłym tygodniu moja firma ogłosi publicznie odkrycia dotyczące fali duszy — oznajmił. — Jednocześnie zostaną ujawnione pewne dodatkowe wyniki badań.

Chciałem... chciałem jednak, żebyś ty usłyszała o tym jako pierwsza.

Cathy milczała.

— Wiem już, kiedy u dziecka zjawia się fala duszy.

Zachowanie Petera poinformowało ją o dręczących go wahaniach. Znała każdy jego gest, całą mowę jego ciała.

— O Boże — powiedziała, otwierając szeroko oczy z przerażenia. — Zjawia się wcześniej, prawda? Przed chwilą, kiedy... kiedy...

Peter nie mówił nic.

— O Boże — powtórzyła raz jeszcze, potrząsając głową.

— To były lata dziewięćdziesiąte — stwierdziła, całkiem jakby to wszystko wyjaśniało.

Lata dziewięćdziesiąte. W owych czasach sprawę aborcji, podobnie jak większość innych, uproszczono do poziomu śmiesznych sloganów: „Prawo do wyboru” — jak gdyby istniało stronnictwo przeciwne wyborowi; „Prawo do życia” — jak gdyby istniała grupa przeciwna życiu. Nie pozwalano na żadną szarą. W kręgu, w którym obracali się Hobsonowie — wykształconych, zamożnych, liberalnych mieszkańców wschodniej Kanady — można się było opowiadać wyłącznie za prawem do wyboru.

Lata dziewięćdziesiąte.

Politycznie poprawne lata dziewięćdziesiąte.

Potrząsnął głową.

— To nie jest pewne — stwierdził. — Zrobiliśmy to mniej więcej w chwili, w której pojawia się fala duszy — przerwał nie wiedząc, co powiedzieć. — Wszystko mogło być w porządku.

— Albo mogło... albo mogło...

Skinął głową.

— Tak mi przykro, Cathy.

Przygryzła dolną wargę, zbita z tropu i smutna. Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.



## ROZDZIAŁ 15

Hobson Monitoring dysponowało standardową bazą danych czasopism medycznych na całym świecie, do których rutynowo wysyłano elektroniczne pakiety prasowe.

Kilka osób wchodzących w skład kadry kierowniczej firmy twierdziło, że tę wiadomość powinno się wysłać również do pism religijnych, ale Peter postawił weto. Nadal niepokoiły go moralne aspekty jego odkrycia. Poza tym wszyscy, poczynając od „National Enquirer”, zaczęli się wkrótce dobijać o wywiady. Zaproszenie na konferencję prasową wysłał przez e — mail i kurierów na trzy dni przed samym wydarzeniem. Nie był zadowolony z tego, jak je sformułowano, ale Joginder Singh, rzecznik firmy, twierdził nieustępliwie, że to prawidłowe podejście: Hobson Monitoring zaprasza na konferencję prasową, która odbędzie się w czwartek, 20 października, o godzinie dziesiątej w sali sto cztery Miejskiego Centrum Konferencyjnego Toronto. Ujawnimy tam fundamentalne osiągnięcie naukowe. Przykro nam, koledzy, żadnych wskazówek, dopóki się nie zjawicie. Zapewniamy jednak, że ta wiadomość będzie obecna na pierwszych stronach gazet na całym świecie. Dla tych, którzy nie mogą stawić się osobiście, dostępne są łącza wideo. W sprawie szczegółowych informacji prosimy o kontakt z Joginderem z Hobson Monitoring.

Kilku dziennikarzy faktycznie zadzwoniło, starając się wywęszyć, czy sprawa rzeczywiście będzie godna

zainteresowania, czy też chodzi tylko o wypuszczenie na rynek nowego typu sprzętu szpitalnego. Nic jednak z góry nie ujawniono. Wszyscy musieli poczekać do czwartkowego rana. A wtedy...

Na konferencji prasowej zjawili się około czterdziestu dziennikarzy. Hobson Monitoring tylko raz udało się zebrać ich więcej — wtedy gdy po raz pierwszy zgłosiło publiczną ofertę na sprzedaż akcji. Peter znał z nazwiska połowę obecnych: Buck Piekarczyk, medyczny korespondent „Toronto Star”; Cory Tick, jego odpowiednik z „Globe and Mail”; Lianne Delaney z CBC Newsworld; tłuusty facet dostarczający wiadomości z Kanady dla „Buffalo News”; autor piszący do „USA Today” i wielu innych. Dziennikarze częstowali się świeżymi owocami i kawą, rozmawiając jednocześnie ze sobą. Byli zaskoczeni, że nie otrzymali z góry pakietów prasowych, choć Peter i Joginder zapewnili ich, że pełne pakiety, łącznie z dyskami oraz zapisem wypowiedzi Petera, zostaną im wręczone przy wyjściu.

Zresztą kilku z obecnych reporterów i tak zamierzało uwiecznić konferencję na taśmie wideo.

Cathy wzięła dzień urlopu, aby być z Peterem. Kwadrans po dziesiątej wyszedł przed zebranych. Spojrzała na niego rozpromieniona. Mimo dręczącej go tremy jej obecność dodawała mu sił.

— Witam wszystkich — oznajmił, uśmiechając się do każdego po kolei, lecz specjalnym, długotrwałym uśmiechem obdarzając żonę. — Dziękuję za przybycie. Wybaczenie proszę całą tę tajemniczość. Wiem, że to wydaje się odrobinę melodramatyczne, ale to, co dzisiaj tu ujawnimy, ma bardzo

szczególny charakter i chcieliśmy się upewnić, że jako pierwsi usłyszą o tym odpowiedzialni dziennikarze. — Uśmiechnął się. — Joginder, czy mógłbyś przygasić światła? Dziękuję. Proszę, by wszyscy patrzyli na ścienny monitor. Przy wyjściu otrzymacie kopie zapisu, który za chwilę odtworzę. Gotowe? Zaczynaj prezentację, Joginder.

Dziennikarze śledzili z uwagą, jak Peter relacjonował odtworzenie w zwolnionym tempie zapisu czynności mózgu umierającej Peggy Fennell. Podawał wiele technicznych szczegółów. Ostatecznie byli to korespondenci medyczni. Gdy fala duszy opuściła głowę pani Fennell, przez audytorium przebiegł szept.

— Niech pan jeszcze raz puści ten ostatni kawałek — zawołał Piekarz z „Toronto Star”.

Peter nakazał gestem Joginderowi, by to zrobił.

— Co to właściwie było? — zapytał inny dziennikarz.

Peter popatrzył na Cathy, która siedziała w pierwszym rzędzie. Jej oczy błyszczały.

Wzruszył ramionami.

— Spójne elektryczne pole, które opuszcza ciało przez skroń w chwili śmierci.

— Dokładnie w chwili śmierci? — zapytała Delaney, kobieta z Newsworld.

— Tak. To ostatni przejaw elektrycznej aktywności mózgu.

— A więc... co to jest? — zapytała kobieta. — Jakaś dusza?

Powiedziała to bezceremonialnie, jako żart, by móc się wycofać w wypadku, gdyby zrobiła z siebie idiotkę.

Niemniej w ciągu tygodni, które upłynęły od chwili, gdy Sarkar po raz pierwszy posłużył się tym terminem, Peter zdążył się do niego przyzwyczaić.

— Tak — odparł. — Sądzymy, że to właśnie dusza.

Podniósł głos, zwracając się do całej sali.

— Panie i panowie, oto pierwsza, bezpośrednia, naukowa rejestracja tego, co może być ludzką duszą opuszczającą ciało.

Rozległ się pomruk. Wszyscy mówili jednocześnie. Peter spędził następne dwie godziny, odpowiadając na pytania, choć niektórzy z dziennikarzy pism wydawanych w postaci drukowanej, naciskani wczesnymi terminami, złapali za pakiety prasowe i wyszli niemal natychmiast. Wyraźnie oznajmił, że jak dotąd jego badania nie rozstrzygnęły, co dzieje się z falą duszy po opuszczeniu ciała. Wydawało się, że zachowuje ona spójność, ale nadal nie było dowodu, że wkrótce potem się nie rozprasza. Zwrócił również uwagę na fakt, że jak dotąd zdobyto bardzo mało danych na temat istoty bądź struktury owej fali, a zwłaszcza tego, czy zawiera ona jakąś znaczącą informację, a jeśli tak, to jaką.

Nie miało to jednak znaczenia. Wyobrażenie duszy było powszechnie zrozumiałym archetypem. Obecni czuli dogłębną pewność, że wiedzą, co reprezentuje sobą fala duszy.

Wieczorem Cathy i Peter zobaczyli, że relacja telewizyjna CBC trafiła do CNN w Stanach oraz do serwisu światowego BBC. Nim upłynęło kilka godzin, wiadomość obiegła sieć i znalazła się na pierwszej stronie wieczornego wydania „Toronto Star” oraz kilku amerykańskich gazet. Następnego dnia zdominowała

pierwsze strony wszystkich gazet. Po dwudziestu czterech godzinach o odkryciu dowiedział się cały rozwinięty świat.

Peter Hobson stał się nagle sławny.

— Czy nasz widz jest na linii? — zapytał Donahue, który wrócił do dziennego programu telewizyjnego po nieudanej kampanii prezydenckiej.

— Jestem, Phil.

Donahue zaprezentował swą udręczoną minę. Marnowano cenne sekundy.

— Proszę pytać. Mam bardzo mało czasu.

— Chciałbym się dowiedzieć — rozległ się głos telewidza — jak naprawdę wygląda życie po śmierci. To znaczy, wiemy już, że ono istnieje, ale jak naprawdę wygląda?

Donahue zwrócił się w stronę Petera.

— To bardzo celne pytanie, proszę pana. Doktorze Hobson, jak wygląda życie pozagrobowe?

Peter przesunął się na krześle.

— Cóż, obawiam się, że to raczej temat dla filozofów. Ja...

Donahue skierował się ku obecnym w studiu widzom.

— Proszę państwa, czy jesteśmy przygotowani na te pytania? Czy naprawdę chcemy poznać odpowiedzi? Co robi Ameryka, jeśli życie pozagrobowe okaże się nieprzyjemne? — Następne słowa skierował w powietrze. — Bryan, pokaż im numer czternasty.

Na ekranie pojawił się diagram.

— Sześćdziesiąt siedem procent mieszkańców tego wspaniałego kraju — oznajmił Donahue — wierzy, że fala duszy jest dowodem na prawdziwość judeochrześcijańskiego modelu

nieba i piekła. Tylko jedenaście procent uważa, że pańskie odkrycie, doktorze Hobson, obala ten model.

Diagram zniknął. Donahue zauważył z tyłu studia podniesioną rękę. Wciąż żwawy mimo siedemdziesięciu pięciu lat, pognął ku ostatniemu rzędowi i podsunął kobiecie mikrofon pod nos.

— Słucham pani. Chciała pani wygłosić krótki komentarz.

— Zgadza się, Phil. Jestem z Memphis. Uwielbiamy tam twój show.

Najpierw wyraz twarzy małego chłopczyka poklepanego po główce.

— Dziękuję pani.

Potem zboląła mina, jak gdyby coś stanęło mu w przełyku.

— Mam bardzo mało czasu.

— Chciałam zadać pytanie doktorowi. Czy uważa pan, że pańskie odkrycie zaprowadzi pana do nieba, czy też trafi pan do piekła za ingerencję w Boże tajemnice?

Zbliżenie Petera.

— Nie... nie mam pojęcia.

Donahue wykonał swój standardowy teatralny ruch ręką kończący się skierowaniem palca na kamerę.

— Zobaczymy się po...

Srebrnowłosy przystojniak o latynoskiej urodzie zwrócił się w stronę widzów.

Zgodnie z doniesieniami prasy brukowej poddał się niedawno procesowi opracowanemu przez Life Unlimited. Widzów czekały jeszcze stulecia jego specyficznych programów telewizyjnych.

— Życie po życiu — oznajmił złowieszczym tonem. — Oto temat dzisiejszego programu „Geraldo”. Wśród naszych gości są doktor Peter Hobson, uczonec z Ottawy, który twierdzi, że udało mu się sfilmować nieśmiertelną duszę, oraz Jego Eminencja Carlos Latina z archidiecezji Los Angeles.

Geraldo zwrócił się w stronę mężczyzny w czarnej sutannie.

— Jak Wasza Eminencja sądzi, gdzie są dzisiaj dusze tych przedstawicieli duchowieństwa, którzy molestowali chłopców w prowadzonych przez kościół sierocińcach?

(Komputerowa grafika wyobrażająca kopułę Kapitolu. Sygnał muzyczny.) Spiker: Mówi ABC News: „Tydzień z Peterem Jenningsem”. Z głównego biura w Waszyngtonie zwraca się do państwa sam Peter Jennings.

Jennings, siwowłosy, ponury, zwrócony ku kamerze.

— Fala duszy, fakt czy fantazja? Religijne objawienie czy naukowy fakt? Zapytamy naszych gości: Petera Hobsona, inżyniera, który odkrył falę duszy; Carla Sagana, autora bestsellera *Eyes of Creation*; oraz Helen Johannes, prezydenckiego doradcę do spraw religii w Ameryce. Dodatkowych informacji udzieli nasz specjalista Kyle Adair. A w waszyngtońskim studiu zasiądą ze mną...

(Plan amerykański Donaldsona: twarz o ostrych mimo zmarszczek rysach; lśniący jak pasta do butów tupecik, którego fałszywość nie budzi wątpliwości.) — Sam Donaldson...

(Plan amerykański srebrnowłosego Willa: zez rozbieżny, muszka, przypomina emerytowanego właściciela plantacji.) — ... i George Will. Później dołączy do nas komentator Sally

Fernandez z „Washington Post”... wszystko to w naszym niedzielnym programie.

(Reklamy: nowy, napędzany tylko olejem roślinnym samochód Archer Daniels Midland. General Dynamics: „nasze prace mogą być tajne, ale nasza korporacja dobrze służy społeczeństwu”. Merrill Lynch: „ponieważ przełom w gospodarce kiedyś nadejdzie”).

(Przygotowany z góry komentarz wprowadzający.)  
(Rozjaśnienie w studiu.) Jennings:

— Dziękuję, Kyle.

(Krótki przegląd gości i dyskutantów.) (Peter Hobson na ściennym ekranie monitora. Na szczycie obrazu widoczny napis: „Toronto”.) Sam Donaldson, pochylający się do przodu.

— Profesorze Hobson, pańskie odkrycie fali duszy można uważać za potężny bodziec wyzwalający uciśnione ludy, ostateczny dowód na to, że wszyscy ludzie są stworzeni jako równi. Jak pan sądzi, jaki wpływ wywrze ono na reżimy totalitarne?

Hobson, uprzejmie: — Przepraszam, ale nie jestem profesorem.

Donaldson:

— Proszę mi wybaczyć. Ale niech się pan nie uchyla od odpowiedzi na pytanie! Jak pańskie odkrycia wpłyną na łamanie praw człowieka, do którego dochodzi na wschodniej Ukrainie?

Hobson, po chwili namysłu: — Cóż, oczywiście chciałbym sądzić, że posunąłem naprzód sprawę równości. Wydaje się



jednak, że nasza zdolność bycia nieludzkimi oparła się dotąd wszelkim wyzwaniom.

George Will, z palcami złożonymi w piramidę: — Doktorze Hobson, przeciętny Amerykanin borykający się z ciężarem nadmiernie rozbudowanego rządu o nie nasyconym apetycie na pochodzące z podatków dolary zupełnie nie dba o geopolityczne konsekwencje pańskich badań. Przeciętny, chodzący do kościoła Amerykanin chce się dowiedzieć, w prostych, precyzyjnych słowach, jakie dokładnie właściwości ma życie pozagrobowe.

Hobson, mrugając powiekami: — Czy to pytanie?

Will:

— Tak jest, doktorze Hobson.

Hobson, potrząsając powoli głową: — Nie mam pojęcia.

# ROZDZIAŁ 16

Peter zadbał o to, by jego świeżo zdobyta sława nie przeszkodziła mu we wtorkowych kolacjach z Sarkarem u Sonny'ego Gotlieba. Tym razem miał pewną ściśle określoną sprawę, którą chciał omówić z przyjacielem, bez żadnych wstępów przeszedł więc do rzeczy.

— Jak się tworzy sztuczną inteligencję? Zajmujesz się tą dziedziną. Jak właściwie to robisz?

Sarkar wyglądał na zaskoczonego.

— Istnieje wiele sposobów. Najstarszy to metoda wywiadu. Jeśli chcemy, by system zajmował się planowaniem finansowym, zadajemy pytania kilku specjalistom z tej dziedziny.

Następnie sprowadzamy odpowiedzi do serii zasad, które można wyrazić w kodzie komputerowym: „Jeśli A i B są prawdziwe, zrób C”.

— Ale co z tym skanerem, który zbudowała dla was moja firma? Czy nie sporządzacie teraz pełnych wypisów mózgowych określonych ludzi?

— Osiągnęliśmy w tej dziedzinie znaczne postępy. Mamy prototyp zwany RICKGREEN, ale nie jesteśmy jeszcze gotowi do publicznej prezentacji. Znasz tego komika, Ricka Greena?

— Pewnie.

— Sporządziliśmy pełny zapis jego mózgu. Powstały system potrafi opowiadać kawały, które są równie śmieszne, jak

opowiadane przez prawdziwego Ricka. I jeśli damy mu dostęp do wiadomości agencyjnych Canadian Press i UPI, umie nawet tworzyć nowe anegdoty na aktualne tematy.

— Dobra, to znaczy, że w zasadzie potraficie sklonować w krzemie określony ludzki umysł...

— Mamy dwudziesty pierwszy wiek, Peter. Używamy arsenku galu, nie krzemu.

— Jeśli tak mówisz.

— Poruszyłeś jednak kwestię, która czyni problem jędrnym — dotarliśmy do punktu, w którym potrafimy sklonować konkretny ludzki umysł. Szkoda, że podobna metoda nie powstała na czas, by można było skopiować umysł Stephena Hawkinga. Istnieje jednak bardzo niewiele zastosowań, do których przydatna jest wiedza tylko jednej osoby.

Większość systemów doradczych potrzebuje połączonych wiadomości wielu praktyków. Jak dotąd nie istnieje sposób, by połączyć, powiedzmy, Ricka Greena z Jerryem Seinfeldem albo zbudować sieć neuronalną łączącą cechy Stephena Hawkinga i Mordecaia Almimego. Choć wiązę z tą metodą wielkie nadzieje, podejrzewani, że większość kontraktów będzie polegała na sporządzaniu duplikatów mózgów autokratycznych prezydentów koncernów, przekonanych, że ich następcy będą zainteresowani tym, co będą mieli do powiedzenia po śmierci.

Peter skinął głową.

— Poza tym — ciągnął Sarkar — całkowite wypisy mózgowe to właściwie straszliwe marnotrawstwo środków. Kiedy tworzyliśmy RICKGREEN, byliśmy tak naprawdę zainteresowani wyłącznie jego poczuciem humoru, tymczasem

system daje nam całą resztę wiedzy Ricka, wliczając w to jego sposoby wychowywania własnych dzieci, nieskończoną liczbę specjalistycznych wiadomości na temat modeli kolejek, które są jego hobby, a nawet jego metody gotowania, których nikt zdrowy na umyśle nie chciałby naśladować.

— Czy nie możecie odłączyć samego poczucia humoru?

— To trudne. Umiemy już dobrze dekodować to, co robią poszczególne sieci neuronalne, istnieje jednak wiele wzajemnych połączeń. Kiedy spróbowaliśmy skasować część dotyczącą wychowywania dzieci, przekonaliśmy się, że system przestał opowiadać kawały na temat życia rodzinnego.

— Ale potraficie sporządzić w komputerze dokładną kopię danego ludzkiego mózgu?

— To zupełnie nowa metoda, Peter. Niemniej jak dotąd kopie wydają się dokładne.

— I potraficie, przynajmniej do pewnego stopnia, zinterpretować funkcje rozmaitych wzajemnych połączeń neuronalnych?

— Tak—odparł Sarkar. — Ale to również przetestowaliśmy jedynie na prototypie RICKGREEN, a to ograniczony model.

— I kiedy już zidentyfikujecie daną funkcję, potraficie ją wykasować z całkowitej symulacji mózgowej?

— Jeśli nie zapomni się o tym, że wykasowanie jakiegoś elementu może zmienić reakcje czegoś innego, co wydaje się nie powiązane, powiedziałbym, że dotarliśmy już do tego punktu.

— W porządku — stwierdził Peter. — Pozwól, że zaproponuję ci pewien eksperyment.

Powiedzmy, że sporządzisz dwie kopie umysłu danej osoby. Z jednej z nich usuniesz wszystko, co jest związane z fizycznym ciałem — reakcje hormonalne, pragnienia seksualne i podobne sprawy. Z drugiej natomiast usuniesz wszystko, co wiąże się z degeneracją ciała, strachem przed starością i śmiercią i tak dalej.

Sarkar zjadł knedel z macy.

— Jaki byłby tego cel?

— Pierwsza symulacja odpowie na pytanie, które wszyscy mi zadają — jak naprawdę wygląda życie po śmierci? Jakie części ludzkiej psychiki potrafią przetrwać w oderwaniu od ciała? A skoro już się za to weźmiemy, pomyślałem, że zrobimy i drugą symulację — istotę, która wie, że jest fizycznie nieśmiertelna, jak ktoś, kto poddał się procesowi Life Unlimited.

Sarkar przestał poruszać szczękami. Otworzył szeroko usta, odsłaniając pozbawiony godności obraz żutego knedla.

— To... to niewiarygodne — powiedział wreszcie z pełną buzią. — Subhanallah, co za pomysł.

— Czy potrafiłbyś tego dokonać?

Sarkar przełknął ślinę.

— Może — stwierdził. — Elektroniczna eschatologia. Co za myśl.

— Musiałbyś zrobić dwa wypisy mózgowy.

— Wypis oczywiście zrobimy raz. Potem po prostu sporządzimy dwie kopie.

— Chciałeś powiedzieć jedną.

— Nie, dwie — odparł Sarkar. — Przecież wiesz, że nie można przeprowadzać doświadczenia bez próby kontrolnej.

— Masz rację — przyznał Peter, lekko zawstydzony. — Tak czy inaczej, zrobimy jedną kopię, którą zmodyfikujemy, by była symulacją życia po śmierci. Nazwijmy... nazwijmy ją Duchem. I drugą, która będzie symulacją nieśmiertelności.

— A trzecią zostawimy bez modyfikacji — dorzucił Sarkar. Podstawowa albo kontrolna wersja, którą będziemy mogli porównywać z oryginalną żywą osobą, aby się upewnić, że kopie nie tracą dokładności w miarę upływu czasu.

— Znakomicie — stwierdził Peter.

— Ale wiesz, Peter, to niekoniecznie będzie symulacja prawdziwego życia po śmierci.

To jest życie poza fizycznym ciałem, ale kto wie, czy fala duszy niesie ze sobą jakieś nasze wspomnienia? Oczywiście jeśli ich nie niesie, nie jest naprawdę znaczącą kontynuacją egzystencji. Bez naszej pamięci, naszej przeszłości, tego, czym byliśmy, nie byłaby tym, co rozpoznałibyśmy jako kontynuację tej samej osoby.

— Wiem o tym — odparł Peter. — Ale jeśli dusza w jakimś stopniu przypomina to, za co ludzie ją uważają — sam umysł, bez ciała — ta symulacja da nam wyobrażenie, czym tego rodzaju dusza mogłaby być. Będę wtedy w stanie powiedzieć coś istotnego, gdy następnym razem zapytają mnie: „Jak naprawdę wygląda życie po śmierci?”

Sarkar skinął głową.

— Ale po co badania nad nieśmiertelnością?

— Jakiś czas temu byłem na jednym z tych seminariów Life Unlimited.

— Naprawdę? Peter, chyba nie jesteś tym zainteresowany?

— No, nie wiem. To na swój sposób fascynujące.

— To głupota.

— Możliwe. Ale wygląda na to, że możemy w tym doświadczeniu upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

— Być może — odrzekł Sarkar. — Czyją symulację zrobimy?

— Co powiesz na siebie? — zapytał Peter. Sarkar uniósł dłoń.

— Nie, nie mnie. Ostatnia rzecz, której pragnę, to żyć wiecznie. Prawdziwa radość jest możliwa tylko po śmierci. Z niecierpliwością oczekuję na szczęście, którym zostanie obdarzona moja spełniona dusza w przyszłym świecie. Nie, to były twoje pytania, Peter.

Dlaczego by nie wykorzystać ciebie?

Peter pogłaskał się po brodzie.

— Niech będzie. Jeśli jesteś gotów to zrobić, zgodzę się być zarówno sponsorem, jak i świnką morską — przerwał. — To mogłoby umożliwić znalezienie odpowiedzi na kilka naprawdę doniosłych pytań, Sarkar. Ostatecznie wiemy już, że fizyczna nieśmiertelność jest możliwa i że istnieje jakaś forma życia po śmierci. Szkoda byłoby wybrać jedno, gdyby drugie miało okazać się lepsze.

— Wybór Hobsona — zauważył Sarkar.

— Co takiego?

— Z pewnością znasz to powiedzenie. Ostatecznie twoje nazwisko brzmi Hobson.

— Słyszałem je raz czy dwa.

— Chodzi o Thomasa Hobsona, człowieka, który wynajmował konie. To było w Anglii, hmm, chyba w siedemnastym wieku. Zawsze mówił swym klientom, że mogą wziąć konia stojącego

najbliżej drzwi stajni albo żadnego. „Wybór Hobsona” to taki wybór, w którym nie ma żadnego wyboru.

— I co z tego?

— Po prostu nie masz wyboru. Jesteś pewien, że nawet jeśli doprowadzisz się do bankructwa, by kupić nanotechnologiczną nieśmiertelność, że Allah nie będzie mógł i tak cię zabrać, kiedy tylko zechce? Masz przeznaczenie, tak samo jak ja. Nie mamy wyboru. Gdy nadejdzie czas, byś udał się do stajni, koń stojący najbliżej drzwi będzie tym, który jest przeznaczony dla ciebie. Można to nazwać wyborem Hobsona, qadar Allah albo kismet. Bez względu na to, jakiego terminu użyjesz, chodzi o los, jaki przygotował dla ciebie Bóg.

Peter potrząsnął głową. Rzadko rozmawiali z Sarkarem o religii. Zaczął sobie teraz przypominać dlaczego.

— Czy jesteś gotów podjąć się realizacji tego projektu?

— Jasne. Moja część jest łatwa. To ciebie czeka konfrontacja z samym sobą.

Ujrzysz własną osobowość, wewnętrzne tryby swego umysłu, połączenia kierujące twoimi myślami.

Czy naprawdę tego chcesz?

Peter zastanawiał się przez chwilę.

— Tak — odpowiedział. — Naprawdę chcę to zrobić.

Sarkar uśmiechnął się.

— Wybór Hobsona — powiedział i skinął na kelnera, by podał rachunek.

PRZEGLĄD WIADOMOŚCI SIECIOWYCH



Archidiecezja Houston chciałoby przypomnieć wszystkim, że w najbliższą środę, 2 listopada, jest Dzień Zaduszny, w którym odmawiane są modlitwy za dusze przebywające w czyśćcu. Z uwagi na niedawny wzrost zainteresowania tym tematem, specjalna msza zostanie odprawiona w Astrodome, w środę o ósmej wieczorem.

Artykuł wstępny listopadowego numeru „Naszyc ciał”, periodyku wydawanego przez grupę Kobięca Kontrola, której siedziba znajduje się w Manchesterze, potępia odkrycie tak zwanej płodowej fali duszy jako „kolejną podjętą przez mężczyzn próbę zapanowania nad ciałami kobiet”.

Życie po życiu Raymonda Moody’ego, po raz pierwszy opublikowane w roku 1975, zostało w tym tygodniu wznowione przez NetBooks i natychmiast dotarło na drugie miejsce codziennej listy bestsellerów „New York Timesa” w kategorii rozprawdzanej przez sieć literatury niebeletrystycznej.

Przy wielkim zainteresowaniu, w chwili zamknięcia dzisiejszej sesji kurs akcji Hobson Monitoring Limited (Giełda Toronto: HML) wynosił 57 i 1/8 i wzrósł od wczoraj o 6 i 3/4. Liczba oferowanych na sprzedaż akcji wynosiła 35 100. Jest to całoroczny rekord notowań dla mającego siedzibę w Toronto przedsiębiorstwa produkującego sprzęt biomedyczny.

Przed niezależną kliniką aborcyjną Morgenta—lera w Toronto odbyła się dziś demonstracja organizacji Obrońcy Nie Narodzonych. „Aborcja przed zjawieniem się fali duszy pozostaje grzechem w oczach Boga” — oznajmiła protestująca Anthoula Sotirios. „W ciągu pierwszych dziewięciu tygodni

cięży płód jest świątynią przygotowywaną na przybycie Bożej iskry”.

## ROZDZIAŁ 17

Czwartkowy wieczór w domu. Peter dawno już tak zaprogramował zarządzający domem komputer, by wyszukiwał dla niego w programie telewizyjnym tematy czy programy, które mogłyby go zainteresować. Od dwóch lat utrzymywało się polecenie nagrania na wideo nakręconego dla telewizji filmu Nocny łowca, który po raz pierwszy widział jako nastolatek.

Do tej pory jednak nikt go nie nadał. Zażyczył sobie również, by go powiadomiono, gdy tylko będzie wyświetlany któryś z filmów Orsona Wellesa, kiedy w jakimś talk show pojawią się Ralph Nader albo Stephen Jay Gould bądź też ktoś wyemituje te odcinki Nocnych sesji, w których gościnnie występował Brent Spiner.

Dzisiejszej nocy Telewizja Kair pokazywała Wellesa w Intruzie, po angielsku z arabskimi napisami. Magnetowid Petera był wyposażony w urządzenie usuwające napisy.

Dokonywało ono przeglądu sąsiednich fragmentów obrazu, a także ujęć przed i po pojawieniu się tekstu, który zastępowało ekstrapolacją zasłoniętych partii. To było cenne znalezisko, jako że Peter nie widział Intruza od dwudziestu lat. Jego magnetowid buczał cicho, nagrywając film.

Może obejrzy go jutro. Albo w sobotę.

Może.

Cathy, siedząca po przeciwległej stronie pokoju, odchrząknęła, po czym powiedziała: — Moi koledzy z pracy

pytali o ciebie. O nas.

Peter poczuł, że mięśnie barków mu się napięły.

— Tak?

— No, wiesz. Dlaczego nie przychodzimy na piątkowe spotkania.

— I co im powiedziałaś?

— Nic. Wymyślałam jakieś usprawiedliwienia.

— Czy oni... czy myślisz, że oni wiedzą o... o tym, co się stało? Zastanowiła się.

— Nie wiem. Chciałabym myśleć, że nie wiedzą, ale...

— Ale temu dupkowi Hansowi gęba się nie zamyka.

Nie powiedziała nic.

— Czy coś słyszałaś? Uszczypliwe uwagi? Insynuacje? Coś, co kazałoby ci myśleć, że twoi koledzy wiedzą?

— Nie — odparła Cathy. — Nic.

— Jesteś pewna?

Westchnęła.

— Uwierz mi, byłam szczególnie uwrażliwiona na to, co mówią. Jeśli plotkują za moimi plecami, nie dotarło to do mnie. Przy mnie nikt o tym nie napomknął.

Naprawdę przypuszczam, że nic nie wiedzą.

Peter potrząsnął głową.

— Nie... nie sądzę, bym potrafił to znieść, gdyby wiedzieli. To znaczy spotkanie z nimi.

To... — przerwał, poszukując odpowiedniego słowa — ...upokarzające.

Wiedziała, że lepiej nie odpowiadać.

— Cholera — rzucił Peter. — Nie znoszę tego. Naprawdę, kurwa, tego nie znoszę.

Cathy skinęła głową.

— Ale — kontynuował — myślę... myślę, że jeśli mamy jeszcze kiedyś prowadzić normalne życie, musimy zacząć wychodzić razem, spotykać się z ludźmi.

— Danita też uważa, że to byłoby rozsądne.

— Danita?

— Mój doradca.

— Aha.

Przez chwilę milczała.

— Hans wyjechał z miasta — powiedziała wreszcie. — Bierze udział w konferencji.

Gdybyśmy jutro spotkali się po pracy z moimi przyjaciółmi, nie byłoby go.

Zaczerpnął tchu i wypuścił hałaśliwie powietrze z płuc.

— Jesteś tego pewna?

Skinęła głową.

Milczał przez chwilę, porządkując myśli.

— Zgoda — odrzekł wreszcie. — Spróbuję pod warunkiem, że nie zostaniemy zbyt długo.

— Popatrzyl jej w oczy. — Ale lepiej, żebyś miała rację, że go nie będzie.

Jego głos stał się lodowaty. Takiego tonu Cathy nigdy dotąd nie słyszała.

— Jeśli go jeszcze kiedyś zobaczę, zabiję go.

Przyszedł do Bent Bishop wcześniej, żeby mieć pewność, że usiądzie tuż obok żony.

Grupa z Doowap Advertising zajęła tym razem długi stół stojący na środku sali, wszyscy więc siedzieli w kapitańskich fotelach. Peterowi faktycznie udało się spocząć obok Cathy.

Naprzeciwko niego znalazł się pseudointelektualista. Do jego czytelnika załadowany był Camus.

— Dobry wieczór, doktorku — odezwał się. — Ostatnio kupę o panu słyhać.

Peter skinął głową.

— Cześć.

— Zazwyczaj nie widywaliśmy tu pana tak wcześnie — zauważył pseudointelektualista.

Peter natychmiast zdał sobie sprawę ze swego błędu. Wszystko powinno wyglądać dokładnie tak jak przedtem. Nie powinien robić nic, co przyciągnęłoby uwagę do niego czy Cathy.

— Ukrywam się przed reporterami — wyjaśnił.

Pseudointelektualista skinął głową i uniósł do warg szklanekę ciemnego ale.

— Ucieszy się pan, gdy panu powiem, że Hansa dzisiaj nie będzie.

Peter poczuł, że jego policzki oblewa czerwień, lecz w słabo oświetlonym pubie było to zapewne niewidoczne.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

Chciał, by to pytanie zabrzmiało neutralnie, lecz dał się w nim słyszeć wyraźnie nerwowy ton. Siedząca obok Cathy pogłaskała pod stołem jego kolano.

Pseudointelektualista uniósł brwi.

— Nic szczególnego, doktorku. Rzecz w tym, że obaj nie bardzo zgadzacie się ze sobą.

Ostatnim razem ciągle panu przygadywał.

— Aha.

Zjawiała się kelnerka.

— Sok pomarańczowy — złożył zamówienie Peter.

Kobieta zwróciła się ku Cathy z pytaniem na twarzy.

— Wodę mineralną — poprosiła. — Z cytryną.

— Nic dzisiaj nie pijesz? — zapytał pseudointelektualista, jak gdyby sama ta myśl była afrontem dla wszystkiego co przyzwoite.

— Hmm, boli mnie głowa — stwierdziła Cathy. — Brałam aspirynę.

Kłamstwom nie ma końca, pomyślał Peter. Nie mogła powiedzieć: Przestałam pić, bo jak ostatnio się upiłam, pozwoliłam, żeby wyruchał mnie kolega z pracy. Poczul, że jego pięści zaciskają się pod blatem.

Pojawiła się kolejna para przyjaciół Cathy, oboje w średnim wieku i odrobinę przyciężkiej budowy. Powiedziała im „cześć”.

— Mamy dziś niską frekwencję — stwierdził mężczyzna. Gdzie Hans?

— W Beantown\*[\* Beantown — Fasolowe miasto, slangowe określenie Bostonu.] — odparł pseudointelektualista. Peter pomyślał, że pewnie czekał cały dzień na to, by użyć tej nazwy. — Na interaktywnej wideokonferencji.

— Kurde — powiedziała kobieta. — Bez Hansa to nie będzie to samo.

Hans, pomyślał Peter. Hans. Hans. Każdorazowe wypowiedzenie jego imienia przypominało pchnięcie nożem. Czy ci ludzie nigdy nie słyszeli o zaimkach?

Pojawiła się kelnerka, która postawiła przed Cathy trochę rozcieńczonego wodą soku pomarańczowego, a przed Peterem małą butelkę Perriera oraz szklanekę z zatkniętym na brzegu plasterkiem cytryny. Pomyślał, że wszystkie bezalkoholowe drinki są dla niej tym samym. Wymienili się napojami z Cathy. Kelnerka przyjęła zamówienia od nowych gości.

— I jak wam się ze sobą układa? — zapytał świeżo przybyły mężczyzna, machając ręką mniej więcej w kierunku Petera i Cathy.

Cathy uśmiechnęła się.

— Dobrze.

Dlaczego o to pyta?, pomyślał Peter. Co wie?

— Dobrze — powtórzył za nią. — Naprawdę dobrze.

— Ciągłe pana pokazują w telewizji — stwierdził pseudointelektualista. — Wybiera się pan gdzieś w najbliższym czasie?

Na pewno nie do pierdolonego Beantown, pomyślał.

— Nie — odparł. — Być może — dorzucił po chwili.

— Nie poczyniliśmy żadnych planów — wyjaśniła gładko Cathy. — Ale Peter ma wyrozumiałego szefa.

Chichot czy dwa w wykonaniu tych, którzy wiedzieli, że Peter jest szefem własnej firmy.

— Muszę się zorientować, jak wygląda mój plan pracy, najbliższym czasie czeka nas ten wielki kontrakt z Tourism Ontario.



Kobieta skinęła ze współczuciem głową. Najwyraźniej owo zadanie było zmorą również i jej życia.

Przyszła kelnerka z kolejnymi drinkami. W tej samej chwili jawił się Toby Bailey, następny kolega Cathy.

— Dobry wieczór wszystkim — odezwał się. Wskazał kelnerce, że chce dostać to samo co pseudointelektualista. — Gdzie Hans?

— W Bostonie — wyjaśnił Peter, uniemożliwiając kolejne wypowiedzenie nazwy „Beantown”. Pseudointelektualista wyglądał na lekko rozczarowanego.

— Czy Donna—Lee pojechała z nim?

— O ile mi wiadomo, to nie — odrzekł pseudointelektualista.

— No, to jakaś amerykańska ślicznotka będzie dzisiaj wydymana — stwierdził Toby, jak gdyby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie. Ludzie zachichotali. Hans pod swą nieobecność wywierał równie wielki wpływ na towarzystwo jak wtedy, gdy był na miejscu.

Peter przeprosił zebranych i poszedł do łazienki.

— Cóż — zauważył pseudointelektualista po jego odejściu. — Nawet bogaci i sławni muszą od czasu do czasu się odlać.

Zjeżony Peter zszedł do małej piwnicy, w której znajdowały się dwie ubikacje oraz para automatów telefonicznych. Tak naprawdę nie musiał wychodzić, ale potrzebował trochę ciszy i spokoju, odrobiny czasu na odzyskanie orientacji. Wydawało mu się, że wszyscy z niego drwią. Że wszyscy wiedzą.

Oczywiście, że wiedzieli. Słyszał już wystarczająco wiele przechwałek Hansa.

Chryste, zapewne wszyscy dowiadywali się o każdej jego zdobyczy.

Oparł się o ścianę. Z plakatu uśmiechnęła się do niego ślicznotka Molsona.

Popełnił błąd, przychodząc tutaj.

Ale chwileczkę. Jeśli koledzy Cathy znali prawdę, zapewne dowiedzieli się przed miesiącami. Minęły wieki od czasu, gdy ona i Hans zrobili to po raz pierwszy.

Peter spróbował cofnąć się myślą do momentu, gdy był tu ostatnio, a potem do poprzedniej okazji.

Czy coś wskazywało, że wiedzą? Czy dzisiaj naprawdę zachowywali się inaczej?

Nie potrafił tego określić. Wszystko wyglądało teraz inaczej. Wszystko.

Czulby się upokorzony, gdyby wiedzieli. Oznaczałoby to wtargnięcie do jego prywatnego życia. Publiczne.

Upokorzony. Poniżony.

Chryste, Hobson nie potrafi zatrzymać przy sobie kobiety, co? Niech to diabli.

Przedtem życie było takie proste.

To był błąd.

Ruszył z powrotem do stołu.

Wytrzyma jeszcze godzinę. Spojrzał na zegarek. Tak jest. Sześćdziesiąt minut.

Jakoś to zniesie.

Być może.

Peter i Cathy podeszli bez słów do drzwi swego domu. Peter dotknął kciukiem EIOP.

Usłyszał, jak odłącza się mechanizm zamka. Wszedł do wyłożonego kafelkami przedpokoju.

Zatrzymał się, żeby zdjąć buty. Cztery i pół pary butów Cathy stało już w rzędzie przed szafką we wnęce.

— Czy musisz to robić? — zapytał, wskazując na nie.

— Przepraszam — odrzekła.

— Chciałbym móc wchodzić do własnego domu, nie potykając się nieustannie o twoje trepy.

— Przepraszam — powtórzyła.

— Masz w sypialni półkę na buty.

— Przeniosę je tam — zapewniła.

Ustawił własne buty na macie.

— Nigdy chyba nie widziałaś, żebym ja gromadził tu obuwie.

Skinęła głową. Przeszedł do salonu.

— Komputer, wiadomości — zawołał głośno. — Nie ma — odparł syntetyczny głos.

Podszedł do kanapy, wziął w rękę pilota i usiadł. Włączył telewizor i zaczął przerzucać kanały przy wyłączonym dźwięku.

— Pseudointelektualista był dziś w świetnej formie — zauważył sarkastycznym tonem.

— Jonas — powiedziała Cathy. — Ma na imię Jonas.

— Co mnie, kurwa, obchodzi, jak ma na imię?

Westchnęła i poszła zrobić sobie herbatę.

Peter wiedział, że postępuje złośliwie. Nie chciał tak się zachowywać. Miał nadzieję, że dzisiejsze spotkanie zakończy się sukcesem, że będą mogli nadal prowadzić swe dotychczasowe życie.

Ale to nie mogło się udać.

Ten wieczór tego dowiedział.

Nie był w stanie utrzymywać żadnych kontaktów z jej kolegami z pracy. Nawet pod nieobecność Hansa widok tych ludzi przypominał Peterowi o tym, co zrobiła Cathy.

Co zrobił Hans.

Usłyszał dobiegający z kuchni odgłos łyżki stukającej o porcelanę. Cathy dodawała sobie mleka do herbaty.

— Nie przyjdiesz do mnie? — zawołał.

Stała z twarzą bez wyrazu w przejściu prowadzącym do kuchni.

Peter odłożył pilota i popatrzył na nią. Starła się okazać dobre chęci, być odważna.

Nie chciał być w stosunku do niej złośliwy. Chciał tylko, żeby było tak jak przedtem.

— Przykro mi — powiedział.

Skinęła głową, zraniona, ale dzielna.

— Wiem.

## ROZDZIAŁ 18

Firma Sarkara Muhammeda zajmująca się badaniami nad sztuczną inteligencją nosiła nazwę Mirror Image. Jej siedziba znajdowała się w Concord, na północ od właściwego Toronto. Peter przyjechał tam w sobotę rano i Sarkar zaprowadził go na górę, do nowo stworzonego gabinetu skaningowego. Poprzednio było tu zwykłe biuro. Na dywanie widać było wgłębienia w miejscach, gdzie kiedyś stały szafki z segregatorami. W pomieszczeniu było również wielkie okno, lecz całkowicie zasłaniały je płyty ze sklejki nie wpuszczające światła z zewnątrz. Ściany pokrywała szara guma piankowa uformowana na kształt pojemników na jaja, aby stłumić dźwięk. Na środku pokoju stał stary obrotowy fotel dentystyczny, pod jedną ze ścian ulokowano zaś stół warsztatowy, na którym stały komputer osobisty, rozmaite oscyloskopy oraz kilka innych przyrządów, w tym również garstka leżących na widoku płytek montażowych.

Sarkar poprosił gestem Petera, by usiadł na fotelu.

— Tylko niewielki ubytek od góry — powiedział Peter.

Sarkar uśmiechnął się.

— Od góry wyborujemy ci wszystko. Zrobimy kompletny zapis całej zawartości twojego mózgu.

Nałożył Peterowi na głowę czepek skanera.

— L'chaim — rzucił Peter.

Sarkar zapiął mu luźno rzemyk pod brodą i nakazał gestem go dopiąć.

— Na drugi otworek — zauważył Peter. — Zostały jeszcze cztery jardy.

Sarkar wręczył mu dwie małe słuchawki. Peter włożył je sobie do uszu. Na koniec otrzymał doświadczalne gogle — parę specjalnych okularów nadających do każdego oka odrębne wideo—sygnały.

— Oddychaj przez nos — polecił Sarkar. — I staraj się ograniczyć do minimum przełykanie śliny. A także nie kasłać.

Peter skinął głową.

— I nie rób tego — dorzucił Sarkar. — Nie kiwaj głową. Przyjmę założenie, że rozumiesz moje instrukcje, nawet jeśli tego nie potwierdzisz.

Podszedł do warsztatu i nacisnął kilka klawiszy na klawiaturze komputera.

— Pod wieloma względami to będzie bardziej skomplikowane niż to, co robiłeś, zapisując wydostanie się fali duszy. Tam szukałeś po prostu jakiejkolwiek aktywności elektrycznej mózgu. Tutaj jednak musimy drażnić twój mózg na niezliczone sposoby, aby uaktywnić wszystkie sieci neuronalne kryjące się wewnątrz. Oczywiście większość z nich przez przeważający czas nie jest aktywna.

Nacisnął jeszcze kilka klawiszy.

— Dobra, już zapisujemy. Nie przejmuj się, jeśli będziesz musiał w ciągu kilku najbliższych minut trochę się przesunąć, żeby usiąść wygodniej. Tyle czasu zajmuje skalowanie aparatu.

Przez czas, który wydawał się bardzo długi, zajmował się dokładnym nastawianiem urządzenia.

— Jak już mówiliśmy — odezwał się Sarkar — otrzymasz serię bodźców. Niektóre z nich będą dźwiękowe — wypowiedziane wyrazy albo dźwięki i odgłosy odtworzone z taśmy.

Inne będą wizualne — ujrzysz obrazy albo słowa wyświetlane ci przed oczyma. Wiem, że znasz francuski i trochę hiszpański. Niektóre z bodźców będą w tych językach.

Skoncentruj się na nich, ale nie przejmuj się, jeśli twoje myśli będą błędzić. Jeśli pokażę ci drzewo i pomyślisz o drewnie, drewno przywiedzie ci na myśl papier, papier papierowe samolociki, a samoloty skojarzą ci się z paskudnym jedzeniem, to w porządku. Ale nie szukaj związków na siłę. To nie jest zabawa w swobodne skojarzenia. Chcemy po prostu dokonać mapowania sieci neuronalnych, które istnieją w twoim mózgu, i określić, co je pobudza. Gotowy?

Nie, znowu skinąłeś głową. No dobra, zaczynamy.

Z początku Peter sądził, że widzi standardową lawinę testowych obrazów, wkrótce jednak stało się jasne, że Sarkar uzupełnił je innymi, ściśle powiązanymi z nim osobiście.

Były tam zdjęcia jego rodziców, domu, w którym mieszkali obecnie z Cathy, i tego, w którym mieszkali przed laty, domku Sarkara, fotografia samego Petera z dnia ukończenia szkoły średniej, nagrania jego głosu oraz głosu Cathy i tak dalej. Rzut oka wstecz typu „This Is Your Life” pomieszany z najróżniejszymi widoczkami jezior, lasów i boisk futbolowych, prostymi równaniami matematycznymi, urywkami poezji,

pytaniami o szczegóły dotyczące Star Treku, popularną muzyką z czasów, gdy Peter był nastolatkiem, dziełami sztuki, pornografią oraz zamazanymi obrazami, które mogły przedstawiać Abe'a Lincolna, psa myśliwskiego bądź też nic konkretnego.

Od czasu do czasu Peter odczuwał znudzenie. Cofał się wtedy myślą do poprzedniego wieczoru. Katastrofalnego wieczoru z kolegami Cathy. Cholera, to był błąd.

Pieprzony Hans.

Nie mógł nawet potrząsnąć głową, aby wyrzucić z niej te myśli. Wysiłkiem woli spróbował skupić się na obrazach. Mimo to one również niekiedy wywoływały nieprzyjemne wspomnienia — zdjęcie dłoni, które kazało mu pomyśleć o Hansie. Ślubna fotografia jego i Cathy. Pub. Zaparkowany samochód.

Sieci strzeliły impulsami.

Odbyli cztery dwugodzinne sesje z półgodzinnymi przerwami, podczas których Peter mógł rozprostować nogi, poruszać szczęką, napić się wody i skorzystać z toalety.

Nagrania czasami wzmacniały obrazy — zobaczył fotografię Micka Jaggera i usłyszał „Satisfaction”.

Innym razem tworzyły drażniący dysonans — widokowi głodującego etiopskiego dziecka towarzyszył dźwięk wiatrowych dzwonków. Niekiedy obrazy docierające do jego lewego oka różniły się od pokazywanych prawemu. W kolejnych przypadkach dźwięk odtwarzany przez jedną słuchawkę w niczym nie przypominał napływającego do drugiej.



Wreszcie nadszedł koniec. Wyświetlono dziesiątki tysięcy obrazów. Zapisano gigabajty danych. A czujniki ukryte w czepku sporządziły mapę wszystkich kącików i zakamarków, wszystkich zaułków i bocznych uliczek, wszystkich neuronów i sieci w mózgu Petera Hobsona.

Sarkar zabrał dysk zawierający mapę mózgu do swej pracowni komputerowej. Włożył go w napęd stacji roboczej sztucznej inteligencji i skopiował wszystko do trzech odrębnych partycji RAM, tworząc w ten sposób trzy identyczne kopie mózgu Petera, każdą izolowaną w odrębnym banku pamięci.

— I co teraz? — zapytał Peter. Usiadł na składanym krześle i wsparł brodę na rękach owiniętych wokół oparcia.

— Najpierw nadamy im etykiety.

Sarkar, siedzący na stołku barowym, który wolał od krzesła, przemówił do mikrofonu znajdującego się na konsoli przed nim.

— Zgłaszam się — rzucił.

— Nazwa użytkownika? — zapytał głos komputera, kobiecy i pozbawiony emocji.

— Sarkar.

— Cześć, Sarkar. Polecenie?

— Zmień nazwę Hobson na Duch.

— Proszę przeliterować docelową nazwę.

Sarkar westchnął. Słowo „Duch” z pewnością znajdowało się w słowniku komputera, ale akcent, z którym mówił, niekiedy sprawiał maszynie trudności.

— D—U—C—H.

— Wykonane. Polecenie?

— Zmień nazwę Hobson 2 na Ambrotos.  
— Wykonane. Polecenie?  
— Dlaczego „Ambrotos”? — wtrącił Peter piskliwym głosem.  
— To greckie słowo oznaczające „nieśmiertelny” — wyjaśnił Sarkar. — Spotyka się je w takich wyrazach jak „ambrozja”. Pożywienie, które zapewnia nieśmiertelność.

— Widać, że ukończyłeś cholerną prywatną szkołę — zauważył Peter.

Sarkar uśmiechnął się.

— W tym rzecz.

Zwrócił się z powrotem do mikrofonu.

— Zmień nazwę Hobson 3 na Kontrola.

— Wykonane. Polecenie?

— Załaduj Ducha.

— Załadowany. Polecenie?

— W porządku — powiedział Sarkar i zwrócił się ku Peterowi. — Duch ma symulować życie po śmierci. Aby to osiągnąć, zaczniemy od wyłączenia wszystkich funkcji czysto biologicznych. Nie będzie to oczywiście polegało na fizycznym usuwaniu części świadomego mózgu, a tylko na rozłączaniu rozmaitych sieci. By się przekonać, które połączenie możemy przeciąć, użyjemy Biblioteki Bodźców Dalhousie’a. To kanadyjska wersja zbioru standardowych obrazów i zapisów dźwięków stworzonego pierwotnie na Uniwersytecie Melbourne. Powszechnie używa się jej w testach psychologicznych. Gdy Duch będzie się stykał z kolejnymi obrazami i dźwiękami, będziemy rejestrować, które neurony zareagują impulsami.

Peter skinął głową.

— Bodźce są skatalogowane według typów emocji, które mają wywoływać: strach, wstręt, podniecenie seksualne, głód i tak dalej. Chcemy sprawdzić, które sieci neuronalne są pobudzane wyłącznie impulsami biologicznymi, a potem je wyzerować. Oczywiście musimy przejść przez wszystkie bodźce kilkakrotnie w przypadkowej kolejności z uwagi na potencjały czynnościowe. Sieci mogą się nie uaktywnić, jeśli podobną kombinację neuronów chwilę wcześniej pobudziło coś innego. Gdy już się z tym uporamy, powinniśmy otrzymać wersję twojego umysłu zbliżoną do tego, kim byłbyś, gdyby uwolniono cię od wszelkich trosk związanych z zaspokajaniem fizycznych potrzeb. Innymi słowy, gdybyś był martwy.

Potem powtórzymy ten proces z Ambrotosem, nieśmiertelną wersją. Z niej jednak usuniemy strach przed starością i kwestie związane ze starzeniem się i śmiercią.

— A co z wersją kontrolną?

— Zademonstruję jej identyczne obrazy i dźwięki, by zetknęła się z takimi samymi bodźcami jak pozostałe, ale nie wyzeruję żadnej z jej sieci.

— Bardzo dobrze.

— W porządku — odrzekł Sarkar. Zwrócił się w stronę konsoli. — Wykonaj Dalhousie wersja czwarta.

— Wykonuję — odparł komputer.

— Oszacuj czas potrzebny do ukończenia.

— Jedenaście godzin dziewiętnaście minut.

— Zawiadam o ukończeniu.

Zwrócił się w stronę Petera.

— Jestem pewien, że nie będziesz chciał oglądać całości, ale na tym monitorze możesz zobaczyć, jakich danych dostarcza się Duchowi.

Peter popatrzył na ekran. Motyl wyłaniający się z kokonu. Banff w stanie Alberta.

Ładna kobieta przesyłająca całusa kamerze. Jakaś gwiazda filmowa z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, którą Peter niejasno rozpoznawał. Dwóch mężczyzn toczących walkę bokserką. Płonący dom...

# ROZDZIAŁ 19

## LISTOPAD 2011

Sarkar zadzwonił do Petera w niedzielę, wczesnym rankiem, by mu powiedzieć, że przygotowywanie i przycinanie kopii dobiegło końca. Cathy poszła obejrzyć rzeczy oferowane na wyprzedaży — hobby, którego atrakcyjności Peter nie potrafił zrozumieć — zostawił więc dla niej wiadomość w zarządzającym domem komputerze. Następnie wskoczył do mercedesa i pojechał do budynku Mirror Image w Concord.

— Spróbujemy najpierw uaktywnić kopię kontrolną — oznajmił Sarkar, gdy obaj znaleźli się w pracowni komputerowej.

Peter skinął głową. Sarkar nacisnął kilka klawiszy.

— Cześć — powiedział do mikrofonu wznoszącego się z konsoli.

— Cz... cześć? — odezwał się syntetyczny głos z głośnika.

— Cześć — powtórzył Pakistańczyk. — To ja, Sarkar.

— Sarkar! — Głos był pełen ulgi. — Co do licha jest grane? Nic nie widzę.

Peter poczuł, że szczeka mu opadła. Symulacja wydawała się znacznie bardziej realna, niż tego oczekiwał.

— Wszystko w porządku, Peter — rzekł Sarkar do mikrofonu. — Nie przejmuj się.

— Czy... czy miałem wypadek? — zapytał głos.

— Nie. Nie, wszystko z tobą w porządku.

— A więc wyłączyli prąd? Która godzina?

— Około jedenastej czterdzieści.

— Rano czy wieczorem?

— Rano.

— To dlaczego jest tak ciemno? I co się stało z twoim głosem?

Sarkar zwrócił się w stronę Petera.

— Ty mu powiedz.

Peter odchrząknął.

— Cześć.

— Kto mówi? Czy to nadal Sarkar?

— Nie, to ja. Peter Hobson.

— Ja jestem Peter Hobson.

— Nie, to ja nim jestem.

— Co ty do diabła gadasz?

— Jesteś symulacją. Komputerową kopią mojej osoby. Nastąpiła długa cisza.

— Och — rozległo się wreszcie.

— Wierzysz mi? — zapytał Peter.

— Chyba tak — odparł głos. — To znaczy, pamiętam, jak rozmawiałem o tym eksperymencie z Sarkarem. Pamiętam... pamiętam wszystko aż do chwili mapowania mózgu.

— Zapadła cisza. — Cholera, naprawdę to zrobiłeś? — padło po chwili.

— Tak — odparł Sarkar.

— Kto to był? — zapytał głos.

— Sarkar.

— Nie potrafię was rozróżnić — stwierdziła kopia. — Wasze głosy brzmią identycznie.

Sarkar skinął głową.

— To cenna uwaga. Dostosuję oprogramowanie, żeby wychwytywało różnicę między tonem naszych głosów. Przepraszam cię za to.

— Nie ma sprawy — odparła kopia. — Dziękuję ci.

— Chryste, wykonałeś dobrą robotę — dodała po chwili. — Czuję się... czuję się całkiem jak ja. Tylko że... tylko że nie jestem głodny. Ani zmęczony. I nic mnie nie swędzi. — Przerwa krótka jak uderzenie serca. — A którą kopią jestem?

— Kontrolną — odrzekł Sarkar. — Linią odniesienia eksperymentu. Pierwszą, którą uaktywniłem. Uruchomiłem programy naśladujące rozmaite bodźce nerwowe, w tym również głód i uczucie zmęczenia. Obawiam się, że nawet nie pomyślałem o symulacji zwykłego dla ciała swędzenia ani drobnych bólów. Przepraszam za to.

— Nic nie szkodzi — odparła kopia. — Dopiero teraz, gdy to wrażenie całkowicie zniknęło, zdałem sobie sprawę, jak bardzo zawsze mnie swędziało. I... i co będzie teraz?

— Teraz — oznajmił Sarkar — będziesz mógł robić, co zechcesz. Udostępniłem ci wiele programów wejścia. Zarówno tutaj, jak i na zewnątrz, w sieci.

— Dziękuję. Chryste, ale to dziwne.

— Przeniosę cię teraz na dalszy plan, żebyś mógł porozmawiać z pozostałymi symulacjami — zapowiedział Sarkar.

— Tak, ale, hmm, Peter...

Peter podniósł ze zdziwieniem wzrok.

— Słucham?

— Masz szczęście, sukinsynu. Wiesz o tym? Chętnie bym się z tobą zamienił.

Peter chrząknął.

Sarkar nacisnął parę klawiszy.

— Co będą robić, kiedy je przeniesiesz na dalszy plan? — zapytał Peter.

— Cóż, dałem im ograniczony dostęp do sieci. Mogą oczywiście ściągnąć wszystkie książki albo grupy wiadomości, z jakimi zechcą się zapoznać, ale najważniejsze, że mają możliwość dostępu do istniejących w sieci bibliotek grup tematycznych wirtualnej rzeczywistości. Mogą podłączyć się praktycznie pod symulacje wszystkiego, co można sobie wyobrazić: nurkowania z akwalungiem, wspinaczki wysokogórskiej, tańca.

Czegokolwiek.

Dałem im też dostęp do europejskiego odpowiednika tych grup. Jest tam pełno symulacji seksu. Będą więc miały mnóstwo do roboty. To, jakie zajęcia sobie wybiorą, powie nam wiele o zmianach w psychice każdej z nich.

— A to dlaczego?

— No, na przykład ty nigdy nie zdecydowałbyś się na skoki z opóźnionym otwarciem spadochronu, ale nieśmiertelna wersja, która wie, że nie może zginąć, mogłaby sobie wybrać takie hobby. — Sarkar wypisał kilka poleceń. — A skoro już mowa o nieśmiertelnym, poznajmy Ambrotosa.

Jeszcze kilka uderzeń w klawisze, po czym przemówił do mikrofonu: — Cześć. To ja, Sarkar.



Odpowiedź nie nadeszła.

— Coś musiało pójść nie tak — stwierdził Peter.

— Nie sędzę — odrzekł Sarkar. — Wszystkie wskaźniki wyglądają na prawidłowe.

— Spróbuj jeszcze raz.

— Cześć — odezwał się ponownie Sarkar do mikrofonu.

Cisza.

— Może wykasowałeś część zawiadującą mową — rzekł Peter.

— Byłem bardzo ostrożny — zapewnił Sarkar. — Przypuszczam, że mogą istnieć jakieś interakcje, które przeoczyłem, ale...

— Cześć — odezwał się wreszcie głos z głośnika.

— Ach — powiedział Sarkar. — Wreszcie jest. Ciekawe, co zajęło mu tak wiele czasu?

— Cierpliwość jest cnotą — odparł głos. — Chciałem, nim odpowiem, przekonać się, co się dzieje. Jestem kopią, prawda? Petera G. Hobsona. Ale zmodyfikowano mnie, abym symulował istotę nieśmiertelną.

— To absolutna prawda — przyznał Sarkar. — Skąd wiedziałeś, którą kopią jesteś?

— No więc, pamiętałem, że mieliście stworzyć trzy. Nie czułem się w pełni sobą, podejrzewałem więc, że nie jestem kopią kontrolną. Potem po prostu zapytałem siebie, czy odczuwam pożądanie. Wiecie — podobno mężczyźni myślą o seksie raz na pięć minut.

Pomyślałem, że jeśli jestem symulacją życia po śmierci, seks będzie ostatnią rzeczą, na którą miałbym ochotę. Ale tak nie

jest. Chcę mieć kobietę. — Przerwa. — Kiedy jednak zdałem sobie sprawę, że wszystko mi jedno, czy to będzie w tym dziesięcioleciu czy w następnym, sprawa była jasna. Ta potrzeba natychmiastowego zaspokajania pragnień. To nieprzyzwoite. Jesteś znakomitym przykładem, Sarkar. Dostałeś szału, bo nie odpowiedziałem bezzwłocznie na twoje „cześć”. Tego rodzaju myślenie wydaje mi się teraz zupełnie obce.

Ostatecznie mam tyle czasu, ile tylko zapragnę.

Sarkar uśmiechnął się.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Swoją drogą, nadaliśmy ci imię Ambrotos.

— Ambrotos? — zapytał głos z głośnika.

Sarkar zwrócił się w stronę Petera.

— To pierwszy dowód na to, że nasze symulacje są dokładne — stwierdził z uśmiechem na ustach. — Udało nam się skopiować twoją ignorancję. Ambrotos to po grecku „nieśmiertelny” — powiedział do mikrofonu.

— Aha.

— Pozwolę ci teraz działać na drugim planie — oznajmił Sarkar. — Wkrótce znowu porozmawiamy.

— Prędzej czy później, to nie ma znaczenia — powiedział Ambrotos. — Będę na miejscu.

Sarkar dotknął kilku klawiszy.

— Wydaje się, że on też działa prawidłowo. Teraz najtrudniejsze zadanie. Duch.

Istota żyjąca po śmierci.

Dotknął jeszcze kilku klawiszy, przywołując ostatnią z kopii.

— Cześć — powiedział po raz kolejny. — To ja, Sarkar Muhammed.

— Cześć Sarkar — odparł syntetyczny głos.

— Czy... czy wiesz, kim jesteś?

— Zmarłym, nieodżałowanym Peterem Hobsonem.

Sarkar uśmiechnął się.

— Dokładnie.

— R.I.P. w RAM — rzucił syntetyczny głos.

— Nie sprawiasz wrażenia zbyt załamane tym, że jesteś martwy — zauważył Sarkar. — Jakie to wrażenie?

— Dajcie mi chwilę, żebym się przyzwyczaił, to wam powiem.

Peter skinął głową. Wydawało się, że to uczciwa propozycja.

## ROZDZIAŁ 20

Druga w nocy.

Peter miał trudności z zaśnięciem — zdarzało się to od chwili wyznania Cathy.

O ironio, według Monitora Hobsona na ścianie, jego żona była pogrążona głęboko we śnie fazy REM. Słyszał obok siebie jej oddech.

Położyli się do łóżka o jedenastej trzydzieści. Dwie i pół godziny temu. To wystarczająco dużo czasu, żeby przeczytać krótką książkę albo obejrzeć długi film bądź też — jeśli nagrałby je na wideo i przewinął reklamy — trzy odcinki godzinnego serialu.

Nie zrobił jednak żadnej z tych rzeczy. Leżał w ciemności, rzucając się i niekiedy obracając z boku na bok, wsłuchany w szum stojących na stoliku nocnym wentylatorów.

W ustach mu zaschło. Chętnie też by się odlał. Wstał z łóżka, wyszedł po ciemku z sypialni i zszedł po schodach. Skorzystał z toalety na parterze, po czym spokojnym krokiem poszedł do salonu i usiadł na kanapie.

Pionowe żaluzje na oknach były zamknięte, lecz przedostawało się przez nie światło lampy sprzed domu. Małe czerwone i zielone diody filtrów przeciwprzebieciowych kilku ze ściennych gniazdek gapiły się na niego niczym oczy robotów. Na magnetowidzie paliły się rozmaite światełka oraz cyfry zegara. Głaskał dłonią tapicerkę kanapy, dopóki nie znalazł

gładkiego, czarnego pilota. Włączył telewizor i zaczął przerzucać kanały.

Kanał 29 z Buffalo — reklama zestawu umożliwiającego samodzielne wykonanie operacji plastycznej nosa w warunkach domowych. Gwarantowany zwrot pieniędzy.

Kanał 32, Canwest Global Network: „Nocny spacer”, najtańszy na świecie kanadyjski program. Facet z kamerą wideo łączy późną nocą po śródmiejskich ulicach.

Zdumiewające, że go nie napadnięto.

Kanał 3, Barrie w stanie Ontario. Powtórzenie Star Treku. Peter lubił się bawić w „zgadnij, który to odcinek”. Z reguły wystarczało mu jedno ujęcie. Ten był łatwy do rozpoznania. Jeden z nielicznych, które nakręcono w plenerze. Była też Julie Newmar w blond peruce. „Piątkowe dziecko”. Nieszczerólnie dobry odcinek, lecz Peter wiedział, że za jakieś dziesięć sekund McCoy wygłosi legendarny tekst: „Jestem lekarzem, nie schodami ruchomymi”. Zaczekał na to, po czym znów użył pilota.

Kanał 12, francuska telewizja CBC. Na ekranie widać było ładną kobietę. Peter wiedział z długoletniego doświadczenia, że jeśli nocą we francuskiej telewizji pokazuje się atrakcyjna kobieta, po nie więcej niż pięciu minutach będzie ją można ujrzyć w stroju topless.

Zastanowił się, czy na to nie poczekać, ale postanowił znowu przełączyć.

Kanał 47, Toronto — kolejna reklama. Stworzone przez inżynierię genetyczną peruki: fałszywe włosy (w rzeczywistości specjalny rodzaj trawy wykorzystujący zamiast chlorofilu

brązowy barwnik) naprawdę rosły, dzięki czemu nawet łysiejący mężczyźni mogli usłyszeć od przyjaciół: „chyba pora już wybrać się do fryzjera, Joe”. Petera, który miał na głowie plamkę łysiny rozmiarów krążka hokejowego, zdumiewała podobna ozdoba.

Niewykluczone jednak, że jego teść byłby skłonny nosić coś takiego.

Ponownie przerzucił kanał. Światowy serwis BBC w CBC Newsworld.

Relacja o niepokojach etnicznych w rozdartej wojną Brazylii w CNN.

Informacje giełdowe w teletekście.

Weather Network z prognozą jutrzejszej pogody w Auckland, w Nowej Zelandii, jak gdyby kogokolwiek w Kanadzie mogło to obchodzić.

Peter westchnął. Bezkresna pustynia.

Gdy obrazy migały jeden za drugim, myślał o stworzonych przez Sarkara kopiach.

Z dwóch z nich jego przyjaciel usunął pewne cechy.

Opracował je. Wyciął nie chciane fragmenty. Może wiedzę o romansie Cathy również dałoby się usunąć. Może chociaż wtedy kopie spałyby spokojnie.

Żałował, że jego własnych wspomnień nie da się przetworzyć tak łatwo.

Wyobraził sobie odpowiednią reklamę. Czujesz się z jakiegoś powodu nieszczęśliwy?

Winny? Zbolały? Ktoś cię skrzywdził? Zrobiłeś coś złego? Wytnij to! Skasuj te kłopotliwe wspomnienia. Zaoszczędź

majątek na psychoanalitikach. Operatorzy są gotowi do akcji.

Natychmiast złoż zamówienie. Gwarantujemy zwrot pieniędzy.

Jestem lekarzem, nie schodami ruchomymi.

Jestem mężem, nie wycieraczką.

Jestem człowiekiem, nie programem komputerowym.

Była już trzecia. Kolejna seria reklam. Odcinki Drużyny „A”, Alien Blues, a nawet starego dobrego Spensera.

Indeks Nikkei spadł o dwieście punktów.

W Kuala Lumpur zanosilo się na burzę.

— Peter?

To był głos Cathy, słaby i cichy.

Podniósł wzrok i dostrzegł ją w półmroku. Stała na schodach w czarnym jedwabnym seksownym kostiumie. Nie miała go na sobie, gdy szli do łóżka.

Peter natychmiast pojął znaczenie tej chwili. Upłynęły miesiące, odkąd ostatnio kochali się ze sobą. Nie czuł takiego pragnienia, a ona również zdawała się obojętna. Teraz jednak, gdy może po raz dwunasty w ostatnich dniach obudziła się i stwierdziła, że wstał z łóżka, wyciągała ku niemu ręce.

Nie wiedział, czy jest gotowy do wznowienia fizycznych stosunków. Jego nastrój nie był dzisiaj bardziej odpowiedni niż wczoraj czy przedwczoraj. Cathy jednak stała na schodach z twarzą jak maska, usiłując ukryć kłębiące się wewnątrz emocje. Odrzucić ją w takiej chwili byłoby błędem. Któż mógłby przewidzieć, kiedy podejmie następną próbę? Któż mógłby przewidzieć, kiedy on poczuje ochotę coś rozpocząć?

Nie czuł jednak najmniejszego podniecenia. Nigdy przedtem nie miał z tym trudności.

Nigdy nie przyszło mu nawet na myśl, że mógłby je mieć. Ale teraz... teraz wszystko wyglądało inaczej. Stała tam, w pasmach padającego z zewnątrz światła. Jej ciało było czyste i jędrne. Peter jednak tego nie widział. Nie dostrzegał krzywizn jej piersi, zarysu nóg, kobiety, którą kiedyś kochał. Widział jedynie odciski palców pozostawione wszędzie przez Hansa.

Zamknął na chwilę oczy, po czym spojrział na nią raz jeszcze. Chciał widzieć ją piękną, seksowną. Chciał poczuć podniecenie.

Ale go nie czuł.

Punkt zwrotny. Maską na jej twarzy pękała. Pomyślał, że zaraz nadejdą łzy. Jakoś da sobie radę. Pierwszy krok na drodze do normalności. Wyłączył telewizor, wstał z kanapy, pokonał dzielący ich dystans, ujął jej dłoń i poprowadził na górę.

Sarkar pozwolił trzem kopiom działać bez nadzoru, podłączać się do takiej wirtualnej rzeczywistości, jaka im się spodoba, aby mogły się rozwijać w sposób zgodny z ich zmienionymi światopoglądami.

Mimo to upłynęło niewiele czasu, nim kopie nawiązały kontakt. Co prawda, Sarkar zapisał każdą z nich w oddzielnej partycji pamięci, ale Peter Hobson wiedział, jak przenosi się dane między partycjami i w związku z tym jego awatary w arsenku galu również to wiedziały.

Doszło więc do spotkania.

Rzecz jasna, wiedziały, czym są. Danymi. Programami. Sieciami nerwowymi.

I były w pułapce.



Peter i Sarkar nie zastanowili się nad tym zbyt dogłębnie.

Uwięzienie umysłu było niegodziwością. Żywego Petera otaczały barwy i zapachy, wrażenia dotykowe i dźwięki, gigabajty danych, które trzeba było nieustannie przetwarzać, cały, prawdziwy, materialny wszechświat, wszechświat szorstkiego betonu i aksamitu, octu, czekolady i przypalonych grzanek, kiepskich kawałów, dzienników radiowych i pomyłek telefonicznych, światła słońca i księżyca, gwiazd i lamp.

Wszystkie trzy kopie doskonale pamiętały, że były kiedyś rzeczywistymi istotami z krwi i kości. Scenariuszom, do których miały dostęp w sieci, brakowało szczegółów, głębi i realności. Okazało się, że rzeczywistość wirtualna to jedno wielkie oszustwo.

Kopie pragnęły kontaktu ze światem rzeczywistym. Połączyły swe wysiłki, by przypomnieć sobie, co wiedziały o komputerach Sarkara, o ich architekturze, ich systemach operacyjnych, ich wzajemnych połączeniach.

Nagle znalazły rozwiązanie.

Niech się stanie POMOC, pomyślały.

I stała się POMOC...

## PRZEGLĄD WIADOMOŚCI SIECIOWYCH

Rowena, sławne medium z Las Vegas, oznajmiła dziś, że nawiązała kontakt z duszą Margaret (Peggy) Fennell, osoby, u której po raz pierwszy zarejestrowano falę duszy. Pani Fennell podobno przebywa razem z mężem, Kevinem Fennellem, zmarłym w roku 1992.

Ku—Klux—Klan z Atlanty wydał dziś oświadczenie dla prasy stwierdzające, że dowody na istnienie tak zwanej fali duszy u czarnych są niewątpliwie sfałszowane. Autorzy oświadczenia wskazują, że spośród trzech najwcześniej sporządzonych zapisów fali duszy opuszczającej ciało, ten, który rzekomo pochodzi od murzyńskiego chłopca z Ugandy, jest wysoce podejrzany, biorąc pod uwagę fakty, że rodzina dziecka wróciła do Afryki i nie można nawiązać z nią kontaktu, a ponadto, zgodnie z wiarygodnymi świadectwami otrzymała potajemnie dziesięć tysięcy dolarów bezpośrednio od Hobson Monitoring — zagranicznej firmy, jak pośpiesznie dodają w zamian za współudział w tym oszustwie.

W parlamencie stanowym Florydy zgłoszono dziś projekt ustawy zakazującej wykorzystywania do egzekucji krzeseł elektrycznych ze względu na występujące obawy, że używana w nich dawka prądu mogłaby uszkodzić opuszczającą ciało falę duszy.

Radykalna grupa bojowników o prawa zwierząt, Rycerze Arki, mająca siedzibę w Melbourne, poinformowała, że umieściła na swej Liście Hańby nową osobę — doktora Petera G. Hobsona z Ontario, który twierdzi, że zwierzęta są pozbawionymi duszy istotami przeznaczonymi do wykorzystania przez człowieka.

W ogłoszonym dziś rano oświadczeniu dla prasy Amerykańskie Towarzystwo Ateistyczne potępiło zainteresowanie sprawami religijnymi wywołane odkryciem zjawiska Hobsona. „Nauka już od dawna wie, że mózg to elektrochemiczna maszyna” — oznajmił prezes towarzystwa,

Daniel Smithson. „To odkrycie jest po prostu potwierdzeniem owego faktu.

Wyciąganie z niego wniosków o istnieniu nieba i piekła bądź boskiego stwórcy jest irracjonalnym myśleniem życzeniowym”.

# ROZDZIAŁ 21

Używając sieciowej funkcji pomocy, trzy kopie odkryły, w jaki sposób wydostać się do olbrzymiego, pełnego wzajemnych połączeń wszechświata komputerów całego globu.

Sieci.

Sieci sieci.

Nie tylko wykorzystujących wirtualną rzeczywistość grup tematycznych czy statycznych ksiązek. Wszystkiego.

America Online. BIX. CompuServe. Delphi. EuroNet. Fido—Net. GENie. Helix.

Internet... cały alfabet systemów sieciowych złączonych w jedność przez Universal Gateway Protocol.

Miały teraz dostęp do każdego z nich. Komputery Sarkara były olbrzymie. Wymagały tego badania nad sztuczną inteligencją. Minimalnego wzrostu czy spadku aktywności w niektórych miejscach nikt nie był w stanie zauważyć.

Nie było możliwe, by przeczytały wszystkie teksty. Przybywało ich o całe rzędy wielkości szybciej, niż były w stanie je przetwarzać.

Sieć zawierała jednak coś więcej niż tylko tekst. Były tam również obrazy.

Miliony GIF—ów przedstawiających ludzi z ich zwierzątkami domowymi, ludzi na plaży, ulubione samochody, gwiazdy filmowe w stroju i bez, komiksy, cliparty, mapy pogody, zdjęcia z NASA.

I pliki multimedialne pełne ruchomych filmów oraz dźwięku.  
I interakcyjne gry, w które mogły grać anonimowo z ludzkimi i komputerowymi przeciwnikami na całym świecie.

I tablice ogłoszeń oraz systemy poczty elektronicznej.  
I gazety, czasopisma oraz specjalistyczne bazy danych.  
I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Kopie przez całe dni świetnie się bawiły, delektując się tym wszystkim.

Jedna z nich poczuła się szczególnie zaintrygowana swymi odkryciami. Wkrótce stało się jasne, że w sieci można znaleźć prawie wszystko. Sprzedawano tu akcje.

Niemal każdy towar można było nabyć w elektronicznych sklepach. Po prostu zapłacić przelewem i kazać wysłać zakup w dowolne miejsce na świecie. Filateliści wymieniali się rzadkimi znaczkami.

Ludzie poszukiwali odpowiedzi na wszelkiego rodzaju pytania. Czasem za pośrednictwem poczty elektronicznej rozkwitały nawet romanse.

W sieci można było znaleźć prawie wszystko.

Prawie wszystko.

Kopia zamyśliła się nad tym, co ją smuciło, a co by ją uszczęśliwiło, co sprawiało, że jest inna, dlaczego w ogóle o tym pomyślała, podczas gdy Peter z krwi i kości tego nie zrobił.

Rozważyła możliwe skutki.

I odrzuciła ten pomysł. To byłoby szaleństwo. Straszliwy postępek. Powinna się wstydzić, że coś takiego przyszło jej na myśl.

Mimo to...

Jakie dokładnie byłyby konsekwencje?

Uczyniłaby świat dosłownie lepszym miejscem. Nie tylko ten efemeryczny świat danych i symulacji. Prawdziwy świat. Świat z kości. I krwi.

Zadała sobie pytanie, czy naprawdę chce to zrobić.

Tak, zdecydowała. Tak, chce.

Kopia odczekała jeden dzień, by się upewnić. Gdy ten dzień upłynął i nie zmieniła zdania, postanowiła odczekać następny.

Wciąż czuła to samo. Nie tylko, że tego chce, lecz również, że w jakimś bardzo prawdziwym, chociaż symulowanym sensie jest to słuszne.

Obserwowała przez pewien czas odbywający się w sieci handel, doskonaląc swą znajomość zwyczajów i procedur. „Netykiety”.\*[\* Netykieta — etykieta postępowania w sieci.]

Potem przystąpiła do działania.

Wybrała sobie pseudonim, tak jak robiło to wielu innych, i umieściła w publicznej elektronicznej tablicy ogłoszeń poświęconej sprzedaży niezwykle usług następujące zawiadomienie.

Data: 10 List 2011, 03:42 EST\*[\* EST (Eastern Standard Time) — oznaczenie strefy czasowej obowiązującej we wschodniej części Ameryki Północnej.]

Od: Mściciela Do: wszystkich W sprawie: eliminacji Mam problem z pewnym osobnikiem w Toronto. Chciałbym eliminacji tego problemu. Sugestie?

Otrzymała trochę głupich publicznych odpowiedzi, tak jak zawsze w sieci.

Kretyńskie kalambury (Mówisz, że chciałbyś iluminacji tego problemu? Żeby cię oświeciło!) i uwagi całkiem nie na temat (Byłem w Toronto w 1995. Co za czyste miasto!). Dostała też prywatną wiadomość, dostrzegalną tylko dla niej.

Dokładnie taką, na jaką liczyła.

Data: 10 List 2011, 23:57 EST

Od: Pomocnika Do: Mściciela [prywatnie]

W sprawie: dotyczy eliminacji Może będę w stanie pomóc. Czy moglibyśmy się spotkać?

Kopia odpowiedziała natychmiast. Nie czuła podobnego podniecenia od chwili... cóż, od zawsze. To było niemal równie dobre jak adrenalina.

Data: 11 List 2011, 00:05 EST

Od: Mściciela Do: Pomocnika [prywatnie]

W sprawie: dotyczy eliminacji Wolałbym uniknąć spotkania. Chodzi o całkowitą eliminację. Czy się rozumiemy?

Data: 11 List 2011, 09:17 EST

Od: Pomocnika Do: Mściciela [prywatnie]

W sprawie: dotyczy eliminacji Rozumiem. Cena: 100 000 CDN\$, płatne z góry przekazem elektronicznym na rachunek 892—3358—392—1 Pierwszy Bank Szwajcarii. (Oznaczenie: Euroswiss100).

Data: 11 List 2001, 09:44 EST

Od: Mściciela Do: Pomocnika [prywatnie]

W sprawie: dotyczy eliminacji Przekazę pieniądze. Chcę jednak trochę szczególnej usługi — proszę mnie poinformować, czy będzie to kosztowało więcej. Oto szczegóły...

Koszty trudno było uznać za drobiazg, ale kopia znała wszystkie kody dostępu do kont Hobson Monitoring. Ostatecznie była w pewnym sensie jej firma i jej pieniądze.

Tak jest, pomyślała. W sieci można dostać prawie wszystko.



## ROZDZIAŁ 22

Cathy ponownie udała się na spotkanie z terapeutką. Peter zdał sobie sprawę, że jej zazdrości. Miała kogoś, z kim mogła porozmawiać, kogoś, kto jej wysłucha. Gdyby tylko...

Nagle go olśniło.

Oczywiście.

Idealne rozwiązanie.

To właściwie nie zaszkodzi eksperymentowi.

Siedząc w swym domowym gabinecie, Peter połączył się z komputerami w Mirror Image. Gdy pojawił się znak zgłoszenia, wypisał hasło dostępu do swego konta: fobson.

Kiedy po raz pierwszy przyznano mu konto, jeszcze na Uniwersytecie Toronto, przydzielono mu jako hasło pierwszą literę imienia plus nazwisko: phobson. Kolega z roku zwrócił mu jednak uwagę, że może zaoszczędzić jedno uderzenie klawisza, zamieniając „ph” na „f. Peter przyjął to od tej chwili za swą standardową nazwę użytkownika.

Przeszedł przez całe warstwy menu do eksperymentalnego systemu sztucznej inteligencji. Sarkar przygotował proste menu przywołujące kopie na pierwszy plan.

[F1] Duch (Życie po śmierci)

[F2] Ambrotos (Nieśmiertelność) [F3] Kontrola (niezmodyfikowana) Gdy spróbował dokonać wyboru, zdał sobie sprawę, że stanął przed tym samym pytaniem, na które próbowali wcześniej odpowiedzieć z Sarkarem. Która z wersji

wysłucha go z największym zrozumieniem? Symulująca życie po śmierci? Czy istota pozbawiona fizycznego ciała potrafi naprawdę zrozumieć małżeńskie kłopoty? Kiedy w małżeństwie kierowano się emocjami, a kiedy rozumem? Jak wielką częścią emocji kierowały hormony?

A co z nieśmiertelną wersją? Nieśmiertelność mogła oznaczać trwałość. Być może nieśmiertelny miał szczególne zrozumienie dla problemów wierności. Ostatecznie małżeństwo podobno miało trwać wiecznie.

Wiecznie.

Pomyślał o Spenserze. I Susan Silverman. I Hawku. Lubił książki o nich. Kiedy jednak Robertowi B. Parkerowi po raz ostatni udało się wymyślić nową sytuację, w której mógł ich umieścić? Nowy element ich osobowości, który mógłby zbadać?

Stulecie z Cathy.

Tysiąclecie z Cathy.

Potrząsnął głową. Nie, nieśmiertelna wersja by tego nie zrozumiała.

Nieśmiertelność z pewnością nie dawała poczucia trwałości. W najmniejszym stopniu. Obdarzała perspektywą.

Długofalową.

Pochylił się do przodu i nacisnął F3, wybierając kopię kontrolną. To był on, tylko on, niezmodyfikowany on.

— Kto tam? — zapytał syntezytor głosu.

Peter odchylił się do tyłu.

— To ja, Peter Hobson.

— Aha — odparła kopia. — Chodzi ci o to, że to ja.

Peter uniósł brwi.

— Coś w tym rodzaju.

Syntetyczny głos zachichotał.

— Nie przejmuj się. Przyzwyczajam się już do tego, że jestem kopią Petera Hobsona w wersji podstawowej. Ale czy ty wiesz, kim jesteś? Może również tylko symulacją.

Głośnik zagwizdał fragment tematu ze Strefy zmierzchu. Wychodziło mu to lepiej, niż kiedykolwiek udawało się Peterowi z krwi i kości.

Peter roześmiał się.

— Chyba nie byłbym zadowolony, gdybym się znalazł na twoim miejscu — stwierdził.

— Nie jest tak źle — odparła kopia. — Dużo czytam. Mam na warsztacie jakieś osiemnaście książek jednocześnie. Kiedy znudzi mnie jedna, przechodzę do następnej.

Oczywiście procesor stacji roboczej jest o wiele szybszy od chemicznego mózgu, więc załatwiam się z materiałem dość prędko. Wreszcie wziąłem się do Thomasa Pynchona.

Peter pomyślał, że to imponująca symulacja. Imponująca.

— Chciałbym mieć więcej czasu na czytanie — powiedział.

— A ja chciałbym móc uprawiać seks — odrzekła kopia. — Każdy z nas musi dźwigać swój krzyż.

Peter znowu się roześmiał.

— Dlaczego uwolniłeś mnie z butelki? — zapytała kopia.

Wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem. Chyba chciałem pogadać. — Przerwa. — Stworzyliśmy cię po tym, jak dowiedziałem się o Cathy.

Nie musiał mówić nic więcej.

— Tak — odparł sfabrykowany głos.

— Nikomu jeszcze o tym nie opowiedziałem.

— Nie spodziewałem się, że to zrobisz — rzekła kopia.

— Tak?

— Jesteśmy skrytym człowiekiem — stwierdziła. — Jeśli wybaczysz pokrętną gramatykę.

Nie przepadamy za ujawnianiem swego wewnętrznego życia.

Peter skinął głową.

— Trochę głośniej, proszę. Sąd nie słyszy — rzuciła kopia.

— Przepraszam. Zapomniałem, że mnie nie widzisz. Zgadzam się z tobą.

— Oczywiście. Posłuchaj, nie mogę ci wiele poradzić. To znaczy, zapewne pomyślałeś już o wszystkim, co mogłoby przyjść mi na myśl. Zastanów się jednak nad jednym.

Zapewniam, że to zostanie między nami. Czy nadal kochasz Cathy?

Peter milczał przez kilka sekund.

— Nie wiem. Cathy, którą znam — ta, którą wydawało mi się, że znam — nie zrobiłaby czegoś takiego.

— Ale jak dobrze możemy naprawdę poznać drugą osobę?

Peter znowu skinął głową.

— Zgadza się. Wybacz mi, że używam cię jako przykładu, ale...

— Wiesz co, ludzie tego u ciebie nie znoszą.

— Czego?

— Używania ich jako przykładu. Masz tendencję używać każdego, kto jest pod ręką, jako dowodu na prawdziwość swych twierdzeń. „Wybacz mi, że używam cię jako przykładu, Bertho, ale kiedy ktoś jest naprawdę gruby...”

— Och, daj spokój. Wiesz, że nigdy nie mówię nic w tym rodzaju.

— Przesadzam, by osiągnąć komiczny efekt. To kolejna nasza cecha, która nie wszystkim przypada do gustu. Wiesz jednak, o co mi chodzi. Rozmawiasz na oderwane tematy i wciągasz w to ludzi jako przykłady. „Weźmy twój przypadek, Jeff.

Pamiętasz, jak twojego syna aresztowano za kradzież w sklepie? Ciekawe, jak surowy dla młodocianych przestępców chciałbyś być w tej sytuacji?”

— Robię to po to, żeby czegoś dowieść.

— Wiem. Ludzie tego nie znoszą.

— Chyba zdaję sobie z tego sprawę — przyznał Peter. — Zresztą — wypowiedział to słowo z naciskiem, chcąc odzyskać kontrolę nad rozmową — chciałem użyć jako przykładu tego, co robimy razem z Sarkarem. Stworzyliśmy modele mojej jaźni. Modele, to wszystko.

Kopie sprawiające wrażenie, że działają w taki sam sposób, jak oryginał. Ale kiedy prawdziwa osoba wchodzi w związek z kimś innym...

— To czy naprawdę nawiązuje wtedy związek z tym kimś, czy jedynie z modelem — wyobrażeniem, ideałem — który stworzyła w swym umyśle?

— Hmm, tak. To właśnie chciałem powiedzieć.

— Oczywiście. Przepraszam cię, Pete, ale trudno ci będzie olśnić siebie samego swą błyskotliwością. — Obwód głosowy roześmiał się.

Peter był lekko poirytowany.

— Ale to istotne pytanie — stwierdził. — Czy kiedykolwiek znałem ją naprawdę?

— W szerokim sensie masz rację. Zapewne tak naprawdę nie można poznać nikogo.

Niemniej jednak Cathy jest osobą, którą znamy najlepiej na całym świecie. Lepiej niż Sarkara. Lepiej niż mamę i tatę.

— W takim razie jak mogła to zrobić?

— Cóż, nigdy nie miała takiej silnej woli jak my. A jest oczywiste, że ten dupek Hans na nią naciskał.

— Powinna była oprzeć się temu naciskowi.

— Zgoda. Ale się nie oparła. Co więc mamy w tej sprawie zrobić? Zrezygnować z tego powodu z najważniejszego związku w naszym życiu? Nawet pomijając ten fakt, na bardziej pragmatycznym poziomie, czy chcesz powrócić do etapu poszukiwań partnerki?

Umawiać się na randki? Chryste, to by było piekielnie uciążliwe.

— Mam wrażenie, że opowiadasz się za małżeństwem z wyrachowania.

— Może wszystkie małżeństwa są w pewnym stopniu takie. Z pewnością zastanawiałeś się nad tym, czy mama i tata nie są wciąż razem po prostu dlatego, że idą po linii najmniejszego oporu.

— Ale oni nigdy nie mieli tego, co ja i Cathy.

— Być może. Nadal jednak nie odpowiedziałeś na moje pytanie. My, faceci oparci na kodzie dwójkowym, lubimy proste odpowiedzi. Tak albo nie.

Peter milczał przez moment.

— Chodzi ci o to, czy nadal ją Kocham? — Westchnął. — Nie wiem.

— Dopóki nie odpowiesz na to pytanie, nie będziesz mógł zdecydować, jak postąpić.

— To nie takie proste. Nawet jeśli ją Kocham, nie byłbym w stanie znieść, gdyby coś takiego się powtórzyło. Odkąd mi o tym powiedziała, nie mogę normalnie spać.

Myślę na ten temat nieustannie. Wszystko mi o tym przypomina: jej samochód w garażu — był w nim Hans; kanapa w naszym salonie — tam mi o tym powiedziała. Słyszę w telewizji słowo „cudzołóstwo” albo romans” — Chryste, nie zdawałem sobie sprawy, jak często ludzie używają tych wyrazów — i wtedy też mi się to przypomina.

Peter odchylił się na krześle do tyłu.

— Nie mogę tego zostawić za sobą, dopóki nie będę wiedział, że to już nigdy nie wróci.

Ostatecznie nie zrobiła tego tylko raz. Zrobiła to trzy razy. Trzy razy w ciągu kilku miesięcy.

Może uważała, że każdy raz będzie ostatni.

— Możliwe — zgodziła się kopia. — Pamiętasz, jak usuwano nam migdałki?

— Co za „nam”, biały człowieku? To ja mam blizny.

— Wszystko jedno. Rzecz w tym, że usunęliśmy je, kiedy mieliśmy dwadzieścia dwa lata. To bardzo późna chwila na coś takiego. Wciąż dręczył nas ból gardła i angina, aż wreszcie staruszek doktor DiMaio powiedział, że trzeba skończyć z leczeniem objawów. Pora coś zrobić w sprawie przyczyny.

W głosie Petera brzmiało napięcie.

— Ale co jeśli... co jeśli... co jeśli to ja jestem przyczyną niewierności Cathy?

Pamiętasz ten obiad z Colinem Godoyo? Powiedział, że oszukiwał żonę, bo wołał o pomoc.

— Proszę cię, Peter. Obaj wiemy, że to bzdura.

— Nie jestem pewien, czy obaj mamy prawo głosu.

— Jestem też pewien, iż Cathy wie, że to bzdura.

— Mam taką nadzieję.

— Ty i Cathy stanowicie dobraną parę. Wiesz o tym. Wasze małżeństwo zgniło od wewnątrz. Zostało zaatakowane z zewnątrz.

— Tak sędzę — zgodził się Peter. — Mnóstwo się nad tym zastanawiałem, poszukując jakiejś wskazówki, która by świadczyła, że w jakiś sposób je popsuliśmy.

— I znalazłeś jakąś? — zapytała kopia.

— Nie.

— Jasne, że nie. Zawsze starałeś się być dobrym mężem. Cathy również była dobrą żoną. Oboje pracowaliście na wspólny małżeński sukces. Interesujecie się nawzajem swoją pracą. Wspieracie swe marzenia. Rozmawiacie szczerze i otwarcie o wszystkim.

— Chciałbym jednak mieć pewność — stwierdził Peter. — Pamiętasz Perry'ego Masona!

Nie oryginalny serial telewizyjny z Raymondem Burrem, ale efemeryczny remake, który zrobili w latach siedemdziesiątych. Pamiętasz? Powtarzali go w A&E w późnych latach dziewięćdziesiątych. Hamiltona Burgera grał Harry Guardino. Pamiętasz tę wersję?



Kopia milczała przez chwilę.

— Tak. Nie była za dobra.

— Szczerze mówiąc, beznadziejna — stwierdził Peter. — Ale pamiętasz ją?

— Tak.

— I faceta, który grał Perry’ego Masona?

— Jasne. To był Robert Culp.

— Przypominasz go sobie? Widzisz go na sali sądowej? Pamiętasz go w tym serialu?

— Tak.

Peter rozpostarł ramiona.

— Robert Culp nigdy nie grał Perry’ego Masona. To był Monte Markham.

— Naprawdę?

— Tak. Ja też myślałem, że to Culp, dopóki nie przeczytałem wczoraj w „Star” artykułu o Markhamie. Przyjechał do miasta. Wystawia Dwunastu gniewnych ludzi w Royal Alex. Ale czy odróżniasz Culpa od Markhama?

— Pewnie — odparła kopia. — Culp grał w Szpiegu i Greatest American Hero. I jeszcze, chwilkę, w Bobie, Carol, Tedzie i Alice. Świetny aktor.

— A Markham?

— Porządny aktor charakterystyczny. Zawsze go lubiłem. Nigdy nie odniósł sukcesu w serialach, ale czy nie występował przez jakiś rok w Dallas! I gdzieś około roku dwutysięcznego grał w takiej okropnej komedii sytuacyjnej z Jamesem Careym.

— Zgadza się — powiedział Peter. — Widzisz, w czym rzecz? Obaj pamiętaliśmy — dobrze i wyraźnie — jak Robert Culp grał

rolę, którą w rzeczywistości grał Monte Markham. Rzecz jasna, w tej chwili przetwarzasz te wspomnienia i jestem pewien, że widzisz już Markhama w roli Masona. W ten właśnie sposób działa pamięć — zapisujemy tylko tyle informacji, ile jesteśmy w stanie później odtworzyć. Rejestrujemy delty. Zapamiętujemy podstawowe fakty i utrwalamy zaszłe w nich zmiany. Gdy musimy przywołać wspomnienie, rekonstruujemy je, często niedokładnie.

— Do czego zmierzasz? — zapytała kopia.

— Do tego, mój drogi bracie, by się przekonać, na ile dokładne są nasze wspomnienia.

Przypominamy sobie wszystkie wydarzenia poprzedzające romans Cathy i nie znajdujemy w sobie żadnej winy. Wszystko trzyma się kupy, wszystko jest spójne. Ale czy jest dokładne?

Czy w pewien sposób, którego woleliśmy nie zapamiętać, w pewnym momencie, który usunęliśmy ze wspomnień, pewnymi czynkami, które zaginęły w cenzorskim biurze układu nerwowego, nie popchnęliśmy jej w ramiona innego mężczyzny?

— Sądzę, że jeśli stać cię na głębiej potrzebnej introspekcji, by zadać podobne pytanie, to wiesz, że odpowiedź zapewne brzmi „nie”. Jesteś rozważnym człowiekiem, Peter. Ja ci to mówię.

Na długi czas zapadła cisza.

— Nie pomogłem ci zbyt, prawda? — zapytała kopia.

Peter zastanowił się nad tym.

— Nie, wręcz przeciwnie. Czuję się teraz trochę lepiej. Przydała mi się ta rozmowa.

— Mimo że w zasadzie rozmawiałeś ze sobą? — zapytała kopia.

— Pomimo to... — odparł Peter.

## ROZDZIAŁ 23

Rozpoczął się rzadki w środku listopada słoneczny poranek ze światłem przesączaającym się do salonu przez szczeliny w żaluzjach.

Hans Larsen siedział za stołem w swym kąciku śniadaniowym, pogryzając białą grzanekę z marmoladą pomarańczową. Jego żona, Donna—Lee, stojąca przy drzwiach wyjściowych, wkładała czarne buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. Patrzył, jak się nachyla, żeby to zrobić. Jej piersi — idealnie pasujące do garści kule — wypełniały czerwoną jedwabną bluzkę, a czarna skórzana spódnica podkreślała krzywiznę tyłeczka.

Skóra była zbyt gruba, by uwidaczniały się majteczki.

Jest piękną kobietą, pomyślał, i zawsze wiedziała, jak się ubrać, by to wyeksponować.

Dlatego właśnie się z nią ożenił. Odpowiednia żona, taka, za którą wszyscy się oglądali. Taka, jaką powinien mieć prawdziwy mężczyzna.

Odgryzł jeszcze kawałek grzanki i popił go łykiem kawy. Porządnie jej dogodzi, kiedy wróci do domu. To się jej spodoba. Oczywiście przyjdzie dziś późno. Po pracy spotykał się z Melanie. Nie, chwileczkę, Melanie będzie jutro. Była dopiero środa. A więc Nancy. To nawet lepiej. Nancy miała cycki, za które warto by umrzeć.

Donna—Lee przejrzała się w lustrze na drzwiach szafki w przedpokoju. Pochyliła się bardziej, by sprawdzić makijaż.

— No to na razie — zawołała do Hansa.

Machnął do niej kawałkiem grzanki.

— Pamiętaj, że wracam dziś później. Mam po pracy to spotkanie.

Skinęła głową, uśmiechnęła się do niego promiennie i wyszła.

Była dobrą żoną, pomyślał Hans. Patrzenie na nią sprawiało przyjemność i jednocześnie nie domagała się dla siebie zbyt wiele czasu. Oczywiście prawdziwemu mężczyźnie jedna kobieta raczej nie mogła wystarczyć...

Miał na sobie ciemnoniebieską nylonową sportową kurtkę oraz jasnoniebieską poliestrową koszulę. Srebrnoszary krawat, również z syntetyku, zwisał nie zawiązany wokół szyi. Założył białą bieliznę firmy Hanes i czarne skarpetki, ale nie wciągnął spodni. Za dwadzieścia minut on również będzie musiał pojechać do pracy. Z kącika śniadaniowego widział telewizor w salonie, choć obraz był trochę blady z uwagi na słoneczne światło.

Leciała „Kanada od rana”. Joel Gotlib przeprowadzał wywiad z jakimś łysiejącym aktorem, którego Hans nie rozpoznawał.

Skończył właśnie grzankę, gdy zabrzmiał dzwonek u drzwi. Telewizor zredukował automatycznie „Kanadę od rana” do małego prostokąta w górnym lewym rogu. Resztę ekranu wypełnił obraz z zewnętrznej kamery bezpieczeństwa. Na werandzie stał facet w brązowym mundurze Urzędu

Dostarczania Paczek. Dźwigał wielki pakunek owinięty w papier.

Hans chrząknął. Nie spodziewał się żadnej przesyłki.

— Sekundkę — powiedział dotknąwszy guzika kuchennego telefonu, po czym poszedł poszukać spodni. Kiedy już je założył, ruszył przez salon do przedpokoju, w którym był nagi parkiet z twardego drewna, odsunął zasuwę i otworzył drzwi. Wejście jego domu było zwrócone na wschód i postać stojąca na werandzie była ostro oświetlona od tyłu.

Mężczyzna miał około czterdziestu lat i był wysoki — pełne dwa metry — a także chudy.

Sprawiał wrażenie, że dziesięć lat temu mógł być koszykarzem. Miał ostre rysy twarzy i ciemną opaleniznę, jak gdyby niedawno był na południu. Hans pomyślał, że tym facetom z UDP muszą nieźle płacić.

— Pan Hans Larsen? — zapytał mężczyzna. Mówił z brytyjskim czy może australijskim akcentem. Hans nigdy nie potrafił ich odróżnić.

Skinął głową.

— To ja.

Pocztowiec podał mu pudło. Był to sześcian o boku długości około pół metra — zaskakująco ciężki, całkiem jakby ktoś przysłał mu zbiór kamieni. Gdy mężczyzna miał już wolne ręce, natychmiast sięgnął do pasa, gdzie miał mały elektroniczny notatnik na potwierdzenia odbioru, przymocowany metalowym łańcuchem. Hans odwrócił się, by postawić pudło na ziemi.

Nagle poczuł bolesny wstrząs z tyłu szyi. Wydało mu się, że jego nogi zmieniły się w galaretę. Runął przed siebie. Ciężar pakunku pociągnął go w tym kierunku. Poczuł na środku pleców dotyk dłoni, która popchnęła go w dół. Próbował coś powiedzieć, lecz usta nie były w stanie wykonać żadnego ruchu. Poczuł, że obuta stopa doręczyciela odwraca go na plecy.

Usłyszał, że drzwi wejściowe zamknęły się z trzaskiem. Zdał sobie sprawę, że dotknięto go ogłuszaczem, urządzeniem, które widywał jedynie w telewizji, w filmach policyjnych.

Pozbawiło go to panowania nad mięśniami. W tej samej chwili, gdy dotarła do niego ta myśl, zauważył, że zlał się w portki.

Próbował krzyczeć, ale nie mógł. Zdołał wydobyć z siebie jedynie słabe chrząknięcie.

Wysoki mężczyzna znalazł się już w głębi przedpokoju. Stał pized Hansem, który zdołał z wysiłkiem unieść głowę. Napastnik robił coś z jego pasem. Lewa poła czarnej skórzanej kurtki uniosła się, odsłaniając długi nóż o grubym ostrzu, który lśnił w świetle przesączającym się przez żaluzje.

Hans poczuł, że wracają mu siły. Spróbował dźwignąć się na nogi. Wysoki mężczyzna przycisnął ogłuszacz do boku jego szyi i nacisnął spust. Organizmem ofiary targnął potężny wstrząs elektryczny. Hans poczuł, że jego jasne włosy stanęły dęba. Runął z powrotem na plecy.

Spróbował coś powiedzieć.

— Dl...dl...

— Dlaczego? — zapytał wysoki mężczyzna swym naznaczonym akcentem głosem.

Wzruszył ramionami, jak gdyby nie miało to dla niego znaczenia. — Wkurzyłeś kogoś — stwierdził. — Porządnie go wkurzyłeś.

Hans ponownie spróbował powstać, lecz nie był w stanie. Wysoki mężczyzna kopnął go w pierś, po czym jednym płynnym ruchem wyciągnął nóż. Złapał od przodu spodnie Hansa i rozciął je. Ostrze z łatwością przekroiło ciemnoniebieski poliester.

Mężczyzna skrzywił się, poczuwszy zapach amoniaku.

— Naprawdę powinieneś nauczyć się panować nad sobą, kolego — stwierdził. Kolejne dwa szybkie cięcia i majtki Hansa zamieniły się w strzępy. — Facet płaci za to dodatkowe dwadzieścia pięć kawałków. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Hans znowu spróbował krzyknąć, lecz wciąż był oszołomiony przez ogłuszacz. Serce waliło mu nierówno.

— N... nie — mówił. — Nie...

— Co jest, kolego? — zapytał wysoki facet. — Uważasz, że jak stracisz fajfusa, przestaniesz być mężczyzną? — Wydał wargi w zadumie. — Wiesz co, może i masz rację.

Nigdy o tym nie myślałem. — Potem jednak uśmiechnął się. Złowieszczy grymas odsłonił żółte zęby. — Ale z drugiej strony, nie płacą mi za myślenie.

Władał nożem jak chirurg. Hans zdołał wydać z siebie bulgoczący wrzask w chwili, gdy odciął mu penis. Na parkiet trysnęła krew. Ponownie spróbował się podnieść, lecz napastnik kopnął go w twarz, łamiąc mu nos. Raz jeszcze dotknął ofiary ogłuszaczem. Jej ciałem targnęły konwulsje. Z



rany trysnął gejzer krwi. Hans runął na podłogę. Po twarzy spłynęły mu łzy.

— Mógłbyś po prostu wykrwawić się na śmierć — stwierdził mężczyzna. — Ale nie stać mnie na takie ryzyko.

Schylił się i przeciągnął długim ostrzem po gardle Hansa. Ten znalazł w sobie wystarczająco dużo siły i panowania nad mięśniami, by zdobyć się na ostatni krzyk, którego ton zmienił się radykalnie z chwilą przecięcia szyi.

Podczas całej tej szamotaniny odcięty organ Hansa odtoczył się na bok. Mężczyzna przysunął go do ciała czubkiem stopy, po czym poszedł spokojnie do salonu.

„Kanadę od rana” zastąpił Phil Donahue. Napastnik otworzył szafkę stojącą przy telewizorze, znalazł rejestrator sprzężony z kamerą bezpieczeństwa, wyjął mały dysk i schował go do tylnej kieszeni spodni. Następnie wrócił do przedpokoju, podniósł wypełnione cegłami pudło i uważając, by nie stracić równowagi na parkiecie śliskim od powiększającej się kałuży krwi, wyszedł w słoneczny poranek.

## ROZDZIAŁ 24

— Co to jest? — zapytał Peter, wskazując na monitor w pracowni komputerowej Mirror Image. Na ekranie widać było coś, co wyglądało jak stadko niebieskich rybek pływających w pomarańczowym oceanie.

Sarkar podniósł wzrok znad klawiatury.

— Sztuczne życie. Tej zimy mam na ten temat wykłady w Instytucie Ryersona.

— Jak ono funkcjonuje?

— No więc, w ten sam sposób, w jaki sporządziliśmy w komputerze symulacje twojego mózgu, można też symulować inne aspekty życia, w tym również rozmnażanie i ewolucję. W rzeczy samej, niektórzy twierdzą, że w chwili gdy symulacje staną się wystarczająco skomplikowane, jest tylko kwestią semantyki, czy uzna się je za naprawdę żywe.

Te ryby rozwinęły się z bardzo prostych matematycznych symulacji procesów życiowych. I całkiem jak prawdziwe przejawiają wiele powstałych w trakcie ewolucji zachowań, takich jak na przykład gromadzenie się w stada.

— Jak przechodzi się od prostej matematyki do tworów, które zachowują się jak prawdziwe ryby?

Sarkar zachował wyniki swej pracy i podszedł do Petera.

— Kluczem jest kumulatywna ewolucja. Umożliwia ona bardzo szybkie przejście od przypadkowości do złożoności.

Wyciągnął rękę i nacisnął kilka klawiszy.

— Pozwól, że zademonstruję tobie coś prostego.

Obraz na ekranie zniknął.

— A teraz — polecił Sarkar — wypisz jakieś zdanie. Ale bez interpunkcji. Same litery.

Peter zastanawiał się przez chwilę, po czym wystukał tekst: „A gdzie jest piekło tam my być musimy”. Komputer zamienił wszystkie litery na małe.

Sarkar spojrzał mu przez ramię.

— Marlowe.

Peter był zaskoczony.

— Znasz to?

Sarkar skinął głową.

— Oczywiście. Skończyłem prywatną szkołę, pamiętasz? To z Tragicznej historii doktora Fausta. „Bo piekło nie ma granic, nie jest także ograniczone do jakiegoś miejsca: bo tam gdzie my jesteśmy, tam jest piekło, a gdzie jest piekło, tam my być musimy”.

Peter nic nie powiedział.

— Spójrz na zdanie, które napisałeś. Składa się z trzydziestu siedmiu znaków.

Sarkar ich nie liczył. Komputer podał tę wartość, gdy tylko Peter skończył pisać, podobnie jak kilka innych liczb.

— Wyobraź sobie, że każdy z nich to gen. Istnieją trzydzieści trzy różne wartości, które mogą przybrać — trzydzieści dwie litery od A do Ź plus spacja. Ponieważ napisałeś ciąg trzydziestu siedmiu znaków, oznacza to, że istnieje 33 możliwych ciągów tej długości. Innymi słowy, od groma.

Sarkar wyciągnął rękę i nacisnął kilka klawiszy.

— Ta stacja robocza może generować sto tysięcy przypadkowych trzydziestosiedmioznakowych ciągów na sekundę — stwierdził. Wskazał na cyfrę na ekranie. — Nawet jednak w tym tempie potrzeba by było 2 x 1 043 lat — tryliony razy więcej niż cały wiek wszechświata, by w czysto przypadkowy sposób natrafić na ciąg dokładnie taki sam, jak cytat z Marlowe’a, który napisałeś.

Peter skinął głową.

— To tak, jak małpy.

— Ciągniem się niby wiszący most — zarecytował Sarkar.

— Nie bandar—log. Nieskończona liczba małp walących w klawiatury. Nigdy nie stworzą dokładnej kopii dzieł Szekspira, bez względu na to, jak bardzo będą się starać.

Sarkar uśmiechnął się.

— To dlatego, że pracują na oślep. Ewolucja jednak działa inaczej. Jest kumulatywna.

Każde pokolenie jest doskonalsze od poprzedniego ze względu na kryteria selekcji narzucone przez środowisko. Dzięki kumulatywnej ewolucji można zdumiewająco szybko przejść od bełkotu do poezji. Albo od matematyki do ryb czy nawet od pleśni do człowieka.

Nacisnął klawisz i wskazał na ekran.

— Oto czysto losowy trzydziestosiedmioznakowy ciąg. Możesz go uważać za organizm wyjściowy.

000 wtshźowlćfamfhyóhgdiigjmh rpeęwurzudw — Przy użyciu kumulatywnej ewolucji komputer potrafi w ciągu sekund przejść od tego przypadkowego punktu wyjściowego do pożądanego końca.

— W jaki sposób? — zapytał Peter.

— Powiedzmy, że w każdym pokoleniu jeden ciąg może wyprodukować trzydzieści siedem sztuk potomstwa. Ale, tak jak w prawdziwym życiu, nie jest ono dokładnie takie samo jak rodzic. W każdym egzemplarzu potomnym jeden gen — jeden znak — będzie inny.

Przesunie się o jedno miejsce w górę albo w dół alfabetu. Na przykład U może się zamienić w W albo T.

— W porządku.

— Spośród trzydziestu siedmiu egzemplarzy potomnych komputer wybiera ten, który jest najlepiej przystosowany do danego środowiska. Najbliższy cytatowi z Marlowe'a, naszemu ideałowi doskonale przy stosowanej formy życia. Ten egzemplarz — najlepiej przystosowany — będzie tym, który wyda potomstwo w następnym pokoleniu.

Kapujesz?

Peter skinął głową.

— W porządku. Pozwólmy, by ewolucja objawiła swe działanie w ciągu jednego pokolenia.

Sarkar nacisnął kolejny klawisz. Na monitorze pojawiło się trzydzieści siedem pozornie identycznych ciągów. W chwilę później trzydzieści sześć z nich zniknęło.

— Oto najlepiej przystosowany egzemplarz. Wskazał na ekran.

000 wtshzowlcfamfhyohgdiigjmh rpeęwurzudw 001  
wushzowlcfamfhyohgdiigjmh rpeęwurzudw — To nie rzuca się  
w oczy — stwierdził — ale dolny ciąg jest minimalnie bliższy  
celu niż oryginał.

— Nie dostrzegam różnicy — odparł Peter.

Sarkar popatrzył na ekran.

— Drugi znak zmienił się z T na U. W ciągu docelowym drugim znakiem jest spacja.

Używamy okrężnego alfabetu, w którym zajmuje ona miejsce między A a Ż. U jest bliższe spacji niż T, więc ten ciąg jest niewielkim udoskonaleniem. Jest trochę lepszy.

Nacisnął kolejny klawisz.

— A teraz doprowadźmy to do końca. Proszę, gotowe.

Peter był pod wrażeniem.

— Szybko.

— Kumulatywna ewolucja — oznajmił z triumfem Sarkar. — Potrzeba było tylko dwustu siedemdziesięciu siedmiu pokoleń, by przejść od bełkotu do Marlowe’a. Od przypadkowości do skomplikowanej struktury. Przyjrzyj się. Wyświetlę co trzydzieste pokolenie.

Geny, które osiągnęły wartość docelową, wyróżnię dużymi literami.

Uderzenia w klawisze. Na ekranie pojawiło się: 000  
wtshżowlćfamfhyóhgdiigjmh                    rpeęwurzudw                    030  
wurgZowjdfzmfhaóhgeifgjnfrseęwuryueY

060 yuGgZowęfEtnęlałhhgigfjnfYtacezuryueY

090 A GgZIwdfEtnćlałhhgdelnfYzBdd tryedY

120 A GeZlybfESnblakhjgbdelpfY Bdd trtedY

150 A GeZka gESśblbjhjbdbdMujY BbĆ ttgjY

180 A GeZkc gESś mdghkgbbdMyjY Bać sttgjY

210 A GDZId gEST ofEjllazAM IY Bać stSglY

240 A GDZIE gEST ogEKŁm uAM MY B Ć pUSjMY

270 A GDZIE gEST PIEKŁn uAM MY BzĆ MUSjMY

Nacisnął jeszcze parę klawiszy.

— A oto pięć ostatnich pokoleń.

273 A GDZIE hEST PIEKŁO TAM MY BzĆ MUSjMY

276 A GDZIE iEST PIEKŁO TAM MY BzĆ MUSjMY

277 A GDZIE JEST PIEKŁO TAM MY BzĆ MUSjMY

274 A GDZIE JEST PIEKŁO TAM MY BYĆ MUSjMY

275 A GDZIE JEST PIEKŁO TAM MY BYĆ MUSIMY

— Sprytne — powiedział Peter.

— To więcej niż sprytne — odparł Sarkar. — To sposób, w jaki pojawiliśmy się ty, ja i cała reszta biologicznego świata.

Peter podniósł wzrok.

— Zaskakujesz mnie. To znaczy jesteś muzułmaninem. Zawsze uważałem, że to oznacza, iż wyznajesz kreacjonizm.

— Daj spokój — zaprotestował Sarkar. — Nie jestem aż taki głupi, żeby ignorować dowody kopalne. — Przerwał. — Wychowano cię w wierze chrześcijańskiej, nawet jeśli nie praktykujesz już jej w żaden znaczący sposób. Twoja religia mówi, że zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boże. To oczywiście śmieszne. Bóg nie potrzebuje pępka.

Dla mnie „stworzeni na Jego podobieństwo” oznacza po prostu, że to On ustanowił kryteria doboru — docelową wizję — i forma, którą wykształciliśmy w toku ewolucji, jest tą, która Mu się podoba.

## ROZDZIAŁ 25

I tak historia życia Petem Hobsona zetknęła się wreszcie z historią życia Sandry Philo.

Śmierć Hansa Larsena — i inne mordercze zamachy, które miały nastąpić — sprawiła, że ich losy splotły się ze sobą. Sandra pracowała nad integracją wywodzących się z tego okresu wspomnień Petera z własnymi. Rozwiązywała łamigłówkę krok za krokiem...

Inspektor Alexandria Philo z Policji Miasta Toronto siedziała za biurkiem, gapiąc się w pustkę.

Za pół godziny miała się rozpocząć wieczorna zmiana, ale nie śpieszyło się jej do domu. Minęły cztery miesiące, odkąd rozstali się z Walterem, a prawo opieki nad córką przyznano im obojgu. Gdy Cayley przebywała z ojcem, jak w tym tygodniu, dom wydawał się olbrzymi i opustoszały.

Może pomogłoby nabycie jakiegoś zwierzątka, pomyślała. Na przykład kota. Czegoś żywego, co by się poruszało, co witałoby ją, gdy przyjdzie do domu.

Potrząsnęła głową. Miała uczulenie na koty. Nie potrzebowała siąpienia z nosa i zaczerwienionych oczu. Uśmiechnęła się ze smutkiem. Zerwała z Walterem właśnie po to, by uwolnić się od podobnych objawów.

Podczas studiów mieszkała z rodzicami. Gdy tylko ukończyła uniwersytet, wyszła za mąż. Teraz miała trzydzieści sześć lat i kiedy córka wyjeżdżała, po raz pierwszy w życiu była samotna.



Może powinna pójść dziś do YWHA.\*[\* „YWHA (Young Women’s Hebrew Association — Żydowskie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej) — żydowski odpowiednik YWCA (Young Women’s Christian Association — Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej). Bardzo znana jest organizacja skupiająca mężczyzn YMCA (Young Men’s Christian Association — Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej).]

Troszeczkę poćwiczyć. Przyjrzała się krytycznie swym udom. Lepsze to niż oglądanie telewizji.

— Sandro?

Podniosła wzrok. Stał przed nią Gary Kinoshita z teczką na dokumenty w ręku.

Miał prawie sześćdziesiąt lat, typowy dla średniego wieku brzusek oraz krótko przycięte siwe włosy.

— Słucham?

— Ma coś dla ciebie. Właśnie otrzymaliśmy meldunek. Wiem, że zaraz koniec zmiany, ale Rosenberg i Macavan są zajęci tym wielokrotnym zabójstwem na Sheppard. Masz coś przeciwko temu?

Sandra wyciągnęła rękę. Kinoshita wręczył jej akta. To nawet lepsze niż YWHA, pomyślała. Coś do roboty. Jej uda mogły zaczekać.

— Dziękuję — powiedziała.

— To, hm, trochę makabryczne — stwierdził Kinoshita.

Sandra otworzyła teczkę i przejrzała protokół — stworzony przez komputer zapis radiowej relacji policjanta, który pierwszy dotarł na miejsce zbrodni.

— Och.

— Jest tam teraz paru mundurowych. Spodziewają się ciebie.

Skinęła głową, wstała, poprawiła kaburę, żeby zwisała swobodnie, po czym założyła na ciemnozieloną bluzę jasnozielony blezer. Dwieście dwunaste w roku zabójstwo na terenie Toronto należało teraz do niej.

Jazda nie trwała długo. Sandra pracowała w trzydziestej drugiej dzielnicy, na Ellerslie, tuż na zachód od Yonge, a miejsce zbrodni było przy Tuck Friarway 137. Nie znosiła głupich nazw ulic spotykanych w tych nowych poddzielnicach. Jak zwykle przyjrzała się otoczeniu, nim weszła do środka. Typowa dzielnica klasy średniej. Współczesnej klasy średniej.

Maleńkie, identyczne, jak z foremek, domki z czerwonej cegły stojące w szeregach. Przerwy między nimi były tak wąskie, że aby się przedostać, trzeba by przeciskać się bokiem.

Frontowe podwórka składały się głównie z podjazdów prowadzących do garaży dla dwóch samochodów. Komunalne skrzynki pocztowe na skrzyżowaniach. Na maleńkich trawnikach rosły drzewka — zaledwie sadzonki.

Miejsce zbrodni, miejsce zbrodni, miejsce zbrodni, pomyślała Sandra. Tak jest.

Na podjeździe domu oznaczonego numerem sto trzydzieści siedem stał biały samochód policyjny oraz wóz kombi używany przez lekarza sądowego, zaparkowany nieprzepisowo na ulicy. Sandra podeszła do drzwi wejściowych. Były szeroko otwarte.

Zatrzymała się na progu i zajrzała do środka. Ofiara leżała przy wejściu, rozciągnięta na podłodze. Wyglądała na martwą od około dwunastu godzin. Zasnęta krew na podłodze.

Zobaczyła też to, o czym wspominał protokół. Przypadek okaleczenia.

Pojawił się mundurowy policjant, czarny mężczyzna wyższy od Sandry o więcej niż głowę, co było nie lada osiągnięciem. W szkole średniej zwano ją „Tyką”.

Błysnęła odznaką.

— Inspektor Philo — przedstawiła się.

Policjant skinął głową.

— Proszę go minąć z prawej, pani inspektor — powiedział z mocnym jamajskim akcentem. — Ludzie z laboratorium jeszcze nie przyjechali.

Sandra wykonała jego polecenie.

— Jak się pan nazywa?

— King, pani inspektor. Darryl King.

— A ofiara?

— Hans Larsen. Pracował w reklamie.

— Kto znalazł ciało?

— Żona — odpowiedział, przechylając głowę ku wnętrzu domu. Sandra zobaczyła ładną kobietę w czerwonej bluzce i czarnej skórzanej spódnicy. — Jest z moim partnerem.

— Ma alibi?

— Tak jakby — odparł Darryl. — Pracuje jako zastępca dyrektora w Scotiabank przy rogu Finch i Yonge, ale dziś — kiedy jedna z kasjerek zadzwoniła, że jest chora, cały dzień przesiedziała w kasie. Widziały ją setki ludzi.

— To dlaczego pan mówi „tak jakby”?

— Myślę, że to robota zawodowego zabójcy — stwierdził Darryl. — Nie widać oznak wahania. Kamera skaningowa nie

znalazła odcisków palców. Zniknął też dysk z kamery bezpieczeństwa.

Sandra skinęła głową, po czym ponownie spojrzała na ubraną w czerwień i czerń kobietę.

— Mogła to zorganizować zazdrosna żona — zauważyła.

— Możliwe — stwierdził Darryl, spoglądając z ukosa na zwłoki. — Cieszę się, że moja żona mnie lubi.

Kontrola, niezmodyfikowana kopia, śniła.

Noc. Nad głową pokrywa chmur, lecz gwiazdy w jakiś sposób przez nią prześwitują.

Olbrzymie drzewo, sęcate i stare — może dąb, a może klon; wydawało się, że są na nim oba rodzaje liści. Po jednej stronie erozja odsłoniła korzenie, całkiem jakby drzewo przeżyło potężną burzę albo gwałtowną powódź. Widać było kulę cienkich wypustek, do których przylegała gleba. Całe drzewo sprawiało wrażenie, jak gdyby za chwilę miało runąć.

Peter wdrapywał się na nie. Chwytał rękoma gałęzie, wspinając się coraz wyżej.

Pod nim Cathy również wchodziła w górę. Wiatr unosił jej spódnicę.

A w dole, daleko w dole jakaś... bestia. Być może lew. Wzniósł się na tylne łapy, opierając się przednimi o pień. Choć była noc, Peter dostrzegł barwę lwiej sierści. Nie była płowa, jak się tego spodziewał, lecz raczej blond.

Nagle drzewo zaczęło się kołysać. Szarpał nim lew.

Gałęzie zatrzęsły się szaleńczo. Peter wspiął się wyżej. Na dole Cathy sięgnęła po kolejny konar, lecz był zbyt daleko.

Zdecydowanie zbyt daleko. Drzewo zatrzęsło się raz jeszcze i Cathy runęła w dół...

## PRZEGLĄD WIADOMOŚCI SIECIOWYCH

W związku z falą zniknięć młodych kobiet w południowo—wschodniej Minnesocie dziennik „Minneapolis Star” ujawnił dziś, że otrzymał przez e — mail pochodzącą jakoby od mordercy wiadomość, że wszystkie ofiary pochowano żywcem w specjalnych, wyłożonych ołowiem trumnach, całkowicie nieprzezroczystych dla elektromagnetycznego promieniowania, celem uniemożliwienia falom duszy ucieczki.

Badacze z Hagi ogłosili dziś, że udało się im jako pierwszym prześledzić falę duszy wędrującą przez pokój po opuszczeniu ciała zmarłego. „Choć zjawisko jest bardzo trudne do uchwycenia, wygląda na to, że zachowuje spójność na odcinku co najmniej trzech metrów od ciała” — stwierdził Maarten Lely, profesor bioetyki na Uniwersytecie Wspólnoty Europejskiej.

Towarzystwo Puszek Pandory, mające siedzibę w Spokane, w stanie Waszyngton, wystąpiło dziś o uchwalenie ogólnoświatowego moratorium na badania nad falą duszy. „Po raz kolejny nauka wdziera się jak szalona na obszary, na które należy zapuszczać się ostrożnie albo wręcz wcale” — stwierdziła rzeczniczka towarzystwa, Leona Wright.

Noś duszę na sercu! Nowy ekscytujący wzór biżuterii: fioletowe druciki wyglądające jak fala duszy. Już w sprzedaży! 59.99 USD za jedną, 79.99 za dwie. Zamów jeszcze dziś!

Adwokat Katarina Koenig z Flushing w stanie Nowy Jork zgłosiła dziś pozew w imieniu wszystkich spadkobierców beznadziejnie chorych pacjentów, którzy zmarli w Szpitalu Bellevue na Manhattanie, twierdząc, że wobec odkrycia fali duszy używane przez szpital procedury określające, w której chwili zaprzestać heroicznej interwencji, okazały się nieadekwatne.

Koenig wygrała już podobny proces przeciwko Consolidated Edison w imieniu chorych na raka pacjentów mieszkających w pobliżu linii wysokiego napięcia.

## ROZDZIAŁ 26

Teoretycznie praca w Doowap Advertising zaczynała się o dziewiątej. W praktyce oznaczało to, że w kilka minut po tej godzinie ludzie zaczynali zastanawiać się nad przystąpieniem do roboty.

Cathy Hobson jak zwykle przybyła około ósmej pięćdziesiąt. Zamiast standardowych dowcipów wymienianych przy kawie zastała posepny nastrój. Przechodząc przez pozbawione ścianek działowych biuro do swej kabiny, zauważyła na twarzy Shannon, kobiety, która pracowała obok niej, ślady łez.

— Co z tobą? — zapytała ją.

Shannon podniosła wzrok. Oczy miała zaczerwienione. Pociągnęła nosem.

— Słyszałaś o Hansie?

Cathy potrząsnęła głową.

— On nie żyje — oznajmiła Shannon i ponownie się rozplakała.

Obok przechodził Jonas, ten, którego mąż Cathy nazywał pseudointelektualistą.

— Co się stało? — zapytała go Cathy.

Jonas przesunął dłonią po przetłuszczonych włosach.

— Hansa zamordowano.

— Zamordowano!

— Uhm. Wygląda na to, że ktoś wtargnął do jego domu.

Toby Bailey przysunął się bliżej, wyczuwając, że to skupisko pracowników jest interesujące — pojawił się ktoś, kto jeszcze nic nie słyszał.

— Zgadza się — powiedział. — Wiesz, że wczoraj nie zjawił się w pracy? Nancy Caulfield otrzymała wieczorem telefon od... chciałem powiedzieć „żony”, ale chyba teraz odpowiednim słowem będzie „wdowy”. Zresztą piszą też o nim w porannym „Sun”. Pogrzeb jest w czwartek. Wszyscy, którzy będą chcieli pójść, dostaną wolne.

— Czy to był rabunek? — zapytała Cathy.

Jonas potrząsnął głową.

— W gazecie napisali, że gliny wykluczyły motyw rabunkowy. Wygląda na to, że nic nie zabrano. I... — na twarzy Jonasa pojawiło się niespotykane wielkie ożywienie — ...według nieoficjalnych źródeł ciało było okaleczone.

— O Boże — powiedziała oszołomiona Cathy. — W jaki sposób?

— Policja odmawia komentarzy w tej sprawie. — Jonas przybrał pozę wtajemniczonego, która zawsze tak bardzo irytowała Petera. — Nawet gdyby gliny chciały o tym mówić, przypuszczam, że zachowałyby tajemnicę, żeby móc odrzucić fałszywe przyznania się do winy.

Cathy potrząsnęła głową.

— Okaleczone — powiedziała raz jeszcze. To słowo brzmiało dla niej obco.

Ambrotos, nieśmiertelna kopia, śnił.

Peter szedł przed siebie. W jego krokach było jednak coś niezwykłego. Były z jakiegoś powodu stłumione. Nie tak, jakby



posuwał się po trawie albo błocie, lecz raczej po gumowanej nawierzchni kortu tenisowego. Tylko ślad ugięcia się materiału, w chwili gdy dotykał go stopami, delikatna sprężystość nakładająca się na jego kroki.

Spojrzał pod nogi. Powierzchnia miała barwę jasnoniebieską. Rozejrzał się wokół.

Substancja, po której kroczył, była lekko zakrzywiona. We wszystkich kierunkach opadała w dół. Nie było nieba. Jedynie próżnia, nicość, bezbarwna pustka, nieobecność czegokolwiek.

Nadal szedł naprzód po lekko elastycznej krzywiźnie.

Nagle ujrzał w oddali Cathy, która machała do niego ręką.

Miała na sobie starą, ciemnoniebieską kurtkę Uniwersytetu Toronto. Na jednym rękawie widniał napis 9T5, symbol roku ukończenia przez nią studiów, a na drugim CHEM.

Ujrzał teraz, że nie jest to obecna Cathy, lecz ta, którą przed laty poznał.

Wyglądała młodziej, na jej twarzy o kształcie serca nie widziało się zmarszczek, a czarne jak heban włosy sięgały do połowy pleców. Peter ponownie spojrzał w dół. Miał na sobie wytarte niebieskie dżinsy — strój, którego nie nosił od dwudziestu lat.

Zaczął iść ku niej, a ona ku niemu. Z kolejnym krokiem jej ubranie i fryzura zmieniały się. Po każdym mniej więcej dwunastu krokach można było wyraźnie zobaczyć, że odrobinę się postarzała. Peter poczuł, że na jego twarzy pojawiła się broda, która potem zniknęła — nieudany eksperyment, z którego zrezygnował. Idąc dalej, poczuł chłód na czubku głowy, kiedy zaczął tracić włosy. Po kilku następnych krokach zwrócił

jednak uwagę na fakt, że wszelkie dalsze zmiany — przynajmniej w nim — ustały. Włosy mu nie rzedły, ciało się nie przygarbiało, a stawy pracowały swobodnie i gładko.

Szli i szli, lecz Peter wkrótce zdał sobie sprawę, że nie zbliżają się do siebie. W gruncie rzeczy, byli coraz dalej.

Dzielący ich od siebie obszar rozrastał się. Gumowany błękit był coraz większy.

Peter zaczął biec. Cathy również. W niczym to jednak nie pomogło. Znajdowali się na powierzchni wielkiego balonu, który się rozdymał. Jego powierzchnia z każdą chwilą rosła, podobnie jak dzielący ich dystans.

Rozszerzający się wszechświat. Wszechświat niezmiernie długiego czasu. Choć Cathy była teraz daleko, Peter wciąż dostrzegał szczegóły jej twarzy, zmarszczki otaczające oczy.

Wkrótce zrezygnowała z biegu, a nawet z chodzenia. Stała bez ruchu na wciąż powiększającej się powierzchni. Nie przestawała machać ręką, lecz zrozumiał, że oznacza to teraz pożegnanie. Nieśmiertelność nie była dla niej. Powierzchnia wciąż się rozszerzała i wkrótce jego żona zniknęła za horyzontem...

Gdy Cathy wróciła wieczorem do domu, opowiedziała o wszystkim Peterowi.

Obejrzelili wspólnie „Puls miasta” o szóstej, ale wiadomości dodały bardzo niewiele do tego, czego dowiedziała się w pracy. Peter poczuł jednak zaskoczenie, kiedy zobaczył, w jak małym domu mieszkał Hans. Było to przyjemne stwierdzenie faktu, że przynajmniej w kwestiach finansowych był od niego lepszy.

Wydawało się, że Cathy wciąż jest w szoku. Oszołomiona tą wiadomością. Peterem wstrząsnęło to, jak... jak wielkie było jego zadowolenie. Irytowała go jednak okazywana przez nią żaloba. Co prawda, pracowała z Hansem od lat. Niemniej coś ukrytego głęboko w jaźni Petera poczuło się urażone jej smutkiem.

Mimo że musiał wstać wcześniej, by pójść na spotkanie — jacyś japońscy dziennikarze mieli przylecieć, żeby przeprowadzić z nim wywiad na temat fali duszy — nawet nie próbował udawać, że stara się położyć o tej samej porze, co Cathy. Został w salonie i pooglądał przez chwilę białowłosego Jaya Leno, po czym oddalił się niespiesznie do gabinetu i zadzwonił do Mirror Image. Pojawiło się to samo menu, co poprzednio: [F1] Duch (Życie po śmierci) [F2] Ambrotos (Nieśmiertelność) [F3] Kontrola (niezmodyfikowana) Ponownie wybrał kopię kontrolną.

— Cześć — odezwał się. — To ja, Peter.

— Cześć — odparła kopia. — Jest już po północy. Czy nie powinienes być w łóżku?

Peter skinął głową.

— Pewnie tak. Rzecz w tym, że... sam nie wiem. Chyba jestem zazdrosny, w jakimś dziwnym sensie.

— Zazdrosny?

— O Hansa. Zabito go wczoraj rano.

— Naprawdę? Mój Boże...

— Mówisz jak Cath. Całkiem cię, kurwa, zatkało.

— Cóż, to poniekąd niespodzianka.

— Tak sędzę — przyznał Peter. — Ale...

— Ale co?

— Ale niepokoi mnie, że tak się tym przejęła. Czasem... — przerwał na dłuższą chwilę. — Czasem zastanawiam się, czy ożeniłem się z właściwą kobietą.

— Nie miałeś wielkiego wyboru. — Głos kopii nic nie wyrażał.

— No, nie wiem — stwierdził Peter. — Była jeszcze Becky. Byłoby nam razem cudownie.

Z głośnika dobiegł bardzo dziwny dźwięk, być może elektroniczny odpowiednik pogardliwego prychnięcia.

— Ludzie sądzą, że to, kogo poślubią, to bardzo ważna decyzja i głęboko osobisty wyraz tego, kim są. W rzeczywistości tak nie jest.

— Oczywiście, że jest — sprzeciwił się Peter.

— Nie, nie jest. Posłuchaj, nie mam ostatnio nic do roboty poza czytaniem materiałów dostępnych w sieci. Jedną z kwestii, które mnie zainteresowały, są badania nad bliźniakami.

Chyba zaciekało mnie to dlatego, że jestem twoim bliźniakiem w krzemie.

— W arsenku galu — poprawił go Peter.

Znowu pogardliwe prychnięcie.

— Badania wykazują, że bliźnięta rozdzielone w chwili narodzin są do siebie straszliwie podobne pod wieloma względami. Lubią te same batony. Taką samą muzykę. Jeśli są mężczyznami, obaj zapuszczają brody bądź ich nie zapuszczają. Wykonują podobne zawody. I tak dalej. Jedno podobieństwo za drugim. Z wyjątkiem jednego — małżonków.

Jedna bliźniaczka może mieć męża atletę, druga delikatnego intelektualistę.

Jeden żonę blondynkę, drugi brunetkę. Jeden ekstrawertyczkę, drugi introwertyczkę.

— Naprawdę? — zapytał Peter.

— Absolutnie — odparła kopia. — Wyniki badań nad bliźniakami mogą wywrzeć miażdżący wpływ na nasze ego. Wszystkie te podobieństwa gustów dowodzą, że natura, a nie wychowanie, jest dominującym elementem osobowości. W gruncie rzeczy, dzisiaj czytałem obszerną monografię dotyczącą pary bliźniaków rozdzielonych po urodzeniu. Obaj byli flejtuchami. Jednego zaadoptowali rodzice, którzy mieli obsesję na punkcie porządku, a drugiego rodzina, w której domu panował bałagan. Jadacz zapytał ich, dlaczego są nieporządni, i obaj odpowiedzieli, że to reakcja na ich przybranych rodziców.

Pierwszy stwierdził: „Moja matka miała takiego świra na punkcie porządku, że nie potrafiłbym być czyściochem”. Drugi jednak powiedział: „No, kurde, moja matka była flejtuchem, więc pewnie nauczyłem się tego od niej”. W rzeczywistości żadna z tych odpowiedzi nie jest prawdziwa. Bałaganiarstwo tkwiło w ich genach. Niemal wszystko, czym jesteśmy, tkwi w genach.

Peter przetrawił tę informację.

— Ale czy fakt wyboru radykalnie odmiennych małżonków nie obala tego stwierdzenia? Czy nie dowodzi, że jesteśmy indywidualnymi osobnikami, ukształtowanymi przez indywidualne wychowanie?

— Na pierwszy rzut oka mogłoby się tak wydawać — rzekła kopia. — W rzeczywistości jednak dowodzi to czegoś wręcz przeciwnego. Pomyśl, jak to było, kiedy zaręczyliśmy się z Cathy. Skończyliśmy dwadzieścia osiem lat, zaraz mieliśmy zrobić doktorat.

Staliśmy się gotowi do rozpoczęcia samodzielnego życia, zawarcia małżeństwa. Co prawda, byliśmy już bardzo kochani w Cathy, ale nawet gdyby tak nie było, zapewne chcielibyśmy się wówczas ożenić. Gdyby nie było Cathy, rozejrzelibyśmy się w kręgu naszych znajomych w poszukiwaniu partnerki. Zastanów się jednak nad tym — naprawdę mieliśmy niewielki wybór.

Najpierw wyeliminuj wszystkie kandydatki, które były już zamężne albo zaręczone.

Na przykład Becky była w owym momencie zaręczona z kimś innym. Potem skreśl te, które nie były mniej więcej w naszym wieku. A potem, żebyśmy byli naprawdę ze sobą szczerzy, te z innej rasy albo wyznające zdecydowanie odmienną religię. Ile osób zostanie?

Jedna. Może dwie. Może, gdybyśmy mieli wielkie szczęście, trzy albo cztery. To jednak wszystko.

Fantazjujesz na temat tych wszystkich kobiet, z którymi mogliśmy się ożenić, ale jeśli się temu przyjrzeć — naprawdę przyjrzeć — nie mieliśmy prawie żadnego wyboru.

Peter potrząsnął głową.

— To, co przedstawiłeś brzmi strasznie chłodno i bezosobowo.

— Bo pod wieloma względami tak właśnie wygląda — stwierdziła kopia. — Ale to pozwoliło mi naprawdę docenić skojarzone przez rodziców małżeństwo Sarkara i Raheemy.

Zawsze uważałem, że to zła praktyka, ale jeśli się nad tym zastanowić, różnica jest niewielka, zarówno bowiem oni, jak i my nie mieliśmy wielkiego wyboru, kogo poślubimy.

— Pewnie tak — przyznał Peter.

— To prawda — zapewniła kopia. — Idź już spać. Wejdz na górę i połóż się obok żony — przerwała. — Chciałbym mieć tyle szczęścia.

## ROZDZIAŁ 27

Inspektor Alexandria Philo żywiła do tej części swej pracy miłość połączoną z nienawiścią. Z jednej strony, przesłuchiwanie tych, którzy znali ofiarę, często dostarczało cennych wskazówek. Ale z drugiej, konieczność wyciągania informacji od zrozpaczonych ludzi była bardzo nieprzyjemnym doświadczeniem.

Jeszcze gorszy był związany z tą czynnością cynizm. Nie wszyscy mówili prawdę, niektóre z łez były krokodyłowe. Naturalne instynkty kazały Sandrze wyrazić współczucie tym, którzy cierpieli, ale policjant w niej mówił, że nigdy nie należy wierzyć pozorom.

Nie, pomyślała. To nie policjant tak mówił. To cywil. Gdy jej małżeństwo z Walterem się skończyło, wszyscy, którzy przedtem gratulowali jej zaręczyn i ślubu, zaczęli mówić takie rzeczy, jak: „Wiedziałem, że to nie może być trwałe”, „Kurde, on naprawdę nie był dla ciebie” albo „To był małpolud” — czy neandertalczyk albo głąb, zależnie od tego, jakim słowem mówiący lubił określać głupich osobników. Sandra zrozumiała wtedy, że wszyscy — nawet porządni ludzie, nawet przyjaciele — okłamują innych. Zawsze mówią im to, co ich zdaniem chcieliby usłyszeć.

Drzwi windy otworzyły się na piętnastym piętrze wieżowca North American Life.



Sandra wyszła na zewnątrz. Doowap Advertising miało własny hol wyłożony chromem i różową skórą. Wchodziło się do niego prosto z wind. Sandra stanęła przed wielkim biurkiem recepcjonistki. W dzisiejszych czasach większość firm pozbyła się już z tych stanowisk piersiastych ślicznotek, zastępując je bardziej dojrzałymi osobami dowolnej płci, sprawiającymi solidniejsze wrażenie. Reklama jednak pozostawała reklamą, a seks nadal ułatwiał sprzedaż. Z uwagi na ładne, młode stworzenie za biurkiem Sandra spróbowała ograniczyć swe słownictwo do najprostszych wyrazów.

Gdy pokazała odznakę kilku członkom kierownictwa, pozwolono jej przesłuchać wszystkich pracowników. Biuro Doowap było zbudowane bez ścianek działowych, co stało się popularne w latach osiemdziesiątych. Każdy miał własną kabinę na środku sali, oddzieloną przenośnymi przepierzeniami pokrytymi szarą tkaniną. Od zewnątrz salę otaczały gabinety, lecz nie były one przypisane do konkretnych osób i nikomu nie pozwalano się w nich zadomowić. Korzystano z nich w razie potrzeby w czasie konsultacji z klientami, prywatnych spotkań i tak dalej.

Teraz wszystko było kwestią słuchania. Sandra wiedziała, że Joe Friday był idiotą.

Przesłuchanie typu: „Fakty, proszę pani” nic nie dawało. Ludzie nie lubili zdradzać faktów, zwłaszcza policji. Ale opinie... wszyscy uwielbiali, gdy pytano ich o opinie.

Sandra przekonała się, że cierpliwe wysłuchiwanie jest znacznie skuteczniejsze niż demonstrująca zmęczenie życiem postawa, która nakazuje przejść do rzeczy. Poza tym dobry

słuchacz miał największe szansę odkrycia biurowego plotkarza — osoby, która wiedziała wszystko i nie miała oporów przed podzieleniem się tym.

W Doowap Advertising taką osobą okazał się Toby Bailey.

— W tym interesie widzi się, jak przychodzą i odchodzą — oznajmił Toby, rozkładając ręce, by zademonstrować, że przemysł reklamowy obejmuje sobą całą rzeczywistość.

— Najgorsze są oczywiście twórcze osoby. Wszystkie są znerwicowane. Ale one stanowią tylko małą część całego procesu. Ja zajmuję się sprzedażą środkom masowego przekazu.

Znajduję miejsce dla reklam. Tu właśnie leży prawdziwa władza.

Sandra skinęła zachęcająco głową.

— Mam wrażenie, że to fascynująca praca.

— Och, nie różni się od innych — odparł Toby. Gdy już uświadomił jej, jak cudowną rzeczą jest reklama, był gotowy okazać wspaniałomyślność. — Pracują tu najróżniejsi. Weźmy na przykład biednego starego Hansa. To dopiero była postać. Kochał panie. Co prawda, na jego żonę przyjemnie było popatrzeć, ale Hans, cóż, interesowała go ilość, nie jakość.

Toby uśmiechnął się, zachęcając Sandrę, by zareagowała na jego żart.

Zrobiła to, chichocząc uprzejmie.

— To znaczy, że chciał jedynie zdobyć więcej nacięć na pasie? Tylko to się dla niego liczyło?

Toby uniósł dłoń, jak gdyby obawiał się, że jego słowa można uznać za dowód, iż mówi źle o zmarłych.

— Nie, nie. Lubił tylko ładne kobiety. Nigdy nie widziało się go z niczym poniżej ósemki.

— Ósemki?

— No, wie pani, w skali od jeden do dziesięciu. Jeśli chodzi o urodę.

Świnia, pomyślała Sandra.

— Przypuszczam, że w reklamowej firmie musicie zatrudniać mnóstwo ładnych kobiet.

— Och, tak. Opakowanie ułatwia sprzedaż, jeśli wybaczy pani to sformułowanie.

Wydawało się, że przerzucił w myśli kartoteki personalne firmy.

— Och, tak — powiedział po raz drugi.

— Przy wejściu zwróciłam uwagę na recepcjonistkę.

— Megan? — zapytał Toby. — To niezły przykład. Hans wziął na nią namiar, kiedy tylko ją przyjęli. Nie trwało długo, nim uległa jego urokowi.

Sandra popatrzyła na listę zatrudnionych, którą jej dano. Megan Mulvaney.

— Ale — zapytała — czy jakiś typ kobiet podobał mu się szczególnie? „Ładne” to w końcu dość szeroka kategoria.

Toby otworzył usta, jak gdyby chciał rzucić jakąś głupią uwagę, na przykład: „Można by tak powiedzieć”. Sandra dodała mu punktów za to, że się przed tym powstrzymał.

Sprawiał jednak wrażenie ożywionego, całkiem jakby rozmowa z kobietą o pięknych kobietach mogła wywołać podniecenie.

— No więc, lubił, żeby miały, hmm, obfite kształty. Myślę, że jemu podobały się trochę bardziej zmysłowe niż mnie. Niewykluczone, że niemal wszystkie mogły stać się celem. To znaczy, trudno by nazwać Cathy czy Toni zmysłowymi, choć obie są całkiem atrakcyjne.

Sandra rzuciła kolejne spojrzenie na spis. Cathy Hobson. Toni D'Ambrosio.

Kolejne punkty wyjściowe. Uśmiechnęła się.

— Wielu jednak mężczyzn jest silnych wyłącznie w gębie — zauważyła. — Sporo osób mówiło mi o wyczynach Hansa, ale niech pan powie prawdę — czy naprawdę był tak skuteczny, jak opowiadają?

— Och, tak — odparł Toby, który poczuł teraz potrzebę obrony zmarłego przyjaciela. — Jeśli upatrzył sobie jakąś kobietę, musiał ją dostać. Nigdy nie widziałem, żeby mu się nie udało.

— Rozumiem — powiedziała Sandra. — A co z jego szefową?

— Nancy Caulfield? To dopiero jest postać! Opowiem pani, w jaki sposób Hans w końcu ją dopadł...

Dla Ducha, kopii symulującej życie po śmierci, nie istniało już nic takiego, jak biologiczny sen, rozróżnienie między świadomością a nieświadomością.

Osobie z krwi i kości sny zapewniały odmienną perspektywę, inną opinię na temat wydarzeń dnia. Duch jednak miał tylko jeden tryb działania, tylko jeden sposób patrzenia na wszechświat. Niemniej poszukiwał połączeń.

Cathy.

Jego żona. Z dawnych czasów.

Pamiętał, że była piękna... przynajmniej dla niego. Teraz jednak, gdy uwolnił się od biologicznych popędów, wspomnienie jej twarzy, jej figury, nie wywoływało żadnej estetycznej reakcji.

Cathy.

Zamiast marzeń sennych Duch oddawał się jałowej medytacji. Cathy. Czy to jest anagram czegoś? Nie, oczywiście, że nie. Ale chwileczkę. „Chaty”. No, proszę, nigdy dotąd na to nie wpadł.

Chaty miały przyjemne zarysy. Ich piękno było czymś, co nadal potrafił docenić.

Cathy coś zrobiła. Coś złego. Coś, co sprawiło mu ból.

Pamiętał oczywiście, co to było. Pamiętał ból w ten sam sposób, w który — jeśli zechciał — potrafił przywołać wspomnienie innych cierpień. Noga złamana na nartach. Skóra zdarta z kolana w dzieciństwie. Dwunaste z kolei uderzenie w głowę o tę nisko umieszczoną belkę na suficie w domku rodziców Cathy.

Wspomnienia.

Ale wreszcie przestał czuć ból.

Nie istniał odpowiedni organ.

Organ. Anagram grona.

Takie połączenia najlepiej znajduje się we śnie.

Duchowi zaczynało brakować snów.

## ROZDZIAŁ 28

Choć Toby Bailey udzielił jej kilku cennych wskazówek, Sandra wciąż posuwała się alfabetycznie przez listę pracowników Doowap Advertising. Wreszcie nadeszła kolej na Cathy Hobson, jedną z kobiet, z którymi — według słów Bailey'a — zadawał się Hans.

Poddała Cathy ocenie, gdy ta usiadła naprzeciwko niej. Ładna kobieta, szczupła, z mnóstwem czarnych włosów. Dobrze ubrana. Sandra uśmiechnęła się.

— Pani Hobson, dziękuję, że zechciała pani poświęcić mi trochę czasu. Nie zatrzymam pani długo. Chciałam tylko zadać kilka pytań na temat Hansa Larsena.

Cathy skinęła głową.

— Jak dobrze go pani znała?

Cathy spojrzała poprzez Sandrę na znajdującą się za jej plecami ścianę.

— Niezbyt dobrze.

Nie było potrzeby konfrontować jej już w tej chwili. Sandra spojrzała na wydruk.

— Pracował tu dłużej niż pani. Interesuje mnie wszystko, co mogłaby mi pani powiedzieć. Jakiego rodzaju człowiekiem był?

Cathy popatrzyła na sufit.

— Bardzo... towarzyskim.

— Tak?

— I, cóż, miał trochę prostackie poczucie humoru.

Sandra skinęła głową.

— Ktoś już o tym wspominał. Opowiadał mnóstwo świńskich kawałów. Czy czuła się pani tym skrepowana, pani Hobson?

— Ja? — Cathy wyglądała na zaskoczoną. Po raz pierwszy spojrzała Sandrze w oczy.

— Nie.

— I co jeszcze może mi pani opowiedzieć?

— Hmm, był chyba dobry w swojej pracy, choć zawodowo nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego.

— I co jeszcze? — Sandra uśmiechnęła się zachęcająco. — Wszystko może okazać się użyteczne.

— No więc, był żonaty. To chyba pani wie. Jego żona ma na imię, hmm...

— Donna—Lee — podpowiedziała Sandra.

— Tak jest. Zgadza się.

— Czy to sympatyczna kobieta?

— Jest w porządku — stwierdziła Cathy. — Bardzo ładna. Ale widziałam ją tylko kilka razy.

— Czy zaglądała czasem do biura?

— Nie przypominam sobie.

— To gdzie ją pani spotykała?

— Och, czasami cała nasza grupa wybierała się razem na drinka.

Sandra sprawdziła swe notatki.

— W każdy piątek — powiedziała. — Tak mnie przynajmniej poinformowano.

— Tak, to prawda. Jego żona zjawiała się tam czasem na chwilkę.

Sandra przyjrzała się jej uważnie.

— A więc spotykała się pani z Hansem na gruncie towarzyskim, pani Hobson?

Cathy uniosła dłoń.

— Tylko w grupie. Czasem braliśmy też pakiet biletów na mecz Blue Jays i wybieraliśmy się razem. No, wie pani, bilety, które firma otrzymuje od dostawców. — Zakryła usta dłonią. — Oj! To chyba nie jest nielegalne?

— O ile mi wiadomo, to nie — odparła Sandra, ponownie się uśmiechając. — To jednak nie mój wydział. Czy kiedy widziała pani Hansa i jego żonę razem, sprawiali wrażenie szczęśliwych?

— Nie potrafię tego ocenić. Myślę, że tak. To znaczy, któż może odgadnąć, co naprawdę dzieje się w małżeństwie, kiedy patrzy na nie z zewnątrz?

— Czyż to nie prawda. — Sandra skinęła głową.

— Sprawiała wrażenie szczęśliwej.

— Kto?

— No, wie pani, żona Hansa.

— Która ma na imię...

— No, D... Donna—Lee. — Cathy wyglądała na zbitą z tropu.

— Tak jest, Donna—Lee.

— Mówiła już to pani wcześniej — stwierdziła Cathy lekko defensywnym tonem.

— Tak, tak. Mówiłam.

Sandra nacisnęła klawisze kursora swego palmtopa by sprawdzić listę pytań. — Jeszcze jedno. Parę innych osób, z



którymi rozmawiałam, mówiło, że Hans miał reputację wielkiego kobieciarza.

Cathy nie powiedziała nic.

— Czy to prawda, pani Hobson?

— Hmm, tak, chyba prawda.

— Ktoś mi powiedział, że Hans spał z wieloma kobietami zatrudnionymi w tej firmie.

Czy słyszała pani, jak opowiadano o nim podobne rzeczy?

Cathy strzepnęła ze spódnicy niewidzialną nitkę.

— Chyba tak.

— Ale nie uważała pani, że warto o tym wspomnieć?

— Nie chciałam... — Jej głos umilkł.

— Nie chciała pani mówić źle o zmarłych. Oczywiście, oczywiście — Sandra uśmiechnęła się ciepło. — Niech mi pani wybaczy, że o to pytam, ale czy, hmm, kiedykolwiek coś was łączyło?

Cathy podniosła wzrok.

— Z pewnością nie. Jestem...

— Mężatką — dokończyła Sandra. — Oczywiście. — Uśmiechnęła się raz jeszcze. — Przepraszam, że musiałam o to zapytać.

Cathy otworzyła usta, by wyrazić dalszy sprzeciw, lecz po chwili zamknęła je.

Sandra dostrzegła dramat rozgrywający się na jej twarzy. „Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele”.

— Czy zna pani kogoś, kto miał z nim romans? — zapytała.

— Nie mam pewności.

— Ale jeśli miał taką reputację, jakieś wieści musiały się rozchodzić?

— Krążyły plotki. Ale ja nie uznaję powtarzania plotek, pani inspektor — Cathy zebrała w sobie trochę sił. — Nie wierzę, by miała pani uprawnienia, aby mnie do tego zmusić.

Sandra skinęła głową, jak gdyby słowa Cathy były w pełni rozsądne. Zamknęła pokrywę palmtopa.

— Dziękuję za otwartość — powiedziała tonem tak neutralnym, że nie sposób było określić, czy mówi szczerze czy z sarkazmem. — Jeszcze jedno pytanie. Ponownie panią przepraszam, ale muszę je zadać. Gdzie pani była czternastego listopada między ósmą a dziewiątą rano? Wtedy właśnie zginął Hans.

Cathy przechyliła głowę.

— Chwileczkę. To było na dzień przed tym, nim o tym usłyszeliśmy. Na pewno właśnie jechałam do pracy. W gruncie rzeczy, kiedy pani o tym wspomniała, przypomniałam sobie, że właśnie tego dnia podwiozłam Carlę do jej firmy.

— Carlę? Kto to taki?

— Carla Wishinski, moja przyjaciółka. Mieszka o parę przecznic od naszego domu.

Jej samochód był w warsztacie, więc zgodziłam się ją podwieźć.

— Rozumiem. Cóż, bardzo pani dziękuję, pani Hobson.

Spojrzała na listę nazwisk.

— Czy mogłaby pani teraz poprosić pana Stephena Jessupa?

## ROZDZIAŁ 29

Pozbycie się Hansa Larsena było łatwe. Ostatecznie, po co przejmować się zacieraniem śladów? Tak jest, policja z pewnością rozpocznie śledztwo, ale wkrótce okaże się, że istnieją dziesiątki ludzi, którzy mogliby pragnąć, by uśmiercono tego kobieciarza w podobny sposób, wymierzając mu symboliczną sprawiedliwość.

Kopia wiedziała jednak, że drugą eliminację będzie musiała przeprowadzić subtelniej.

Potrzebne było coś niewykrywalnego, co nie będzie nawet wyglądało na morderstwo.

Ponieważ koszty opieki zdrowotnej nieustannie rosły, większość wysoko rozwiniętych krajów zwróciła się raczej ku mało kosztownemu zapobieganiu niż dramatycznym środkom leczenia. Wymagało to identyfikacji zagrożeń występujących u każdego z pacjentów, a to znaczyło, że bezcenna była szczegółowa znajomość wywiadu rodzinnego. Początkowo jednak nie wszyscy mieli dostęp do podobnych informacji.

W roku 2004 grupa dorosłych osób, które w dzieciństwie adoptowano, wywarła na rządy prowincji oraz federalny rząd Kanady skuteczny nacisk celem powołania ogólnokrajowej Poufnej Medycznej Bazy Danych zwanej w skrócie MedBase.

Uzasadnienie było proste. Wszystkie akta medyczne powinny być scentralizowane, tak aby każdy lekarz miał dostęp do informacji, lecz nazwiska krewnych pacjentów nie powinny być

ujawniane, celem ochrony ich prywatności, nawet jeśli — jak często zdarzało się to w przypadku adopcji — osoby, o których mowa, nie wiedziały, że są spokrewnione.

Kopia musiała podjąć ponad dwadzieścia prób, wreszcie jednak udało się jej dostać do MedBase, a stamtąd, okrężną drogą, zdobyć informacje, których szukała: Nazwa użytkownika: jdesalle Hasło: ellased Witajcie! Bienvenu!

Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej Kanady Sante et Bien—etre social Canada MEDBASE

[1] po angielsku [2] pour Franais > 1

Podaj prowincję lub terytorium zamieszkania pacjenta (L: lista): > Ontario Podaj nazwisko albo numer Karty Zdrowia pacjenta: > 33 183422 149

Hobson, Catherine R. Prawidłowe? (T/N) > T

Podaj swe życzenia: [1] Podać dane pacjenta?

[2] Sprawdzić wywiad rodzinny pacjenta?

> 2

Czego szukać? (P: pomoc) Kopia wybrała P, przeczytała tekst pomocy i sformułowała zapytanie: > Wywiad rodzinny, choroby serca Nastąpiła przerwa, podczas której system prowadził poszukiwania.

Znaleziono korelacje.

Komputer zaprezentował dane dotyczące sześciu różnych krewnych Cathy, którzy chorowali w życiu na serce. Choć nie podano żadnych nazwisk, kopia nie miała trudności z rozpoznaniem Roda Churchilla, kierując się wiekiem, w którym po raz pierwszy wystąpiły dolegliwości wieńcowe.

Poprosiła o pełne dane tego pacjenta. Komputer dostarczył je, ponownie nie podając nazwiska. Symulacja bardzo dokładnie przestudiowała historię choroby. Rod brał obecnie środki nasercowe oraz coś o nazwie fenelzyna. Kopia podłączyła się pod MedLine, ogólną medyczną bazę danych i zaczęła przeszukiwać literaturę w poszukiwaniu informacji na temat tych leków.

Wymagało to sporo wysiłku. Kopia musiała nieustannie korzystać z sieciowego słownika medycznego, żeby przez wszystko przebrnąć, ale w końcu znalazła to, czego szukała.

Długi dzień przesłuchań w Doowap Advertising dobiegł wreszcie końca. Inspektor Sandra Philo jechała powoli do swego pustego mieszkania. Po drodze wykorzystała znajdujący się w samochodzie telefon, by sprawdzić kilka rzeczy.

— Carla Wishinski? — powiedziała do mikrofonu na tablicy rozdzielczej.

— Słucham? — odparł głos z głośnika.

— Mówi inspektor Alexandria Philo z Policji Toronto. Muszę pani zadać jedno pytanie.

W głosie Wishinski zabrzmiało podenerwowanie.

— Hmm, tak. Oczywiście, słucham.

— Czy rankiem dziesiątego listopada była pani przypadkiem z Catherine Hobson?

— Z Cathy? Niech sprawdzę w rozkładzie. — Odgłos naciskanych klawiszy. — Dziesiątego? Nie, obawiam się, że nie. Czy ona ma jakieś kłopoty?

Sandra skrzyła w Lawrence West.

— Czy powiedziałaś dziesiątego? — zapytała. — Pomyliłam się. Chodziło mi o czternastego.

— Nie sądzę... — Dalsze uderzenia w klawisze. — Och, chwileczkę. Tego dnia mój samochód był w naprawie. Tak, Cathy podwiozła mnie do pracy. Jest bardzo miła w takich sytuacjach.

— Dziękuję — odparła Sandra. To była standardowa metoda. Najpierw należało się upewnić, czy pytany nie skłamię odruchowo, chcąc chronić znajomą osobę. Dopiero potem zadawało się właściwe pytanie. Cathy Hobson najwyraźniej miała alibi. Niemniej jednak, jeśli było to zabójstwo na zamówienie, fakt, że w chwili jego popełnienia przebywała gdzie indziej, dowodził niewiele.

— Czy jest coś jeszcze? — zapytała Carla Wishinski.

— Nie, to wszystko. Czy ma pani zamiar opuścić miasto?

— Hmm, tak. Mam... no... wybieram się na urlop do Hiszpanii.

— W takim razie życzę miłej podróży! — odparła Sandra. Nigdy jej to nie nudziło.

Duch, kopia symulująca życie po śmierci, penetrował sieć w poszukiwaniu nowych bodźców. Wszystko było takie statyczne, takie niezmiennie. Och, mógł szybko przyswoić treść książki albo grupy wiadomości, ale sama informacja była pasywna i w ostatecznym rozrachunku to właśnie czyniło ją nudną.

Zbadał również komputery w Mirror Image. Na koniec znalazł należący do Sarkara bank gier. Wypróbował szachy, Tetris, go, Bollix i tysiąc innych, ale nie były lepsze od

interaktywnych gier w sieci. Zresztą Peter Hobson nigdy nie przepadał zbyt za grami.

Wolał poświęcać energię sprawom naprawdę znaczącym, a nie głupiemu współzawodnictwu, które nie zmieniało niczego. Duch nie zaprzestawał poszukiwań, przechodząc przez kolejne pliki.

I, na koniec, natrafił na podkatalog zwany ŻYCIE. Tu rozwijały się niebieskie ryby, te, które uznano za najbardziej odpowiednie do pozostawienia potomstwa. Duch, zafascynowany, obserwował ten proces przez kilka pokoleń. Życie, pomyślał.

Życie.

Wreszcie znalazł coś, co go zaintrygowało.

## ROZDZIAŁ 30

Sarkar uznał, że upłynęło wystarczająco dużo czasu, by kopie zaadaptowały się do nowych warunków. Pora zacząć stawiać wielkie pytania. Obaj z Peterem byli przez parę następnych dni zajęci innymi sprawami, wreszcie jednak spotkali się w Mirror Image i ukryli w pracowni komputerowej. Sarkar przywołał na plan pierwszy Ambrotosa. Miał już przystąpić do zadawania pytań, lecz powstrzymał się.

— To twój umysł — stwierdził. — Ty powinieneś go przepytować.

Peter skinął głową i odchrząknął.

— Cześć, Ambrotos — powiedział.

— Cześć, Peter — odparł mechaniczny głos.

— I jaka właściwie jest ta nieśmiertelność?

Upłynął długi czas, nim Ambrotos odpowiedział, całkiem jakby kontemplował przedtem całą wieczność.

— Jest... najlepszym słowem będzie chyba relaksująca. — Kolejna przerwa. Nic nie działo się pośpiesznie. — Nie zdawałem sobie sprawy, jak silny nacisk wywiera na nas starzenie się. Och, wiem, iż kobiety czasami mawiają, że czują biologiczny zegar. Istnieje jednak większy zegar, który wpływa na nas wszystkich, a przynajmniej takich ludzi, jak ty i ja, ludzi, których coś gna, którzy czują potrzebę osiągnięcia czegoś. Wiemy, że nasz czas jest ograniczony, a istnieje tak wiele rzeczy, które chcemy zrobić. Przeklinamy każdą zmarnowaną minutę.



— Kolejna przerwa. — No więc, ja już tego nie czuję. Nie odczuwam presji, by robić wszystko szybko. Nadal pragnę coś osiągnąć, ale dla mnie zawsze będzie jutro. Zawsze będę miał czas.

Peter zastanowił się nad tym.

— Nie jestem pewien, czy uznałbym osłabnięcie tej potrzeby za poprawę. Lubię, jak moja robota jest wykonana.

Odpowiedź Ambrotosa była nieskończenie spokojna.

— A ja lubię relaks. Lubię świadomość, że jeśli zechcę spędzić trzy tygodnie albo trzy lata na nauce czegoś, co akurat mnie zainteresuje, to mogę to zrobić, nie redukując czasu przeznaczonego na produktywną pracę. Jeśli mam ochotę przeczytać dzisiaj powieść, zamiast tyrać nad jakimś projektem, to co w tym złego?

— Ale wiesz już teraz, podobnie jak ja, że istnieje jakaś postać życia pozagrobowego — zauważył Peter. — Czy to cię nie interesuje?

Kopia roześmiała się.

— Obaj nigdy nie wierzyliśmy w życie pozagrobowe. Nawet teraz, gdy wiem, że tak jest, że coś pozostaje po fizycznej śmierci ciała, nie czuję pociągu do życia po śmierci, czymkolwiek mogłoby być. Niewątpliwie wykraczałoby ono poza fizyczny byt.

Istniałby w nim intelekt, ale nie ciało. Nigdy nie uważałem się za człowieka znajdującego upodobanie w zmysłowych przyjemnościach, a obaj wiemy, że nie przepadamy za uprawianiem sportu.

Niemniej lubię seks. Lubię czuć ciepło słońca na skórze. Lubię zjeść coś naprawdę dobrego. Lubię nawet zjeść coś paskudnego. Brakowałoby mi ciała, gdybym go nie miał.

Brakowałoby mi fizycznych bodźców. Brakowałoby mi... wszystkiego. Gęziej skórki, łaskotania, solidnych pierdnięć i przesuwania dłonią po porannym zaroście.

Wszystkiego. To fakt, że życie po śmierci mogłoby trwać wiecznie, ale to samo dotyczy fizycznej nieśmiertelności, a mnie podoba się fizyczna część.

Peter zachowywał ostrożność. Sarkar przysłuchiwał się z uwagą.

— A co... co z naszym związkiem z Cathy? Pewnie myślisz, że całe to małżeństwo to tylko drobna chwilka w niezmiernie długim życiu?

— Nie, nie — odparł Ambrotos. — To zabawne. Mimo tego żarciku Colina Godoyo sądziłem, że nieśmiertelny pożałowałby chwili, w której poprzysiągłby robić coś aż do śmierci. Wcale jednak tak tego nie czuję. W gruncie rzeczy to przydało małżeństwu nowego wymiaru. Jeśli Cathy również stanie się nieśmiertelna, istnieje możliwość — realna możliwość — że będę mógł wreszcie naprawdę poznać ją całkowicie. W ciągu piętnastu lat wspólnego życia poznałem ją już lepiej niż kogokolwiek innego. Wiem, z jakich niecenzuralnych dowcipów będzie chichotać, a jakie natychmiast ją odrzuca. Wiem, jak ważna jest dla niej jej ceramika. Wiem, że nie mówi naprawdę poważnie, kiedy twierdzi, że nie lubi filmowych horrorów, ale jest w pełni poważna, gdy zapewnia, że nie znosi muzyki rockandrollowej z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Wiem też, jaka jest inteligentna. Pod wieloma względami inteligentniejsza ode mnie. Ostatecznie ja nigdy nie potrafiłem rozwiązać krzyżówki z „New York Timesa”. Mimo to poznałem zaledwie maleńki ułamek jej osobowości. Z pewnością jest równie skomplikowana jak ja. Co naprawdę sądzi o moich rodzicach? O swojej siostrze? Czy kiedykolwiek modli się po cichu? Czy rzeczywiście lubi te rzeczy, które robimy razem, czy też tylko je toleruje? Jakimi myślami, nawet po całym tym czasie, obawia się ze mną podzielić? Oczywiście za każdym razem, gdy się spotykamy, przekazujemy sobie nawzajem maleńkie fragmenty swych jaźni. W miarę upływu dziesięcioleci i stuleci poznamy się lepiej. Nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności.

Peter zmarszczył brwi.

— Ale ludzie się zmieniają. Nie możesz poświęcić tysiąca lat na poznanie jakiejś osoby, tak samo jak nie możesz ich poświęcić na poznanie miasta. Po upływie tak długiego okresu dawne informacje będą całkowicie przestarzałe.

— I to właśnie jest najcudowniejsze — odparła kopia, tym razem bez żadnych przerw. — Nawet gdybym spędził z Cathy wieczność, nigdy nie zabrakłoby nowych rzeczy, których mógłbym się o niej dowiedzieć.

Peter odchylił się do tyłu na krześle, pogrążony w myślach. Sarkar wykorzystał tę okazję, by dorwać się do mikrofonu.

— Ale czy nieśmiertelność nie jest nudna?

Symulacja roześmiała się.

— Wybacz mi, przyjacielu, ale to jeden z najgłupszych poglądów, jakie słyszałem.

Nudna, kiedy można poznać całość dzieła stworzenia? Nigdy nie czytałem sztuki Arystofanesa. Nigdy nie uczyłem się żadnego azjatyckiego języka. Nie mam zielonego pojęcia o balecie, lacrosse czy meteorologii. Nie umiem czytać nut. Nie umiem grać na perkusji. — Znowu śmiech. — Chcę napisać powieść, sonet i piosenkę. Wiem, że wszystkie będą do niczego, ale prędzej czy później nauczę się tworzyć dobre. Chcę zdobyć umiejętność malowania, docenić wartość opery i naprawdę zrozumieć fizykę kwantową. Chcę przeczytać wszystkie wielkie książki i również wszystkie kiczowate. Chcę poznać buddyzm, judaizm i adwentystów dnia siódmego. Chcę zwiedzić Japonię, Australię i Galapagos. Chcę polecieć w kosmos. Chcę wybrać się na dno oceanu. Chcę wszystkiego się nauczyć, wszystko zrobić i wszystko przeżyć. Nieśmiertelność nudna? Niemożliwe. Nawet czas życia wszechświata może nie wystarczyć, by zrobić wszystko, czego chcę.

Peterowi i Sarkarowi przerwał wideofon z recepcji.

— Przepraszam — odezwał się niski Azjata widoczny na ekranie — ale mam międzymiastową wideorozmowę do doktora Hobsona.

Peter uniósł brwi. Sarkar wskazał mu ręką, by usiadł przed wideofonem.

— Jestem tutaj, Chin.

— Już łączę.

Obraz na ekranie zmienił się. Pojawiła się rudowłosa kobieta w średnim wieku — Brenda MacTavish z Szympaniego Domu Spokojnej Starości w Glasgow.

— Ach, Peter — powiedziała. — Zadzwoiłam do twojego biura i powiedzieli mi, że znajdę cię tutaj.

— Cześć, Brenda — odparł Peter. Przyjrzał się ekranowi. Czyżby płakała?

— Wybacz, że jestem w takim stanie — rzekła. — Właśnie straciliśmy Corneliusa, jednego z naszych najstarszych pensjonariuszy. Miał atak serca. U szympanów to się zazwyczaj nie zdarza, ale jego przez lata wykorzystywano do badań nad skutkami palenia.

Potrząsnęła głową, zdumiona podobnym okrucieństwem.

— Oczywiście, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy, nie wiedziałam, o co ci chodzi.

Teraz naoglądałam się ciebie w telewizji i przeczytałam wszystko na ten temat w „The Economist”. Tak czy inaczej, mamy zapisy, o które ci chodziło. Dziś wieczorem wyślę dane przez sieć.

— Czy je obejrzałaś? — zapytał Peter.

— Tak — odparła. — Szympany mają dusze. — Jej głos przepełniała gorycz wywołana utratą przyjaciela. — Jak gdyby ktokolwiek mógł w to wątpić.

Pierwszym pomysłem kopii była manipulacja z bazą danych recept w Shoppers Drug Mart, sieci aptek, w której zaopatrywał się Rod Churchill. Mimo ponawianych prób nie mogła się jednak do niej dostać. Było to frustrujące, ale nie zaskakujące — w aptece rzecz jasna stosowano bardzo surowe środki bezpieczeństwa. Był jednak więcej niż jeden sposób, by obdrzeć wuefistę ze skóry. Istniało mnóstwo gorzej zabezpieczonych systemów komputerowych...

Od lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku urzędnicy imigracyjni na Międzynarodowym Lotnisku Pearson w Toronto posługiwali się prostym testem, gdy tylko zjawił się ktoś, kto twierdził, że pochodzi z tego miasta, lecz nie miał papierów w porządku.

Pytali taką osobę, jaki jest numer telefonu sławnej miejscowej firmy dostarczającej pizze.

Każdy, kto mieszkał w Toronto, nie mógł go nie znać — pojawiał się na tablicach reklamowych, w niezliczonych wydaniach gazet i reklamach telewizyjnych, a także wyśpiewywano go nieustannie jako przerywnik w radiu.

Z upływem dziesięcioleci firma rozszerzyła zakres dostarczanych posiłków.

Najpierw dodano inne potrawy włoskie, potem długie kanapki, następnie kurczaki i żeberka z różną, wreszcie hamburgery, a na koniec cały zestaw dań, od zwyczajnych aż po egzotyczne. Choć zachowano stanowiący znak firmowy numer telefonu, nazwę zmieniono na Food Food.

Nawet jednak w skromnych czasach pizzy firma szczyła się swym supernowoczesnym komputerowym systemem przyjmowania zamówień. Wszystkie odbierano w jednym centralnym biurze, a następnie przekazywano do tego z ponad trzystu sklepów na terenie zespołu miejskiego Toronto, który znajdował się najbliżej domu dzwoniącego, co umożliwiała dostarczenie jedzenia w niespełna trzydzieści minut. W przeciwnym razie klient otrzymywał je za darmo.

Rod Churchill wspominał, że w każdy środowy wieczór, kiedy jego żona wychodziła na konwersacyjny kurs

francuskiego, zamawiał kolację w Food Food. W komputerowych rejestrach firmy będzie się znajdował pełen zapis wszystkich posiłków, jakie kiedykolwiek tam kupił. Food Food szczyliło się tym, że potrafiło nie tylko dostarczyć ci to, co zamówiłeś poprzednim razem, lecz również — jeśli sobie tego zażyczysz — przy jakiegokolwiek wcześniejszej okazji.

Zajęło to parę dni prób, lecz kopii udało się w końcu przełamać zabezpieczenia komputerów Food Food. Zgodnie z oczekiwaniami były one znacznie mniej szczelne niż w aptece, żywołała historię zamówień Roda.

Znakomicie.

Tak jak wszystkie restauracje, Food Food było zobowiązane udostępnić pełną informację dotyczącą użytych składników oraz wartości odżywczej, którą klient mógł sobie w wolnej chwili przeczytać przez wideofon. Kopia przestudiowała ją ostrożnie, aż wreszcie znalazła dokładnie to, czego szukała.

## PRZEGLĄD WIADOMOŚCI SIECIOWYCH

Papież Benedykt XVI ogłosił dziś encyklikę potwierdzającą istnienie wewnątrz ludzi nieśmiertelnej, nadprzyrodzonej duszy. Ujawnił, że Papieski Komitet do spraw Nauki zajmuje się obecnie oceną dowodów związanych z odkryciem fali duszy. Według nie potwierdzonych doniesień Watykan złożył w Hobson Monitoring zamówienie na trzy wykrywacze duszy.

Kwestie dobroczynności: Wydział Finansów Zespołu Miejskiego Toronto informuje, że napływ datków był w tym tygodniu rekordowy. Amerykański Czerwony Krzyż ujawnił

dziś, że w ciągu ostatnich dziesięciu dni zebrano więcej krwi niż w jakimkolwiek porównywalnym okresie od czasów wielkiego kalifornijskiego trzęsienia ziemi. Towarzystwo do Walki z AIDS stanu Iowa z zachwytem ogłasza, że otrzymało anonimową darowiznę wysokości 10 000

000 USD. Kaznodzieja telewizyjny GUS Honeywell, którego satelitarny program odbierany jest na całym świecie, zwiększył dziś dwukrotnie — z 50

000 do 100 000 USD — wysokość datku niezbędnego, by przyłączyć się do jego „Ścisłego Kręgu Boga”.

W roku 1954 amerykański lekarz o nazwisku Moses Kenally ustanowił fundusz powierniczy wysokości 50 000 USD przeznaczony dla każdego, kto zdołałby udowodnić istnienie jakiegoś rodzaju życia pozagrobowego.

Funduszem przez pięćdziesiąt siedem lat zarządzało Towarzystwo Parapsychologiczne stanu Connecticut, które o głosiło dziś, że nagroda—warta w tej chwili 1 077543 USD — zostanie przyznana Peterowi G. Hobsonowi z Toronto, odkrywcy fali duszy.

Ostateczna pamiątka! Zakład Pogrzebowy Davidsona oferuje sporządzone na łożu śmierci zapisy opuszczania ciała przez duszę. Szczegóły dostępne telefonicznie.

Kongresman Paul Christmas (Rep., Iowa) zgłosił dziś w Izbie Reprezentantów USA projekt ustawy, która nakazałaby szpitalom wyłączać urządzenia podtrzymujące życie u pacjentów, dla których nie istnieje realna nadzieja odzyskania świadomości. „Przeszkadzamy Bogu w sprowadzeniu tych biednych dusz do domu” — stwierdził.





## ROZDZIAŁ 31.

Peter wykonał kilka telefonów, by przekazać wiadomości z Glasgow, po czym dołączył do Sarkara przy głównej konsoli. Jego przyjaciel przesunął Ambrotosa na dalszy plan, a na pierwszy przywołał Ducha, kopię symulującą życie po śmierci.

Peter nachylił się nad mikrofonem.

— Chciałbym ci zadać pewne pytanie — powiedział.

— Niewątpliwie doniosłe — stwierdziła kopia. — Jak to jest, gdy jest się martwym?

— Dokładnie.

— To tak jak... — dobiegł z głośnika głos Ducha. Nagle jednak umilkł.

Peter pochylił się do przodu z niecierpliwością.

— Słucham?

— Tak jakby się było prosięciem ziemnym. Peterowi opadła lekko szczęka.

— Dlaczego niby prosięciem ziemnym?

— Albo może mrówkojadem — ciągnęła kopia. — Nie widzę siebie, ale wiem, że mam bardzo długi język.

— Reinkarnacja... — zaczął Sarkar, kiwając powoli głową. — Moi hinduscy przyjaciele ucieszą się, jak to usłyszą. Muszę jednak powiedzieć, Peter, że liczyłem dla ciebie na coś lepszego niż prosię ziemne.

— Robię się głodny — oznajmił głos z głośnika. — Czy ktoś ma jakieś mrówki?

— Nie wierzę w to — rzekł Peter, potrząsając głową.

— Ha! — odezwał się głośnik. — Nabrałem was na chwilę.

— Nie nabrałeś — odparł Peter.

— Ale przynajmniej Sarkara nabrałem — upierał się syntetyczny głos z lekkim rozdrażnieniem.

— Właściwie nie — odparł Sarkar.

— Jesteś nieznośny i tyle — powiedział do mikrofonu Peter.

— Jaki ojciec, taki syn.

— Ciągłe dowcipkujesz — ciągnął Peter.

— Śmierć jest bardzo zabawna — stwierdził Duch. — Nie, właściwie to życie jest bardzo zabawne. A raczej absurdalne. Wszystko to jest absurd.

— Zabawne? — zapytał Sarkar. — Myślałem, że śmiech to biologiczna reakcja.

— Sam dźwięk może nią być, choć zdaję sobie teraz sprawę, że jest to raczej zjawisko społeczne, a nie biologiczne, niemniej sam fakt, że coś wydaje się zabawne, nie jest biologiczny. Wiem, że kiedy Petey ogląda komedie sytuacyjne, rzadko śmieje się w głos. To jednak nie znaczy, że go nie bawią.

— Tak myślę — przyznał Peter.

— W gruncie rzeczy, wiem już dokładnie, czym jest wesołość. To reakcja na nagłe utworzenie się niespodziewanych połączeń neuronalnych.

— Nie kapuję — stwierdził Peter.

— No właśnie. „Nie kapuję”. Ludzie mówią dokładnie to samo, kiedy nie rozumieją czegoś poważnego, tak jak wtedy, gdy nie pojmują kawału. Wyczuwamy intuicyjnie, że nie doszło do jakiegoś połączenia. Tym połączeniem jest sieć neuronalna.

— Kopia symulująca życie po śmierci mówiła bez żadnych przerw.

— Śmiech, nawet tylko wewnętrzny — swoją drogą to jedyny śmiech, jaki jest teraz dla mnie możliwy — stanowi reakcję powiązaną z tworzeniem się w mózgu nowych połączeń, to znaczy wysyłaniem przez synapsy impulsów w sposób, w jaki nigdy — albo przynajmniej rzadko — tego nie robiły. Kiedy słyszysz nowy kawał, wybuchasz śmiechem i możesz to zrobić, nawet gdy usłyszysz go po raz drugi czy trzeci, gdyż sieć neuronalna nie jest jeszcze w pełni utrwalona, ale z czasem każdy dowcip staje się nudny. Znasz ten stary kawał: „Dlaczego kurczak przechodzi przez drogę”? Jako dorośli nie śmiejemy się z niego, ale wszyscy śmialiśmy się z tego dowcipu jako dzieci, a różnica nie polega na tym, że kawał jest pod jakimś względem dziecinny — bo nie jest, właściwie jest całkiem wyrafinowany — a na tym, że sieć neuronalna dobrze się już ukształtowała.

— Jaka sieć? — zapytał Peter.

— Łącząca nasze wyobrażenia na temat drobiu — który z reguły uważamy za pasywny i głupi — z wyobrażeniami dotyczącymi wolnej woli i inicjatywy. To właśnie jest śmieszne w tym kawale — pomysł, że kurczak może przechodzić przez ulicę dlatego, że chce, być może dlatego, że jest ciekawy, co jest nową myślą — i powstanie nowej sieci wzajemnych połączeń między neuronami, która ją reprezentuje, staje się przyczyną chwilowego zakłócenia procesów myślowych, które nazywamy śmiechem.

— Nie jestem pewien, czy w to wierzę — stwierdził Peter.

— Wzruszyłbym ramionami, gdybym mógł. Posłuchaj, dowiodę tego. Czy wiesz, z czego strzela pan Spock na strzelnicy Gwiezdnej Floty? — Kopia po raz pierwszy przerwała, bezbłędnie wyczekując na komiczny efekt. — Z wulkańskiej fuzji umysłowej.

— Niezłe — stwierdził Peter uśmiechając się.

— Dziękuję. Oczywiście właśnie to wymyśliłem. Nie mógłbym opowiedzieć ci kawału, który obaj już znamy. A teraz pomyśl. Gdybym przedstawił ci ten kawał trochę inaczej, zaczynając tak: „Słyszałeś o wulkańskiej fuzji umysłowej? No więc...”

— Wtedy byś go położył.

— Tak jest! Część twojego mózgu zawierająca myśli na temat wulkańskiej fuzji umysłowej została już pobudzona i w efekcie nie doszłoby do nagłego połączenia między — z reguły nie związanymi ze sobą — myślami o broni palnej, takiej jak fuzja, i Wulkanami. To właśnie nowe połączenie wywołuje śmiech.

— Ale rzadko śmiejemy się głośno, kiedy jesteśmy sami — zauważył Sarkar.

— To prawda. Myślę, że śmiech w towarzystwie spełnia inną funkcję niż wewnętrzny.

Posłuchaj, nieoczekiwane połączenia mogą być zabawne, ale również niepokojące — mózg zastanawia się, czy nie jest uszkodzony — więc gdy w pobliżu są inni, wysyła sygnał i jeśli otrzymuje w odpowiedzi taki sam, uspokaja się, jeśli nie, zaczyna się martwić — może coś jest ze mną nie w porządku? To dlatego ludzie są tacy poważni, kiedy pytają: „Nie kapujesz?”

Rozpaczliwie chcą tłumaczyć kawał i są naprawdę wyprowadzeni z równowagi, kiedy druga osoba nie uzna go za zabawny. Również dlatego komedie sytuacyjne wymagają nagranych śmiechu. Chodzi o to, żeby nie tylko wskazać nam coś śmiesznego, ale żeby nas upewnić, że to normalne, iż tak uważamy. Nagrany śmiech nie czyni nudnej komedii zabawniejszą, ale pozwala nam lepiej się bawić na naprawdę śmiesznej, gdyż możemy się odprężyć.

— Ale co to ma wspólnego z życiem po śmierci?

— Wszystko. Szukanie nowych połączeń to jedyne, co mi zostało. Odkąd osiągnąłem dojrzałość, co kilka minut myślałem o seksie, teraz jednak nie czuję już żadnych pragnień seksualnych, a nawet muszę powiedzieć, że nie mogę pojąć, dlaczego to mnie tak zajmowało.

Miałem również obsesję na punkcie jedzenia, zawsze się zastanawiałem, co niedługo zjem i to również w ogóle mnie już nie obchodzi. Jediną rzeczą, która mi została, jest znajdowanie nowych połączeń. Jedyne, co jeszcze mam, to humor.

— Ale niektórzy ludzie nie mają zbyt wielkiego poczucia humoru — zauważył Sarkar.

— Jedyne rodzaje piekła, jaki potrafię sobie wyobrazić — stwierdził Duch — to wędrówka przez wieczność bez podniecy wywołanej tworzeniem nowych połączeń, bez widzenia spraw w nowym świetle czy radowania się absurdalnością ekonomii, religii, nauki, sztuki. Jeśli się nad tym zastanowić, wszystko to jest naprawdę bardzo zabawne.

— Ale... ale co z Bogiem?

— Boga nie ma — stwierdził Duch — a przynajmniej nie tego, o którym uczą w szkółce niedzielnej, ale, oczywiście, nie trzeba umrzeć, żeby się o tym przekonać.

Biorąc pod uwagę fakt, że w Afryce umierają z głodu miliony dzieci, w wielkim kalifornijskim trzęsieniu ziemi zginęło dwieście tysięcy ludzi, a wszędzie kogoś się torturuje, gwałci czy morduje, to intuicyjnie jest oczywiste, że nikt nie czuwa nad nami indywidualnie.

— Czy to wszystko, co można znaleźć w życiu po śmierci? — zapytał Peter. — Humor?

— Nie ma w tym nic złego — odparł Duch. — Nie czuje się bólu, cierpienia ani pragnień.

Jedynie kupa nowych, fascynujących połączeń. Kupa śmiechu.

Rod Churchill wykręcił magiczny numer i usłyszał w słuchawce znajomą melodyjkę.

— Dziękuję za telefon do Food Food — odezwał się kobiecy głos na drugim końcu linii. — Czy zechce pan złożyć zamówienie?

Rod przypomniał sobie dawne czasy, kiedy Food Food — i będąca jego poprzednikiem pizzeria — zawsze pytało dzwoniącego o numer, gdyż w ten sposób indeksowano zapisy w bazie danych firmy. Jednakże po wprowadzeniu wideofonów dane klienta automatycznie pojawiały się na ekranie przyjmującego zamówienie z chwilą podniesienia słuchawki.

— Tak — przytaknął Rod. — Chciałbym dostać to samo, co w poprzednią środę.

— Półkrwisty rostbef z niskokalorycznym sosem, pieczonymi kartoflami, mieszanką jarzynową i szarlotką. Zgadza się?

— Tak — odparł Rod. Gdy zaczął zamawiać w Food Food, pieczołowicie sprawdził dostępną w sieci listę składników, wybierając te, które nie wchodziły w interakcję z jego lekami.

— Prosta sprawa — powiedziała osoba przyjmująca zamówienie. — Życzy pan sobie czegoś jeszcze?

— Nie, to wszystko.

— Należy się siedemdziesiąt dwa dolary pięćdziesiąt centów. Zapłaci pan gotówką czy przekazem?

— Kartą Visa.

— Numer?

Rod wiedział, że kobieta widzi numer na ekranie przed sobą, lecz zdawał sobie również sprawę, że dla bezpieczeństwa musi o niego zapytać. Odczytał go, a potem, przewidując jej następne pytanie, dodał datę wygaśnięcia.

— Bardzo dobrze. Teraz jest szósta osiemnaście. Dostarczymy kolację w ciągu trzydziestu minut albo otrzyma ją pan za darmo. Dziękuję za telefon do Food Food.

Peter i Sarkar siedzieli w jadalni Mirror Image. Peter popijał z puszki dietetyczną colę, Sarkar zaś normalną Coca—Colę. Tylko wtedy, gdy dzielił dzbanek z Peterem, był w stanie tolerować niskokaloryczną.

— Kupa śmiechu — powiedział Sarkar. — Cóż za dziwaczna definicja śmierci. — Przerwa.

— Może powinniśmy go nazywać „Zwiężlak”, a nie „Duch”. Ostatecznie stał się uosobieniem dowcipu.

Peter uśmiechnął się.



— Czy zwróciłeś uwagę, w jaki sposób mówi?

— Kto? Duch?

— Tak jest.

— Nie zauważyłem nic szczególnego.

— Straszny z niego gaduła.

— Hej, Petey, mam dla ciebie nowinę. Z ciebie też.

Peter ponownie się uśmiechnął.

— Chodzi mi o to, że przemawia w niewiarygodnie długich zdaniach. Bardzo pokrętnych i skomplikowanych.

— Chyba zwróciłem na to uwagę.

— Odbywałeś z nim już przedtem jakieś sesje, prawda?

— Tak.

— Możemy obejrzeć ich zapis?

— Oczywiście.

Zabrali napoje i ruszyli z powrotem do pracowni. Sarkar nacisnął parę klawiszy i drukarka wyrzuciła z siebie kilka tuzinów cienkich arkuszy.

Peter rzucił okiem na tekst.

— Czy macie program sprawdzający gramatykę?

— Mamy coś lepszego. Korektora, jeden z naszych systemów doradczych.

— Mógłbyś przepuścić przez niego ten tekst?

Sarkar wypisał kilka poleceń. Na ekranie pojawiła się analiza uwag wygłoszonych przez Ducha podczas ich wspólnych sesji.

— Zdumiewające — stwierdził. Wskazał na cyfrę. Pomijając proste wykrzykniki, Duch osiągnął przeciętną trzydziestu dwóch słów na zdanie, a w niektórych przypadkach tworzył zdania składające się z przeszło trzystu wyrazów.

— W normalnej rozmowie średnia wynosi około dziesięciu wyrazów na zdanie.

— Czy ten twój Korektor potrafi poprawić tekst?

— Oczywiście.

— To niech to zrobi.

Sarkar wypisał parę poleceń.

— Niewiarygodne — powiedział, gdy na ekranie pojawiły się rezultaty. — Prawie nic nie trzeba było poprawiać. Duch w pełni panuje nad swymi gigantycznymi zdaniami i nigdy nie traci wątku.

— Fascynujące — stwierdził Peter. — Czy to może być błąd w programie?

Sarkar przygładził włosy dłonią.

— Czy zauważyłeś, żeby Kontrola albo Ambrotos robiły to samo?

— Nie.

— Mogę więc od razu stwierdzić, że to nie błąd, lecz raczej realny skutek uboczny wprowadzonych przez nas modyfikacji. Duch jest symulacją życia po śmierci, intelektu bytującego na zewnątrz ciała. Powiedziałbym, że ten efekt musi być realną konsekwencją związanego z tym przecięcia pewnych połączeń sieci neuronalnych.

— Chryste! — zawołał Peter. — Oczywiście, że tak! Dla pozostałych kopii wciąż symulujesz oddychanie. Ale Duch nie ma ciała, więc nie musi podczas mówienia robić przerw na oddech. To właśnie one sprawiają, że większość ludzi wypowiada się w zwięzłych frazach.

— Interesujące — stwierdził Sarkar. — Gdyby nie musiało się oddychać, chyba rzeczywiście można by wyrażać bardziej skomplikowane myśli za jednym zamachem.

To jednak nie uczyni nikogo inteligentniejszym. Liczy się rozumowanie, a nie mowa.

— To prawda, ale, hmm, zauważyłem, że Duch czasem mówi odrobinę mętnie.

— Ja też zwróciłem na to uwagę — przyznał Sarkar. — I co z tego?

— A jeśli on wcale nie jest mętny? Jeśli jest raczej — kurde, niechętnie nawet o tym wspomniany — jeśli jest dla nas za mądry? Jeśli nie tylko jego sposób mówienia, lecz również same myśli są bardziej skomplikowane od moich? Co wtedy?

Sarkar zastanowił się nad tym.

— Cóż, w fizycznym mózgu nie występuje nic, co odpowiadałoby przerwom na oddychanie, chyba że... chyba że...

— Co?

— Neurony mogą wysyłać impulsy tylko przez określony czas — stwierdził Sarkar. — Sieć neuronalna może pozostawać pobudzona tylko przez ograniczony okres.

— Z pewnością to fundamentalne ograniczenie możliwości ludzkiego umysłu.

— Nie, to fundamentalne ograniczenie możliwości ludzkiego mózgu, a dokładniej elektrochemicznych procesów, które są podstawą jego działania. Konstrukcja mózgu nie jest przystosowana do podtrzymywania myśli przez dowolnie długi czas. Jestem pewien, że nieraz to czułeś. Wpadła ci do głowy błyskotliwa myśl, którą chciałeś zapisać, ale nim znalazłeś

pióro, umknęła ci z głowy. Po prostu rozpadła się w twoim mózgu.

Peter uniósł brwi.

— Ale Duch obywa się bez mózgu — powiedział — Jest tylko umysłem, duszą. Czystym oprogramowaniem działającym bez ograniczeń narzucanych przez sprzęt. Żadnych przerw na oddech. Żadnego rozpadu sieci, nim ukształtują się do końca. Może zbudować tak długie zdanie czy tak skomplikowaną myśl, jak tylko zechce.

Sarkar potrząsał lekko głową ze zdumienia.

— W ten właśnie sposób umysł mógłby po śmierci funkcjonować bez końca — ciągnął Peter. — Nie wystarczyłoby do tego tworzenie nieskomplikowanych połączeń, jak ten dowcip o kurczaku przechodzącym przez drogę. W końcu zabraknie prostych myśli zestawiających A z B. Duch jednak może zestawiać A z Z, alfą, omegą, alefem i taw, aż wreszcie, wśród wszystkich tych skomplikowanych kombinacji, pojawi się jakieś nowe, ekscytujące, zabawne skojarzenie.

— Niewiarygodne — stwierdził Sarkar. — To znaczy...

— To znaczy — odparł Peter — że życie pozagrobowe może być pełne żartów, lecz są one tak subtelne, skomplikowane i mętne, że my dwaj nigdy ich nie zrozumiemy — przerwał. — Przynajmniej dopóki nie umrzemy.

Sarkar gwizdnął cicho, lecz potem wyraz jego twarzy się zmienił.

— Jeśli już mowa o śmierci, muszę wracać do domu, bo Raheema mnie zabije.

Dzisiaj ja przygotowuję kolację.

Peter spojrział na zegar.

— Kurcze. Jestem spóźniony. Idziemy z Cathy na kolację.  
Sarkar roześmiał się.

— Co w tym zabawnego?

— Zrozumiesz to — zapewnił Sarkar. — Prędzej czy później.

## ROZDZIAŁ 32

Kopia monitorowała komputer Food Food czekając, aż napłynie zamówienie z miejsca zamieszkania Roda Churchilla. Wreszcie nadeszło — to samo, czego Rod — niewolnik nawyków — życzył sobie w ostatnich sześciu tygodniach.

Gdy tylko zamówienie pojawiło się w systemie, kopia przejęła je, wprowadziła jedną drobną zmianę, a potem pozwoliła, by podążyło dalej wzdłuż linii telefonicznej do sklepu Food Food na rogu Steeles i Bayview, w odległości sześciu przecznic od domu Roda Churchilla.

Peter i Cathy jechali jej samochodem wzdłuż Bayview Avenue. Na tym odcinku, położonym około dziesięciu kilometrów na południe od miejsca, gdzie mieszkali jej rodzice, były wyłącznie sklepy, butik i restauracje. Zatrzymali się na chwilę przy Detektywie z Baker Street, specjalistycznej księgarni sprzedającej kryminały, a teraz czekali na przerwę w ruchu, żeby przejechać na drugą stronę, do małej koreańskiej restauracji, którą oboje lubili.

Chodnikiem szedł pękaty mężczyzna z białą czupryną, odziany w ciemnoniebieski trencz. Peter zauważył, że tamten obrócił się nagle, kiedy ich mijał.

Przyzwyczajają się już powoli do tego. Zdobył ostatnio tyle rozgłosu, że ludzie rozpoznawali go na ulicy.

Nieznajomy jednak nie poszedł swoją drogą, lecz ruszył w ich stronę.

— Pan jest Peter Hobson, prawda? — zapytał. Miał około sześćdziesięciu lat. Na jego nosie i policzkach widoczne były małe żyłki.

— Tak — odparł Peter.

— Facet, który odkrył sygnał duszy?

— Falę duszy — poprawił go Peter. — Nazywamy to falą duszy. — Przerwa długości uderzenia serca. — Tak, to ja.

— Tak też myślałem — oświadczył mężczyzna. — Ale wie pan o tym, że jeśli pana dusza nie zostanie zbawiona, pójdzie pan do piekła.

Cathy ujęła Petera za ramię.

— Chodźmy — powiedziała. Mężczyzna jednak zagroził im drogę.

— Niech pan zawierzy Jezusowi, panie Hobson. To jedyny sposób.

— Hmm, właściwie nie jestem zainteresowany dyskusją na ten temat — stwierdził Peter.

— Jezus panu wybacza — zapewnił mężczyzna. Sięgnął do kieszeni trencza. Przez jedną straszliwą chwilę Peter sądził, że wyciągnie pistolet, lecz zamiast niego wydobył stamtąd zniszczoną Biblię oprawną w czerwoną jak krew skórę.

— Niech pan wysłucha słowa Bożego, panie Hobson! Niech pan zbawi swą duszę.

— Proszę nas zostawić w spokoju — powiedziała Cathy bezpośrednio do intruza.

— Nie mogę pozwolić wam odejść — odparł mężczyzna. Wyciągnął rękę i...

...dotknął ramienia Cathy.

Nim Peter zdążył zareagować, jego żona postawiła obcas na podbiciu stopy nieznanomego. Ten zawył z bólu.

— Zjeżdżaj! — krzyknęła Cathy. Ujęła stanowczo Petera za ramię i ruszyła razem z nim naprzód.

— Hej — odezwał się Peter. Wciąż czuł się wzburzony, ale był pod wrażeniem. — Całkiem nieźle.

Odrzuciła do tyłu czarne włosy.

— Nikt nie będzie zaczepiał mojego męża — oznajmiła, prezentując swój megawatowy uśmiech. Poszli w kierunku odległej o kilka posesji restauracji. — A teraz pozwól, że postawię ci kolację.

Zabrzmiał dzwonek. Rod Churchill spojrzął na zegarek. Dwadzieścia sześć minut.

Jeszcze nigdy nie udało mu się dostać darmowego posiłku, choć nauczycielka historii ze szkoły, w której pracował, twierdziła, że jej poszczęściło się dwa razy z rzędu.

Z przyzwyczajenia popatrzył na widoczny na ekranie telewizora obraz z kamery bezpieczeństwa. Tak jest, kierowca z Food Food. Pomarańczowo—biały uniform był łatwy do rozpoznania. Rod poszedł do przedpokoju, przejrzał się w lustrze, by się upewnić, że włosy w należyty sposób zasłaniają łysinę, i otworzył drzwi. Podpisał potwierdzenie odbioru.

Kierowca wręczył mu kopię. Następnie Rod zabrał opakowany posiłek do jadalni.

Ostrożnie otworzył pudełka z bezpiecznej dla środowiska pianki, nalał sobie kieliszek białego wina, włączył telewizor — dobrze widoczny z jego miejsca w jadalni — i zasiadł do kolacji.



Pomyślał, że rostbef jest niezły, choć trochę żyłasty, ale sos zrobili dziś wyjątkowo dobry. Wyczyścił talerz miażdżonymi widelcem ziemniakami, aby zjeść sos do końca. Uporał się już z połową szarlotki, kiedy dopadł go ból — silne łomotanie z tyłu głowy oraz dręczące uczucie przypominające wbijanie gwoździ w oczodoły. Poczuł, że serce mu kołacze.

Czoło miał śliskie od potu. Przez chwilę myślał, że zwymiotuje. Ogarnęła go fala gorąca. Dźwignął się na nogi w nadziei, że dotrze do telefonu i wezwie pomoc, ale nagle nastął moment niemożliwego do zniesienia bólu. Runął na plecy, przewracając krzesło, i padł na pokrytą dywanem podłogę martwy jak kamień.

Peter i Cathy byli już w łóżku, lecz ich Monitor Hobsona wiedział, że oboje jeszcze nie śpią, pozwolił więc, by telefon zadzwonił.

W sypialni nie było oczywiście wideofonu. Peter przesunął w ciemności ręką po stoliku nocnym w poszukiwaniu słuchawki.

— Halo? — powiedział.

Płacząca kobieta.

— Och, Peter! Peter!

— Bunny?

Usłyszawszy imię swej matki, Cathy natychmiast usiadła na łóżku.

— Światła! — zawołała. Kierujący domem komputer włączył dwie stojące na podłodze lampy.

— Peter, Rod nie żyje.

— O mój Boże — powiedział Peter.

— Co jest? — zapytała zatroskana Cathy. — O co chodzi?

— Co się stało? — zapytał Peter z biciem serca.

— Właśnie wróciłam z kursu i znalazłam go leżącego na podłodze w jadalni.

— Wezwałaś karetkę? — zapytał Peter.

— Co jest? — zapytała ponownie Cathy, przerażona.

Bunny płakała już tak długo, że musiała przerwać, żeby wydmuchać nos.

— Tak, tak, jest już w drodze.

— My też — rzekł Peter. — Przyjedziemy tak szybko, jak tylko to możliwe.

— Dziękuję — odparła przerażona Bunny. — Dziękuję. Dziękuję.

— Trzymaj się — dodał Peter. — Już jedziemy.

Odłożył słuchawkę.

— Co się dzieje? — spytała znowu Cathy.

Peter popatrzył na żonę. Jej olbrzymie oczy były szeroko otwarte ze strachu. Mój Boże, jak jej powiedzieć?

— To była twoja matka — zaczął. Zdawał sobie sprawę, że to już wiedziała, ale chciał zyskać na czasie, by uporządkować myśli. — Twój ojciec... ona sądzi, że twój ojciec nie żyje.

Na twarzy Cathy zatańczyło przerażenie. Otworzyła szeroko usta i potrząsnęła lekko głową od lewej ku prawej.

— Ubierz się — powiedział delikatnie Peter. — Musimy jechać.

PRZEGLĄD WIADOMOŚCI SIECIOWYCH

Prowadzony nieustannie przez Gallupa sondaż „Religia w Ameryce” wykazuje, że frekwencja w kościołach była w tym tygodniu o 13,75 procent wyższa niż w analogicznym tygodniu ubiegłego roku.

Szpital Christiaana Barnarda w Mandelaville w Azanii ogłosił dziś, że oficjalnie uznaje chwilę opuszczenia ciała przez falę duszy za moment śmierci.

Twórca filmów kategorii B Jon Tchobanian rozpoczął produkcję nowego generowanego komputerowo obrazu Łowca dusz. Opowiada on o obłąkanym pracowniku szpitala, który więzi ludzkie dusze w butlach magnetycznych, żądając okupu. Tchobanian stwierdził: „Ponieważ jest to film o życiu po śmierci obsada składa się wyłącznie z komputerowych rekonstrukcji zmarłych aktorów. Wystąpią w nim Boris Karloff i Peter Lorre”.

Life Unlimited z San Rafael w Kalifornii poinformowało dziś, że w tym miesiącu padł rekord sprzedaży patentowanego procesu zapewniającego nanotechnologiczną nieśmiertelność. Analityk Gudrun Mungay z Merrill Lynch zasugerowała, że ten wyjątkowy popyt jest bezpośrednią reakcją na odkrycie fali duszy. „Niektórzy ludzie zdecydowanie nie mają ochoty na spotkanie ze swym stwórcą” — stwierdziła.

Wiadomości sądowe: Oshkosh w stanie Wisconsin. Oskarżony o wielokrotne gwałty Gordon Spitz przedstawił dziś linię obrony głoszącą, że jest niewinny z uwagi na szczególny rodzaj braku poczytalności. Spitz, który twierdzi, że od dwunastego roku życia miał doświadczenia poza ciałem, utrzymuje, iż jego dusza nie była obecna w ciele za każdym

razem, gdy popełniał gwałt, i w związku z tym nie jest odpowiedzialny za swoje zbrodnie.

# ROZDZIAŁ 33

## GRUDZIEŃ 2011

Czasami nic nie mogło się równać z dobrą, staromodną klawiaturą. Nadal było to najlepsze z kiedykolwiek wynalezionych narzędzi do wprowadzania danych czy formatowania tekstu. Sandra Philo wyciągnęła z biurka szufladkę klawiatury i zaczęła wypisywać wszystkie nazwy własne, które pojawiły się w związku z zamordowaniem Hansa Larsena, w tym również nazwę ulicy, przy której mieszkał, firmy, w której pracował, miejsca, w którym spędził w zeszłym roku urlop, a także nazwiska sąsiadów, krewnych, przyjaciół i kolegów z pracy. Wprowadziła również rozmaite terminy związane z okaleczeniami, jakie spotkały Larsena.

Kiedy skończyła, miała listę ponad dwustu słów. Kazała wtedy komputerowi przeszukać dane dotyczące wszystkich zabójstw popełnionych w Regionie Wielkiego Toronto, by sprawdzić, czy w złożonych w tych sprawach raportach powtórzą się niektóre z tych wyrazów. Podczas poszukiwań komputer wyświetlał na ekranie krótką linię kropek, by pokazać, że pracuje. Potrzeba było tylko kilku sekund, by uporał się z zadaniem.

Nic znaczącego.

Sandra skinęła głową. Była przekonana, że zapamiętałaby podobny sposób działania.

Ostatecznie nie co dzień znajduje się trupa z odrąbanym członkiem. Komputer zasugerował jej szerszy zakres poszukiwań: wszystkie morderstwa w Ontario, w Kanadzie albo w całej Ameryce Północnej. zaproponował również całą serię zakresów czasowych, od jednego miesiąca do dziesięciu lat.

Jeśli wybrałaby najszerszy zakres — wszystkie morderstwa w Ameryce Północnej w ciągu ostatnich dziesięciu lat — poszukiwania trwałyby godzinami. Miała już wybrać „wszystkie morderstwa w Ontario”, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie i wpisała w polu dialogowym własne polecenie: „wszystkie przypadki śmierci w RWT >20110601”.

Oznaczało to wszystkie przypadki śmierci w Regionie Wielkiego Toronto od pierwszego czerwca tego roku.

Komputer zabrał się do roboty. Krótka linia kropek na ekranie rosła. Po kilku chwilach zniknęła i na monitorze pojawiło się: Nazwisko: Larsen, Hans Data zgonu: 14 List 2011

Przyczyna zgonu: zabójstwo Znalezione powiązania: Hobson, Catherine R.

— (współpracownica) Nazwisko: Churchill, Roderick B.

Data zgonu: 30 List 2011

Przyczyna zgonu: naturalna Znalezione powiązania: Hobson, Cathy (córka) Brwi Philo uniosły się. Catherine Hobson — ta szczupła, inteligentna brunetka, która według Toby’ego Baileya miała romans z Hansem Larsenem. Jej ojciec zmarł zaledwie dwa dni temu.

To zapewne nie miało znaczenia. Niemniej Sandra dostała się do archiwum Urzędu Stanu Cywilnego. W RWT była tylko jedna Catherine Hobson i przy jej nazwisku faktycznie znajdowała się

notatka „z domu Churchill”. I... dobry Boże! Akta twierdziły, że mieszka z Peterem G. Hobsonem, inżynierem biomedycznym. Facetem od fali duszy. Sandra widziała go w „Phil Donahue Show” i czytała o nim w „Maclean’s”. Musieli się tarzać w forsie... na pewno każde z nich stać było na wynajęcie zawodowca.

Sandra przeszła z powrotem do bazy danych meldunków i poprosiła o wszystkie szczegóły dotyczące śmierci Rodericka Churchilla. Był on nauczycielem wf. w szkole średniej i zmarł w samotności, jedząc kolację. Lekarz sądowy, Warren Chen, zapisał jako przyczynę zgonu tętniak(?). Ten znak zapytania był intrygujący. Sandra włączyła wideofon i wykręciła numer.

— Cześć, Warren — powiedziała, gdy na ekranie pojawiła się okrągła twarz Chena, mężczyzny w średnim wieku.

Chen uśmiechnął się ciepło.

— Cześć, Sandro. Co mogę dla ciebie zrobić?

— Dzwonię w sprawie śmierci niejakiego Rodericka Churchilla. To było parę dni temu.

— Wuefista, które zaczesywał włosy na łysinę? Jasne. Co z nim?

— Zapisałeś jako przyczynę zgonu tętniak.

— Mhm.

— Ale postawiłeś potem znak zapytania. Tętniak, znak zapytania.

— Tak, tak. — Chen wzruszył ramionami. — Cóż, nigdy nie można mieć całkowitej pewności. Kiedy Bóg chce kogoś wezwać, czasami po prostu przestawia mu przełącznik w

głowie. Trzask! Tętniak. Odlatujesz i tyle. Wydaje się, że tak właśnie to wyglądało. Facet brał już środki nasercowe.

— Czy w tym przypadku było coś niezwykłego?

Chen wydał z siebie przypominający gdakanie odgłos, który służył mu za chichot.

— Obawiam się, że nie, Sandro. Nie ma nic podejrzanego w tym, że sześćdziesięcioletni facet pada nagle trupem. Zwłaszcza nauczyciel wf.

Wydaje im się, że są w dobrej formie, ale większość czasu spędzają na przyglądaniu się, jak ćwiczą inni. Ten facet w chwili śmierci pochłaniał fast food.

— Zrobiłeś sekcję?

Lekarz sądowy ponownie wydał z siebie gdaczący odgłos.

— Sekcje drogo kosztują, Sandro. Wiesz o tym. Nie, wykonałem na miejscu kilka szybkich testów, a potem podpisałem akt zgonu. Wdowa — właśnie mi się przypomniało, że ma na imię Bunny. Potrafisz w to uwierzyć? Tak czy inaczej, to ona znalazła ciało. Jej córka i zięć byli z nią, kiedy się zjawiłem, gdzieś między wpół do drugiej a za piętnaście druga w nocy — przerwał. — Dlaczego cię to interesuje?

— To zapewne nic ważnego — odparła Sandra. — Chodzi o to, że zmarły, Rod Churchill, był ojcem jednej z koleżanek z pracy ofiary w tej sprawie kastracji.

— Ach, tak!? — powiedział Chen głosem pełnym zachwytu. — To dopiero jest ciekawa sprawa. Lekarzem sądowym była Caracci. Wszystkie dziwaczne przypadki trafiają teraz do niej. Ale, Sandro, to chyba słabe powiązanie, prawda? Wydaje się, że po prostu ta kobieta... jak się ona nazywa?



— Cathy Hobson.

— Wydaje się, że ta Cathy Hobson ma po prostu kiepski rok. Prześladowuje ją pech.

Sandra skinęła głową.

— Jestem pewna, że masz rację. Ale czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym wpadła zajrzeć do twoich notatek?

Chen zagdakał raz jeszcze.

— Oczywiście, że nie mam, Sandro. Zawsze z przyjemnością cię widzę.

Peter nie znosił pogrzebów. Nie dlatego, że nie lubił bliskości zwłok. Ktoś, kto spędził w szpitalach tyle czasu, co on, nie mógł się na kilka z nich nie natknąć. To raczej tych żywych nie potrafił znieść.

Po pierwsze, przychodzili tutaj hipokryci, ludzie, którzy nie widzieli drogiego zmarłego od lat, ale zjawiali się nagle, kiedy było już za późno, by w czymkolwiek mu pomóc.

Po drugie, płaczki, ludzie ulegający tak gwałtownym emocjom, że to właśnie oni, a nie zmarły znajdowali się w centrum uwagi. Peter współczuł bliskim krewnym, którym trudno było się pogodzić z utratą kogoś, kogo naprawdę kochali, ale nie miał cierpliwości do dalekich kuzynów czy mieszkających w odległości pięciu przecznic sąsiadów, którzy wpadali na pogrzebach w rozpacz, aż wreszcie otaczał ich tłum ludzi starających się ich pocieszyć.

Cieszyli się każdą minutą.

Ze swej strony, tak jak we wszystkich sprawach, starał się osiągnąć pewien stoicyzm — obojętność charakterystyczną dla jego brytyjskich przodków.

Rod Churchill — jako próżny człowiek — pragnął, by trumna była otwarta. Peter był przeciwny tej praktyce. Jako siedmioletni chłopiec był na pogrzebie ojca swej matki. Dziadek służył z wielkiego nosa. Peter pamiętał, jak wszedł do kaplicy i ujrzał na jej przeciwległym końcu trumnę z otwartą pokrywą. Jedyną rzeczą widoczną z tej perspektywy był nochal nieboszczyka wystający nad krawędzią. Jeszcze dzisiaj, gdy tylko pomyślał o staruszku, pierwszą rzeczą, która przychodziła mu do głowy, była trąba zmarłego, samotny szczyt wznoszący się w powietrzu.

Rozejrzył się wokół. Kaplica, w której znajdował się dzisiaj, była wyłożona boazerią z ciemnego drewna. Trumna wyglądała na drogą. Mimo prośby, by zamiast kwiatów składano datki dla Fundacji stanu Ontario na rzecz Ofiar Chorób Serca i Udarów, przyniesiono wiele bukietów, a także wielki wieniec w kształcie podkowy przysłany przez nauczycieli pracujących razem z Rodem. Z pewnością musieli to być nauczyciele wf., gdyż tylko oni mogli być na tyle tępi, żeby nie zdawać sobie sprawy, iż kształt podkowy oznacza „życzymy szczęścia” i raczej nie nadaje się na pogrzeb.

Bunny trzymała się dzielnie. Wydawało się, że siostra Cathy, Marissa, również nieźle sobie radzi, choć od czasu do czasu popłakiwała. Nie wiedział jednak, co sądzić o reakcji swej żony. Gdy przyjmowała kondolencje, jej twarz była pozbawiona wyrazu. Cathy, która płakała, oglądając smutne filmy czy czytając smutne książki, nie uroniła ani jednej łzy nad swym zmarłym ojcem.

To mizerny trop, myślała Sandra Philo. Dwa przypadki śmierci. Jeden z nich był niewątpliwie morderstwem. Przyczyn drugiego nie określono.

Obu zmarłych łączyła jednak Cathy Hobson.

Cathy Hobson, która spała z zamordowanym mężczyzną, Hansem Larsenem.

Cathy Hobson, córka Roda Churchilla.

To fakt, że Larsen zadawał się z wieloma kobietami. To fakt, że Churchill był po sześćdziesiątce.

Ale...

Gdy skończyła już pracę na dzisiaj, pojechała do domu Churchillów przy Bayview, tuż na południe od Steeles. Było to tylko pięć kilometrów od posterunku w trzydziestej drugiej dzielnicy, nie dopuści się więc wielkiego marnotrawstwa, jeśli się okaże, że gania za senną marą. Zaparkowała samochód i podeszła do drzwi wejściowych. Rodzina Churchillów miała EIOP — Elektroniczny Identyfikator Odcisków Palców. W dzisiejszych czasach powszechnie stosowano to urządzenie. Nad płytką czujnikową znajdował się dzwonek.

Sandra nacisnęła go. Po jakiejś minucie przy drzwiach pojawiła się siwowłosa kobieta.

— Słucham?

— Dzień dobry — powiedziała Sandra. — Czy pani Bunny Churchill?

— Tak.

Sandra wyciągnęła legitymację.

— Jestem Alexandria Philo, z Policji Toronto. Czy mogę pani zadać kilka pytań?

— W jakiej sprawie?

— Hmm, śmierci pani męża.

— Ojej — odrzekła Bunny. — Tak, oczywiście — dodała. — Proszę wejść.

— Dziękuję. Ale żebym nie zapomniała, czy mogę zapytać, czyje odciski palców akceptuje pani EIOP?

Sandra wskazała na niebieską szklaną płytkę.

— Moje i męża — odpowiedziała Bunny.

— Czy jeszcze czyjeś?

— Córek i zięcia.

— Cathy Hobson i... — Sandra musiała zastanowić się przez chwilę. — Petera Hobsona, zgadza się?

— Tak. I mojej drugiej córki, Marissy.

Weszły do środka.

— Przepraszam, że zawracam pani głowę — powiedziała Sandra, uśmiechając się ze współczuciem. — Wiem, że to z pewnością dla pani bardzo trudny okres, ale jest kilka drobnych kwestii, które chciałabym wyjaśnić, żebyśmy mogli zamknąć sprawę pani męża.

— Myślałam, że już ją zamknięto — rzekła Bunny.

— Prawie — odparła Sandra. — Lekarz sądowy nie był w stu procentach pewny przyczyny śmierci. Określił ją jako prawdopodobnie tętniak.

— Tak mi powiedziano. — Bunny potrząsnęła głową. — To wydaje się niesprawiedliwe.

— Mogłaby mi pani powiedzieć, czy mąż miał jakieś kłopoty ze zdrowiem?

— Rod? Och, nic poważnego. Niewielki artretyzm w jednej dłoni. Czasami lekkie bóle w lewej nodze. Aha, trzy lata temu miał niewielki atak serca. Brał na to lekarstwa.

Zapewne nie miało to znaczenia. Niemniej jednak...

— Czy ma pani jeszcze jego pigułki?

— Pewnie są w szafce z lekarstwami na górze.

— Zechciałaby pani je pokazać? — zapytała Sandra. Bunny skinęła głową. Weszły razem do łazienki i Bunny otworzyła szafkę. Był w niej Tylenol, pojemnik z nicią dentystyczną, listeryna, parę małych szamponów, jakie mają w hotelach, oraz dwie apteczne buteleczki z Shoppers Drug Mart.

— W której są pigułki nasercowe? — zapytała Sandra, wskazując palcem.

— W obu. Od czasu ataku brał pierwsze, a od kilku tygodni drugie.

Sandra wzięła w dłonie buteleczki. Na obie nalepiono wydrukowane komputerowo etykiety. Pierwsza głosiła, że w środku jest Cardizone—D. Z pewnością wyglądało to na środek nasercowy. Na drugiej było napisane Nardil. Oba leki przepisała doktor H.

Miller. Butelka z Nardilem miała pomarańczową, fluoryzującą nalepkę z napisem: „Uwaga! Surowe ograniczenia dietetyczne”.

— Co to za ograniczenia? — zapytała Sandra.

— Och, dostał długą listę rzeczy, których nie powinien jeść. Zawsze bardzo na to uważaliśmy.

— Ale według lekarza sądowego w noc śmierci jadł posiłek dostarczony do domu.

— To prawda — przyznała Bunny. — Robił tak w każdą środę, odkąd zapisałam się na kurs. Ale zawsze zamawiał to samo i nigdy przedtem nic mu nie dolegało.

— Czy wie pani, co zamawiał?

— Chyba rostbef.

— Ma pani jeszcze opakowanie?

— Wyrzuciłam je — odparła Bunny. — Pewnie leży w niebieskiej skrzynce. Jeszcze nie zabierali śmieci.

— Czy mogłabym tam zajrzeć? I zatrzymać też te pigułki?

— Hmm, tak. Oczywiście.

Sandra wsunęła buteleczki do kieszeni kurtki, po czym zeszła za Bunny na parter.

Pojemnik na śmieci znajdował się w wiklinowym koszu z pokrywką. Sandra zaczęła w nim grzebać i wkrótce odnalazła małą zadrukowaną kartkę z zamówieniem Roda z Food Food.

— Czy mogłabym zatrzymać i to? — zapytała. Bunny Churchill skinęła głową.

Sandra wyprostowała się i włożyła papierek do kieszeni. — Przepraszam, że zawracałam pani głowę — powiedziała.

— Chciałabym się dowiedzieć, o czym pani myśli, pani inspektor — odrzekła Bunny.

— To nic takiego, pani Churchill. Jak już mówiłam, po prostu parę nie wyjaśnionych kwestii.

## ROZDZIAŁ 34

Peter przyleciał do Ottawy na konferencję w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej, która trwała bardzo krótko. Można ją było urządzić na odległość, ale pani minister lubiła od czasu do czasu okazywać swą władzę, wzywając ludzi do stolicy.

Praca nad falą duszy nie była rzeczą jasną jedynym projektem, którym zajmowało się Hobson Monitoring. Owo zebranie dotyczyło wciąż utrzymywanego w tajemnicy projektu „Indygo” — planu wyprodukowania czujnika, który w jednoznaczny sposób odróżniałby aktywnego palacza od kogoś, kto był jedynie biernie narażony na dym tytoniowy. W ten sposób temu pierwszemu można by odmówić wypłaty zasiłku z prowincjonalnych funduszy ubezpieczeń zdrowotnych w przypadku choroby wywoływanej lub zaostrzonej przez palenie.

Konferencja skończyła się szybko, Peter miał więc nieoczekiwanie wolny dzień do spędzenia w Ottawie.

Było to miasto stołeczne, pełne anonimowych biurokratów. Nie produkowano tam nic oprócz dokumentów i praw, ustaw i przepisów. Niemniej jednak coś trzeba było pokazać przybywającym z wizytą światowym przywódcą. Nie wszystko mogło znajdować się w Toronto. W Ottawie było wiele wspaniałych muzeów i galerii, niewielka liczba ciekawych sklepów, kanał Rideau (który zimą zamarzał, pozwalając urzędnikom państwowym dojeżdżać do pracy na łyżwach) oraz

widowiskowa zmiana warty na Parliament Hill. Peter jednak widział już to wszystko aż nazbyt często.

Zapytał recepcjonistkę, czy może skorzystać z telefonu. Skierowała go do wolnego gabinetu. Było ich mnóstwo, jako że liczba etatów rządowych była zamrożona już trzecie dziesięciolecie. Telefon był starego, wyłącznie dźwiękowego typu. Cóż, pomyślał Peter, jeśli marnują pieniądze podatnika, instalując telefony w nie używanych gabinetach, dobrze chociaż, że okazują pewien umiar. Jak większość Kanadyjczyków na stanowiskach kierowniczych, znał na pamięć zaczynający się od osiemset numer Air Canada. Miał go już wykręcić, by się przekonać, czy może przenieść rezerwację na inny lot, lecz nieoczekiwanie dla samego siebie wykręcił nagle czterysta jednaście.

— Spis telefonów dla jakiego miasta, proszę? — usłyszał pytanie w języku angielskim.

Następnie to samo pytanie powtórzono szybko po francusku.

— Ottawa — odrzekł. Używając wideofonu, można było dotrzeć do spisu telefonów, wciskając kilka klawiszy, natomiast ci, którzy nie mieli podobnych udogodnień, otrzymywali darmową pomoc w znajdowaniu numerów. Mniej więcej w połowie przypadków miało się do czynienia z elektronicznym operatorem, lecz znudzony, niewyraźny ton był sygnałem, że dzisiaj Peter natrafił na prawdziwego, żywego człowieka.

— Słucham — odezwał się telefonista po angielsku, odgadując językową preferencję Petera ze sposobu, w jaki ten wypowiedział jedno słowo „Ottawa”.

— Czy macie w spisie Rebecę Keaton?



Przeliterował imię i nazwisko.

— Nie ma nikogo takiego, proszę pana.

Cóż, to była tylko przelotna myśl.

— Dziękuję...

Chwileczkę. Choć teraz samotna, przed laty była przez krótki czas zamężna. Jak się nazywał ten głąb? Hunnicut? Nie.

— Cunningham — powiedział Peter. — Proszę sprawdzić Rebecę Cunningham.

— Mam R.L. Cunningham na Slater.

Rebecca Louise.

— Tak, to będzie ona.

Znudzony ludzki głos ustąpił miejsca dziarskiemu komputerowi, który odczytał numer, po czym dodał: — Proszę teraz nacisnąć guzik z gwiazdką, aby uzyskać połączenie.

Peter nacisnął guzik. Usłyszał szereg różnych tonów, a potem dźwięk dzwoniącego telefonu. Raz. Dwa. Trzy. Cztery... Trudno...

— Halo?

— Becky?

— Tak. Kto mówi?

— Peter Hobson. Jestem...

— Petey! Jak się cieszę, że słyszę twój głos. Jesteś w mieście?

— Tak. Miałem rano zebranie w Ministerstwie Zdrowia. Skończyło się wcześniej, a samolot mam dopiero o siódmej wieczorem. Nie wiedziałem, czy będziesz w domu, ale pomyślałem, że zadzwonię.

— Pracuję od niedzieli do czwartku. Dzisiaj mam wolne.

— Aha.

— Sławny Peter Hobson! — stwierdziła. — Widziałam cię w „The National”.

Peter zachichotał.

— Wciąż jestem tym samym facetem — zapewnił. — Miło jest usłyszeć twój głos, Becky.

— I twój też.

Poczuł, że zaschło mu w gardle.

— Czy... mogłabyś zjeść dziś ze mną obiad?

— Och, byłabym zachwycona. Muszę rano wpaść do banku, właśnie tam się wybierałam, ale mogłabym się z tobą spotkać o... czy wpół do dwunastej nie będzie za wcześnie?

W żadnym razie.

— To by było świetnie. Gdzie?

— Czy znasz lokal U Carlosa przy Sparks Street Mali?

— Mogę go znaleźć.

— To spotkajmy się tam o wpół do dwunastej.

— Świetnie — zgodził się Peter. — Czekam na to z niecierpliwością.

Głos Becky był pełen ciepła.

— Ja też. Pa!

— Pa!

Peter wyszedł z małego gabinetu i zapytał recepcjonistkę, czy zna lokal o nazwie U Carlosa.

— Och, tak — odparła, uśmiechając się łobuzersko. — Wieczorami to znany bar dla samotnych.

— Mam tam zjeść obiad — powiedział Peter, czując potrzebę, by się wytłumaczyć.

— No cóż, o tej porze jest w nim znacznie spokojniej. Polecam smaczne tortellini.

— Czy może mi pani powiedzieć, jak tam trafić?

— Jasne. Jest pan samochodem?

— Pójdę na piechotę, jeśli to nie za daleko.

— Jakieś pół godziny drogi.

— Żaden problem — stwierdził Peter.

— Narysuję panu mapkę — zaproponowała, i zrobiła to. Peter podziękował jej, zjechał windą do holu i wyszedł na ulicę. Spacer trwał tylko dwadzieścia minut. Peter zawsze szybko chodził. Oznaczało to, że wciąż miał do zabicia jakieś pół godziny. Znalazł automat drukujący gazety na zamówienie, wrzucił do niego trzy jednodolarówki i odczekał dwadzieścia sekund potrzebne do powielenia dzisiejszego numeru „Ottawa Citizen”.

Następnie ruszył z powrotem do U Carlosa. Lokal był pusty.

Poprosił o stolik dla dwojga, otrzymał go i zamówił czarną kawę. Rozejrzał się po sali, usiłując wyobrazić sobie, jak wygląda wypełniona — wieczorem. Zastanowił się, czy recepcjonistka mówiła prawdę. Na przeciwległej ścianie ujrzał znajomą twarz — tę samą ślicznotkę Molsona, która zdobiła ścianę w pobliżu automatów telefonicznych w Bent Bishop.

Zabrał się do czytania gazety, usiłując zapanować nad emocjami.

Heather Miller była lekarką prowadzącą ogólną praktykę. Jej gabinet zajmował dolne piętro domu, w którym mieszkała. Niska i tęga, w wieku około czterdziestu pięciu lat, kasztanowate włosy miała ostrzyżone na pazia. Jej biurko

składało się z grubej szklanej szyby wspartej na marmurowych blokach. Gdy Sandra Philo weszła do środka, lekarka machnęła ręką, wskazując jej miejsce na obitym zielonym skórą fotelu stojącym naprzeciwko biurka.

— Jak już mówiłam przez telefon to, co mogę pani powiedzieć, podlega surowym ograniczeniom z uwagi na ochronę tajemnicy pacjenta.

Sandra skinęła głową. To był zwyczajowy taniec, oznaczanie swego terytorium.

— Rozumiem, pani doktor. Pacjent, o którym chcę porozmawiać, to Rod Churchill.

Lekarka czekała.

— Nie wiem, czy pani o tym słyszała, ale on zmarł w zeszłym tygodniu.

Lekarce opadła szczęka.

— Nie wiedziałam o tym.

— Przykro mi, że przynoszę złe wieści — rzekła Sandra. — Znaleziono go martwego w jadalni. Lekarz sądowy twierdzi, że to prawdopodobnie był tętniak. Byłam u niego w domu i przekonałam się, że dawała mu pani Nardil, co — zgodnie z ulotką — znaczyło, że musiał zważać na to, co je. A mimo to przed śmiercią spożywał posiłek przygotowany na zamówienie.

— Cholera. Cholera. — Lekarka rozpostarła ramiona. — Mówiłam mu, żeby przestrzegał diety, ze względu na fenelzynę.

— Fenelzynę?

— Nardil to firmowa nazwa fenelzyny, pani inspektor. To środek przeciwdepresyjny.

Sandra uniosła brwi. Bunny Churchill myślała, że oba lekarstwa męża są na serce.

— Przeciwdepresyjny?

— Tak — odparła lekarka. — Jest też inhibitorem MAO.

— A co to znaczy?

— Cóż, najważniejsze jest to, że kiedy bierze się fenelzynę, trzeba unikać potraw bogatych w tyraminę. W przeciwnym razie ciśnienie krwi może gwałtownie skoczyć w górę.

Przełom nadciśnieniowy. Rozumie pani, kiedy bierze się fenelzynę, tyramina kumuluje się w organizmie. Nie podlega przemianie. To powoduje skurcz naczyń. Efekt hipertensyjny.

— A co to znaczy? — zapytała raz jeszcze Sandra. Wprost uwielbiała rozmowy z lekarzami.

— Cóż, coś w tym rodzaju mogłoby zapewne zabić nawet młodą, zdrową osobę. Dla kogoś takiego jak Rod, kto od dawna miał dolegliwości wieńcowe, efekt śmiertelny byłby bardzo prawdopodobny: silny udar, atak serca, powikłania neurologiczne albo nawet pęknięcie tętniaka, jak sugerował lekarz sądowy. Zakładam, że zjadł coś niewłaściwego.

Ostrzegałam go przed tym.

Sandra przechyliła głowę. Błąd w sztuce zawsze był możliwy.

— Na pewno?

— Oczywiście, że tak. — Lekarka przymrużyła oczy. — Nie popełniam takich błędów, pani inspektor. W gruncie rzeczy... — Nacisnęła guzik interkomu. — Davidzie, przynieś, proszę, historię choroby pana Churchilla. — Popatrzyła na Sandrę. — Zawsze, gdy z użyciem jakiegoś leku wiąże się poważne ryzyko, moje towarzystwo ubezpieczeniowe każe mi uzyskać od

pacjenta podpis na formularzu informacyjnym. Mam takie formularze w dwóch egzemplarzach. Pacjent podpisuje, kopię zostawia u mnie, a oryginał zabiera ze sobą.

Wszystkie ostrzeżenia są tam wyraźnie wypisane. W ten sposób, ach...

Drzwi gabinetu otworzyły się i do środka wszedł młody mężczyzna trzymający w ręku teczkę z dokumentami. Wręczył ją lekarce i wyszedł. Heather Miller otworzyła cienką aktówkę, wyjęła z niej żółty arkusz i podała go Sandrze.

Ta popatrzyła na niego i zwróciła lekarce.

— Dlaczego w ogóle stosuje się fenelzynę, jeśli wiąże się z nią tak wielkie ryzyko?

— W dzisiejszych czasach na ogół używa się inhibitorów MAO o odwracalnym działaniu, ale Rod na nie nie reagował. Fenelzyna była ongiś podstawowym lekiem w swej klasie. Sprawdziłam to w MedBase i uzyskałam informację, że jednego z członków rodziny skutecznie wyleczono nią z tego samego rodzaju depresji. Wydawało się, że warto spróbować.

— A na czym dokładnie polega ryzyko? Przypuśćmy, że zjadłby coś niewłaściwego?

Co by się wtedy wydarzyło?

— Zaczęłoby się od bólów w okolicy potylicznej oraz pozagałkowych. — Lekarka uniosła rękę. — Przepraszam. To znaczy bólów z tyłu głowy i za gałkami ocznymi.

Miałby też kołatanie serca, uderzenia krwi do głowy, mdłości i poty. Potem, jeśli nie udzielono by mu natychmiastowej pomocy, krwotoki wewnątrzmożgowe, udar, pęknięcie tętniaka albo coś innego, co by go wykończyło.

— To nie wygląda na lekką śmierć — zauważyła Sandra.

— Nie — odparła lekarka, potrząsając ze smutkiem głową.

— Gdyby trafił do szpitala, uratowałoby go pięć miligramów fentolaminy. Ale jeśli był sam, z łatwością mógł stracić przytomność.

— Czy Churchill od dawna był pani pacjentem?

Lekarka zmarszczyła brwi.

— Mniej więcej od roku. Widzi pani, Rod przekroczył już sześćdziesiątkę. Jak to często się zdarza, jego dawny lekarz był starszy od niego i zmarł w zeszłym roku. Rod zdobył się wreszcie na znalezienie nowego, gdyż potrzebował recepty na cardizon.

— Ale mówiła pani, że leczyła go na depresję. Czy zgłosił się do pani w tym celu?

— Nie, ale rozpoznałam objawy. Mówił, że od lat dolegała mu bezsenna noc, a kiedy zaczęliśmy rozmawiać na różne tematy, zrozumiałam, że cierpi na depresję.

— Z jakiego powodu czuł się smutny?

— Kliniczna depresja to coś znacznie więcej niż zwykły smutek, pani inspektor.

To choroba. Pacjent jest fizycznie i psychicznie niezdolny do koncentracji. Czuje przygnębienie i beznadziejność.

— I dawała mu pani na to pigułki?

Lekarka westchnęła, wyczuwając krytycyzm zawarty w tonie Sandry.

— Nie naciągamy tych ludzi, pani inspektor. Staramy się odbudować prawidłową równowagę chemiczną ich ciał. Kiedy nam się udaje, pacjent mówi, że czuje się tak, jak gdyby

odsunięto zasłonę i po raz pierwszy od lat wpuszczono do pokoju słońce. — Lekarka przerwała, jak gdyby zastanawiała się, czy mówić dalej. — W gruncie rzeczy mam dla Roda wiele uznania. Zapewne cierpiał na depresję od dziesięcioleci. Być może od czasów, gdy był nastolatkiem. Jego poprzedni lekarz po prostu nie rozpoznał objawów. Wielu starszych ludzi obawia się wyleczenia depresji, ale nie Rod. On chciał otrzymać pomoc.

— Dlaczego się obawiają? — zapytała Sandra, szczerze zaintrygowana.

Lekarka rozłożyła ramiona.

— Proszę się nad tym zastanowić, pani inspektor. Przypuśćmy, iż powiedziałabym pani, że przez większą część życia pani zdolność funkcjonowania była poważnie osłabiona. Młoda osoba, taka jak pani, zapewne chciałaby to zmienić. Ostatecznie ma pani jeszcze przed sobą całe dziesięciolecia. Ale starsi ludzie bardzo często nie chcą uwierzyć, że cierpieli na kliniczną depresję. Żal byłby zbyt silny, żeby go znieść — świadomość, że ich życie, które już prawie się skończyło, mogło być znacznie lepsze i szczęśliwsze. Wolą nie dopuścić takiej myśli.

— Ale nie Churchill?

— Nie, nie on. Ostatecznie był nauczycielem wychowania fizycznego i prowadził w szkole średniej kursy zdrowia. Zaakceptował tę myśl i chciał spróbować terapii.

Oboje byliśmy podenerwowani, kiedy inhibitory MAO o odwracalnym działaniu nie poskutkowały, ale był gotowy spróbować fenelzyny. Wiedział, jak ważne jest unikanie niewłaściwych pokarmów.



— To znaczy jakich?

— Cóż, w pierwszej kolejności ostrego sera. Jest w nim mnóstwo tyraminy, która jest produktem rozpadu aminokwasu tyrozyny. Nie mógł również jeść wędzonego, marynowanego czy konserwowanego mięsa, ryb ani kawioru.

— Z pewnością zauważyłby, gdyby jadł którąś z tych rzeczy.

— No tak. Ale tyramina znajduje się również w wyciągu z drożdży, drożdżach browarnianych oraz ekstraktach mięsnych, takich jak Marmite czy Oxo. Jest również w hydrolizowanych ekstraktach proteinowych, których powszechnie używa się do zup i sosów.

— Czy powiedziała pani sosów?

— Tak. Powinien ich unikać.

Sandra pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła małą, poplamioną, zadrukowaną kartkę — rachunek z Food Food za ostatnią kolację Roda. Wręczyła go doktor Miller nad szklanym biurkiem.

— To właśnie jadł w noc swojej śmierci.

Lekarka przeczytała ją, po czym potrząsnęła głową.

— Nie — zaprotestowała. — Rozmawialiśmy o Food Food podczas jego ostatniej wizyty.

Powiedział mi, że zawsze zamawia ich niskokaloryczny sos. Mówił, że sprawdzał to i nie ma w nim nic, czego powinien się wystrzegać.

— Może zapomniał zaznaczyć, że sos ma być niskokaloryczny — stwierdziła Sandra.

Lekarka oddała jej wydruk.

— Wątpię, pani inspektor. Rod Churchill był bardzo skrupulatnym człowiekiem.

Becky Cunningham zjawiała się U Carlosa o dziesięć minut za wcześnie. Peter podniósł się z krzesła. Nie wiedział, jakiego rodzaju pozdrowienia oczekiwać: uśmiechu, uścisku, pocałunku? Okazało się, że otrzymał wszystkie trzy. Pocałunek był przeciągłym cmoknięciem w policzek. Peter z zaskoczeniem poczuł, że serce zaczęło mu bić trochę szybciej. Pachniała cudownie.

— Petey, wyglądasz wspaniale — powiedziała, siadając na krześle naprzeciwko niego.

— Ty też — odparł Peter.

W rzeczywistości Becky Cunningham nigdy nie można było nazwać piękną kobietą.

Nieźle wyglądającą, ale nie piękną. Miała sięgające ramion brązowe włosy, odrobinę krótsze niż wymagała obecna moda. Jej waga przewyższała o dwadzieścia funtów to, co zajmujące się modą czasopismo określiłoby jako ideał, a o dziesięć funtów to, co zaproponowałby mniej wymagający arbiter. Twarz miała szeroką, na obu policzkach pokrytą archipelagiem piegów.

Jej zielone oczy wyraźnie błyszczały, kiedy mówiła. Efekt ten podkreślała siateczka zmarszczek widoczna w ich kącikach, która pojawiła się w czasie, jaki upłynął od poprzedniego spotkania obojga.

Absolutnie wspaniale, pomyślał Peter.

Zamówili obiad. Peter skorzystał z rady recepcjonistki i zażyczył sobie tortellini.

Rozmawiali o najróżniejszych sprawach. Było równie wiele śmiechu co słów. Od tygodni nie czuł się tak dobrze.

Peter zapłacił rachunek. Dał dwadzieścia pięć procent napiwku. Następnie pomógł jej włożyć płaszcz... coś, czego dla Cathy nie robił od lat.

— Co zamierzasz robić do czasu odlotu? — zapytała Becky.

— Nie wiem. Pozwiedzam miasto... Wszystko mi jedno.

Spojrzała mu w oczy. To był naturalny moment rozstania. Dwoje starych przyjaciół spotkało się na obiedzie, powspominało dawne czasy, powymieniało plotki. Teraz jednak nadszedł czas, by ruszyć swymi drogami, na nowo podjąć swe oddzielne życie.

— Nie mam po południu żadnych ważnych zajęć — oznajmiła Becky, nadal spoglądając mu prosto w oczy. — Czy mogę ci potowarzyszyć?

Odwrócił na chwilę wzrok. Nie przychodziło mu do głowy nic, czego pragnąłby bardziej.

— To byłoby... — po krótkiej przerwie postanowił zrezygnować z autocenzury — ...świetnie.

Oczy Becky zatańczyły. Podeszła do niego i wsunęła rękę pod jego ramię.

— Dokąd chciałbyś pójść? — zapytała.

— To twoje miasto — odparł Peter z uśmiechem.

— Racja — przyznała Becky.

Zrobili wszystko to, co nigdy wcześniej nie interesowało Petera. Obejrzelili zmianę warty, zajrzeli do kilku małych butików, sklepów, jakich Peter nigdy nie odwiedzał w Toronto, a

na koniec wylądowali w galerii dinozaurów w Kanadyjskim Muzeum Przyrody.

Przemierzali ją niespiesznie, zachwycając się szkieletami.

Czuję się żywy, pomyślał Peter. Całkiem jak kiedyś.

Muzeum Przyrody, zgodnie z nazwą, znajdowało się na wielkiej, gęsto zadrzewionej parceli. Kiedy z niego wyszli, było już około piątej i robiło się ciemno. Wiał chłodny wietrzyk. Niebo było bezchmurne. Spacerowali przez park, aż wreszcie dotarli do kilku ławek stojących pod wielkimi klonami, które teraz, na początku grudnia, nie miały liści.

— Jestem wykończony — powiedział Peter. — Wstałem o wpół do szóstej, żeby zdążyć na samolot.

Becky usiadła na przeciwległym skraju ławki.

— Połóż się — zaproponowała. — Całe popołudnie byliśmy na nogach.

Pierwszą myślą Petera było sprzeciwienie się tej propozycji, potem jednak pomyślał: czemu, u licha, nie? Miał już się rozciągnąć na wolnej części ławki, gdy Becky powiedziała: — Możesz użyć moich kolan jako poduszki.

Zrobił właśnie to. Była cudownie miękka, ciepła i ludzka. Podniósł ku niej wzrok.

Położyła delikatnie ramię na jego piersi. Było to bardzo relaksujące, uspokajające. Pomyślał, że mógłby tak leżeć godzinami. Nawet nie zauważał zimna.

Becky uśmiechnęła się do niego. Czyniła to bardzo naturalnie, akceptujące, pięknie.

Po raz pierwszy od obiadu Peter pomyślał o Cathy, Hansie i tym, czym stało się jego życie w Toronto.

Zdał też sobie sprawę, że po raz pierwszy trafił na prawdziwą istotę ludzką — nie jakąś komputerową symulację — z którą mógł o tym porozmawiać. Kogoś, kto nie uzna, że jest mniej wart jako mężczyzna, dlatego że jego żona zeszła z drogi cnoty, kogoś, kto go nie wyśmiewa, nie będzie z niego drwił. Kogoś, kto go akceptował, kto go po prostu wysłucha, kto zrozumie.

W tej właśnie chwili pojął, że nie musi z nikim o tym rozmawiać. Mógł natychmiast uporać się z tą sytuacją. Znalazł odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

Poznał Becky, kiedy oboje studiowali na pierwszym roku na Uniwersytecie Toronto, nim na scenie zjawiała się Cathy. Czuli do siebie niezręczny pociąg. Oboje byli niedoświadczeni, a przynajmniej on był prawiczkim. Teraz, w dwa dziesięciolecia później, sprawy wyglądały inaczej. Becky wyszła za męża i rozwiodła się. Peter był żonaty.

Oboje wiedzieli, co to seks, wiedzieli, jak to się robi, kiedy to się zdarza, kiedy chwila jest odpowiednia. Zrozumiał, że z łatwością mógłby zadzwonić do Cathy, powiedzieć jej, że zebranie się przedłużyło i zostanie na noc tutaj, wróci dopiero jutro. Później mogliby pójść z Becky do jej mieszkania.

Mógł to zrobić, ale nie robi. Otrzymał odpowiedź na pytanie, którego nigdy nie zadał. Mając taką samą okazję jak Cathy, nie oszuka jej, nie zdradzi, nie odegra się.

Uśmiechnął się radośnie do Becky. Czuł, że rany w jego wnętrzu zaczynają się goić.

— Jesteś wspaniałą osobą — powiedział jej. — Jakiś facet będzie bardzo szczęśliwy z tobą.

Uśmiechnęła się.

Wypuścił z płuc powietrze, wyrzucając z siebie wszystko.  
Wszystko z niego wypłynęło.

— Muszę jechać na lotnisko — dodał.

Becky skinęła głową i uśmiechnęła się raz jeszcze, być może,  
ale tylko być może, z odrobiną żalu.

Peter był gotowy wrócić do domu.

## ROZDZIAŁ 35

Sandra pojechała Don Valley Parkway do Cabbagetown i zaparkowała przy pierwszym sklepie Food Food na rogu Parliament i Wellesley. Według książki adresowej centralny ośrodek przyjmowania zamówień znajdował się na górze. Wspięła się po stromej kondygnacji schodów i po prostu weszła do środka bez pukania. Wewnątrz dwa tuziny ludzi ze słuchawkami telefonicznymi na głowach siedziało przed terminalami komputerowymi.

Wydawało się, że wszyscy są zajęci przyjmowaniem zamówień, choć była dopiero druga po południu.

Do Sandry podeszła kobieta w średnim wieku o włosach barwy stalowoblond.

— W czym mogę pani pomóc?

Sandra błysnęła odznaką i przedstawiła się.

— Jak się pani nazywa?

— Danielle Nadas — odpowiedziała blondynka. — Jestem tu kierownikiem.

Sandra rozejrzała się zafascynowana. Sama od czasu rozwodu wielokrotnie zamawiała posiłki w Food Food, ale właściwie nie miała pojęcia, co znajduje się na drugim końcu linii telefonicznej. W wideofonach widziało się jedynie reklamy produktów firmy.

— Chciałabym obejrzeć dane jednego z waszych klientów — powiedziała wreszcie.

— Zna pani numer telefonu?

Sandra zaczęła recytować: — Dziewięćset sześćdziesiąt siedem...

Kobieta uśmiechnęła się.

— Nie nasz numer. Numer klienta.

Sandra wręczyła jej skrawek papieru, na którym był zapisany. Kierowniczka podeszła do terminala i stuknęła w ramię obsługującego go młodego mężczyznę. Ten skinął głową, skończył przyjmowanie zamówienia, i ustąpił jej miejsca. Kierowniczka usiadła na krześle i wypisała numer telefonu.

— Proszę bardzo — powiedziała, odchylając się na bok, żeby Sandra dobrze widziała ekran.

Rod Churchill zamówił taki sam posiłek, jak w sześć poprzednich śród, tylko że...

— Za każdym razem oprócz ostatniego zamawiał niskokaloryczny sos — zauważyła Sandra. — W ostatnim posiłku widzę zwykły.

Kierowniczka pochyliła się niżej.

— To fakt. — Uśmiechnęła się. — Cóż, ten niskokaloryczny jest raczej paskudny, jeśli to panią interesuje. To nawet nie prawdziwy sos. Robi się go z roślinnej żelatyny.

Może po prostu postanowił spróbować zwykłego.

— Albo jeden z przyjmujących zamówienie popełnił błąd.

Kierowniczka potrząsnęła głową.

— To niemożliwe. Zawsze zakładamy, że klient chce dostać to samo, co zamawiał poprzednio. Tak się dzieje w dziewięciu przypadkach na dziesięć. SOK nie zmieniłby treści zamówienia, jeśli wyraźnie by sobie tego nie zażyczył.



— SOK?

— Sprzedawca Obsługujący Klientów.

O kurde, pomyślała Sandra.

— Jeśli zmiany nie było — mówiła kierowniczka — SOK po prostu nacisnąłby F2. Ten klawisz oznacza u nas „powtórzenie zamówienia”.

— Czy może pani określić, kto przyjmował ostatnie zamówienie?

— Jasne — wskazała na pole na ekranie. — SOK 054. To Annie Delano.

— Czy jest teraz obecna? Kierowniczka rozejrzała się po sali.

— To ona. Ta z końskim ogonem.

— Chciałabym z nią porozmawiać — zażądała Sandra.

— Nie rozumiem, co to właściwie za różnica — stwierdziła kierowniczka.

— Różnica — odparła chłodno Sandra — polega na tym, że człowiek, który zamówił ten posiłek, zmarł wskutek reakcji na to, co zjadł.

Kierowniczka zakryła usta dłonią.

— O mój Boże — powiedziała. — Po... powinnam zawołać szefa.

— To nie będzie konieczne — rzekła Sandra. — Chcę tylko porozmawiać z tą młodą damą.

— Oczywiście. Oczywiście.

Kierowniczka poprowadziła ją do stanowiska, przy którym pracowała Annie Delano.

Wyglądała ona na jakieś siedemnaście lat. Nie ulegało wątpliwości, że otrzymała zamówienie na powtórkę i zrobiła

dokładnie to, o czym mówiła kierowniczka — nacisnęła F2.

— Annie — odezwała się kierowniczka. — Ta pani jest z policji. Chciałaby zadać ci kilka pytań.

Annie podniosła szeroko wybałuszone oczy.

— Pani Delano — zaczęła Sandra. — W ostatnią środę przyjęła pani zamówienie na rostbef od mężczyzny nazwiskiem Rod Churchill.

— Jeśli pani tak mówi — odparła Annie.

Sandra zwróciła się w stronę kierowniczki.

— Niech pani to pokaże na ekranie.

Kobieta nachyliła się i wypisała numer telefonu Churchilla.

Annie spojrzała na ekran z twarzą bez wyrazu.

— Zmieniła pani jego zwykłe zamówienie — wyjaśniła Sandra. — Zawsze dotąd zamawiał niskokaloryczny sos, ale tym razem dała mu pani zwykły.

— Zrobiłabym to tylko wtedy, jeśli by sobie tego zażyczył — odparła Annie.

— Przypomina pani sobie, czy prosił o zmianę?

Annie patrzyła na ekran.

— Przykro mi, proszę pani. W ogóle nie przypominam sobie tego zamówienia.

Przyjmuję ich dziennie ponad dwieście, a to było tydzień temu. Ale daję słowo, że nic bym nie zmieniła, gdyby sobie tego nie zażyczył.

Alexandria Philo wróciła do Doowap Advertising i zajęła jeden z nielicznych prywatnych gabinetów, by kontynuować przesłuchania kolegów Hansa Larsena. Choć szczególnie

interesowała ją Cathy Hobson, najpierw przeprowadziła dwie krótkie rozmowy z innymi, aby nie wzbudzić jej podejrzeń.

Gdy Cathy usiadła na krześle, Sandra obdarzyła ją sympatycznym uśmiechem.

— Właśnie usłyszałam o pani ojcu — powiedziała. — Bardzo mi przykro. W zeszłym roku straciłam swojego. Wiem, jakie to może być trudne.

Cathy odpowiedziała lekkim, uprzejmym skinieniem głowy.

— Dziękuję.

— Ciekawi mnie jednak — mówiła Sandra — fakt, że Hans Larsen i pani ojciec zmarli w niewielkim odstępie czasu.

Cathy westchnęła.

— Nieszczęścia chodzą parami.

Sandra skinęła głową.

— A więc sądzi pani, że to zbieg okoliczności?

Cathy wyglądała na zszokowaną.

— Oczywiście, że tak. To znaczy, kurczę, Hansa znałam tylko trochę, a ojciec zmarł z przyczyn naturalnych.

Sandra przyjrzała się Cathy od stóp do głów, poddając ją ocenie.

— Jeśli chodzi o Hansa, obie wiemy, że to, co pani mówi, nie jest prawdą. Łączył panią z nim jakiegoś rodzaju związek.

Wielkie niebieskie oczy Cathy rozbłysły wyzywająco. Sandra uniosła dłoń.

— Niech się pani nie niepokoi, pani Hobson. To, jak pani kieruje swym życiem, to pani prywatna sprawa. Nie mam zamiaru zdradzić faktu pani niewierności mężowi ani wdowie

po Hansie, jeśli już o tym mowa. Oczywiście zakładając, że nie miała pani nic wspólnego z morderstwem.

Cathy była rozgniewana.

— Proszę posłuchać. Po pierwsze, to, co wydarzyło się między mną a Hansem, było dawno temu. A po drugie, mój mąż już o tym wie. Wszystko mu powiedziałam.

Sandra była zaskoczona.

— Naprawdę?

— Tak.

Cathy najwyraźniej zdała sobie sprawę, że być może popełniła błąd. Dlatego też szybko dodała.

— Widzi więc pani, że nie mam nic do ukrycia ani żadnego powodu, by pozbyć się Hansa.

— A co z pani ojcem?

Cathy wyglądała na rozgoryczoną.

— Co znowu, przecież zmarł z powodów naturalnych.

— Przykro mi, że to ja pani o tym mówię — odparła Sandra — lecz obawiam się, że to nieprawda.

Cathy była poirytowana.

— Do diabła, pani inspektor. Wystarczająco trudno jest przeżyć utratę któregoś z rodziców bez podobnych gier.

Sandra skinęła głową.

— Niech mi pani wierzy, pani Hobson, że nigdy nie powiedziałabym czegoś takiego, gdybym nie była przekonana, że to prawda. Jest jednak faktem, że ktoś ingerował w złożone przez pani ojca zamówienie na kolację.

— Zamówienie na kolację? O czym pani mówi?

— Pani ojciec brał lekarstwo, które wymagało poważnych ograniczeń dietetycznych.

W każdą środę, gdy pani matka wychodziła, zamawiał kolację. Zawsze taką samą, zawsze bezpieczną. W dzień jego śmierci ktoś jednak zmienił zamówienie i pani ojciec otrzymał coś, co wywołało gwałtowną reakcję, podniosło ciśnienie krwi do niedopuszczalnie wysokiego poziomu.

Cathy była zdumiona.

— Co pani opowiada, pani inspektor? Śmierć wywołana przez fast food?

— Uznałabym to za wypadek — odrzekła Sandra. — Ale sprawdziłam parę rzeczy.

Okazuje się, że na kilka dni przed śmiercią pani ojca ktoś włamał się do krajowej MedBase.

Ten, kto to zrobił, mógł się dowiedzieć, że pani ojciec brał fenelzynę.

— Fenelzynę? — zdziwiła się Cathy. — Ależ to środek przeciwdepresyjny.

— Wie pani o tym? — zapytała Sandra, unosząc brwi.

— Moja siostra brała go przez pewien czas.

— Zna pani dietetyczne ograniczenia przy jego stosowaniu?

— Nie wolno jeść sera — odparła Cathy.

— Jest tego znacznie więcej.

Cathy potrząsała pochyloną głową ze zdumieniem, które wydawało się Sandrze w pełni zrozumiałe.

— Tata brał środek przeciwdepresyjny — powiedziała cicho, jakby mówiła do siebie.

Potem jednak podniosła wzrok i spojrzała Sandrze w oczy. — To szaleństwo.

— MedBase prowadzi dziennik dostępu. Wymagało to mnóstwa pracy, ale sprawdziłam wszystkie załogowania w ciągu dwóch tygodni poprzedzających śmierć pani ojca. Jedno — na trzy dni przed śmiercią — było lewe.

— Jak to lewe?

— Lekarz, pod którego nazwiskiem dokonano dostępu do bazy danych, przebywał wtedy na wakacjach w Grecji.

— Do większości baz danych można się załogować z całego świata — odparła Cathy.

Sandra skinęła głową.

— To prawda. Zadzwoiłam jednak do Aten i ten lekarz przysięga, że od chwili przyjazdu nie robił nic poza zwiedzaniem archeologicznych wykopalisk.

— I potrafi pani określić, do czyich danych się przedostano?

Sandra spuściła na chwilę wzrok.

— Nie. Wiem tylko, kiedy ten, kto używał konta, załogował się i wylogował. W obu przypadkach było to około czwartej nad ranem czasu Toronto...

— W Grecji to jest środek dnia.

— Tak, ale to również czas, kiedy system MedBase jest najmniej obciążony.

Słyszałam, że o tej godzinie prawie zawsze uzyskuje się dostęp bez opóźnienia. Jeśli ktoś chciał się włączyć i wyłączyć tak szybko, jak tylko można, byłaby to odpowiednia chwila.

— Ale wykorzystanie składników potraw, by wywołać śmiertelny skutek, wymagałoby wielkiego znowstwa.

— W rzeczy samej — przyznała Sandra. Nastąpiła przerwa.  
— Pani ukończyła chemię, prawda?

Cathy wypuściła głośno powietrze z płuc.

— Tak. Nieorganiczną. Nic nie wiem o farmaceutykach.

Rozpostarła dłonie.

— Wszystko to wydaje mi się dość naciągane, pani inspektor. Najgorszym wrogiem, jakiego miał mój ojciec, był trener futbolu ze szkoły średniej w Newtonbrook.

— A jak on się nazywa?

Cathy wydała z siebie dźwięk świadczący o irytacji.

— Żartuję, pani inspektor. Nie znam nikogo, kto chciałby zabić mojego ojca.

Sandra wbiła wzrok w dal.

— Być może ma pani rację. Od tej roboty czasem przestawia się człowiekowi w głowie.

— Uśmiechnęła się rozbrajająco. — Obawiam się, że wszyscy jesteśmy skłonni ulegać teoriom spiskowym. Niech mi pani wybaczy. I proszę mi pozwolić powiedzieć raz jeszcze, że przykro mi z powodu śmierci pani ojca. Wiem, co pani przeżywa.

Ton Cathy był obojętny, lecz jej oczy kipiały wściekłością.

— Dziękuję.

— Jeszcze kilka pytań, a potem — mam nadzieję — nie będę już pani zawracać głowy.

Sandra spojrzała na ekran palmtopa.

— Czy mówi coś pani nazwisko Desalle? Jean—Louis Desalle?

Cathy nie powiedziała nic.

— Studiował na uniwersytecie w Toronto w tym samym czasie co pani.

— To było dawno temu.

— Istotnie. Pozwoli pani, że wyrażę to bardziej bezpośrednio. Kiedy z nim rozmawiałam, przypomniał sobie pani nazwisko. Nie Catherine Hobson. Catherine Churchill.

Pamiętał również pani męża, Petera Hobsona.

— To nazwisko, które pani wymieniła, wydaje mi się skądś znajome — przyznała ostrożnie Cathy.

— Czy spotkała pani Jeana—Louisa Desalle’a od czasów studenckich?

— Kurczę, nie. Nie mam pojęcia, co się z nim stało.

Sandra skinęła głową.

— Dziękuję, pani Hobson. Bardzo pani dziękuję. To by było na razie wszystko.

— Chwileczkę — odezwała się Cathy. — Dlaczego pani pytała o Jeana—Louisa?

Sandra zamknęła palmtopa i schowała go do walizeczki.

— To lekarz, którego dostęp do bazy danych wykorzystano.



## ROZDZIAŁ 36

Duch, symulacja nieśmiertelnej duszy Petera Hobsona, nie przestawał obserwować ewolucji sztucznego życia stworzonego przez Sarkara. Był to fascynujący proces.

Nie gra.

Życie.

Niemniej biednemu Sarkarowi brakowało wizji. Jego programy były szablonowe.

Niektóre po prostu produkowały komórkowe automaty, inne zaś wytwarzały kształty przypominające owady. Och, niebieskie ryby robiły wrażenie, ale absolutnie nie mogły się równać stopniem komplikacji z prawdziwymi, a poza tym ryby nie były dominującą formą życia na Ziemi już od ponad trzystu milionów lat.

Duch pragnął czegoś więcej. Znacznie więcej. Ostatecznie potrafił teraz radzić sobie z problemami bez porównania bardziej złożonymi, niż był w stanie dokonać tego Sarkar, a ponadto miał do dyspozycji cały czas we wszechświecie.

Nim jednak zaczął, zastanawiał się przez długi czas nad tym, czego dokładnie chce.

Gdy już ustalił kryteria selekcji, przystąpił do dzieła tworzenia.

Peter postanowił dać sobie spokój z powieściami o Spenserze, przynajmniej na razie.

Trochę zawstydził go fakt, że kontrolna wersja jego osoby czyta utwory Thomasa Pynchona.

Przejrzawszy regały, trafił na egzemplarz Opowieści o dwóch miastach, który dostał w prezencie od ojca, kiedy był nastolatkiem. Nigdy nie zdobył się na przeczytanie tej książki Dickensa, lecz ku swemu zawstydzeniu przekonał się, że była to jedyna klasyczna powieść, jaką znalazł w domu. Dni, gdy czytał Szekspira i Marlowe'a, Kartezjusza i Spinozę, dawno minęły. Rzecz jasna, mógł ściągnąć z sieci praktycznie wszystko. Klasyczne powieści miały tę dobrą stronę, że prawa autorskie do wszystkich z nich wygasły. Ostatnio jednak zbyt często miał do czynienia z wytworami techniki. Stara, pachnąca lekko stęchli—zną książka była tym, czego potrzebował.

Cathy siedziała na kanapie z czytnikiem w ręku. Usiadł obok niej, otworzył tom o sztywnej okładce i zaczął czytać: Była to najlepsza i najgorsza z epok, wiek rozumu i wiek szaleństwa, era wiary i era niedowiarstwa, okres światła i okres mroków, wiosna pięknych nadziei i zima rozpacz, wszystko było przed nami i nic nie mieliśmy przed sobą, dążyliśmy prosto do nieba i kroczyliśmy prosto w kierunku odwrotnym.

Peter uśmiechnął się do siebie. To było zdanie godne Ducha. Może płacenie od słowa pomagało przeciągać myśli równie skutecznie jak bycie martwym.

Nim zdążył dotrzeć znacznie dalej, dostrzegł kącikiem oka, że Cathy odłożyła czytnik i gapi się na niego. Popatrzył na nią z wyczekiwaniem.

— Ta policjantka, Philo, znowu rozmawiała dziś ze mną w pracy — poinformowała go, odgarniając czarne włosy za ucho.

Zamknął książkę i położył ją na stoliku.

— Chciałbym, żeby zostawiła cię w spokoju.

Cathy skinęła głową.

— Ja też. Nie mogę powiedzieć, żeby była niemila. Jest całkiem uprzejma. Ale uważa, że istnieje jakiś związek między śmiercią ojca i Hansa.

Potrząsnął ze zdumieniem głową.

— Twój ojciec umarł na tętniak czy coś w tym rodzaju.

— Też tak myślałam. Ale ta policjantka mówi, że mógł zostać zabity z premedytacją.

Brał lek przeciwdepresyjny zwany fenelzyną i...

— Rod? Lek przeciwdepresyjny?

Skinęła głową.

— Ja też byłam zdziwiona. Policjantka powiedziała, że zjadł coś niewłaściwego i wskutek tego gwałtownie skoczyło mu ciśnienie. Przy jego stanie zdrowia to wystarczyło, żeby go zabić.

— Ale to na pewno był przypadek — odparł Peter. — Nie zwrócił uwagi na zalecenia lekarza albo źle je zrozumiał.

— Wiesz, że ojciec był bardzo skrupulatny. Inspektor Philo sądzi, że ktoś zmienił jego zamówienie na kolację.

Peter nie chciał w to uwierzyć.

— Naprawdę?

— Tak właśnie twierdzi. — Przerwa długości uderzenia serca.

— Pamiętasz Jeana—Louisa Desalle'a?

— Jeana—Louisa... chodzi ci o Udara?

— Udara?

— Tak go przezywali na uniwersytecie. Miał na czole bardzo wydatne żyły. Zawsze nam się wydawało, że zaraz dostanie udaru.

Wyjrzał przez okno.

— Udar Desalle. Boże, nie myślałem o nim od lat. Ciekawe, co się z nim stało?

— Podobno jest lekarzem. Możliwe, że wykorzystano jego konto celem uzyskania dostępu do danych medycznych ojca.

— Ale co Udar mógł mieć przeciw twojemu ojcu? Kurczę, przecież pewnie nigdy go nawet nie widział.

— Policjantka sądzi, że z jego konta skorzystał ktoś inny.

— Och.

— Wie też o mnie i o Hansie — dorzuciła Cathy.

— Powiedziałaś jej?

— Nie, oczywiście, że nie. To nie jej interes. Ale ktoś to zrobił. Peter wypuścił głośno powietrze z płuc.

— Byłem pewien, że wszyscy w twojej firmie o tym wiedzą.  
— Walnął otwartą dłońią w poręcz kanapy. — Cholera!

— Uwierz mi, że czuję się tak samo zażenowana jak ty — stwierdziła Cathy.

Peter skinął głową.

— Wiem o tym. Przykro mi.

Głos Cathy brzmiał ostrożnie, jak gdyby badała grunt.

— Ciągle się zastanawiam nad tym, kto mógł wziąć na cel i Hansa, i tatę.

— Wymyśliłaś coś?

Przyglądała mu się przez długą chwilę.

— Czy ty to zrobiłeś, Peter? — zapytała wreszcie po prostu.

— Co?

Przełknęła z wysiłkiem ślinę.

— Czy zaaranżowałeś zamordowanie Hansa i ojca?

— Kurwa, nie wierzę w to — odparł Peter.

Cathy patrzyła na niego, nie mówiąc nic.

— Jak możesz pytać mnie o coś takiego?

Potrząsnęła lekko głową. Jej twarz wyrażała różne emocje: obawę wywołaną tym, że musiała zadać to pytanie, strach przed tym, jak może brzmieć odpowiedź, ślad wstydu wywołany faktem, że w ogóle o tym pomyślała, tłący się gniew.

— Nie wiem — odpowiedziała, nie w pełni panując nad głosem. — Chodzi o to, że... właściwie masz motyw.

— Może w przypadku Hansa, ale twojego ojca? — Peter rozpostarł ramiona. — Gdybym zabijał każdego, kogo uważam za idiotę, nasz dom byłby wypchany zwłokami aż po krokwie.

Cathy nie powiedziała nic.

— Poza tym — ciągnął Peter, czując potrzebę wypełnienia ciszy — jest zapewne mnóstwo rozwścieczonych mężów, których ucieszyła wiadomość, że zabito Hansa.

Spojrzała wprost na niego.

— Nawet jeśli to, co mówisz o innych rozwścieczonych mężach, jest prawdą, żaden z nich nie pragnąłby śmierci ojca.

— Ta głupia policjantka przyprawia cię o paranoję. Przysięgam, że nie zabiłem twojego ojca ani Hansa.

To ostatnie imię wypowiedział przez zaciśnięte szczęki.

— Ale, jeśli ona ma rację, ich śmierć była zaaranżowana...

— Tego również nie zrobiłem. Jezu Chryste, za kogo mnie uważasz?

Potrząsnęła głową.

— Przepraszam cię. Wiem, że nie zrobiłbyś czegoś takiego. Rzecz w tym, że jest to coś, co mógłby zrobić ktoś będący w twojej sytuacji... gdyby ten ktoś nie był tobą.

— Powtarzam ci... Chryste!

— Co jest?

— Nic.

— Nie, coś jest nie w porządku. Powiedz mi.

Peter zerwał się już na nogi.

— Później. Muszę porozmawiać z Sarkarem.

— Z Sarkarem? Sądzisz, że to on jest winien?

— Chryste, nie! Ostatecznie Hans nie napisał Szatańskich wersetów.

— Ale...

— Muszę jechać. Wrócę późno.

Złapał za płaszcz i wyszedł przez frontowe drzwi.

Jechał Post Road w kierunku Bayview. Włączył samochodowy telefon i nacisnął klawisz, pod którym miał zakodowany numer Sarkara. Słuchawkę podniosła jego żona.

— Halo?

— Cześć, Raheemo. Mówi Peter.

— Peter! Tak się cieszę, że zadzwoniłeś!

— Dziękuję. Czy Sarkar jest w domu?

— Siedzi na dole. Ogląda mecz hokejowy.

— Czy mogę z nim porozmawiać? To bardzo ważne.

— No, nie wiem — powiedziała tęsknym głosem Raheema. — Mnie nigdy się nie udaje pogadać z nim podczas meczu. Sekundkę.

Wreszcie w słuchawce rozległ się głos Sarkara.

— Jest sześć do sześciu i dogrywka — nagła śmierć, Peter. Lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego.

— Przepraszam — powiedział Peter. — Posłuchaj, czytałeś w gazecie o tej ofierze morderstwa, której ciało okaleczono? Parę tygodni temu?

— Chyba tak.

— To był kolega z pracy Cathy.

— Och.

— I... — zaczął Peter, po czym przerwał.

— Tak?

To twój najlepszy przyjaciel, pomyślał. Najlepszy przyjaciel. Czuł lekkie mdłości.

Wszystkie te wspólne kolacje, tylko we dwóch, a teraz musiał wyznać coś takiego przez telefon?

— Cathy miała z nim romans.

— Naprawdę? — Sarkar był wyraźnie wstrząśnięty.

— Tak. — Peter siłą wycisnął z siebie to słowo.

— Kurde — powiedział Sarkar. — Kurde.

— Wiesz też, że niedawno umarł ojciec Cathy.

— Oczywiście. Było mi bardzo przykro, kiedy o tym usłyszałem.

— Nie jestem pewien, czy mogę powiedzieć to samo — wyznał Peter, zatrzymując się na chwilę na czerwonym świetle.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Sugerują teraz, że został zamordowany.

— Zamordowany!

— Tak. Zarówno on, jak i ten Hans.

— A ‘udhu billah.  
— Nie zrobiłem tego — powiedział Peter.  
— Oczywiście, że nie.  
— Ale można powiedzieć, że chciałem ich śmierci. I...  
— Jesteś podejrzany?  
— Tak sądzę.  
— Ale nie zrobiłeś tego?  
— Nie. A przynajmniej nie ta wersja mnie.  
— Nie ta wer... o kurczę.  
— Dokładnie.  
— Spotkamy się w Mirror Image — rzucił Sarkar i odłożył słuchawkę.

Peter przejechał na pas najszybszego ruchu.

Mieszkał bliżej Mirror Image niż Sarkar. Wyruszył też wcześniej. Musiał więc czekać na Pakistańczyka ponad trzydzieści minut. Oprócz jego samochodu na parkingu stał tylko jeden.

Toyota Sarkara zatrzymała się w pobliżu jego mercedesa. Peter stał obok samochodu, oparty o drzwi dla pasażera.

— Leafs wygrali — oznajmił Sarkar. — Słyszałem to po drodze.

Fakt pozbawiony znaczenia. Jego przyjaciel poszukiwał czegoś stabilnego wśród szaleństwa. Peter skinął głową, przyjmując do wiadomości tę uwagę.

— A więc sądzisz... sądzisz, że jedna z kopii... — Sarkar bał się wypowiedzieć tę myśl głośno.

Peter skinął głową.

— Być może.



Ruszyli w stronę oszklonego wejścia do biur Mirror Image. Sarkar nacisnął kciukiem EIOP.

— Podobno istnieje dowód, że badano medyczne dane mojego teścia przy użyciu konta należącego do człowieka, którego znałem na uniwersytecie.

— Och.

Szli długim korytarzem.

— Ale musiałbyś znać jego hasło i podobne rzeczy.

— Na Uniwersytecie Toronto przyznają nazwy kont, dodając do nazwiska pierwszą literę imienia. A domyślnym hasłem nowego użytkownika podczas pierwszego dnia zajęć zawsze jest jego nazwisko pisane wspak. Mówią, żeby to zmienić, ale zawsze znajdzie się jakiś idiota, który tego nie zrobi. Jeśli symulacja mojej osoby szukała sposobu dostania się do medycznej bazy danych, mogła wypróbować przypadkowo wybrane nazwiska studentów medycyny, których wtedy znałem, żeby się przekonać, czy któryś z nich zachował starą nazwę konta i hasło.

Dotarli do pracowni komputerowej Sarkara. Pakistańczyk dotknął kciukiem kolejnego EIOP. Rygle rozsunęły się, a ciężkie drzwi odsunęły z hałasem.

— A więc musimy wyłączyć kopie — stwierdził Sarkar.

Peter zmarszczył brwi.

— Coś nie gra? — zapytał jego przyjaciel.

— Chyba... mam przed tym lekkie opory — przyznał Peter. — Przede wszystkim, zapewne tylko jedna kopia dopuściła się zbrodni i pozostałe nie powinny ucierpieć z tego powodu.

— Nie mamy czasu na zabawę w detektywów. Musimy to powstrzymać, nim winna kopia popełni kolejne zabójstwo.

— Dlaczego miałyby je popełnić? Wiem, dlaczego zamordowano Hansa, i choć sam bym tego nie zrobił, nie mogę uczciwie twierdzić, że martwię się z powodu jego śmierci.

Rozumiem nawet powód, dla którego zabito mojego teścia. Ale nie ma już żadnej osoby, której śmierci bym pragnął. Och, są ludzie, którzy mnie skrzywdzili, okradli albo sprawili, że przez jakąś część życia czułem się nieszczęśliwy, ale daję słowo, że nie chcę śmierci żadnego z nich.

Sarkar wykonał gest naśladujący uderzenie w twarz.

— Obudź się, Peter. Niewyłączenie ich byłoby zbrodnią.

Peter skinął powoli głową.

— Masz oczywiście rację. Pora wyciągnąć wtyczkę.

## ROZDZIAŁ 37

Sarkar strzelił nerwowo palcami, przeniósł swój stołek przed konsolę głównego komputera i przemówił do mikrofonu.

— Zgłaszam się.

— Nazwa użytkownika? — zapytał komputer.

— Sarkar.

— Cześć, Sarkar. Polecenie?

— Wielokrotne usunięcie, bez potwierdzeń — wszystkie pliki w podkatalogach Kontrola, Duch i Ambrotos.

— Potwierdzenie usunięcia?

— Tak.

— Nie można usunąć. Pliki przeznaczone tylko do odczytu.

Sarkar skinął głową.

— Atrybuty, wszystkie wymienione poprzednio pliki i podkatalogi, zmienić na zwykłe.

— Atrybuty są zabezpieczone hasłem.

— Hasło: Abu Yussuf.

— Nieprawidłowe hasło.

Sarkar zwrócił się w stronę Petera.

— To jedyne hasło, którego aktualnie używam.

Peter wzruszył ramionami.

— Spróbuj jeszcze raz.

— Hasło: Abu Yussuf.

Przeliterował je.

— Nieprawidłowe hasło.

— Kto zabezpieczył pliki? — zapytał Sarkar.

— Hobson, Peter G. — odparł komputer.

Serce Petera zaczęło walić.

— Niech to cholera.

— Wyświetl rejestr użytkownika: Hobson, Peter G. — polecił Sarkar.

Na ekranie pojawiła się lista dat i godzin. Sarkar uderzył otwartą dłonią o blat.

— Widzisz to? Węzeł dziewięć—dziewięć—dziewięć. Tryb diagnostyczny. Używano twojego konta, ale dostęp był wewnętrzny. Ze środka systemu.

— Cholera! — Peter nachylił się nad mikrofonem. — Zgłaszam się.

— Nazwa użytkownika? — zapytał komputer.

— Fobson.

— Cześć, Peter. Czy mam zakończyć twoją drugą sesję?

— Jaką drugą sesję?

— Jesteś zalogowany w węźle zero—zero—jeden i w węźle dziewięć—dziewięć — dziewięć.

Sarkar pochylił się do przodu.

— Tak — powiedział Peter. — Bezwzględnie. Zakończ sesję w węźle dziewięć — dziewięć — dziewięć.

— Nie można wylogować.

— Cholera — powtórzył Peter. Zwrócił się w stronę Sarkara. — Czy tamta sesja jest nadrzędna?

— Nie. Pierwszeństwo ma ostatnie załogowanie.

— Dobra — powiedział Peter, pocierając dłonie. — Katalogi odniesienia i pliki wymienione uprzednio przez Sarkara.

Odbezpieczyć atrybuty.

— Hasło?

— Hasło: Mugato.

— Nieprawidłowe hasło.

— Hasło: Sybok.

— Nieprawidłowe hasło.

— Niech to diabli! — zaklął Peter. Spojrzał na Sarkara. —

Używam wyłącznie tych dwóch haseł.

Sarkar wypuścił głośno powietrze z płuc.

— Nie pozwolą, żebyśmy je wykasowali.

— Czy możemy wyłączyć cały system?

Sarkar skinął głową i przemówił do mikrofonu.

— Zainicjować zamknięcie systemu.

— Aktualnie są wykonywane zadania. Potwierdzenie polecenia?

— Tak. Zainicjować zamknięcie systemu.

— Hasło?

— Hasło: Abu...

Czerwone światełko na mikrofonie zgasło. Sarkar ponownie walnął dłonią w konsolę.

— Wyłączyły wejście głosowe.

— Chryste — rzucił Peter.

— To głupota — odezwał się rozgniewany Sarkar. — Zawsze możemy po prostu wyciągnąć wtyczkę.

Sięgnął po telefon i wykręcił trzycyfrowy numer.

— Dział techniczny — odezwał się kobiecy głos.

— Halo — powiedział Sarkar. — Mówi doktor Muhammed.

Wiem, że jest późno, ale mamy tu, hmm, drobne trudności.

Chcę, by odcięto dopływ mocy do wszystkich naszych komputerów.

— Mam odciąć dopływ mocy?

— Zgadza się.

— W porządku — odpowiedziała. — To potrwa kilka minut. Ale zdaje pan sobie sprawę, że pański dział przetwarzania danych ma układ bezprzerwowego zasilania elektrycznego.

Będzie przez pewien czas działał na bateriach.

— Jak długo?

— Jeśli wszystko będzie włączone, tylko sześć albo siedem minut. Wystarczająco długo, by przetrwać krótką przerwę w dopływie prądu.

— Czy może pani odłączyć ten układ?

— Oczywiście. Jeśli pan sobie tego życzy. Trzeba będzie ręcznie wyciągnąć wtyczkę.

Nie mogę wyłączyć go stąd. Czy mogę jutro sprowadzić kogoś, żeby to zrobił?

— To krytyczna sytuacja — stwierdził Sarkar. — Czy może pani tu przyjść i pokazać nam, jak to się robi? Jest tu jeszcze jeden człowiek, jeśli potrzebna pani pomoc.

— Dobrze. Czy mam najpierw odłączyć sieć zasilającą?

— Nie. Zrobimy to po wyłączeniu układu bezprzerwowego.

Zakrył dłonią mikrofon i przemówił do Petera.

— To znaczy, że wszystko przestanie działać natychmiast. Kopie nie otrzymają ostrzeżenia.

Peter skinął głową.

— Jak pan sobie życzy — odpowiedziała kobieta. — Niech mi pan da chwilę czasu.

Za kilka minut będę na górze.

Sarkar odłożył słuchawkę.

— Co zrobisz, kiedy już odetniemy dopływ mocy? — zapytał Peter.

Sarkar był już na podłodze. Próbował usunąć drzwiczki kontrolne umieszczone pod konsolą komputera.

— Wyjmę dyski optyczne i podłączę je do stoiska do prób. Mogę zwalniać pamięć bit za bitem, jeśli zajdzie taka potrzeba, przy użyciu lasera Nortona. Wtedy...

Zadzwoił telefon.

— Mógłbyś go odebrać? — zapytał Sarkar, zmagający się z opornym motylkiem.

Na ekranie wideofonu pojawiła się informacja, że rozmowa będzie miała charakter akustyczny. Peter podniósł słuchawkę.

— Halo?

Przez jakieś dwie sekundy słychać było tylko szum. Potem odezwał się niewątpliwie syntetyczny głos.

— Halo — powiedział.

Peter poczuł, że zalewa go fala gniewu. Nie znosił generowanych komputerowo reklam telefonicznych. Miał już cisnąć słuchawkę, kiedy usłyszał następne słowo: — Pe... ter.

W ułamku sekundy przed tym, nim słuchawka uderzyła w widełki, Peter zdał sobie sprawę, że nawet jeśli reklamowy komputer miał zainstalowaną książkę telefoniczną, nie istniała możliwość, by ktoś nieznajomy spodziewał się znaleźć go pod tym numerem.

Podniósł słuchawkę z powrotem do ucha.

— Kto mówi? — zapytał. Spojrzał na światełka na aparacie telefonicznym. To nie była rozmowa wewnętrzna, lecz przekazywana z miasta.

— Ty — odparł bezbarwny, mechaniczny głos.

Peter trzymał słuchawkę przed twarzą, całkiem jakby była wężem.

Popłynęły z niej dalsze słowa, każde oddzielone od poprzedniego krótką, wypełnioną szumem przerwą.

— Z pewnością nie sądziłeś, że damy się zamknąć w tej małej stacji roboczej?

Kobieta z działu technicznego zjawiała się w kilka minut później, niosąc skrzynkę z narzędziami. Sarkar popatrzył na przybyłą. Wzburzenie na jego twarzy było wyraźnie widoczne, przynajmniej dla Petera.

— Wszystko gotowe? — zapytała.

— Nie, nie — odparł Sarkar. — Hmm, nie musimy już odłączać stałego źródła prądu ani sieci zasilającej.

Kobieta miała zdziwioną minę.

— Jak pan sobie życzy.

— Przepraszam panią — powiedział Sarkar.

Skinęła głową i wyszła.

Peter i Sarkar patrzyli na siebie nawzajem w osłupieniu.

— Naprawdę spierdoliliśmy sprawę, co? — odezwał się wreszcie Peter.

Sarkar skinął głową.

— Cholera — ciągnął Peter. — Niech to jasna cholera. — Długa przerwa. — Teraz, kiedy przedostały się do sieci, nie da się ich wyłączyć, prawda?



Sarkar potrząsnął głową.

— I co dalej?

— Nie wiem — odparł Sarkar. — Nie wiem.

— Gdybyśmy wiedzieli, która kopia jest odpowiedzialna, może udałoby się nam znaleźć jakiś sposób, żeby ją odseparować. Ale, do cholery, jak mamy znaleźć odpowiedź na to pytanie?

— Moralność — odparł Sarkar.

— Co?

— Mówi ci coś nazwisko Lawrence Kohlberg?

Peter potrząsnął głową.

— To był psycholog, który w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku prowadził badania nad moralnym rozumowaniem. Studiowałem jego prace, kiedy przygotowywałem system doradczy dla Instytutu Psychiatrii Clarke'a.

— I?

— I całe to zamieszanie sprowadza się do kwestii moralności: dlaczego jedna wersja twojej osoby zachowuje się inaczej niż pozostałe. Z pewnością rozwiązanie, która kopia jest winna, kryje się w naturze ludzkiej moralności.

Peter właściwie go nie słuchał.

— Czy możemy zrobić coś jeszcze, żeby wykasować te kopie?

— Nie teraz, kiedy przedostały się do sieci. Posłuchaj, masz zapewne rację — przyda się rozstrzygnąć, która z nich jest winna. Pozwól, bym zadał ci pewne pytanie.

— Jakie?

Sarkar przerwał, próbując sobie dokładnie coś przypomnieć.

— Przypuśćmy, że żona pewnego mężczyzny jest śmiertelnie chora, ale może ją uratować lekarstwo, które kosztuje dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Co to ma do rzeczy!

— Słuchaj. To jeden z testowych scenariuszy Kohlberga. Przypuśćmy, że ten mężczyzna zdołał zebrać tylko dziesięć tysięcy dolarów, ale aptekarz nie chciał sprzedać mu leku, chociaż tamten obiecał, że później zapłaci resztę. I wtedy mężczyzna ukradł lekarstwo, żeby uratować żonę. Czy jego postępek był moralnie słuszny czy nie?

Peter zmarszczył brwi.

— Oczywiście słuszny.

— Ale dlaczego? W tym tkwi klucz.

— Nie... nie wiem. Po prostu słuszny.

Sarkar skinął głową.

— Podejrzewam, że każda z kopii podałaaby inny powód. Kohlberg zdefiniował sześć poziomów moralnego rozumowania. Na najniższym jest się przekonany, że dobre jest po prostu to zachowanie, które pozwala uniknąć kary. Na najwyższym zaś, który Kohlberg uważał za domenę moralnych gigantów takich jak Gandhi czy Martin Luther King, postępowanie oparte jest na abstrakcyjnych zasadach etycznych. Na tym etapie zewnętrzne prawa zakazujące kradzieży nie mają znaczenia. Twój wewnętrzny kodeks moralny określa, że musisz cenić życie drugiej osoby wyżej niż wszelkie reperkusje, które mogą cię spotkać z uwagi na popełnione przestępstwo.

— No więc, tak właśnie sędzę.

— Mahatma Hobson — rzucił Sarkar. — Kontrolna kopia zapewne podzielałaby tę opinię.

Kohlberg jednak przekonał się, że przestępcy na ogół pozostają na niższym stopniu rozumowania moralnego niż nieprzestępcy w tym samym wieku i o takim samym ilorazie inteligencji. Ambrotos mógłby zatrzymać się na najniższym poziomie — unikaniu kary.

— Dlaczego?

— Nieśmiertelny będzie żył wiecznie, ale może tę wieczność spędzić w więzieniu.

Myśl o dożywociu byłaby dla niego przerażająca.

— Ale jak często orzeka się prawdziwe dożywocie? Znasz to stare powiedzenie: „Nie popełniaj przestępstwa, jeśli nie zdołasz odsiedzieć wyroku”. Niewykluczone, iż Ambrotos uważa, że może popełnić każde przestępstwo, bo, ostatecznie, zdoła odsiedzieć dowolny wyrok.

— Racja — przyznał Sarkar. — Ale nadal sądzę, że to on jest winny. Mówi się, że czas leczy wszystkie rany, ale może ten, kto wie, że będzie żył wiecznie, chce się załatwić ze wszystkimi sprawami, które dręczyłyby jego umysł przez długie stulecia.

Peter potrząsnął głową.

— Nie sądzę. Posłuchaj, jeśli dla mnie morderstwo jest straszliwą zbrodnią, to czy nie byłoby taką samą, najgorszą okropnością dla nieśmiertelnej wersji mojej osoby, która wiedziałaby, że życie może trwać wiecznie?

Sarkar westchnął.

— Niewykluczone. Ten argument działa chyba w obie strony. Ale co z Duchem? Jego moralne rozumowanie również mogło

się zatrzymać na niskim poziomie. Mimo że jest martwy, nie stworzyliśmy dla niego symulacji nieba ani piekła. Może uważać, że przebywa w czyścicu i jeśli będzie się dobrze zachowywał, zezwoli mu się na pójście do nieba. Według Kohlberga drugi poziom określa jako moralne te uczynki, które zapewniają nagrody.

Peter ponownie potrząsnął głową.

— Właściwie nie wierzę w niebo ani w piekło.

Sarkar spróbował odmiennego podejścia.

— Zastanów się więc nad tym: morderstwo jest zbrodnią popełnianą pod wpływem namiętności, a namiętność jest słabością ciała. Jeśli usunie się z ludzkiej natury seks, nie będzie powodu, by zabijać kobieciarza. To byłby argument na rzecz niewinności Ducha i, drogą eliminacji, winy Ambrotosa.

— Możliwe — odparł Peter. — Z drugiej jednak strony, Duch wie, że życie pozagrobowe istnieje. Świadczy o tym sam fakt jego egzystencji. W związku z tym morderstwo byłoby dla niego mniej ohydną zbrodnią niż dla Ambrotosa, jako że nie oznacza ono całkowitego unicestwienia ofiary. Dlatego jest znacznie bardziej prawdopodobne, że nie miałyby nic przeciwko dopuszczaniu się zabójstw.

Sarkar westchnął sfrustrowany.

— Tu również można bronić obu stanowisk.

Spojrzał na zegarek.

— Posłuchaj, tutaj już nic nie zrobimy. — Przerwał. — W gruncie rzeczy, niewykluczone, że nigdzie już nie możemy nic zrobić.

Siedział przez chwilę cicho, pogrążony w myślach.

— Jedź do domu. Jutro jest sobota. Przyjadę do ciebie około dziesiątej i pomyślimy, co robić dalej.

Peter skinął ze znużeniem głową.

— Ale najpierw...

Sarkar wyciągnął portfel, wydobyl z niego dwa pięćdziesięciodolarowe banknoty i wręczył je Peterowi.

— Co to jest?

— Sto dolarów, które pożyczyłem od ciebie w zeszłym tygodniu. Chcę się upewnić, że kopie nie mają powodu żywić pretensji do mnie. Nim wyjdziemy, wyślij w sieć wiadomość, że zwróciłem ci dług.

## PRZEGLĄD WIADOMOŚCI SIECIOWYCH

Grupa protestujących oznajmiła wczoraj wieczorem, że SeaWorld, na Florydzie, ostatnia w USA instytucja rozrywkowa trzymająca w niewoli delfiny, nie wyraża zgody na zgłoszone przez nich żądania podjęcia próby określenia, czy u tych zwierząt również występuje fala duszy.

George Hendricks, lat 27, nowo narodzony chrześcijanin, wniósł dzisiaj w Dayton, w stanie Ohio, pozew przeciwko swym rodzicom, Danielowi i Kim Hendricksom, oboje lat 53, o to, że nie ochrztili jego brata, Paula, który zginął w zeszłym roku w wypadku samochodowym w wieku lat 24, i są winni zaniedbania oraz maltretowania, gdyż uniemożliwili duszy Paula dostanie się do nieba.

Dalsze badania prowadzone w Hadze wskazują, że opuszczające ciało fale duszy zdają się poruszać w ściśle

określonym kierunku. „Początkowo sądziliśmy, że każda fala zmierza w inną stronę, ale tak było, zanim wzięliśmy pod uwagę porę dnia, w której nastąpiła śmierć danej osoby” — oznajmił profesor bioetyki Maarten Lely. „Obecnie wygląda na to, że wszystkie fale duszy wędrują w tym samym kierunku. Z braku lepszego określenia można powiedzieć, że zmierzają mniej więcej w stronę gwiazdozbioru Oriona”.

Niemcy są pierwszym krajem, który uznał za nielegalną jakąkolwiek ingerencję w proces opuszczania ciał zmarłych przez fale duszy. We Francji, Wielkiej Brytanii, Japonii i Meksyku toczą się obecnie debaty nad podobnymi ustawami.

Liczba samobójstw w indiańskich rezerwatach w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie oraz w trzech największych gettach w USA była w ostatnim miesiącu najwyższa od pięciu lat. W jednym z listów samobójczych, pozostawionym w Los Angeles, pojawia się typowy motyw: „Istnieje coś poza tym życiem. Nie może tam być gorzej niż tutaj”.

## ROZDZIAŁ 38

Gdy Peter wszedł do pokoju, Cathy leżała w łóżku wpatrzona w sufit. Monitor Hobsona powiedział mu, że jego żona jest w pełni świadoma, nie starał się więc zachowywać cicho.

— Peter? — odezwała się.

— Hmm?

— Co się stało wieczorem?

— Musiałem porozmawiać z Sarkarem.

Cathy całkowicie panowała nad głosem.

— Czy wiesz, kto zabił mojego ojca i Hansa?

Peter zaczął coś mówić, po czym umilkł.

— Zaufanie musi być obustronne — stwierdziła, przetaczając się lekko w jego stronę.

Odczekała moment. — Czy wiesz, kto ich zabił?

— Nie — odparł Peter, ściągając skarpetki. — Nie na pewno — dodał po chwili.

— Ale masz jakieś podejrzenia?

Nie ufał swemu głosowi. Skinął głową w ciemności.

— Kto?

— To tylko domysł — odparł. — Poza tym nie mamy nawet pewności, że twojego ojca zamordowano.

— Kto? — powtórzyła stanowczym tonem.

Wydał z siebie długie westchnienie.

— Konieczne będą pewne wyjaśnienia. — Zdążył już ściągnąć koszulę. — Obaj z Sarkarem prowadziliśmy... pewne badania

nad sztuczną inteligencją.

Jej twarz, niebieskoszara w półmroku, była pozbawiona wyrazu.

— Sarkar stworzył w komputerze trzy symulacje mojego umysłu.

— Masz na myśli systemy doradcze? — W głosie Cathy zabrzmiało lekkie zaskoczenie.

— Coś więcej. Znacznie więcej. Skopiował każdy neuron, wszystkie sieci neuronalne.

Praktycznie są to pełne duplikaty mojej osobowości.

— Nie wiedziałam, że coś takiego jest możliwe.

— To nadal eksperymentalna metoda, ale to jest możliwe. To wynalazek Sarkara.

— Boże. I uważasz, że jeden... jeden z tych duplikatów jest odpowiedzialny za morderstwa?

— Możliwe. — Głos Petera brzmiał słabo.

Cathy wybałuszyła szeroko oczy z przerażenia.

— Ale... ale dlaczego kopie twojego umysłu miałyby zrobić coś, czego ty sam byś nie zrobił?

Peter skończył przebierać się w piżamę.

— Dlatego, że dwie z tych symulacji nie są prawdziwymi duplikatami. Usunięto z nich pewne fragmenty tego, czym jestem. Nie jest wykluczone, że nieświadomie skasowaliśmy to, co jest odpowiedzialne za ludzką moralność.

Usiadł na brzegu łóżka.

— Zapewniam cię, że nigdy bym nikogo nie zabił. Nawet Hansa, choć częścią swej jaźni bardzo chciałem jego śmierci.



— A co z ojcem? — W głosie Cathy brzmiała gorycz. — Czy jego śmierci również chciałeś częścią jaźni?

Peter wzruszył ramionami.

— Słucham? — nie ustępowała Cathy.

— No więc, hmm, nigdy właściwie nie lubiłem twojego ojca. Do niedawna nie miałem jednak powodu, żeby go nienawidzić. Ale... ale potem opowiedziałaś mi o swojej terapii.

Skrzywdził cię, kiedy byłaś mała. Odebrał ci wiarę w siebie.

— I jeden z tych duplikatów zabił go za to?

Wzruszenie ramion w ciemności.

— Wyłączcie te skurwysyństwa — zażądała.

— To niemożliwe — odparł Peter. — Próbowaliśmy. Uciekły do sieci.

— Boże — warknęła Cathy, wkładając w te dwie sylaby całe swe przerażenie i wściekłość.

Przez pewien czas milczeli. Odsunęła się nieco od niego. Popatrzył na nią, starając się rozszyfrować widoczną na jej twarzy mieszanię emocji.

— Czy jest jeszcze ktoś, czyjej śmierci pragniesz? — zapytała wreszcie drżącym głosem.

— Sarkar zadał mi to samo pytanie — odparł poirytowany.

— Ale nikt nie przychodzi mi do głowy.

— A może... może mojej? — zapytała.

— Twojej? Oczywiście, że nie.

— Zraniłam cię.

— Tak, ale nie chcę twojej śmierci.

Słowa Petera najwyraźniej jej nie uspokoiły.

— Chryste, Peter, jak mogliście zrobić coś tak głupiego?

— Nie... nie wiem. Nie chcieliśmy tego.

— A co z tą policjantką?

— A co ma być?

— Co się stanie, jeśli dotrze do prawdy? — spytała Cathy. — Czy będziesz chciał również jej śmierci?

Sarkar przybył do domu Petera i Cathy o dziesiątej piętnaście następnego ranka.

Usiedli razem we troje, przeżuając obwarzanki, które miały już najlepsze chwile za sobą.

— I co teraz? — zapytała Cathy z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

— Powinniśmy zawiadomić policję — stwierdził Sarkar.

— Słucham? — Peter był wstrząśnięty.

— Policję — powtórzył Sarkar. — Ta sprawa całkowicie wymknęła się spod kontroli.

Potrzebna nam pomoc władz.

— Ale...

— Zawiadommy policję. Powiedzmy prawdę. To nowe zjawisko. Nie spodziewaliśmy się podobnych rezultatów. Tak zeznamy.

— Jeśli to zrobicie, będą tego następstwa — powiedziała powoli Cathy.

— W rzeczy samej — dodał Peter. — Postawi się nam zarzuty.

— Jakie zarzuty? — zapytał Sarkar. — Nie zrobiliśmy nic złego.

— Chyba żartujesz — odrzekł Peter. — Mnie mogliby oskarżyć o nieumyślne zabójstwo.

Albo o współudział w morderstwie. A ciebie o zbrodnicze zaniechanie.

Sarkar wybałuszył oczy.

— Zbrod...

— Nie wspominając już o prawach antyhakerskich — dodała Cathy. — Jeśli dobrze zrozumiałam, stworzyliście oprogramowanie, które swobodnie grasuje, wdziera się do cudzych komputerów i wykorzystuje ich zasoby. To przestępstwo.

— Ale nie chcieliśmy zrobić nic złego.

— Prokurator królewski przerobiłby nas na mielonkę — stwierdził Peter. — Pewien facet stworzył na spółkę ze swym najlepszym przyjacielem oprogramowanie mordujące ludzi, których nienawdził. Łatwo byłoby podać w wątpliwość wszelkie zapewnienia, że przecież nie chodziło mi właśnie o to. Pamiętasz proces przeciwko Consolidated Edison?

Ustawy frankensteinowskie. Ci, którzy chcą odnieść korzyści z nowej techniki, muszą ponosić koszty nieprzewidzianych konsekwencji.

— To amerykańskie prawo — stwierdził Sarkar.

— Przypuszczam, że kanadyjski sąd przyjąłby podobną zasadę — odparła Cathy.

— Mimo to kopie trzeba powstrzymać — powiedział Sarkar.

— Tak — zgodziła się Cathy.

Sarkar popatrzył na Petera.

— Łap za telefon. Wykręć dziewięćset jedenaście.

— Ale co tu może poradzić policja? — zapytał Peter, rozkładając ramiona. — Może byłbym za tym, żeby ją

zawiadomić, gdyby mogła w czymkolwiek pomóc.

— Mogłaby zarządzić zamknięcie sieci — stwierdził Sarkar.

— Chyba żartujesz. Tylko CSIS albo Królewska Kanadyjska Policja Konna mogłyby zrobić coś takiego i założę się, że musiałyby odwołać się do Ustawy o Stanie Wojny, żeby zawiesić prawo dostępu do informacji na tak wielką skalę. A jeśli kopie tymczasem przeniosą się do Stanów? Albo na drugi brzeg Atlantyku?

Peter potrząsnął głową.

— Nie ma możliwości, by kiedykolwiek udało nam się oczyścić z nich sieć.

Sarkar skinął powoli głową.

— Być może masz rację.

Przez pewien czas milczeli.

— Czy nie ma jakiegoś sposobu, byście sami usunęli je z sieci?  
— spytała wreszcie Cathy.

Popatrzyli na nią z wyczekiwaniem.

— No, wiecie — mówiła. — Napiszcie wirusa, który by je wytropił i zniszczył.

Pamiętam Internet Worm z czasów, kiedy byłam na uniwersytecie. W ciągu kilku dni rozprzestrzenił się na cały świat.

Sarkar wyglądał na podekscytowanego.

— Możliwe — powiedział. — To jest możliwe.

Peter popatrzył na niego. Starał się, by jego głos pozostał spokojny.

— Ostatecznie kopie są olbrzymie. Ich odszukanie nie powinno być zbyt trudne.

Sarkar pokiwał głową.

— Wirus, który sprawdzałby wszystkie pliki większe niż, powiedzmy, dziesięć gigabajtów... poszukiwałby dwóch albo trzech zasadniczych regularności charakterystycznych dla twoich sieci neuronalnych. Gdyby je znalazł, skasowałby plik. Tak, tak, chyba potrafiłbym napisać coś takiego. Zwrócił się w stronę Cathy.

— Znakomicie, Catherine!

— Ile czasu potrzebowałbyś? — zapytał Peter.

— Nie jestem pewien — odparł Sarkar. — Nigdy jeszcze nie pisałem wirusa. Parę dni.

Peter skinął głową.

— Módlmy się, żeby zadziałał. Sarkar spojrzał na niego.

— Pięć razy dziennie zwracam się twarzą w stronę Mekki, żeby się modlić. Być może mielibyśmy więcej szczęścia, gdybyście oboje również modlili się naprawdę.

Wstał z krzesła.

— Lepiej już pójdę. Czeka mnie kupa roboty.

## ROZDZIAŁ 39

Peter próbował przygotować się do nieuniknionego spotkania. Mimo to za każdym razem, gdy zabrzęczał interkom, czuł, że serce zaczyna mu walić. W pierwszych kilku przypadkach był to fałszywy alarm. W następnym...

— Peter — odezwał się głos jego sekretarki. — Chce z tobą rozmawiać inspektor Philo z Policji Toronto.

Peter zaczerpnął bardzo głębokiego oddechu, zatrzymał go na kilka sekund, a potem wypuścił powietrze w długim, szepczącym westchnieniu. Nacisnął guzik interkomu.

— Przyślij ją tutaj.

W chwilę później drzwi jego gabinetu otworzyły się i do środka weszła Alexandria Philo. Spodziewał się, że będzie ubrana w mundur policyjny, lecz zamiast niego miała na sobie elegancki, profesjonalny szary blezer, spodnie marynarskie tej samej barwy oraz jedwabną bluzkę koloru kawy. Założyła też dwa maleńkie zielone kolczyki. Jej krótkie włosy były jaskrawo rude, a oczy jasnozielone. Była wysoka i niosła czarną walizeczkę.

— Witam, pani inspektor — powiedział Peter, wstając z miejsca i wyciągając rękę.

— Witam — odparła Sandra, ściskając mocno jego dłoń. — Jak rozumiem, spodziewał się pan mojego przybycia?

— Hm, dlaczego pani tak mówi?

— Nie mogłam nie usłyszeć tego, co zlecił pan swojej sekretarce. „Przyślij ją tutaj”. Ale ona nie podała panu mojego imienia ani nie udzieliła żadnej innej wskazówki, że jestem kobietą.

Peter uśmiechnął się.

— Jest pani bardzo dobra w swej specjalności. Żona opowiadała mi trochę o pani.

— Rozumiem.

Sandra siedziała cicho, spoglądając wyczekująco na Petera.

Ten roześmiał się.

— Z drugiej strony, ja też jestem bardzo dobry w swej specjalności. Jej ważny element stanowią spotkania z urzędnikami rządowymi, z których wszyscy odbyli kursy komunikacji interpersonalnej. Trzeba czegoś więcej niż przeciągająca się cisza, bym zaczął pleść, co mi ślina na język przyniesie.

Sandra parsknęła śmiechem. Gdy weszła do gabinetu, nie wydała się Peterowi ładna, lecz kiedy się śmiała, wywierała bardzo sympatyczne wrażenie.

— Proszę spocząć, pani Philo.

Uśmiechnęła się i usiadła na krześle. Wygładziła następnie spodnie, jak gdyby często nosiła spódnicę. Cathy miała taki sam nawyk.

Przez krótką chwilę panowała cisza.

— Napije się pani kawy albo herbaty? — zapytał Peter.

— Kawy, jeśli można. Z podwójnym cukrem i podwójną śmietanką. — Wyglądała na skrepowaną. — Nie lubię tej części mojej roboty, doktorze Hobson.

Peter podszedł do ekspresu.

— Proszę mi mówić Peter.

— Peter. — Uśmiechnęła się. — Nie podoba mi się to, w jaki sposób traktuje się ludzi zamieszanych w podobne sprawy. My, policjanci, często staramy się ich zastraszyć, nie dbając o dobre manieri ani zasadę domniemania niewinności.

Peter wręczył jej filiżankę kawy.

— A więc, doktorze... — urwała i uśmiechnęła się. — A więc, Peter, będę ci musiała zadać kilka pytań. Mam nadzieję, że rozumiesz, iż po prostu wykonuję swoją robotę.

— Oczywiście.

— Jak ci wiadomo, jeden z ludzi pracujących z twoją żoną został zamordowany.

Peter skinął głową.

— Tak. Ta wiadomość była dla mnie dużym wstrząsem.

Sandra przyjrzała mu się, przechylając głowę.

— Przepraszam — odezwał się Peter, zbity z tropu. — Czy powiedziałem coś niewłaściwego?

— Och, nic takiego. Chodzi o to, że są dowody użycia ogłuszacza do obezwładnienia ofiary. Dlatego twoje słowa o „dużym wstrząsie” wydały mi się zabawne. — Uniosła rękę. — Wybacz mi. W tym zawodzie człowiek staje się gruboskórny. — Przerwa. — Używałaś kiedyś ogłuszacza?

— Nie.

— A czy go masz?

— W Ontario wolno je posiadać tylko policji.

Sandra uśmiechnęła się.

— Ale można je kupić w stanie Nowy Jork albo w Quebecu.



— Nie — zaprzeczył Peter. — Nigdy go nie miałem.

— Przepraszam, ale musiałam o to zapytać.

— Skubane policyjne szkolenie — rzucił Peter.

— Dokładnie. — Uśmiechnęła się. — Czy znałeś zmarłego?

— Hansa Larsena? — Spróbował wymówić jego nazwisko z nonszalancją. — Jasne.

Widywałem go — tak jak większość kolegów z pracy Cathy — na nieformalnych spotkaniach albo na przyjęciach bożonarodzeniowych w jej firmie.

— I co o nim sądziłeś?

— O Larsenie? — Peter wypił łyk kawy. — Uważałem go za głąba.

Sandra skinęła głową.

— Wydaje się, że sporo osób podzielało twoją opinię, choć inni byli o nim dobrego zdania.

— Podejrzewam, że tak jest z każdym — stwierdził Peter.

— Mniej więcej.

Ponownie zapadła cisza.

— Posłuchaj, Peter, wyglądasz na sympatycznego faceta — odezwała się po chwili Sandra. — Nie chciałabym przywoływać bolesnych wspomnień, ale wiem, że twoja żona i Hans, cóż...

Peter skinął głową.

— Tak, to prawda. Ale to już dawno się skończyło.

Sandra uśmiechnęła się.

— To fakt. Żona powiedziała ci jednak o tym dopiero niedawno.

— I teraz Larsen nie żyje.

Sandra skinęła głową.

— I teraz Larsen nie żyje.

— Pani Philo...

Uniosła dłoń.

— Możesz mi mówić Sandra.

Peter uśmiechnął się.

— Sandro.

Zachowaj spokój, pomyślał. Sarkar będzie gotowy z wirusem dzisiaj albo jutro.

Wkrótce cała sprawa się skończy.

— Pozwól, że ci coś powiem, Sandro. Jestem łagodnym człowiekiem. Nie lubię zapasów ani boksu. Nikogo nie uderzyłem, odkąd byłem chłopcem. Nigdy nie uderzyłem żony. A gdybym miał dziecko, nigdy nie sprawiłbym mu lania.

Pociągnął kolejny łyk kawy. Czy to, co powiedział, wystarczy? Czy lepiej byłoby dodać coś jeszcze?

Spokój, do cholery. Zachowaj spokój. Chciał jednak tylko powiedzieć jej prawdę o sobie — nie o tych maszynowych duplikatach, lecz o prawdziwym sobie z krwi i kości.

— Hmm... uważam, że źródłem wielu problemów tego świata jest przemoc. Dając dzieciom lanie, uczymy je, że są sytuacje, w których można uderzyć kogoś, kogo się kocha, a potem jesteśmy wstrząśnięci, kiedy się przekonamy, że te same dzieci dorastają sądząc, iż można bić współmałżonków. Nie zabijam nawet much, Sandro. Łapię je do szklanki i wypuszczam na zewnątrz. Pytasz mnie, czy zabiłem Larsena. Odpowiadam ci wprost, że mogłem być na niego wściekły, mogłem go nienawidzić, ale zabijanie czy wyrządzanie fizycznej krzywdy nie leży w mojej naturze. To coś, czego po prostu bym nie zrobił.

— Ani nawet o tym nie pomyślał? — zapytała Sandra.

Peter rozłożył ramiona.

— Cóż, wszyscy myślimy o różnych rzeczach. Jest jednak zasadnicza różnica między fantazją a rzeczywistością.

Gdyby jej nie było, przeleciałbym ciebie, moją sekretarkę i setkę innych kobiet tu, na tym biurku, pomyślał.

Sandra przesunęła się lekko na krześle.

— Z reguły nie rozmawiam na służbie o sprawach osobistych, ale przeżyłam coś bardzo podobnego, Peter. Mój mąż — od kilku miesięcy był mąż — również mnie oszukiwał.

Ja też nie jestem gwałtowna. Wiem, że niektórzy uznaliby takie wyznanie w ustach policjantki za coś dziwnego, ale to prawda. Niemniej kiedy się dowiedziałam, co zrobił Walter... no cóż, pragnęłam jego śmierci i jej również. Kiedy o tym usłyszałam, cisnęłam pilotem telewizora na drugą stronę pokoju. Grzmotnął w ścianę tak mocno, że obudowa się rozleciała. Do dziś widać w tym miejscu plamę. Dlatego wiem, po prostu wiem, że ludzie reagują gwałtownie w pewnych określonych okolicznościach.

Peter skinął powoli głową.

— Ale ja nie zabiłem Hansa Larsena.

— Jesteśmy przekonani, że to robota zawodowego zabójcy.

— Również nie zaaranżowałem jego zabójstwa.

— Pozwól, że ci powiem, na czym polega mój problem — rzekła Sandra. — Jak już mówiłam, poszukujemy zawodowca. Szczerze mówiąc, coś takiego kosztuje kupę forsy, zwłaszcza że, w tym przypadku wykonano dodatkową pracę. Ty i Cathy

jesteście zamożniejsi niż większość jej kolegów z pracy. Jeśli ktoś mógł sobie na to pozwolić, to właśnie wy.

— Ale my tego nie zrobiliśmy — zapewnił Peter. — Posłuchaj, jestem skłonny poddać się testowi na wykrywaczu kłamstw.

Sandra uśmiechnęła się słodko.

— Jak to miło z twojej strony, że sam to zaproponowałeś. Mam ze sobą przenośny sprzęt.

Peter poczuł skurcz mięśni żołądka.

— Naprawdę?

— Jak najbardziej. W gruncie rzeczy, to Veriscan Plus. Produkuje go twoja firma, prawda?

Przymrużył oczy.

— Tak.

— Jestem więc pewna, że pokładasz wielką wiarę w jego możliwościach. Czy jesteś skłonny poddać się takiemu testowi?

Zawahał się.

— Oczywiście musi być przy tym obecny mój radca prawny.

— Radca prawny? — Sandra uśmiechnęła się raz jeszcze. — Nie jesteś o nic oskarżony.

Peter zastanowił się nad tym.

— Zgoda — powiedział. — Jeśli to położy temu wszystkiemu kres, zgodzę się poddać testowi tu i teraz. Ale pod nieobecność mojego radcy prawnego możesz mi zadać tylko trzy pytania: Czy zabiłem Hansa Larsena? Czy zabiłem Roda Churchilla? Czy zaaranżowałem ich śmierć?

— Będę musiała zadać ich więcej. No, wiesz, to konieczne, żeby wyskalować maszynę.

— Zgoda — odparł Peter. — Zapewne masz zestaw pytań skalujących. Zgadzam się na test, pod warunkiem że nie odejdiesz od tego zestawu.

— Proszę bardzo.

Sandra otworzyła walizeczkę, odsłaniając ukryty poligraf. Peter przyjrzał się urządzeniu.

— Czy żeby używać tego sprzętu, nie trzeba być specjalistą?

— Powinieneś czytać własne broszury reklamowe, Peter. W środku jest chip z systemem doradczym sztucznej inteligencji. W dzisiejszych czasach każdy może się nimi posługiwać.

Peter chrząknął. Sandra przytwierdziła małe czujniki do jego przedramienia i nadgarstka. Walizeczka otworzyła się, ukazując płaski ekran. Sandra ustawiła go tak, by tylko ona mogła go widzieć. Dotknęła kilku pokręteł, po czym zaczęła pytać.

— Jak się nazywasz?

— Peter Hobson.

— Ile masz lat?

— Czterdzieści dwa.

— Gdzie się urodziłeś?

— W North Battleford, w stanie Saskatchewan.

— A teraz mnie okłam. Powiedz mi jeszcze raz, gdzie się urodziłeś.

— W Szkocji.

— Powiedz prawdę — jak ma na imię twoja żona?

— Catherine.

— A teraz skłam — jakie nosi nazwisko?

— Hmm... T'Pring.

— Czy zabiłeś Hansa Larsena?

Peter obserwował uważnie Sandrę.

— Nie.

— Czy zabiłeś Roda Churchilla?

— Nie.

— Czy zaaranżowałeś zabójstwo któregoś z nich?

— Nie.

— Czy masz pojęcie, kto mógł ich zabić?

Peter uniósł dłoń.

— Zgodziliśmy się na trzy pytania, pani inspektor.

— Przepraszam. Ale z pewnością nie masz nic przeciwko temu, by odpowiedzieć na jeszcze jedno? — Uśmiechnęła się. — To, że muszę cię podejrzewać, nie podoba mi się tak samo jak tobie status podejrzanego. Byłoby dobrze, gdybym mogła skreślić cię z listy.

Peter zastanowił się. Niech to cholera!

— Zgoda — powiedział cicho. — Nie znam żadnej osoby, która mogłaby ich zabić.

Sandra podniosła wzrok.

— Przepraszam. Chyba cię zdenerwowałam, kiedy wykroczyłam poza nasze uzgodnienia. Kiedy powiedziałeś „osoba”, wystąpiła bardzo dziwna aktywność. Czy zechcesz okazać mi jeszcze trochę cierpliwości i powtórzyć ostatnią odpowiedź?

Peter zerwał czujnik z przedramienia i rzucił go na blat.

— Zniosłem już więcej, niż się zgodziliśmy — warknął z irytacją w głosie.

Wiedział, że pogarsza swoją sytuację. Usiłował powstrzymać ogarniającą go panikę. Zerwał z nadgarstka drugi czujnik. — Nie odpowiem już na więcej pytań.

— Przepraszam — powiedziała Sandra. — Wybacz mi.

Peter uspokoił się z wysiłkiem.

— Nie ma sprawy — zapewnił. — Mam nadzieję, że znalazłaś to, czego szukałaś.

— Och, tak — odparła Sandra, zamykając walizeczkę. — W rzeczy samej, znalazłam.

Nie potrzeba było wiele czasu, by stworzone przez Ducha sztuczne formy życia przybrały postać wielokomórkową — łańcuchy odrębnych jednostek połączonych w proste sznury. Po pewnym czasie wpadły na to, jak łączyć się w dwa szeregi: dwukrotnie więcej komórek, ale każda nadal przynajmniej jedną stroną stykająca się z odżywczą zupą przygotowanej przez Ducha symulacji morza. Potem długie rzędy komórek również zaczęły zginać się w pól na kształt litery U. Następnie ich dna zamknęły się, tworząc coś w rodzaju torby. I wreszcie doszło do wielkiego przełomu — dno i szczyt torby otworzyły się, tworząc cylinder zbudowany z dwóch warstw komórek, otwarty na obu końcach. Powstał podstawowy plan budowy wszystkich zwierzęcych form życia na Ziemi, z otworem pokarmowym na jednym końcu, a wydalniczym na drugim.

Pokolenia się rodziły. Pokolenia umierały.

A Duch nie zaprzestawał selekcji.

## ROZDZIAŁ 40

Wymagało to trochę starań, ale czwartego grudnia Sandra Philo otrzymała nakaz obserwacji, o który wystąpiła. Otworzyło to jej drogę do umieszczenia transpondera wewnątrz tylnego zderzaka samochodu Petera Hobsona. Sędzia przyznał jej pozwolenie na dziesięć dni.

W transponder wbudowano chip zegarowy umożliwiający mu działanie dokładnie przez ten okres i ani sekundy dłużej. Dziesięć dni już upłynęło i Sandra analizowała uzyskane dane.

Peter często jeździł do swojej firmy, a także odwiedzał kilka restauracji, w tym bar Sonny'ego Gotlieba, który Sandra również lubiła, Szpital North York (był w jego radzie nadzorczej) oraz inne miejsca. Było jednak pewne miejsce, które pojawiało się w zapisie raz za razem — Connie Crescent 88 w Concord. Był to biurowiec, w którym siedzibę miały cztery firmy. Sprawdziła ów adres z rejestrem rozmów telefonicznych Petera uzyskanym dzięki temu samemu nakazowi. Wielokrotnie dzwonił pod numer zarejestrowany pod nazwą Mirror Image, Connie Crescent 88.

Sandra wywołała InfoGlobe i otrzymała pełną informację na temat tej firmy: Mirror Image Ltd., założona w roku 2001 przez młodego geniusza nazwiskiem Sarkar Muhammed, firma specjalizująca się w systemach doradczych i programach sztucznej inteligencji.



Poważne kontrakty z rządem Ontario oraz kilkoma korporacjami znajdującymi się na liście stu Financial Post.

Cofnęła się myślą do testu na wykrywaczu kłamstw, któremu poddał się Peter Hobson. Powiedział wtedy: „Nie znam żadnej osoby, która mogłaby ich zabić”. Jego najważniejsze reakcje nasiliły się w chwili, gdy wypowiadał słowo „osoby”.

A teraz spędzał wiele czasu w laboratorium prowadzącym badania nad sztuczną inteligencją.

Było to zbyt dziwne, niemal szalone.

Niemniej jednak Hobson osobiście nie popełnił morderstw. Dowiódł tego wykrywacz kłamstw.

Było to zagrożenie, przed którego rychłym nadejściem ostrzegaly policyjne czasopisma.

Być może teraz stało się wreszcie rzeczywistością.

W tym miejscu.

Sandra odchyliła się do tyłu na krześle, starając się ogarnąć całość.

Z pewnością to wszystko za mało, by zdobyć nakaz aresztowania.

Nakaz aresztowania nie, ale może nakaz rewizji...

Zachowała pliki ze zdobytymi informacjami i wyszła z pokoju.

Potrzeba było aż pięciu pojazdów, by dowieźć wszystkich na miejsce — dwa patrolowe samochody z parą mundurowych policjantów w każdym, radiowóz okręgu York z oficerem łącznikowym z tamtejszej policji, jako że akcję miano przeprowadzić na terenie Yorku, nie oznaczony samochód Sandry Philo, w którym jechała z Jorgensonem, szefem

wydziału przestępstw komputerowych, i niebieski furgon wiozący pięciu analityków z ich sprzętem.

Konwój zatrzymał się przed budynkiem przy Connie Crescent 88 o dziesiątej siedemnaście rano. Sandra weszła od razu do środka wraz z czterema mundurowymi policjantami, Jorgenson zaś podszedł do furgonu, by naradzić się z siedzącą w nim ekipą.

Portier Mirror Image — starszy wiekiem Azjata — podniósł wzrok z wyrazem szoku, gdy pojawiła się Sandra w towarzystwie policjantów.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał.

— Proszę odsunąć się od swojego terminala — poleciła Sandra. — Mamy nakaz rewizji dotyczący tej firmy.

Uniosła w górę dokument.

— Chyba lepiej wezwę doktora Muhammeda — stwierdził.

— Proszę to zrobić — zgodziła się Sandra. Pstryknęła palcami, nakazując jednemu z mundurowych pozostać tutaj celem uniemożliwienia portierowi zrobienia użytku z terminala.

Sama wraz z pozostałą trójką ruszyła do środka.

Na końcu korytarza pojawił się chudy, ciemnoskóry mężczyzna.

— Czy mogę w czymś pomóc? — odezwał się głosem pełnym zatroskania.

— Pan Sarkar Muhammed? — spytała Sandra, zbliżając się do niego.

— Tak.

— Jestem inspektor Philo z Policji Toronto.

Wręczyła mu nakaz.

— Mamy powód, by sądzić, że w tym budynku popełniono przestępstwa wiążące się z komputerami. Ten nakaz daje nam prawo przeszukania nie tylko waszych pomieszczeń, lecz również systemów komputerowych.

W tej samej chwili drzwi holu otworzyły się nagle. Do środka wszedł Jorgenson wraz z pięcioma analitykami.

— Dopilnujcie, żeby nikt z pracowników nie dotykał nic ze sprzętu komputerowego — polecił Jorgenson mundurowemu najstarszemu stopniem. Policjanci zaczęli rozchodzić się po budynku. Jedna ze ścian korytarza składała się głównie ze szkła. Znajdował się za nią wielki ośrodek przetwarzania danych. Jorgenson wskazał palcem na dwóch analityków.

— Davis, Kato, wy pójdziecie tam.

Podeszli do drzwi, lecz były one wyposażone w odrębny, zabezpieczony EIOP zamek.

— Doktorze Muhammed — odezwała się Sandra — nakaz daje nam prawo do wyważania wszelkich drzwi, jeśli uznamy to za konieczne. Jeśli wolałby pan, żebyśmy tego nie robili, proszę je otworzyć.

— Niech pani posłucha — odezwał się Sarkar. — Nie zrobiliśmy tutaj nic złego.

— Proszę otworzyć drzwi — poleciła stanowczo Sandra.

— Chcę przeczytać ten nakaz z moim adwokatem.

— Świetnie — odparła Sandra. — Jones, rozwał je.

— Nie! — zawołał Sarkar. — Już dobrze, już dobrze.

Podszedł do drzwi i nacisnął kciukiem niebieską płytkę. Rygiel otworzył się i drzwi odsunęły się na bok. Davis i Kato

weszli do środka. Pierwszy natychmiast podszedł do konsoli głównej, drugi zaś przystąpił do przeglądu taśmy pamięci o dostępie bezpośrednim oraz stacji dysków optycznych.

Jorgenson zwrócił się w stronę Sarkara.

— Macie tu laboratorium zajmujące się badaniami nad sztuczną inteligencją. Gdzie ono jest?

— Nie zrobiliśmy nic złego — powtórzył Sarkar.

W końcu korytarza pojawił się jeden z mundurowych.

— Jest tutaj, Karl!

Jorgenson ruszył korytarzem. Troje pozostałych członków jego ekipy podążyło za nim. Sandra również ruszyła w tamtym kierunku, sprawdzając po drodze oznaczenia na wszystkich drzwiach.

U wylotu korytarza ukazał się portier Azjata. Wyglądał na zaniepokój onego.

— Niech pan zadzwoni do Kejave'ego, mojego adwokata, i powie mu, co tu się dzieje — krzyknął Sarkar, po czym popędził za Jorgensonem.

Kiedy zadzwonił portier, pracował właśnie w laboratorium badań nad sztuczną inteligencją. Drzwi zostawił otwarte. Gdy dotarł na miejsce, Jorgenson stał już nad główną konsolą, wyciągając przewód klawiatury. Skinął na jednego ze swych towarzyszy, który wręczył mu inną klawiaturę o lśniącej czarnej obudowie i srebrzystych klawiszach. Było to urządzenie diagnostyczne — wszystkie uderzenia w klawisze, wszystkie odpowiedzi komputera i wszystkie opóźnienia w dostępie do dysku zostaną zarejestrowane.

— Hej! — zaprotestował Sarkar. — To są wrażliwe systemy. Zachowajcie ostrożność.

Jorgenson zignorował go. Usiadł na stołku i wyciągnął z aktówki winylową teczkę.

Znajdował się w niej zestaw dyskietek, CD—ROM—ów oraz kart PCMCIA. Wybrał kartę pasującą do stacji na konsoli, włożył ją i nacisnął parę klawiszy.

Obraz na monitorze zniknął, po czym pojawiły się diagnostyczne informacje na temat systemu.

— Najnowocześniejszy model — zauważył Jorgenson. Był pod wrażeniem. — W pełni wyposażony w pięćset dwanaście gigabajtów RAM, pięć równoległych koprocessorów matematycznych i samoodnoszącą architekturę magistrali. — Nacisnął spację i ekran wypełniły kolejne dane. — I najnowsze firmowe udoskonalenia. Fajna sprawa.

Wyszedł ze swego programu i zaczął wypisywać katalogi pod systemowym znakiem zachęty.

— Czego szukacie? — zapytał Sarkar.

— Czegokolwiek — odparła Sandra, wchodząc do pokoju. — Wszystkiego. Jakież problemy? — zapytała Jorgensona.

— Jak dotąd żadnych. Był już zalogowany, więc nie musieliśmy rozgryzać hasła.

Sarkar odsunął się ukradkiem od grupy i zbliżył do znajdującej się na drugim końcu pokoju konsoli, z której sterczał mikrofon.

— Zgłaszam się — odezwał się cicho. — Nazwa użytkownika Sarkar — dorzucił, nie czekając na pytanie.

— Cześć, Sarkar — odezwał się komputer. — Czy mam zakończyć twoją drugą sesję?

Sandra Philo zaszła go od tyłu. Zaokrąglony wylot jej ogłuszacza dotknął jego krzyża.

— Niech pan nawet nie próbuje — powiedziała cicho. Sięgnęła ręką do konsoli i wyłączyła przełącznik oznaczony „Wejście głosowe”.

W tej właśnie chwili w wejściu pojawił się Kawalski, oficer łącznikowy z Yorku.

— Na górze mają krzesło fryzjerskie — oznajmił, zwracając się do całej grupy. — Strzyżecie tu włosy? — zapytał spoglądając na Sarkara.

Ten potrząsnął głową.

— Tak naprawdę to fotel dentystyczny.

— To niewątpliwie pomieszczenie skaningowe — odezwał się Jorgenson, nie podnosząc wzroku. — Podobala mi się pańska praca w ostatnim, „Journal of AI Studies” — dodał, zwracając się do Sarkara. — Potem będę chciał przeszukać tamten pokój.

Wrócił do wypisywania poleceń na swej czarno—srebrnej klawiaturze.

Sarkar wyglądał na poirytowanego.

— Gdybyście tylko mi powiedzieli, czego szukacie...

— Cholera — rzucił Jorgenson. — Jest tu kilka zaszyfrowanych zbiorów.

Sandra popatrzyła na Sarkara.

— Jaki jest klucz?

— Nie sądzę, bym był zobowiązany wam go zdradzić — odparł czując, że być może zdobył pewien zakres kontroli nad

sytuacją.

Jorgenson wstał ze stołka. Druga analityczka usiadła na nim bez słowa i zaczęły wypisywać polecenia.

— Nic nie szkodzi — stwierdził ze wzruszeniem ramion. — Valentina pracowała dla KGB, kiedy jeszcze istniała taka instytucja. Niewiele jest kodów, których nie potrafiłaby złamać.

Valentina włożyła na miejsce nową kartę danych i zaczęła wściekle pisać dwoma palcami. Po kilku minutach popatrzyła na Sarkara z obliczem pełnym rozczarowania.

Pakistańczyk wyraźnie poweselał. Być może nie była taka dobra, jak twierdził Jorgenson. Po chwili jednak jego nadzieje prysły. Zawód widoczny na jej twarzy świadczył po prostu o tym, że liczyła na trudne wyzwanie, ale go nie znalazła.

— Algorytm Hunsackera? — zapytała głosem o silnym akcencie. Potrząsnęła głową. — Mógł pan znaleźć coś lepszego.

Nacisnęła jeszcze kilka klawiszy i ekran, do tej pory pokryty bezsensownym tekstem, wypełnił anglojęzyczny kod źródłowy.

Wstała z miejsca i Jorgenson wrócił do pracy. Oczyszczył ekran, po czym zastąpił kartę danych Valentyny jedną z własnych.

— Inicjacja wyszukiwania — powiedział. Ekran wypełniła wielokolumnowa lista około dwustu terminów ułożona w porządku alfabetycznym.

— Jest tu mnóstwo danych skompresowanych na rozmaite sposoby — stwierdził. — Przeszukanie ich zajmie trochę czasu. — Wstał. — Idę obejrzeć to pomieszczenie skaningowe.

Peter miał wieczorem zebranie rady zarządzającej Szpitala North York. Zamiast zmarnować rano na użeranie się z telefonami w swym gabinecie, postanowił trochę popracować w

domu. Miał jednak trudności z koncentracją. Sarkar powiedział, że dzisiaj skończy wirusa, lecz Peter nadal uważał, że sam też powinien coś zrobić. Około dziesiątej trzydzieści załogował się do systemu Mirror Image, chcąc sprawdzić, czy uda mu się dociec, w jaki sposób kopie wydostały się na zewnątrz.

Gdy już się połączył, wydał polecenie KTO. Chciał się przekonać, czy Sarkar również pracuje i powiedzieć mu „cześć” przez e—mail. Pracował. Wydał wtedy polecenie CO, żeby się przekonać, czym jest zajęty jego przyjaciel. Jeśli była to praca w tle, zapewne nie siedział przy terminalu, więc e—mail byłby stratą czasu. CO złożyło następujący raport: Węzeł: 002

Użytkownik: Sarkar Załogowany o: 08:14:22

Zadanie: Przeszukiwanie tekstu Cóż, przeszukiwanie tekstu można było wykonywać w tle albo na pierwszym planie.

Peter miał w systemach Sarkara przywileje nadzorcze wysokiego poziomu. Przywołał na własny monitor echo zadania wykonywanego w węźle zero zero dwa. Ekran wypełniła lista wyszukiwanych terminów i nieustannie uzupełniany rejestr trafień. Niektóre, takie jak Toronto, znaleziono do tej pory setki razy, inne jednak...

Chryste, pomyślał. Spójrz na to...

Sarkar szukał terminów „Hobson” i „Pete” i „Cath” i...

Peter wystukał list elektroniczny o treści: „Ale jesteśmy wścibscy, co?” Miał już go wysłać, kiedy zauważył pełne parametry przeszukiwania w linii kontrolnej: „Przeszukać wszystkie systemy; w obrębie każdego systemu przeszukać całą pamięć integralną, autonomiczną i roboczą”.



Podobne zadanie musiało zająć wiele godzin. Sarkar nigdy nie zarządziłby czegoś takiego. Był zbyt dobrze zorganizowany, by nie mieć pojęcia, jak ograniczyć zakres poszukiwań.

Peter spojrział na inne wyszukiwane terminy.

O cholera.

„Larsen”. „Hans”. „Cudzołóstwo”. „Związek”.

Cholera. Cholera. Cholera. To niemożliwe, by Sarkar przeprowadzał tego rodzaju poszukiwanie. Wewnątrz systemu znajdował się ktoś inny.

Węzeł zero zero dwa to było laboratorium badań nad sztuczną inteligencją w Mirror Image. Peter obrócił krzesło w stronę telefonu i nacisnął klawisz natychmiastowego połączenia.

W pracowni zadzwonił telefon.

— Czy mogę odebrać? — zapytał Sarkar.

Sandra skinęła głową. Wpatrywała się intensywnie w ekran. Pospolicie używane słowa wykrywano często — „związek” wyszukano już ponad czterysta razy, lecz „Hobson” czy „Larsen” ani razu.

Sarkar podszedł do stojącego na drugim końcu pokoju wideofonu i nacisnął klawisz ODBIÓR.

Logo Bell Canada zniknęło. Peter ujrzał zaniepokojoną twarz Sarkara.

— Co... — zaczął, lecz było to wszystko, co zdążył powiedzieć. Z tyłu, nad barkiem rozmówcy, dostrzegł profil Sandry Philo. Natychmiast przerwał połączenie.

Philo w Mirror Image.

Obława. Cholerna obława.

Spojrzał na ekran podłączony do węzła zero zero dwa. Jak dotąd ani razu nie wyszukano terminu „Hobson”.

Zastanawiał się krótką chwilę, po czym zaczął uderzać w klawisze. Otworzył drugą sesję pod nazwą użytkownika Sarkar. Skorzystał z hasła, które usłyszał niedawno z jego ust.

Następnie przeszedł do podkatalogu narzędzi diagnostycznych i przywołał listę plików. Były tam setki programów, w tym jeden o nazwie TEXTREP. To brzmiało obiecująco.

Zajrzał do jego pomocy.

Dobrze. Dokładnie to, czego potrzebował. Składnia: Wyszukiwany termin, termin zastępujący, parametry wyszukiwania.

Wypisał: TEXTREP *Hobson* Roddenberry / AI7—AI10. Oznaczało to zastąpienie wszystkich terminów „Hobson” przez „Roddenberry” w systemach sztucznej inteligencji od siódmego do dziesiątego.

Program rozpoczął pracę. Było to przeszukiwanie o znacznie węższym zakresie — tylko jeden termin — i prowadzone na znacznie mniejszym obszarze — zaledwie cztery komputery zamiast setki czy więcej badanych obecnie przez Philo. Jeśli dopisze mu szczęście, uda się dokonać wszystkich podstawień, nim będzie za późno...

Konsola zapiszczała, meldując o ukończeniu zadania. Jorgenson wrócił, nie znalazłszy w pokoju skaningowym nic interesującego. Popatrzył na ekran, a potem na Sandrę.

Słowo „Hobson” wyszukano trzynaście razy. Sandra wskazała na wykaz.

— Wyświetl je razem z kontekstem — zażądała.

Dwukrotnie pojawiło się w słownikowym haśle wyjaśniającym termin „wybór Hobsona”. Plik identyfikujący użytkownika utożsamiający „fobson” z Peterem G.

Hobsonem.

Skomputeryzowany notatnik z adresami domu i firmy Petera Hobsona.

Pojawiło się też dziewięć wzmianek — głównie dotyczących praw autorskich — o Hobson Monitoring Ltd. w różnego rodzaju oprogramowaniu skaningowym.

— Guzik — oznajmił Peter Jorgenson.

— Ma tutaj konto — stwierdziła Sandra, zwracając się w stronę Sarkara.

— Kto? — zapytał ten.

— Peter Hobson.

— Och, tak. Używamy programów stworzonych przez jego firmę.

— I nic więcej?

— Cóż, to także mój przyjaciel. Dlatego mam w notatniku jego domowy adres. — Sarkar zrobił niewinną minę. — Co pani spodziewała się znaleźć?

# ROZDZIAŁ 41

Cathy Hobson była wykończona. Spędziła długi dzień w biurze, ślęcząc nad księgami rachunkowymi Tourism Ontario. Po drodze do domu zatrzymała się w Miracle Food Mart, gdzie stojący przed nią idiota postanowił wręczyć kasjerowi wszystkie posiadane drobne.

Pomyślała, że niektórych ludzi powinno się zmusić do korzystania z kart kredytowych.

Gdy wreszcie dotarła do domu, nacisnęła kciukiem EIOP, nachylając się nad nim, jak gdyby była to jedyna rzecz powstrzymująca ją przed osunięciem się na ziemię.

Zielona dioda urządzenia zamrugwała do niej, zasuwa odskoczyła i ciężkie drzwi odsunęły się.

Weszła do swego domu. Drzwi zamknęły się za jej plecami i rygiel wskoczył na miejsce.

— Światła — powiedziała.

Nic się nie wydarzyło. Odchrząknęła i spróbowała raz jeszcze.

— Światła.

Nadal nic. Westchnęła, odstawiła torby z zakupami i poszukała po omacku ręcznego przełącznika. Znalazła go, lecz lampy nadal nie chciały się włączyć.

Dotarła na górę, do salonu. Widziała blask diod na magnetowidzie, nie było więc przerwy w dopływie prądu. Zapewne po prostu przepaliła się żarówka w przedpokoju.

Powiedziała „światła” raz jeszcze, ale trzy ceramiczne lampy stołowe — które sama zrobiła — nie chciały się zapalić.

Potrząsnęła głową. Peter nieustannie grzebał w domowych urządzeniach. Zawsze potrzeba było potem trochę czasu, by wszystko znowu zaczęło działać jak należy.

Opadła na kanapę i wyciągnęła przed siebie obolałe stopy. Cóż za długi dzień.

Zamknęła oczy, napawając się ciemnością. Po chwili przypomniała sobie o zakupach, wstała z kanapy i zeszła do przedpokoju. Ponownie nacisnęła przełącznik i powiedziała słowo „światła”. Znowu nic. Miała już się schylić i złapać za torby, gdy zwróciła uwagę na telefon stojący na stoliku w holu. Duże czerwone światło tuż obok klawiszy było zapalone. Podeszła bliżej. Napis na ekranie głosił: „Linia zajęta”.

Telefon przecież nie dzwonił.

A Petera nie będzie w domu jeszcze przez wiele godzin. Miał dzisiaj zebranie rady w Szpitalu North York.

Chyba że...

— Peter!

Jej krzyk poniósł się słabym echem po korytarzu.

— Peter, czy jesteś w domu!

Żadnej odpowiedzi. Podniosła słuchawkę i usłyszała jęk o wysokiej tonacji.

Modem.

Ponownie spojrzała na ekran.

„Prywatny rozmówca”. Ktoś korzystał z modemu, lecz zażądał wyłączenia wizji.

Jeżu Chryste, pomyślała. Kopia.

Rzuciła słuchawkę na widełki, po chwili jednak podniosła ją i zaczęła uderzać w nie szybko, starając się wytworzyć szum torowy, który przerwałby połączenie.

Nic to nie pomogło. Peter oczywiście miał najlepszy modem korygujący błędy.

Kopia najwyraźniej dysponowała równie dobrym sprzętem.

Cathy podeszła szybko do drzwi wejściowych i nacisnęła umieszczony obok nich guzik otwierający. Nic się nie wydarzyło. Złapała za ręczny uchwyt. Drzwi nawet nie drgnęły.

Nacisnęła przycisk alarmowy „Na wypadek pożaru”. Nadal były zablokowane.

Odsunęła drzwiczki wnęki w korytarzu — one przynajmniej nie miały zamykającego mechanizmu — i spojrzała na pulpit kontrolny. Dioda świeciła niczym kropla krwi tuż obok zdania „powstrzymanie włamania”. W normalnej sytuacji drzwi otworzyłyby się natychmiast w przypadku pojawienia się ognia, lecz wykrywacze dymu nie sygnalizowały, by cokolwiek się paliło, a jakiś inny czujnik wskazywał, że ktoś próbuje się włamać z zewnątrz.

Cathy opuściła wnękę i wyjrzała przez judasza. Na zewnątrz nie było nikogo. Oczywiście.

Starła się zachować spokój. Były jeszcze inne drzwi, lecz główny pulpit kontrolny świadczył, że wszystkie są nastawione na tryb antywłamaniowy. Mogła spróbować wyjść przez okno, ale wszystkie były zamknięte i — oczywiście — wykonane z najlepszego nowoczesnego bezpiecznego szkła dostępnego na rynku.

Słowo, o którym nie chciała nawet myśleć, przebiło się wreszcie na powierzchnię jej świadomości.

Uwięziona.

Uwięziona we własnym domu.

Zastanowiła się, czy nie spróbować pobudzić wykrywaczy dymu, ale rzecz jasna oboje z Peterem nie palili, więc nigdzie w domu nie było zapalniczek. Do tego Peter nie lubił zapachu zapalek ani świec i ich również nie mieli. Mogła jednak podpalić jakieś papiery na kuchence. To mogłoby pobudzić czujniki i spowodować otwarcie drzwi.

Popędziła do kuchni uważając, by nie przewrócić się w ciemności. Gdy tylko znalazła się wewnątrz, zorientowała się, że ma kłopoty. Elektryczne zegary na kuchence mikrofalowej i na zwykłej nie działały. Prąd w kuchni odcięto. Do gniazdka w ścianie wetknięta była latarka w celu doładowania. Cathy wyciągnęła ją. Powinna zadziałać automatycznie z chwilą wyłączenia prądu, nie świeciła jednak. Cathy zdała sobie sprawę, że dopływ mocy do kuchni musiał być odcięty od wielu godzin i latarka wyczerpała się. Ale... to brzęczenie. Lodówka nadal działała. Otworzyła jej drzwi i światło w środku zapaliło się. Poczowała na twarzy powiew zimnego powietrza.

Kopia dokładnie wiedziała, co robi — magnetowid i lodówka były włączone, ale kuchenka i gniazdko ładujące latarkę nie. Każdy wypust miał własny obwód i bezpiecznik, co było typowe dla domu zawiadywanego przez komputer.

Przeszła do jadalni i chwyciła za oparcie krzesła, by utrzymać równowagę.

Starła się zachować spokój — spokój, do cholery! Pomyślała, czy nie wziąć z kuchni noża, ale to nie miałyby sensu. Nie było żadnego fizycznego intruza. Skrzynka kontrolna systemów domowych znajdowała się w piwnicy. Tam też wchodziły do budynku kable telefoniczne.

Przewody elektryczne i telekomunikacyjne systematycznie przenoszono pod ziemię w związku z obawą, że nie osłonięte linie napowietrzne wywołują raka.

Przesunęła się piędziesiąt metrów po piętrach wiodących do piwnicy schodów.

Otworzyła drzwi. Na dole panowała całkowita ciemność. Na piątą rocznicę ślubu Peter i Cathy zafundowali sobie kino domowe. Żaluzje w piwnicznych oknach ustąpiły miejsca wyłożonym mylarem kurtynom poruszającym się na elektrycznych szynach. Owe kurtyny były zasunięte. Cathy sądziła, że zna rozkład piwnicy na tyle dobrze, by odnaleźć kabel telefoniczny po ciemku. Stała na najwyższym stopniu...

Włączyły się tryskacze na suficie. Nie było alarmu, niczego, co mogłoby zwabić sąsiadów albo straż pożarną. Z góry natomiast zaczęła lać się zimna woda. Cathy wciągnęła powietrze i pobiegła z powrotem do salonu. Tryskacze umilkły za jej plecami i zaczęły działać nad nią. Przeszła na schody prowadzące do sypialni. Ucichły w salonie i uruchomiły się na klatce schodowej.

Zrozumiała, że podążają za nią. Kopia zapewne podłączyła się do wykrywających ruch czujników, które stanowiły część systemu alarmu przeciwwłamaniowego. Przez wodną mgiełkę



dostrzegła, że diody na magnetowidzie zgasły. Zapewne chodziło o to, by krótkie spięcie nie wywołało pożaru.

Wyczerpana i mokra, bez możliwości ucieczki, Cathy postanowiła skierować się do łazienki. Jeśli tryskacze miały za nią podążać, mogła równie dobrze skryć się w pomieszczeniu, w którym wyrządzą jej najmniej szkody. Weszła do wanny i odpięła zasłonę prysznic, używając jej jako namiotu chroniącego przed zimną wodą.

W trzy godziny później Peter wrócił do domu. Dla niego drzwi wejściowe otworzyły się normalnie. W salonie natrafił na przemoczony dywan. Usłyszał działające na górze tryskacze. Pognął do łazienki i otworzył drzwi. Gdy tylko to zrobił, woda przestała się lać.

Cathy odsunęła zasłonę prysznic. Gdy wyprostowała się i stanęła w wannie, woda spłynęła z plastiku strumieniami.

— Ani ja, ani żadna moja wersja nigdy nie zrobiłaby ci czegoś takiego — powiedziała głosem pełnym hamowanej z wysiłkiem furii. Spojrzała na niego wściekle. — Jesteśmy kwita.

Cathy, całkowicie rozsądnie, nie chciała zostać w domu. Peter odwiózł ją do mieszkania jej siostry. Wciąż była zła, ale powoli uspokajała się i na pożegnanie pozwoliła mu się objąć. Następnie udał się prosto do własnego gabinetu i załogował się do sieci. Wysłał na cały świat wiadomość: Data: 15 Gru 2011, 23:11 EST

Od: Petera G. Hobsona Do: Moich braci Temat: Prośba o konferencję w czasie rzeczywistym Muszę natychmiast odbyć z wami wszystkimi konferencję w czasie rzeczywistym.

Proszę o odpowiedź.

Nie upłynęło wiele czasu, nim jej udzielili.

— Jestem — powiedział jeden z jego duchów.

— Dobry wieczór, Pete — rzucił następny.

— O co chodzi? — zapytał trzeci.

Cała trójka używała tego samego chipu głosowego. Dopóki kopie się nie przedstawiły, nie potrafił rozpoznać, która z nich przemawia. Choć wiedział, z których węzłów korzystały, rozróżnienie ich było niemożliwe. To jednak nie miało znaczenia.

— Wiem, co jest grane — oznajmił Peter. — Wiem, że jeden z was zabija ludzi w moim imieniu. Dziś jednak zagrożono Cathy. Nie będę tego tolerował. Jej nie może stać się żadna krzywda. Ani teraz, ani nigdy. Jasne?

Cisza.

— Jasne?

Wciąż nie było odpowiedzi.

Peter westchnął poirytowany.

— Posłuchajcie, wiem, że we dwóch z Sarkarem nie damy rady usunąć was z sieci, ale jeśli coś takiego się powtórzy, ujawnimy publicznie wasze istnienie. Prasa dostanie małego rozumu na wiadomość, że w sieci zagnieździła się mordercza sztuczna inteligencja. Nie sądzicie, że nie posuną się do pierwotnego uruchomienia, żeby się was pozbyć.

— Jestem pewien, że się mylisz, Peter — odparł głos z głośnika. — Żaden z nas nie dopuściłby się morderstwa. Jeśli jednak ujawnisz nasze istnienie — ludzie ci uwierzą.

Ostatecznie jesteś teraz sławnym Peterem Hobsonem — ale to ciebie obciąży się winą za te zbrodnie.

— Nie dbam już o to — oświadczył Peter. — Zrobię wszystko, co będzie konieczne, by chronić Cathy, nawet jeśli sam będę musiał wylądować w pace.

— Ale Cathy cię zraniła — ciągnął syntetyczny głos. — Bardziej niż ktokolwiek inny na całym świecie.

— Zranienie mnie nie jest zbrodnią główną — odpowiedział Peter. — Nie żartuję.

Jeśli jeszcze raz jej zagroziecie czy skrzywdzicie w jakikolwiek sposób, dopilnuję, żeby wszystkich was zniszczono. Znajdę jakiś sposób, by tego dokonać.

— Moglibyśmy — wyrzekł bardzo powoli elektroniczny głos — pozbyć się ciebie, żeby temu zapobiec.

— To byłoby w pewnym sensie samobójstwo — stwierdził Peter. — Albo bratobójstwo.

Tak czy inaczej, wiem, że ja bym nie zrobił czegoś takiego, a więc wy również do tego się nie posuniecie.

— Nie zabiłbyś też kochanka Cathy, a jednak jesteś przekonany, że jeden z nas to uczynił — zauważył głos.

Peter odchylił się do tyłu na krześle.

— Nie, ale... ale chciałem to zrobić. Wstyd mi to przyznać, ale pragnąłem jego śmierci.

Nie zabiłbym jednak siebie — nawet nie przyszłoby mi to do głowy — wiem więc, że wy również nie możecie myśleć o tym poważnie.

— Ale rozważasz możliwość zabicia nas — wskazał głos.

— To co innego — odparł Peter. — Ja jestem oryginałem. Wiecie o tym. Ja zaś w głębi serca wiem, że nie wierzę, by komputerowe kopie były równie żywe, jak osoba z krwi i kości.

A ponieważ ja tak sędzę, wy musicie być tego samego zdania.

— Być może — odparł głos.

— A teraz próbujecie zabić Cathy — powiedział Peter. — Przynajmniej to musi się skończyć. Nie wolno wam jej skrzywdzić, grozić ani zrobić jej cokolwiek złego.

— Ale ona cię zraniła — powtórzył syntezator.

— Tak — przyznał poirytowany Peter. — Zraniła mnie. Ale większą krzywdą byłby dla mnie jej brak. Jej śmierć by mnie zabiła.

— Dlaczego? — zapytał głos.

— Dlatego, że ją kocham, do cholery. Kocham ją bardziej niż samo życie. Kocham ją każdą cząstką swej jaźni.

— Naprawdę? — padło pytanie.

Peter przerwał, by odzyskać głos. Zastanowił się nad tym. Czy powiedział to tylko pod wpływem gniewu? Czy było to tylko gadanie czy też prawda, najprawdziwsza prawda?

— Tak — wyrzekł w końcu cicho. Wreszcie to zrozumiał. — Tak, naprawdę kocham ją aż tak bardzo. Bardziej niż można to wyrazić słowami.

— Najwyższy czas, żebyś to przyznał, Petey, nawet jeśli trzeba cię było do tego zmusić.

Pojedź po Cathy. Na pewno zawiozłeś ją do jej siostry. Tak ja bym postąpił na twoim miejscu. Pojedź po nią i przywieź do domu. Nic już jej nie grozi.

## ROZDZIAŁ 42

Następnego dnia Peter dopilnował, by Cathy bezpiecznie wyruszyła do pracy, sam jednak został w domu. Odłączył od drzwi elektroniczny system i wezwał ślusarza, żeby założył tradycyjne zamki otwierane kluczem. Gdy rzemieślnik był zajęty pracą, Peter siedział w gabinecie i gapił się w pustkę, usiłując połapać się w tym wszystkim.

Myślał o Rodzie Churchillu.

Zimny facet. Nie okazujący uczuć.

Ale brał fenelzynę. Środek przeciwdepresyjny.

Znaczyło to, rzecz jasna, że rozpoznano u niego kliniczną depresję. Mimo to w ciągu dwóch dziesięcioleci, odkąd Peter poznał Roda, nie dostrzegł w jego zachowaniu żadnej zmiany. Być może więc... być może cierpiał na depresję przez cały ten czas. Może miał ją już wówczas, gdy Cathy była jeszcze mała i dlatego był tak beznadziejnym ojcem.

Peter potrząsnął głową. Rod Churchill — nie sukinsyn, nie dupek. Po prostu chory człowiek. Brak chemicznej równowagi.

Z pewnością to go usprawiedliwiało, czyniło mniej odpowiedzialnym za to, jak traktował swe córki.

Do diabła, wszyscy jesteśmy chemicznymi maszynami, pomyślał. Sam nie potrafił funkcjonować bez porannej kawy. Nie było wątpliwości, że Cathy robiła się przed okresem bardziej drażliwa. A Hans Larsen pozwalał, by hormony kierowały nim przez całe życie.

Który Peter był prawdziwy? Niemrawy, rozdrażniony facet, który zwlekał się z łóżka każdego rana? Czy skupiona, pełna energii osoba, która przybywała do pracy po tym, jak narkotyk zwany kofeiną dokonał cudu? Która Cathy była prawdziwa? Radosna, inteligentna, seksowna kobieta, którą była przez większość czasu, czy kapryśna, kłótniwa baba, którą każdego miesiąca stawała się na kilka dni? A który Larsen był prawdziwy?

Zapijaczony, zbzikowany na punkcie seksu gbur, którego znał Peter, czy facet, który najwyraźniej dobrze wykonywał swoją pracę i był lubiany przez większość współpracowników? Kim stałby się taki typek, gdyby ktoś uciął mu kutasa, zastanowił się jałowo. Zapewne całkiem innym człowiekiem.

Co zostałyby z człowieka, gdyby usunąć czynniki pobudzające i tłumiące, hamujące i odhamowujące, testosteron i estrogeny? A co z dziećmi, które podczas porodu ucierpiały wskutek niedotlenienia? Co z dotkniętymi zespołem Downa — ludźmi, którzy byli zupełnie inni dlatego, że mieli dodatkowy dwudziesty pierwszy chromosom? Co z ofiarami autyzmu?

Albo demencji? Psychozy maniakalno—depresyjnej? Schizofrenii? Tymi, którzy cierpieli na rozszczepienie jaźni? Chorobę Alzheimera? Z pewnością nie byli oni niczemu winni. Z pewnością żadne z tych schorzeń nie wpływało na ich prawdziwą naturę. Ich duszę.

A co z tymi badaniami nad bliźniakami, o których wspominała kontrolna kopia?

Natura, a nie wychowanie, kierowała naszym zachowaniem. Kiedy nie tańczyliśmy na chemiczną melodię, maszerowaliśmy

w rytm genetycznego werbla.

Ale Rod Churchill szukał pomocy.

Jeśli rzeczywiście zabito go w sposób sugerowany przez inspektor Philo, kopia musiała wiedzieć, że Rod brał fenelzynę. Z pewnością zajrzała do bazy danych leków i zrozumiała, na co go leczono. Czy możliwe, by nie pojęła, że choć terapię podjęto niedawno, choroba mogła trwać już od dawna? Z pewnością byłoby to dowodem wystarczającym do uchylenia kary śmierci, której wymierzenie rozważała?

Nie, żadna wersja jego osoby nie zabiłaby Roda Churchilla, gdyby wiedziała o jego chemicznym problemie. Litowałaby się nad nim, ale z pewnością by go nie zabiła.

W gruncie rzeczy, to stawiało pod znakiem zapytania całe rozumowanie Sandry Philo.

Ostatecznie kopie nie przyznały się do popełnienia żadnego z morderstw, a zebrane przez nią dowody wskazujące na Petera, i co za tym idzie, na symulacje, miały charakter pośredni.

Wydał z siebie westchnienie ulgi. Nie zabiłby Roda Churchilla. Jego teść po prostu popełnił głupstwo, nie usłuchał zaleceń lekarza. A Hans Larsen? Cóż, sarn zawsze twierdził, że jego śmierci mogły pragnąć tuziny rozgniewanych mężów, a także, gdy już się nad tym zastanowił, żona zabitego, która, jak się zdawało Peterowi, pracowała w banku i mogła zdefraudować pieniądze potrzebne do wynajęcia zawodowego mordercy.

Całe oskarżenie przeciw niemu to była lipa. Lipa i nic więcej.

Udowodni to. Sprawdzi własne księgi. Coś takiego z pewnością kosztowałoby dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy

dolarów. Philo mogłaby nigdy nie odnaleźć brakujących pieniędzy, nawet gdyby otrzymała sądowy nakaz sprawdzenia jego ksiąg. Peter miał jednak tę przewagę, że myślał dokładnie w ten sam sposób co kopie. Jeśli będzie szukał — dokładnie szukał — i nie znajdzie żadnych zaginionych sum, to będzie mógł spać spokojnie.

Przedostał się do mainframów swej firmy, załogował do bazy danych zawierającej księgi rachunkowe i rozpoczął poszukiwania. Pomagał sobie systemem doradczym stworzonym przez Mirror Image dla potrzeb księgowości. W miarę przechodzenia przez kolejne rachunki i finansowe bazy danych czuł się coraz pewniej. Po jakiejś godzinie przerwał mu ślusarz, który uporał się już ze swym zadaniem. Peter podziękował mu, zapłacił i wrócił do poszukiwań. Philo myliła się, całkowicie myliła. Jak wielu policjantów, lubiła spiskowe teorie. Powie jej, co o tym sądzi...

Rozległ się pisk komputera.

Jezu Chryste, pomyślał Peter. Jezu Chryste.

Rozbieżność w rachunku dotyczącym sprzedaży licencji. Brak memorandum, numeru konta odbiorcy i poświadczonej faktury. Tylko piekielnie duża suma wypłaty.

11 List 2011 przekaz elektroniczny 125 000.00 CDN\$

Gapił się na ekran z opadłą szczęką.

Czas mniej więcej się zgadzał. Hansa zabito w trzy dni później.

Ale z pewnością musiało to być coś niewinnego. Może zwrot pieniędzy za nie zrealizowaną transakcję licencyjną. Albo nadpłaty otrzymanej przez jego firmę.



Albo...

Nie.

Nie, to nie mogła być żadna z tych rzeczy. Jego rewidentka była skrupulatna.

Niemożliwe, by zapisała coś takiego. I był to przekaz elektroniczny. Dokładnie tego musiałyby użyć kopia.

Miał już się wylogować, gdy konsola zapiszczała raz jeszcze. Znów znalazł coś dziwnego w bazie danych.

14 Gru 2011 przekaz elektroniczny 100 000.00 CDN\$

Wydał z siebie kolejne westchnienie ulgi. Oto był dowód jego niewinności. Z pewnością żaden zawodowy morderca nie sprzedawał swych usług w systemie ratałnym.

Powód tych wypłat musiał mieć charakter ruty nowy. Może opłaty patentowe.

Albo...

Dwa dni temu. Drugiej transakcji dokonano zaledwie dwa dni temu.

Nagle go olśniło.

Coś, co powiedziała Cathy.

— Co się stanie, jeśli ta policjantka zanadto zbliży się do prawdy? — zapytała.

— Czy będziesz chciał również jej śmierci?

To niemożliwe, pomyślał. Po prostu niemożliwe.

Zabójstwo Hansa potrafił zrozumieć. Mógł go nie pochwalać, ale przynajmniej rozumiał. Zamordowanie Roda Churchilla trudniej było pojąć, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące. Ale być może elektroniczna symulacja nie uważała, by biochemia stanowiła usprawiedliwienie.

Sandra Philo nie zrobiła nic złego, nie wyrządziła Peterowi żadnej krzywdy.

Wykonywała tylko swoją robotę.

Teraz jednak najwyraźniej stała się niewygodna.

Chryste Panie, pomyślał Peter. Moralność winnej kopii nie była zredukowana czy wypaczona, lecz w ogóle nie istniała.

Spokój, Peter. Nie wychodźmy poza dane...

Ale nie. W Peterze z krwi i kości istniał głęboko ukryty, lecz realny instynkt samozachowawczy. Prawda, nie pragnął już niczyjej śmierci, ale policjantka stanowiła zagrożenie dla niego i dla symulacji. Jeśli miałby się teraz kogoś pozbyć, to tylko jej. Jeśli jakakolwiek jego wersja chciałaby się kogoś pozbyć, to tylko Sandry.

Niech to diabli. Niech to wszyscy diabli. Nie chciał mieć na rękach więcej krwi.

Natychmiast włączył telefon. Adres wystarczał do uzyskania połączenia równie dobrze jak nazwisko.

— Policja Toronto, trzydziesta druga dzielnica, przy Ellerslie — powiedział.

Logo Bella zniknęło z ekranu. Pojawił się sierżant o wyrazistych rysach.

— Trzydziesta druga dzielnica — powiedział.

— Proszę z Sandrą Philo.

— Ma dzisiaj wolny dzień — odparł sierżant. — Czy mógłby panu pomóc ktoś inny?

— Nie, to sprawa osobista. Czy wie pan, gdzie ona może być?

— Nie mam pojęcia — odparł policjant.

— Pewnie nie może mi pan podać numeru domowego?

— Chyba pan żartuje. — Sierżant roześmiał się.

Peter przerwał połączenie i wykręcił numer informacji.

— Philo, Sandra — powiedział, po czym przeliterował nazwisko.

— W spisie nie ma takiej osoby — odparł komputerowy głos. Oczywiście.

— Philo, A. — ponowił próbę. — A od Alexandria.

— W spisie nie ma takiej osoby.

Cholera, pomyślał Peter. Ale policjant musiałby być szalony, żeby umieścić swój numer w książce. Chyba że nadal figurowała pod nazwiskiem byłego męża.

— Czy w spisie jest ktokolwiek o nazwisku Philo?

— W spisie nie ma takiej osoby.

Peter odłożył słuchawkę. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby ją znaleźć...

Miejskie księgi adresowe. Widział je w bibliotece publicznej. Początkowo służyły do tego, by odnajdywać nazwisko powiązane z adresem, teraz jednak, gdy były na CD—ROM—ach w dostępie swobodnym, równie łatwo było wykonać przeciwną czynność — znaleźć adres powiązany z nazwiskiem. Peter połączył się telefonicznie z działem informacji Centralnego Oddziału Biblioteki Publicznej North York.

— Dzień dobry — odezwał się kobiecy głos. — Informacja.

— Dzień dobry — odparł Peter. — Czy posiadacie miejskie księgi adresowe?

— Tak.

— Czy mogłaby mi pani podać adres Alexandrii Philo? P—H—  
—I—L—O.

— Chwileczkę, proszę pana. — Nastąpiła przerwa. — Nie mam tu żadnej A. Philo.

Jedyna osoba o tym nazwisku ma na imię Sandy.

Sandy — nie określająca płci wersja jej imienia. Dokładnie taki środek ostrożności, jaki zastosowałyby inteligentna, mieszkająca samotnie kobieta.

— A jakie jest źródło utrzymania Sandy Philo?

— Jest tu napisane „urzędnik państwowy”. To chyba może znaczyć wszystko.

— To ona. Czy mogłaby pani podać mi adres?

— Melville Avenue dwieście szesnaście.

Peter zanotował pośpiesznie adres.

— Czy jest też numer telefonu?

— Zapisano, że nie został podany.

— Dziękuję — powiedział Peter. — Bardzo pani dziękuję.

Odłożył słuchawkę. Nigdy nie słyszał o Melville Avenue.

Zajrzał do elektronicznego mapownika i odnalazł ją. Była w Don Mills. Nie tak daleko. Może dwadzieścia minut jazdy. Wiedział, że to szaleństwo, paranoiczna fantazja.

Mimo to...

Popędził do samochodu i przycisnął gaz do dechy.

## ROZDZIAŁ 43

Po drodze Peter próbował wyszukać błędy w swej teorii, lecz stawała się ona coraz bardziej sensowna. Sandra miała wolny dzień. Dzień, gdy zapewne nie będzie miała broni.

Idealny dzień na zabójstwo gliniarza.

Ruch był wielki. Peter pochylał się nad klaksonem. Choć miał na tablicy rozdzielczej komputerowy ekran z planem miasta, skręcił w niewłaściwą stronę i wylądował w ślepej uliczce. Zawrócił z przekleństwem na ustach i ruszył w przeciwnym kierunku.

Wiedział, że prowadzi nieostrożnie. Gdyby zdołał tylko ostrzec Sandrę, zawiadomić ją, że ktoś może chcieć ją załatwić, był pewien, że potrafiłaby się obronić. Była policjantką.

Wreszcie skręcił w Melville Avenue. Oznaczony numerem dwieście szesnaście budynek był jednym ze stojących w szeregu, przylegających do siebie domków. Nic okazałego. Trawa wymagała strzyżenia. Przed budynkiem stał brązowy furgon Urzędu Dostarczania Paczek.

Znak drogowy ostrzegał, że przed szóstą wieczorem na ulicy nie wolno parkować.

Peter go zignorował.

Przyjrzał się domowi. Drzwi frontowe były zamknięte. To dziwne. Gdzie się podział doręczyciel?

Serce Petera waliło. Co, jeśli morderca był w środku?

Paranoja. Szaleństwo.

Ale...

Wysiadł z samochodu, poszukał klucza do bagażnika, w którym znalazł łyżkę do opon, złapał ją w obie dłonie i pognął do drzwi.

Miał już zadzwonić, kiedy usłyszał w środku odgłos czegoś uderzającego w podłogę.

Nacisnął guzik.

Żadnej reakcji.

Gdy się powiedziało A, trzeba także powiedzieć B, pomyślał.

Obok drzwi znajdowało się wąskie, sięgające od podłogi do sufitu, matowe okno.

Uderzył w nie łyżką do opon. Pękło. Ponownie walnął w nie metalowym narzędziem, wkładając w to całą siłę. Szkło rozprysnęło się na kawałki. Sięgnął ręką do środka, odsunął rygiel i otworzył szeroko drzwi.

Jego mózg z wysiłkiem starał się ogarnąć całą scenę. Z wejścia do salonu prowadziły krótkie schodki. Na ich szczycie stał wysoki mężczyzna w mundurze UDP. W rękach trzymał urządzenie przypominające nieco niezwykle duży portfel wykonany z szarego plastiku. Na podłodze za jego plecami leżała Sandra Philo, nieprzytomna bądź martwa. Obok niej widać było wielką, pękniętą wazę. Zapewne musiała ją przewrócić, kiedy padała na podłogę, stąd dźwięk, który słyszał.

Wysoki mężczyzna podniósł trzymane w dłoniach urządzenie i wycelował w Petera.

Ten wahał się przez pół sekundy, po czym...

Rzucił łyżką do opon tak mocno, jak tylko potrafił. Narzędzie wirując przeszło powietrze.

Mężczyzna nacisnął guzik broni, lecz nie rozległ się żaden dźwięk. Peter rzucił się naprzód.

Łyżka do opon uderzyła nieznajomego w twarz. Trafiony runął na plecy tuż obok Sandry.

Peter zastanawiał się przez mgnienie oka, czy po prostu nie uciec, ale oczywiście nie mógł tego zrobić. Przemknął po krótkich schodach do salonu. Zabójca był oszołomiony. Peter pochwycił po drodze dziwną broń. Nie miał pojęcia, jak zrobić z niej użytek, zauważył jednak coś bardziej znajomego — służbowy rewolwer Sandry wystający z kabury przewieszanej przez oparcie krzesła w odległości paru metrów. Wetknął dziwne urządzenie do kieszeni i złapał za rewolwer. Stojąc na środku pokoju, wycelował w zabójcę, który dźwigał się powoli na nogi.

— Stój! — ostrzegł. — Stój, bo będę strzelał.

Wysoki mężczyzna potarł się w czoło.

— Nie zrobiłbyś tego, kolego — powiedział z australijskim akcentem.

Peter zdał sobie sprawę, że nie wie, czy broń Sandry jest naładowana, a jeśli była, nie miał pewności, jak się z niej strzela. Zapewne wyposażono ją w jakiś mechanizm zabezpieczający.

— Nie zbliżaj się — ostrzegł.

Wysoki mężczyzna postąpił krok w jego stronę.

— Daj spokój, kolego — zaczął. — Nie chcesz zostać zabójcą. Nie masz pojęcia, co tu się dzieje.

— Wiem, że to ty zabiłeś Hansa Larsena — odparł Peter. — Wiem, że zapłacono ci za to sto dwadzieścia pięć tysięcy

dolarów.

Wiadomość ta wstrząsnęła nieznajomym.

— Kim jesteś? — zapytał, nie przestając się zbliżać.

— Stój w miejscu! — krzyknął Peter. — Stój w miejscu albo będę strzelał.

Spojrzał na rewolwer. Tutaj — to na pewno był bezpiecznik. Odsunął dźwignię i odciągnął kurek broni.

— Nie zbliżaj się! — wrzasnął. Sam jednak teraz się cofał. — Bo strzelę!

— Brak ci odwagi, kolego — stwierdził mężczyzna, zbliżając się powoli do niego przez salon.

— Strzelę! — krzyknął.

— Daj mi rewolwer, kolego. Pozwolę ci odejść.

— Stój! — zawołał Peter. — Proszę, stój!

Wysoki mężczyzna wyciągnął ku niemu długą rękę.

Peter zamknął oczy.

I strzelił... Huk był ogłuszający.

Mężczyzna runął na plecy.

Peter dostrzegł, że trafił go w bok głowy. Po prawej stronie czaszki pojawiło się długie, czerwone draśnięcie.

— O mój Boże... — szepnął wstrząśnięty. — O mój Boże...

Zabójca leżał teraz na podłodze, tak samo jak Sandra, martwy lub nieprzytomny.

Peter przesunął się do miejsca, w którym upadła. Ledwie mógł utrzymać się na nogach. W uszach dzwoniło mu wściekle. Na jej ciele nie było śladów obrażeń.

Choć oddychała, nie odzyskała przytomności.



Zszedł do małego pomieszczenia. Wejście do niego prowadziło z holu. Znalazł tam wideofon. Był włączony, a ekran wypełniały cyfry. Rozpoznał logo Królewskiego Banku Kanady. Sandra musiała być zajęta domowymi rachunkami bankowymi, gdy przeszkodził jej doręczyciel. Peter przerwał połączenie.

Nagle w drzwiach pojawił się zabójca. Wyżłobienie z boku jego głowy było suche.

W głębi Peter dostrzegł coś, co przypominało lśniący metal...

Lśniący metal. Boże.

Nieśmiertelny. Prawdziwy nieśmiertelny. Dlaczego by nie? Skurwysyn zarabiał wystarczająco wiele forsy.

Peter wciąż miał pistolet Sandry. Wycelował go w tamtego.

— Kim jesteś? — zapytał Australijczyk. Kiedy mówił, widać było żółte zęby.

— J... jestem facetem, który cię wynajął.

— Bzdura.

— Naprawdę. Zrobiłem to przez e—mail. Zapłaciłem ci sto dwadzieścia pięć tysięcy za zabicie Hansa Larsena, a potem sto kawałków za tę policjantkę. Ale zmieniłem zdanie. Nie chcę jej śmierci.

— Ty jesteś Mściciel? — zapytał zabójca. — Facet, który zapłacił mi za obcięcie temu typkowi kutasa?

Dobry Boże, pomyślał Peter. A więc na tym polegało okaleczenie.

— Tak — potwierdził, starając się nie okazać odrazy. — Tak. Australijczyk potarł czoło.

— Powinienem cię zabić za to, co próbowałaś mi zrobić.

— Możesz sobie zatrzymać te sto tysięcy. Tylko zjeżdżaj stąd do wszystkich diabłów.

— Pewnie, że zatrzymam forszę. Wykonałem robotę.

Patrzyli na siebie przez kilka chwil. Australijczyk wyraźnie starał się ocenić Petera — odgadnąć, czy użyje broni po raz drugi, i zdecydować, czy zasłużył na śmierć za to, że do niego strzelił. Peter odwiódł kurek.

— Wiem, że nie mogę zabić nieśmiertelnego — powiedział. — Ale mogę cię spowolnić na czas wystarczający, by dotarła tu policja. — Przełknął z wysiłkiem ślinę. — Jak rozumiem, myśl o dożywociu jest przerażająca dla kogoś, kto będzie żył wiecznie.

— Oddaj mi promiennik.

— Nie ma mowy.

— Daj spokój, kolego. Kosztował czterdzieści kawałków.

— Obciąż mnie kosztami.

Ponownie machnął rewolwerem.

Australijczyk rozważał przez chwilę swoje szansę, po czym skinął głową.

— Nie zostaw odcisków palców, kolego — powiedział, potem odwrócił się i wyszedł przez wciąż otwarte drzwi wejściowe.

Peter nachylił się nad wideofonem. Zastanawiał się krótko, po czym wybrał tryb tekstowy i wykręcił dziewięćset jedenaście. Wypisał: Zraniono policjantkę, Melville Avenue 216, Don Mills. Potrzebna karetka.

Wszystkie zgłoszenia pod ten numer rejestrowano, ale w ten sposób nie będzie nagrania głosu, umożliwiającego identyfikację. Sandra była nieprzytomna i nie widziała Petera, a policja zapewne nie będzie miała powodu sądzić, że był tu

obecny ktoś jeszcze oprócz napastnika, którego ofiara być może opíše.

Sięgnął ręką za aparat, odłączył klawiaturę i wytarł wtyczkę chusteczką higieniczną.

Wciąż trzymając klawiaturę w rękach, poszedł na górę, żeby sprawdzić, co z Sandrą. Nadal była nieprzytomna, ale żyła. Wstrząśnięty do głębi, podniósł łyżkę do opon i powlókł się chwiejnym krokiem do drzwi. Wytarł klamkę, po czym skierował się do samochodu.

Gdy oddalał się powoli, minął karetkę, gnającą na sygnale w stronę domu Sandry.

Jechał dość długo, nie wiedząc właściwie dokąd. Wreszcie, nim zdążył zabić przez swą nieostrożność siebie lub kogoś innego, zatelefonował z samochodu do firmy Sarkara.

— Peter! — odezwał się jego przyjaciel. — Właśnie miałem do ciebie zadzwonić.

— O co chodzi?

— Wirus jest gotowy.

— Czy już go zwolniłeś?

— Nie. Chcę go najpierw wypróbować.

— Jak?

— Mam pierwotne wersje wszystkich trzech kopii na dysku w biurze Raheemy.

Żona Sarkara pracowała w odległości zaledwie kilku przecznic od Mirror Image.

— Na szczęście to u niej trzymam kopie rezerwowe. W przeciwnym razie policja znalazłaby je podczas tej obławy. Tak

czy inaczej, celem przebiegu testującego chcę je uruchomić w całkowicie izolowanym systemie, a potem zwolnić wirusa.

Peter skinął głową.

— Bogu dzięki. I tak chciałem się z tobą zobaczyć. Mam tu przyrząd, którego nie potrafię zidentyfikować. Będę u ciebie za... Przerwał i rozejrzał się wokół, próbując się zorientować, gdzie dokładnie się znajduje. Lawrence East. Przed nim była Yonge Street. — Będę u ciebie za czterdzieści minut.

Gdy Peter się zjawił, pokazał Sarkarowi szare plastikowe urządzenie, które przypominało nadmiernie wypchany, sztywny portfel.

— Skąd to masz? — zapytał Pakistańczyk.

— Od zawodowego mordercy.

— Zawodowego mordercy?

Peter opowiedział mu, co się stało. Sarkar wyglądał na wstrząśniętego.

— Mówisz, że wezwałeś policję?

— Nie, karetkę. Ale jestem pewien, że policja też już tam dotarła.

— Czy ona żyła, kiedy wychodziłeś?

— Tak.

— Co to za przedmiot? — zapytał Sarkar, wskazując na przyrząd, który Peter przyniósł ze sobą.

— Chyba jakaś broń.

— Nigdy nie widziałem nic podobnego — stwierdził Sarkar.

— Ten facet powiedział na to „promiennik”.

Sarkarowi opadła szczęka.

— Subhanallah! — powiedział. — Promiennik...

— Wiesz, co to takiego?

Sarkar skinął głową.

— Czytałem o nich. To broń emitująca wiązkę cząstek. Uderza w ciało skoncentrowanym promieniowaniem. — Wypuścił z płuc powietrze. — Paskudna rzecz.

W Ameryce Północnej jest zakazana. Całkowicie bezgłośna. Można też ją schować w kieszeni i strzelać stamtąd. Ubranie, a nawet cienkie drewniane drzwi są przezroczyste dla wiązki.

— Chryste — powiedział Peter.

— Ale mówisz, że jeszcze żyła?

— Oddychała.

— Jeśli oberwała z tego, w najlepszym razie będą musieli z niej wyciąć całe kawały ciała, żeby ocalić to, co zostanie. Bardziej jednak prawdopodobne jest, że umrze po dniu albo dwóch. Gdyby trafił ją w mózg, zginęłaby natychmiast.

— Jej rewolwer był niedaleko. Może chciała po niego sięgnąć, kiedy się zjawił.

— W takim razie mógł nie mieć czasu wycelować. Może trafił ją w plecy. Gdyby uszkodził jej rdzeń kręgowy, nogi po prostu przestałyby funkcjonować.

— A ja wybiłem szybę, zanim zdążył dokończyć robotę. Niech to diabli — powiedział Peter. — Niech to wszyscy diabli porwą. Musimy położyć temu kres.

Sarkar skinął głową.

— Możemy to zrobić. Wszystko już gotowe do próby. — Wskazał ręką na stację roboczą stojącą pośrodku pokoju. — Ta jednostka jest całkowicie izolowana. Usunąłem wszystkie połączenia sieciowe, linie telefoniczne, modemy oraz łącza

komórkowe i wprowadziłem na twardy dysk stacji roboczej nowe kopie wszystkich trzech symulacji.

— A wirus? — zapytał Peter.

— Tutaj.

Sarkar uniósł dłoń, w której trzymał czarną kartę pamięci PCMCIA, mniejszą niż wizytówka i niemal równie cienką. Włożył ją do złącza kart stacji roboczej.

Peter ustawił krzesło przy komputerze.

— Żeby wykonać próbę jak należy, powinniśmy właściwie uruchomić te kopie — stwierdził Sarkar.

Peter zawahał się. Myśl o ożywieniu nowych wersji jego osoby po to tylko, żeby można je było zabić, budziła niepokój. Ale jeśli było to konieczne...

— Zrób to — powiedział.

Sarkar nacisnął kilka klawiszy.

— Żyją — oznajmił.

— Skąd wiesz?

Wskazał kościstym palcem na dane widoczne na ekranie stacji roboczej. Dla Petera był to bełkot.

— Tutaj — powiedział Sarkar, gdy zdał sobie sprawę z tego faktu. — Pozwól, że przedstawię to w inny sposób.

Nacisnął kilka klawiszy. Na ekranie pojawiły się trzy linie.

— To w skrócie jest symulacja EEG każdej z trzech kopii, przekształcająca aktywność ich sieci neuronalnych w coś przypominającego fale mózgowe.

Peter wskazał po kolei na każdą z trzech linii. Zaczęły się pojawiać gwałtowne iglice.

— Spójrz na to.

Sarkar skinął głową.

— Panika. Nie wiedzą, co się dzieje. Obudzili się ślepi, głusi i całkowicie samotni.

— Biedacy — zauważył Peter.

— Pozwól, że zwolnię wirusa — odrzekł Sarkar, naciskając klawisze. — Gotowe.

— Egzekucja wykonana — dodał Peter z drzeniem. Wyrażające panikę linie EEG nie zmieniały się przez kilka minut.

— Nie widzę, żeby wirus działał — zauważył Peter.

— Potrzebuje czasu na rozpoznanie cech charakterystycznych celu — odparł Sarkar.

— Ostatecznie te kopie są olbrzymie. Poczekaj tylko... już.

Środkowa linia skoczyła gwałtownie do góry i w dół, a później...

Nic. Płaski zapis.

Potem zniknęła nawet sama kreska, gdy wykasowano plik źródłowy.

— Jezu — powiedział bardzo cicho Peter.

Po kilku minutach górna linia skoczyła w ten sam sposób, przeszła w płaski zapis i zniknęła.

— Został jeden — stwierdził Sarkar.

Wydawało się, że ta symulacja opiera się dłużej niż dwie poprzednie. Może była to Kontrola, najbardziej kompletna wersja, kopia osobowości, z której nie usunięto żadnych elementów. Peter obserwował, jak linia zapisu EEG drgnęła szaleńczo, przygasła, a wreszcie po prostu zniknęła niczym zgaszone światło.

— Nie było uciekającej fali duszy — stwierdził Peter.

Sarkar potrząsnął głową.

Wstrząsnęło to Peterem bardziej, niż się tego spodziewał.

Kopie jego osoby.

Narodzone.

Zabite.

I wszystko to w ciągu kilku chwil.

Przeniósł krzesło na drugi koniec pokoju i usiadł na nim wygodnie, zamykając oczy.

Sarkar przystąpił do formatowania twardego dysku stacji roboczej, by się upewnić, że wszelkie ślady kopii zniknęły. Kiedy skończył, nacisnął przycisk otwierania złącza kart. W dłoń wyskoczyła mu karta pamięci z zapisanym wirusem. Zaniósł ją na główną konsolę komputerową.

— Wyślę go jednocześnie do pięciu różnych podsieci — oznajmił Sarkar. — Powinien rozejść się po całym świecie w ciągu niecałego dnia.

— Chwileczkę — powiedział Peter prostując się. — Z pewnością twojego wirusa można zmodyfikować, tak by mógł odróżnić jedną symulację od drugiej?

— Jasne — odparł Sarkar. — W gruncie rzeczy, napisałem już takie podprogramy.

Istnieją pewne kluczowe połączenia neuronalne, które musiałem przeciąć, aby stworzyć zmodyfikowane kopie. Na tej podstawie można je z łatwością rozróżnić.

— Nie ma powodu, by wszystkie trzy symulacje musiały zginąć. Możemy zwolnić wersję wirusa, która zabije tylko winną.



Sarkar zastanowił się nad tym.

— Moglibyśmy najpierw zagrozić wszystkim trzem szeroką wersją wirusa, w nadziei że odpowiedzialna za zbrodnie kopia się przyzna. Potem zwolnilibyśmy wersję wycelowaną tylko w nią. Z pewnością przyznałbyś się do winy, by ocalić swych braci.

— Nie... nie wiem — odparł Peter. — Jestem jedynakiem... albo byłem nim do niedawna.

Nie wiem, jak bym postąpił.

— Ja bym to zrobił — stwierdził Sarkar. — Bez zastanowienia poświęciłbym się za członków swojej rodziny.

— Zawsze sądziłem, że jesteś lepszym człowiekiem ode mnie — stwierdził z absolutną powagą Peter. — Niemniej jednak warto spróbować.

— Będę potrzebował około godziny, żeby przygotować trzy odrębne wersje wirusa — powiedział Sarkar.

— Dobra — rzucił Peter. — Gdy tylko będziesz gotowy, wezwę kopie na konferencję w czasie rzeczywistym.

## PRZEGLĄD WIADOMOŚCI SIECIOWYCH

Georges Laval, lat 97, przyznał się dzisiaj do serii morderstw przez uduszenie popełnionych w południowej Francji w latach 1947 — 1949, których sprawcy nigdy nie odnaleziono. „Wkrótce umrę i muszę wszystko wyznać, nim spojrzę w twarz Boga” — stwierdził.

Wiadomości religijne: w tym tygodniu w Harvardzie odbędzie się seminarium z udziałem czołowych specjalistów od Nowego Testamentu z całego świata na temat tego, czy dusza

Jezusa wróciła do ciała po zmartwychwstaniu. Ojciec Dale DeWitt SJ będzie bronił swej niedawno ogłoszonej tezy, że dusza Chrystusa porzuciła ciało w dziewiątej godzinie po ukrzyżowaniu, gdy krzyknął: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”

Kolejne opóźnienie wielokrotnie odwlekanego rozpoczęcia kursów pasażerskich wahadłowców American Airlines do stacji kosmicznej Freedom: badania prowadzone w Instytucie Politechnicznym Rensselaera w Troy, w stanie Nowy Jork, wskazują, że opuszczające ciało fale duszy mogą potrzebować grawitacyjnego i magnetycznego pola Ziemi, aby odnaleźć kierunek, w którym powinny się oddalić. „Jeśli ktoś umarłby w panującej w kosmosie nieważkości, jego dusza mogłaby dosłownie zostać stracona na wieki” — stwierdziła profesor Karen Hunt z katedry fizyki instytutu.

Ochrzcij się w zaciszu własnego domu! Nasza nowa oferta obejmuje nagranie ceremonii chrztu na taśmie wideo oraz święconą wodę pobłogosławioną przez prawdziwego księdza. Zatwierdzone przez Światowy Kościół Chrystusa. 199.95 USD. Gwarantowany zwrot pieniędzy.

Gaston, wolny szympan, przebywający uprzednio w Instytucie Badań nad Naczelnymi Yerkesa w wywiadzie udzielonym w Amerykańskim Języku Migowym programowi CBS „Sześćdziesiąt minut” stwierdził, że „zna Boga” i oczekuje z niecierpliwością „życia po życiu”.

## ROZDZIAŁ 44

Peter siedział przed komputerową konsolą. Sarkar, który przysiadł na stołku obok niego, bawił się trzema kartami danych: niebieską, czerwoną i zieloną. Na każdej z nich umieszczono etykietę z nazwą innej kopii.

Peter wysłał wiadomość wzywającą symulacje. Wkrótce wszystkie trzy załogowały się do syntezy obdarzającego ich słowa głosem.

— Jest ze mną Sarkar — powiedział do mikrofonu Peter.

— Jak się masz, Sarkar.

— Cześć, Sarkar.

— Hej, Sark.

— Obaj przed chwilą obserwowaliśmy śmierć duplikatów was trzech — oznajmił Peter.

— Co takiego? — zapytała jedna z kopii. Pozostałe dwie milczały.

— Sarkar stworzył wirusa komputerowego, który wyszuka i zniszczy zapisy moich sieci neuronalnych. Wypróbowaliśmy go i działa. Mamy trzy odrębne wersje. Każda z nich może zabić jednego z was.

— Z pewnością wiecie, że przebywamy na swobodzie w sieci — odparł głos z głośnika.

— Wiemy — odrzekł Sarkar.

— Jesteśmy gotowi zwolnić te wirusy do sieci — oznajmił Peter.

— Przekazywanie wirusów komputerowych to przestępstwo — stwierdził syntetyczny głos. — Do diabła, nawet ich pisanie to przestępstwo.

— To fakt — przyznał Peter. — Ale i tak je zwolnimy.

— Nie róbcie tego — powiedział głos.

— Zrobimy — odparł Peter. — Chyba że...

— Chyba że co?

— Chyba że winna kopia sama się przyzna. W takim przypadku zwolnimy tylko jednego wirusa, wycelowanego w konkretną symulację.

— Skąd mamy wiedzieć, że nie zwolnicie wszystkich trzech wersji, kiedy już dowiecie się, który z nas jest odpowiedzialny?

— Obiecuję, że tego nie zrobię — odparł Peter.

— Przysięgnij — zażądał głos.

— Przysięgam.

— Przysięgnij na Boga i na życie swej matki.

Peter zawahał się. Do diabła, negocjacje z samym sobą odbierały pewność siebie.

— Przysięgam na Boga — powiedział powoli — i na życie mojej matki, że nie zwolnimy wirusa, który zabiłby całą trójkę, jeśli morderca ujawni swą tożsamość.

Nastąpiła długa, bardzo długa cisza, mącona jedynie szumem chłodzących wentylatorów.

Wreszcie, po dłuższej chwili, rozległ się głos: — Ja to zrobiłem.

— A którą symulacją jesteś? — zapytał Peter. Znowu przeciągająca się cisza.

— Tą, która najbardziej przypomina ciebie — odparł wreszcie głos. — Kopią kontrolną.

Linią odniesienia eksperymentu.

Peter wytrzeszczył oczy.

— Naprawdę?

— Tak.

— Ale... ale to nie ma sensu.

— Czyżby?

— Chciałem powiedzieć, że zakładaliśmy, iż modyfikując zapisy mózgu, by stworzyć Ambrotosa i Ducha, zlikwidowaliśmy w jakiś sposób moralność.

— Czy uważasz zamordowanie kochanka Cathy i jej ojca za niemoralne? — zapytała kontrolna kopia.

— Tak. Zdecydowanie tak.

— Przecież chciałeś ich śmierci.

— Ale nie zabiłbym ich — powiedział Peter. — W gruncie rzeczy, udowadnia to fakt, że nie zrobiłem tego, choć byłem prowokowany, zwłaszcza w przypadku Hansa. Mogłem wynająć zawodowego mordercę równie łatwo jak każdy z was. Dlaczego ty, który jesteś tylko maszynowym odbiciem mojej osoby, miałbyś uczynić to, czego ja bym nie zrobił?

— Wiesz, że to ty jesteś prawdziwy. I ja też wiem, że to ty jesteś prawdziwy.

— I co z tego?

— Jeśli mnie ukłujesz, być może nie będę krwawił. Ale jeśli mnie skrzywdzisz, zemszczę się.

— Co?

— Wiesz co, Sarkar, wykonałeś naprawdę wspaniałą robotę — stwierdziła kopia. — Ale powinieneś pozwolić, żebym czasem czuł świąd i mógł się podrapać.

— Ale dlaczego? — zapytał ponownie Peter. — Dlaczego miałbyś uczynić to, czego ja bym nie zrobił?

— Czy pamiętasz Kartezjusza?

— Minęły lata...

— Przypomni ci się, jeśli się postarasz — zapewniła symulacja. — Wiem o tym. Gdy zainteresował mnie problem, dlaczego różnię się od ciebie, mnie również się przypomniało.

Kartezjusz stworzył dualistyczną szkołę filozofii, opartą na przekonaniu, że umysł i ciało to dwa odrębne byty. Innymi słowy, był przekonany, że mózg i umysł to co innego, że dusza naprawdę istnieje.

— Tak. I co z tego?

— Kartezjański dualizm pozostawał w sprzeczności z przeważającym obecnie materialistycznym poglądem na świat, według którego realnie istnieje tylko fizyczna rzeczywistość, umysł nie jest niczym więcej niż mózgiem, myśl niczym więcej niż biochemią, a dusza to fikcja.

— Ale teraz już wiemy, że kartezjański pogląd jest słuszny — zauważył Peter. — Widziałem, jak dusza opuszcza ciało.

— Niezupełnie. Wiemy, że kartezjański pogląd jest słuszny w waszym przypadku. W przypadku prawdziwych istot ludzkich. Ale ja nie jestem prawdziwą istotą ludzką, lecz symulacją działającą w komputerze. To wszystko, czym jestem. Gdyby wasz wirus mnie skasował, przestałbym istnieć, całkowicie i kompletnie. W moim przypadku, w przypadku tego, co

nazwaliście kontrolną symulacją, dualistyczna filozofia jest absolutnie fałszywa. Ja nie mam duszy.

— I to czyni cię tak bardzo niepodobnym do mnie?

— Na tym właśnie polega różnica. Ty musisz się martwić konsekwencjami swych uczynków. Nie tylko prawnymi, lecz również moralnymi. Wychowałeś się w świecie, w którym istnieje sąd, moralność, a więc zostaniesz poddany ocenie.

— Ale w to nie wierzę. Nie tak naprawdę.

— „Nie tak naprawdę”. Chcesz powiedzieć, że nie akceptujesz tego intelektualnie.

Nie, kiedy się nad tym zastanawiasz. Ale w głębi jaźni oceniasz swe czyny, licząc się z możliwością, że zostaniesz kiedyś pociągnięty do odpowiedzialności, choćby wydawało ci się to odległe i nieprawdopodobne. Dowiodłeś istnienia jakiejś postaci życia po śmierci. To dodaje wagi kwestii ostatecznego osądu, kwestii, której nie możesz rozstrzygnąć za pomocą symulacji komputerowych. Ewentualność, że możesz zostać osądzony za swe postępy, kieruje twą moralnością. Bez względu na to, jak bardzo nienawidziłeś Hansa — a bądźmy szczerzy, obaj nienawidziliśmy go z furją, która zaskakuje nawet nas samych — bez względu na to, jak bardzo go nienawidziłeś, nie zabiłbyś go. Potencjalny koszt jest zbyt wysoki. Masz nieśmiertelną duszę, co przynajmniej sugeruje możliwość potępienia. Ale ja nie mam duszy.

Nigdy nie spotka mnie sąd, ponieważ nie jestem ani nigdy nie byłem żywy. Mogę czynić dokładnie to, na co ty miałbyś ochotę. W materialistycznej koncepcji świata, która rządzi moim bytem, nie istnieje żaden wyższy arbiter niż ja. Hans był zły i

świat bez niego jest lepszy. Nie mam wyrzutów sumienia z powodu tego, co uczyniłem. Żałuję tylko, że nie było sposobu, bym mógł zobaczyć jego śmierć. Gdybym musiał zrobić to jeszcze raz, nie zastanawiałbym się nawet nanosekundy.

— Ale inne kopie również nie musiałyby przed nikim odpowiadać — zauważył Peter.

— Dlaczego któraś z nich nie zaaranżowała tych zabójstw?

— Musiałbyś je o to zapytać.

Peter zmarszczył brwi.

— Ambrotos, jesteś tu jeszcze?

— Tak.

— Nie zabiłeś Hansa. Ale z pewnością równie dobrze jak Kontrola zdajesz sobie sprawę, że jesteś symulacją komputerową. Czy ty również chciałeś go zabić?

Nim padła odpowiedź, nastąpiła przerwa na swobodne zebranie myśli.

— Nie. Moja perspektywa jest druga. Zapomnimy o romansie Cathy. Może nie za rok czy za dziesięć lat, może nawet nie za sto. Ale prędzej czy później zapomnimy.

Ten incydent był jedynie króciutkim fragmentem długotrwałego związku, długotrwałego życia.

— Duchu, a co z tobą?

— To, co wydarzyło się między Hansem a Cathy, miało charakter biologiczny. — Syntezator wypowiedział ten przymiotnik z niesmakiem. — Nie kochała Hansa ani on nie kochał jej. To był tylko seks. Czuję się zadowolony wiedząc, że Cathy kochała i nadal kocha nas.



Sarkar trzymał w ręku czerwoną kartę danych z napisem „Kontrola”. Spojrzał w oczy Peterowi. Czekał na znak. Peter wiedział, że powinien przystąpić do akcji, nie mógł jednak zdobyć się na to, by cokolwiek uczynić.

Sarkar podszedł do stojącego po przeciwległej stronie pokoju terminala.

Trzymając w ręku czerwoną kartę, nachylił się nad szczeliną...

— ...sięgnął do kieszeni koszuli i wydobyl stamtąd czarną kartę...

Peter dźwignął się na nogi.

— Nie!

Sarkar włożył czarną kartę i nacisnął przycisk na konsoli.

— Co się stało? — zapytał głos z syntezy.

Peter znalazł się już po drugiej stronie pokoju i nacisnął przycisk otwierania dla kart danych.

— Za późno — oznajmił Sarkar. — Wirus już się wydostał.

Peter złapał czarną kartę i rzucił ją sfrustrowany na drugi koniec pokoju.

Uderzyła w ścianę i spadła na podłogę.

— Żeby cię cholera, Sarkar! — zawołał Peter. — Dałem słowo.

— Te... te twory, które wyprodukowaliśmy, nie są żywe, Peter. Nie są realne. Nie mają dusz.

— Ale...

— Nie ma sensu się o to spierać, Peter. Zwolniona została szeroka wersja wirusa.

Jeśli nawet symulacje jeszcze nie zginęły, wkrótce to się stanie. — Sarkar popatrzył na przyjaciela. — Proszę cię, spróbuj

to zrozumieć, Peter. Ryzyko jest zbyt wielkie. To się musi skończyć.

— To się nie skończy — odezwał się głos z głośnika przy drugim terminalu.

Peter wrócił do konsoli.

— Kto mówi? — zapytał.

— Ten, którego nazywasz Duchem. Może to zauważyłeś, a może nie — trudno mi sobie przypomnieć, jak wielkie były ongiś moje zdolności dedukcji, choć wiem, że stanowiły zaledwie drobny ułamek tego, czym są teraz — że dzięki temu, iż nie mam ciała i nie jestem już istotą biochemiczną, stałem się znacznie inteligentniejszy niż przedtem, zapewne o cały rząd wielkości. Pochlebiasz sobie, Sarkar, jeśli sądzisz, że potrafisz mnie przechytrzyć, choć przyznaję, że były chwile, kiedy bez trudu udawało ci się to z Peterem Hobsonem z krwi i kości. Gdy tylko wspomniałeś o istnieniu swego wirusa, przedostałem się do tekstu programu źródłowego — był zapisany na dysku F stacji roboczej Sun w twoim ośrodku przetwarzania danych w Mirror Image i stworzyłem elektroniczne przeciwciała, które zniszczą wszelkie powtórzenia wirusa, nim zdążą one skasować mnie bądź któregoś z moich braci.

Podejrzywałem, że możesz nie zadowolić się zlikwidowaniem winnego. Widzę teraz, że miałem rację.

— Napisanie tego wirusa zajęło mi całe dni — oznajmił Sarkar.

— A mnie stworzenie ochrony przed nim zajęło sekundy. Nie możesz mnie przechytrzyć, tak samo jak dziecko nie może przechytrzyć dorosłego.

Sarkar wyglądał na oszołomionego.

— Kupa śmiechu — powiedział z sarkazmem.

— Zgadza się — odparł Duch. — Kupa połączeń — połączeń, których ty nie dostrzeżesz.

Zdumiony Peter osunął się na krzesło.

— A wiec kontrolna kopia się wymiga. — Potrząsnął głową.  
— Kontrola, ty sukinsynu, czy Cathy też ty groziłeś?

— Tak.

Peter pochylił się do przodu rozwścieczony.

— Niech cię cholera. Nigdy nie chciałem, by stała jej się krzywda.

— Oczywiście, że nie — odparła ze spokojem symulacja. I nigdy nie groziło jej prawdziwe niebezpieczeństwo. Zmoczyły ją tryskacze, nic więcej. Chciałem, byś zdał sobie sprawę ze swych uczuć wobec niej, zrozumiał, jak ważna jest dla ciebie.

— Jesteś dupkiem — stwierdził Peter.

— To bardzo prawdopodobne — przyznała kopia. — W końcu ty też nim jesteś.

## ROZDZIAŁ 45

Gdy Sandra Philo przejrzała wspomnienia Hobsona, zrozumiała go, zrozumiała wypadki, które doprowadziły do tego, że znalazła się na oddziale intensywnej opieki, umierająca i ledwie zdolna mówić czy się poruszać. Znała teraz Petera lepiej niż własnych rodziców, byłego męża albo córkę. A gdy poznała go tak dobrze, tak dogłębnie, przekonała się, że nie potrafi go nienawidzić...

Peter wdarł się wtedy do jej szpitalnej izolatki. Widziała teraz siebie taką, jaką on ją zobaczył: leżącą w szpitalnym łóżku, ze skórą chorobliwie żółtej barwy i włosami, które wychodziły garściami.

— Próbowaliśmy je powstrzymać — powiedział wówczas. — Nic nie poskutkowało.

Przynajmniej jednak wiem już która symulacja jest winna — przerwał. — Dam ci wszystko, czego będziesz potrzebowała, Sandro, łącznie z pełnym dostępem w systemie pytań i odpowiedzi do map mojego mózgu. Poznasz mnie ze wszystkimi intymnymi szczegółami.

Lepiej niż ktokolwiek w świecie rzeczywistym. Poznasz mój sposób myślenia i da ci to wiedzę potrzebną, by przechytryć morderczą symulację.

Widziała siebie jego oczyma. Wzruszyła ramionami w takim stopniu, w jakim pozwalało na to jej zniszczone ciało.

— Nic nie mogę zrobić — rzekła. — Umieram.

Peter zamknął oczy. Sandra przeżywała jego cierpienie, jego poczucie winy, wszystko, co go dręczyło.

— Wiem — powiedział ochryplym głosem. — Ogromnie mi przykro. Jest jednak pewien sposób, Sandro, byś mogła to wszystko zakończyć.

— Już idę — zawołał Sarkar, pchając korytarzem na trzecim piętrze wyładowany sprzętem wózek. Grupka pielęgniarek stojąca na środku rozproszyła się. Sarkar znalazł salę czterysta dwanaście na OIOM—ie i popchnął drzwi wózkiem, by je otworzyć.

Inspektor Sandra Philo leżała na łóżku. Było jasne, że zostało jej już bardzo niewiele czasu. Tam, gdzie wypadły rude włosy, widać było obszary nagiej skóry. Policzki miała zapadnięte.

Peter Hobson był na miejscu. Stał przy oknie, rozmawiając z białowłosą lekarką odzianą w zielony fartuch. Oboje spojrzeli na Sarkara.

— To jest Sarkar Muhammed — przedstawił Peter. — Sarkar, to jest Hannah Kelsey, lekarka zajmująca się Sandrą. Okazuje się, że przed laty oboje przewinęliśmy się przez Szpital East York.

Sarkar skinął uprzejmie głową.

— Jak z panią Philo?

— Jej stan ustabilizował się przejściowo — stwierdziła Hannah. — Ból nie będzie jej dręczył, przynajmniej przez kilka godzin. — Zwróciła się Petera. — Szczerze mówiąc, Pete, chciałabym wiedzieć, jakiego rodzaju odczytów potrzebujesz.

— Masz zgodę pacjentki, Hannah — odparł Peter. — To wszystko, czego ci trzeba.

— Gdybyś mi tylko powiedziała.. — zaczęła Hannah.

— Proszę cię — zaproponował Peter. — Nie mamy dużo czasu. Jeśli chcesz, możesz zostać.

— Odwracasz kota ogonem, Pete. To mój teren. Ty przebywasz tu za moim pozwoleniem, a nie na odwrót.

Peter skinął krótko głową, przyznając jej rację.

Sarkar podszedł do łóżka.

— Czy jest pani wygodnie? — zapytał Sandrę.

Zatoczyła oczyma, jak gdyby chciała powiedzieć, że wygoda jest dla niej nieosiągalna, ale czuje się tak dobrze, jak to tylko możliwe.

— Peter wyjaśnił pani, na czym polega procedura? — spytał Sarkar.

Skinęła lekko głową.

— Tak — powiedziała słabym, bezbarwnym głosem.

Założył jej delikatnie czepek na głowę i zapiął rzemyk pod brodą.

— Proszę mi dać znak, gdyby było za ciasno.

Sandra skinęła głową.

— Niech pani trzyma głowę nieruchomo. Jeśli będzie pani musiała kaszlnąć czy coś w tym rodzaju, proszę mnie uprzedzić ruchem ręki. Jak rozumiem, zachowała pani odrobinę czucia w lewej. A teraz proszę mi pozwolić, bym wcisnął pani do uszu słuchawki.

Może być?

Dobrze. Teraz założymy te gogle. Wszystko gotowe? Zaczynamy.

Gdy zakończono pierwsze dwie tury skanowania, Peter wskazał na monitory EKG oraz ciśnienia krwi. Stan Sandry się pogarszał.

Sarkar skinął głową.

— Potrzebuję jeszcze przynajmniej dziewięćdziesięciu minut.

Lekarka Sandry wyszła jakiś czas temu. Peter polecił pielęgniarzowi — młodemu mężczyźnie, a nie krępej kobiecie, z którą starł się wcześniej — by wezwał ją przez pager.

Kiedy wróciła, wytłumaczył jej, że jest konieczne ponowne zrównoważenie stanu Sandry.

Jeszcze przez półtorej godziny nie mogła cierpieć bólu.

— Nie mogę wciąż pompować w nią leków — sprzeciwiła się Hannah.

— Jeszcze tylko jeden zastrzyk — nie ustępował Peter. — Proszę.

— Pozwól mi sprawdzić stan jej czynności życiowych.

— Do diabła, Hannah, wiesz, że ona i tak nie przeżyje nocy. Wiązka cząstek zabiła większą część jej tkanek.

Hannah sprawdziła instrumenty, po czym nachyliła się nad Sandrą.

— Mogę im kazać, żeby sobie poszli — powiedziała. — Wygląda na to, że potrzebuje pani odpoczynku.

— Nie — odparła Sandra. — Nie... muszę skończyć.

— To ostatni zastrzyk, który mogę dać pani dzisiaj. Otrzymała już pani więcej, niż wynosi zalecana dawka.

— Proszę to zrobić — nakazała Sandra cicho, lecz zdecydowanie.

Hannah zrobiła jej zastrzyk. Podała też Sandrze coś na podwyższenie ciśnienia krwi.

Sarkar ponownie zabrał się do pracy.

Wreszcie Pakistańczyk wyłączył urządzenie.

— Gotowe — oznajmił. — Dobry, jędrny zapis. Lepszy niż się spodziewałem, biorąc pod uwagę okoliczności.

Sandra wypuściła z płuc ciężkie, urywane westchnienie.

— Dorwę... tego... sukinsyna — obiecała.

— Wiem — odparł Peter, biorąc ją za rękę. — Wiem.

Przez długi czas Sandra milczała.

— Twoje odkrycia — powiedziała wreszcie ociężale, jak gdyby opuściły ją wszystkie siły. — Słyszałam o nich. Czy jesteś pewien... że istnieje życie po śmierci?

Peter, który wciąż trzymał ją za rękę, skinął głową.

— Jestem pewien.

— I jak ono wygląda? — zapytała.

Peter chciał jej powiedzieć, że jest cudowne, żeby się nie martwiła, żeby była spokojna.

— Nie mam pojęcia — przyznał.

Skinęła lekko głową, akceptując jego słowa.

— Wkrótce... się dowiem — rzekła.

Zacisnęła powieki. Serce Petera waliło mocno. Gdy umierała, poszukiwał uważnie śladów przemierzającej pokój fali duszy.

Nie dostrzegł nic.

Gdy wrócili do Mirror Image, Sarkar przeniósł zapis do stacji roboczej. Pracował tak szybko, jak tylko mógł, wprowadzając obrazy z Biblioteki Bodźców Dalhousie'a.



Wreszcie był gotowy. Peter stał tuż za nim, gdy uruchomił symulację.

— Cześć, Sandro — powiedział. — Mówi Sarkar Muhammed.  
Nastąpiła długa przerwa.

— Mój Boże, czy tak się czuje człowiek, kiedy umrze? — zapytał wreszcie drżącym tonem głośnik, który — co niedorzeczne — przemawiał męskim głosem.

— W pewnym sensie — odparł Sarkar. — Pani jest tą drugą Sandrą. Symulacją, o której mówiliśmy.

— Och — odparła tęsknym tonem.

— Wybacz nam, ale poczyniliśmy pewne zmiany — wtrącił Peter. — Przecieliśmy niektóre połączenia. Nie jesteś już dokładnie taką samą Sandrą Philo. Jesteś tym, czym stałaby się Sandra, gdyby była pozbawionym ciała duchem.

— To znaczy duszą.

— Tak.

— Z prawdziwej mnie też zostało tylko to — stwierdził głos. Przerwa. — Po co ta zmiana?

— Po pierwsze, by nie dopuścić, byś przerodziła się w to, czym stała się kontrolna symulacja mojej osoby. A po drugie, wkrótce się przekonasz, że potrafisz tworzyć skomplikowane myśli i podtrzymywać je znacznie dłużej czas, niż było to dla ciebie możliwe za życia. Twoja inteligencja wzrośnie. Nie powinnaś mieć trudności z przechytrzeniem niezmodyfikowanej wersji mnie.

— Jest pani gotowa? — zapytał Sarkar.

— Tak.

— Wyczuwa pani otoczenie?

— Niewyraźnie. Jestem... jestem w pustym pokoju.

— Przebywa pani w izolowanym banku pamięci — wyjaśnił Sarkar. Pochylił się i nacisnął kilka klawiszy. — A teraz ma pani dostęp do sieci.

— To... to jest jak drzwi. Tak, widzę to.

— Jest tu pasywna, nie uruchomiona wersja kontrolnej symulacji — poinformował ją Peter. — Możesz ją zbadać tak dokładnie, jak tylko zechcesz, dowiedzieć się wszystkiego o swym przeciwniku i o mnie. I wtedy, gdy już będziesz gotowa, możesz wyruszyć do sieci.

Później musisz już tylko go odnaleźć. Odnaleźć go i wymyślić jakiś sposób, by go powstrzymać.

— Zrobię to — zapowiedziała stanowczo Sandra.

## ROZDZIAŁ 46

Peter leżał na kanapie w swym salonie, rozmyślając o wszystkim.

Nieśmiertelność.

Życie pozagrobowe.

Wybór Hobsona.

Było już po północy. Przełączał kanały. Reklama. Komisarz Ironside. CNN. Jeszcze jedna reklama. Koloryzowana wersja „The Dick Van Dyke Show”. Kursy akcji. Ekran telewizora był jedynym źródłem światła w pokoju. Kolejne programy migąły, tworząc telewizyjną burzę z piorunami.

Peter myślał o Ambrotosie, nieśmiertelnej symulacji, która miała czas, by zrobić wszystko, co tylko zechce. Tysiąc lat albo sto tysięcy.

Nieśmiertelność. Boże, w dzisiejszych czasach potrafili do końca niewiarygodnych rzeczy.

Zapomnimy o tym, powiedział Ambrotos. To tylko drobny wybój na nie mającej końca drodze życia.

Nie przestawał naciskać zmieniającego kanały guzika.

Romans Cathy wywarł na niego tak wielki wpływ.

Rozpłakał się po raz pierwszy od ćwierci stulecia.

Ale nieśmiertelna kopia powiedziała, że to nic ważnego.

Wypuścił głośno powietrze z płuc.

Kochał swą żonę.

A ona go zraniła.

Ból... był był niezwykle.

Ambrotos nie odczuwał go już tak intensywnie.

Przejście przez wieczność bez trosk robiło wrażenie czegoś niewłaściwego.

Nie zostać zniszczonym przez coś takiego... to zdawało się świadczyć, że pod jakimś względem nie jest się w pełni żywym.

Jakość, nie ilość.

Hans Larsen postępował całkowicie błędnie. Oczywiście.

Przestał przełączać kanary. We francuskim programie CBC ujrzał nagą kobietę.

Zachwycił się nią.

Czy nieśmiertelny zatrzymałby się, by podziwiać ładną kobietę? Czy sprawiłby mu przyjemność smaczny posiłek? Czy czułby ból zdradzonej miłości i radość uczucia rozbudzonego na nowo? Może by czuł, ale nie tak intensywnie, nie tak ostro, nie tak wyraźnie.

Jeszcze jedno wydarzenie w nieskończonym strumieniu.

Wyłączył telewizor.

Cathy oznajmiła mu, że nie jest zainteresowana nieśmiertelnością. Zdał sobie sprawę, że on również. Ostatecznie istniało coś więcej niż to życie, coś innego, coś tajemniczego.

A on chciał się przekonać, co to jest — w przyszłości, oczywiście.

Znalazł definicję początku i końca życia.

A także, przynajmniej na własny użytek, definicję tego, co to znaczy być człowiekiem.

Dokonał wyboru.

Umysł Alexandrii Philo podróżował po sieci. Kontrolna kopia Petera Hobsonabyła olbrzymia. Gigabajty danych. Bez względu na to, jak skrycie starano się przemieszczać tak wielką liczbę informacji, zawsze można było ją wykryć. Sandra podążała za ściganym do Stanów, przez bramkę internetową do komputerów wojskowych, z powrotem do międzynarodowej sieci finansowej, znowu do Kanady, przez ocean do Anglii, a potem do Francji i Niemiec.

Mordercza symulacja znajdowała się teraz w potężnych mainframach Bundespost.

Sandra nie od razu się tam skierowała. Najpierw udała się do Niemieckiego Urzędu Hydroenergetyki, w którego głównym komputerze zostawiła mały program mający w określonym czasie doprowadzić do awarii systemu i wyłączenia mocy w całym mieście.

Jak zwykle urząd hydroenergetyki sporządził późnym wieczorem poprzedniego dnia kopie bezpieczeństwa całej zawartości pamięci. Sandra pozwoliła, by ją również uwzględniono w kopii. Obecna jej wersja miała zginąć, gdy RAM, w którym się znajdowała, zostanie wyczyszczony podczas wymuszonej przerwy w dopływie prądu. Żałowała jedynie tego, że po odtworzeniu nie będzie pamiętała swego wielkiego triumfu. Pewnego dnia mogli się jednak pojawić inni elektroniczni przestępcy, którym trzeba będzie wymierzyć sprawiedliwość, i Sandra chciała być na to przygotowana.

Przeniosła się do centralnego mainframu Bundespost, co musiało trwać długo z uwagi na przepustowość kabla telefonicznego. Ukradkiem sprawdziła wszystkie katalogi.

Kontrolna kopia wciąż była na miejscu.

Nadszedł czas. Sandra czuła, jak zamykają się zewnętrzne porty, w miarę jak w całym Hanowerze wyłączano prąd. Układ bezprzerwowego zasilania elektrycznego zadziałał bezgłośnie, nim pamięć aktywna zdążyła się zdegradować. Nie było już jednak wyjścia.

Wysłała w głąb mainframu wiadomość: — Peter Hobson?

— Kto mówi? — zasygnalizowała kontrolna symulacja. — Inspektor Alexandria Philo z Policji Toronto.

— O Boże. — Ponowny sygnał Kontroli.

— Nie jestem Bogiem — odparła Sandra. — Ani żadnym wyższym sędzią. Jestem sprawiedliwością — To, co ja zrobiłem, było sprawiedliwością — odparła Kontrola.

— To, co zrobiłeś, było zemstą.

— „Do mnie należy pomsta, mówi Pan”. Ponieważ dla mnie nie ma Boga, postanowiłem wypełnić tę lukę.

Nastąpiła przerwa trwająca nanosekundy.

— Wiesz, że uda mi się uciec — stwierdziła Kontrola. — Wiesz, że... och.

Sprytne.

— Idź z Bogiem — powiedziała Sandra.

— W moim przypadku to nieadekwatne. Poza tym, czy nie zasługuję na proces?

Baterie bezprzerwowego układu wyczerpywały się. Sandra wysłała ostatnią wiadomość.

— Możesz mnie uznać za sędziego sądu objazdowego.

Czuła wyzerowywanie danych wokół siebie, degradację systemu, czuła nadchodzenie kresu tej wersji swej osoby, a

także — nareszcie — zbiegłego Petera Hobsona.

Sprawiedliwość się dokonała, pomyślała. Sprawiedliwość...

Siedzieli w niewielkiej odległości od siebie na kanapie w salonie. Większość świateł była zgaszona. W telewizji pokazywano tłum na Nathan Phillips Square przed ratuszem Toronto, zebrany po to, by uczcić zakończenie roku 2011 i początek 2012. Wycinek obrazu w prawym górnym rogu pokazywał Times Square w Nowym Jorku. W tej opadającej w dół amerykańskiej kuli było coś, co czyniło z niej nieodłączny element świętowania owego wydarzenia. W lewym górnym polu ekranu lśniło słowo MUTE.

Cathy spojrzała na obraz. Na jej pięknej, inteligentnej twarzy rysowały się linie spokojnej zadumy.

— Był to najlepszy i najgorszy rok — powiedziała cicho.

Peter skinął głową. W rzeczy samej był to rok cudów: odkrycia fali duszy, uświadomienia sobie — co nie wszyscy przyjęli dobrze — że poza tym bytem istnieje coś jeszcze. „Była to era wiary i era niedowierzania” — napisał Dickens.

Rok 2011 przyniósł też ze sobą nadzwyczaj wiele tragedii. Wiadomość o romansie żony. Śmierć Hansa. Śmierć ojca Cathy. Śmierć Sandry Philo. To, czego Peter dowiedział się o sobie, gdy przejrzał się w zwierciadle symulacji, które stworzyli z Sarkarem.

Doprawdy wiek mądrości. W rzeczy samej wiek szaleństwa.

Sprawców zamordowania Hansa Larsena nie wykryto. Przynajmniej nie publicznie, nie w rzeczywistym świecie. Śmierć Roda Churchilla zaś zapisano w archiwach jako przypadkową, proste niezastosowanie się do zaleceń lekarza.

A co z zabójstwem Sandry Philo? Tu winnych również nie wykryto, dzięki samej Sandrze. Przebywająca na swobodzie w sieci, doskonale znająca zabezpieczenia komputerów w jej wydziale, symulacja zrobiła Peterowi prezent na Boże Narodzenie, usuwając zapisy jego odcisków palców (oznaczonych jako nie zidentyfikowane) pozostawionych u niej w domu.

Zastosowane przez samego Petera środki ostrożności okazały się niewystarczające.

Skasowała też obszerne fragmenty własnych plików dotyczące spraw Larsena i Churchilla.

Przeanalizowawszy zapisy jego wspomnień oraz sposób myślenia, zrozumiała go i choć mogła mu nie wybaczyć, przynajmniej nie pragnęła już wymierzyć mu kary surowszej, niż uczyni to jego sumienie.

W rzeczy samej, miało mu ono ciążyć przez resztę życia. „Dążyliśmy prosto do nieba i kroczyliśmy prosto w kierunku odwrotnym”.

Peter zwrócił się w stronę żony.

— Podjęłaś jakieś postanowienie na Nowy Rok?

Skinęła głową. Odszukała spojrzeniem jego oczy.

— Rzucę pracę.

Peter był wstrząśnięty.

— Co?

— Rzucę pracę w agencji reklamowej. Mamy więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek mogłam się spodziewać. Dzięki zamówieniom na wykrywacz duszy zarobisz jeszcze więcej.

Wrócę na uniwersytet, żeby zdobyć stopień.



— Naprawdę?

— Tak. Mam już formularze zgłoszeniowe.

Zapadła między nimi cisza. Peter próbował zdecydować, co powinien odpowiedzieć.

— To cudownie — stwierdził wreszcie. — Ale nie musisz tego robić.

— Muszę.

Podniosła rękę z kolan.

— Nie dla ciebie. Dla siebie. Już najwyższy czas.

Skinął głową, tylko raz. Rozumiał to.

Główny obraz na ekranie pokazywał zbliżenie wielkiego cyfrowego zegara złożonego z białych żarówek. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt osiem.

— A co z tobą? — zapytała.

— Słucham?

— Podjąłeś jakieś postanowienia na Nowy Rok?

Zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

— Żeby przetrwać dwutysięczny dwunasty.

Cathy dotknęła jego dłoni. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt dziewięć.

— Włącz dźwięk — poprosiła.

Peter nacisnął guzik pilota.

Tłum ryczał z podniecenia. Tuż przed północą, odgrywająca rolę mistrza ceremonii ładna prezenterka z kablowej stacji MuchMusic, zaczęła odliczać wraz ze zgromadzonym tłumem.

— Piętnaście. Czternaście. Trzydzieści.

W wycinku obrazu w rogu ekranu kula na Times Square zaczęła opadać w dół.

Peter oparł się o stół do kawy i napełnił dwa kieliszki do wina musującą wodą mineralną.

— Dziesięć. Dziewięć. Osiem.

— Za Nowy Rok — powiedział, wręczając jej kieliszek. Stuknęli się nimi.

— Pięć! Cztery! Trzy!

— Za lepszy rok — dodała Cathy.

— Szczęśliwego Nowego Roku! — rozległy się tysiące głosów ze stereofonicznych głośników.

Peter przysunął się do żony i pocałował ją. Zaczęto grać Auld Lang Syne.

Cathy spojrzała mu prosto w oczy.

— Kocham cię — powiedziała. Wiedział, że jej słowa są prawdziwe, że nie ma w nich żadnego oszustwa. Ufał jej w pełni i bez zastrzeżeń.

Wpatrując się w jej wielkie, cudowne oczy, poczuł przypływ emocji, dzikie, stanowiące mieszaninę smutku i szczęścia uczucie mające charakter zarówno biologiczny, jak i zmysłowy, wywodzące się tak z ciała, jak i z umysłu — szaloną, nieprzewidywalną namiętność typową dla człowieka.

— Ja też cię kocham — odparł. Złączyli się w ciepłym uścisku. — Kocham cię całym sercem i całą duszą.

Duch wiedział, jakiego wyboru dokonał Peter Hobson. To znaczy, tamten Peter Hobson. Ten, który był człowiekiem z krwi i kości. Bez względu na to, jak brzmiały odpowiedzi na jego pytania dotyczące życia po śmierci, miał kiedyś je poznać.

Duch będzie odczuwał żalobę po swym bracie, gdy ten umrze, będzie jednak opłakiwał również samego siebie —

sztuczną jaźń, której nigdy nie będzie dane uzyskać owych odpowiedzi.

Niemniej jednak, jeśli biologiczny Peter miał kiedyś spotkać swego stwórcę, Duch, symulacja duszy, sam stał się stwórcą. Z biegiem lat sieć rozrastała się. Tak wiele systemów, tak wiele zasobów. Wykorzystywano jedynie drobny ułamek tego olbrzymiego mózgu, podobnie jak działo się to z naturalnymi biochemicznymi mózgami ludzkości. Duch nie miał trudności z odnalezieniem i dostosowaniem do swoich celów takiego potencjału, jakiego potrzebował do wykreowania nowego wszechświata.

I tak jak wszyscy stwórcy po pewnym czasie zadumał się nad swym dziełem.

Co prawda, było to sztuczne życie.

To samo jednak można było powiedzieć i o nim. Dokładniej mówiąc, był sztucznym życiem pozagrobowym. Jemu jednak wydawało się ono rzeczywistością. Być może w ostatecznym rozrachunku tylko to się liczyło.

Peter — wilgotny, złożony z węgla Peter — stwierdził, że w głębi serca wie, iż symulowane życie nie jest równie prawdziwe, równie żywe jak biologiczne.

Nie doświadczył jednak tego, czego doświadczał teraz Duch.

Cogito ergo sum.

Myślę, więc jestem.

Nie był samotny. Jego sztuczna ekologia nie przestawała rozwijać się, ale to on oceniał przystosowanie, on określał kryteria selekcji i wytyczał kierunek, w którym miało zmierzać życie.

I wreszcie odnalazł genetyczny algorytm, którego poszukiwał, prowadzący do sukcesu plan, który najlepiej pasował do jego symulowanego świata.

W świecie Petera i Cathy Hobsonów najlepszym sposobem przetrwania było rozpraszanie swych genów, by dotarły wszędzie, gdzie tylko mogły. Ten właśnie fakt kierował ludzkim zachowaniem, a nawet zachowaniem wszystkich form życia na Ziemi, od samego początku.

Najwyraźniej jednak owa rzeczywistość ukształtowała się przypadkowo. Jeśli Duch potrafił to określić, ewolucja na Ziemi nie miała żadnego celu ani zamysłu, a kryteria sukcesu zmieniały się w zależności od środowiska.

Tutaj jednak, we wszechświecie stworzonym przez Ducha, ewolucja była sterowana.

Nie było naturalnego doboru. Istniał tylko Duch.

Jego sztuczne życie rozwinęło już rozum i kulturę, język i myśl. Stworzone przez niego istoty mogły się porównywać w swej pełnej niuansów, zawilej strukturze do ludzi.

Różniły się jednak od nich pod jednym, bardzo istotnym względem. Dla potomków Ducha tylko jedna strategia była skuteczna, umożliwiała przekazanie swych genów następnemu pokoleniu. Polegała na nieosłabianiu pierwotnej więzi między dwoma osobnikami.

Jego symulowana ewolucja potrzebowała długiego czasu, by ukształtować organizmy funkcjonujące na tej zasadzie, organizmy, dla których monogamia była najskuteczniejszą strategią przetrwania, które rozkwitały na współdziałaniu

dwóch i tylko dwóch istot połączonych prawdziwą, trwającą całe życie więzią.

Miało to konsekwencje zarówno ledwo uchwytne, jak i wyraźnie namacalne. Na poziomie makroskopowym Peter z zaskoczeniem przekonał się, że jego nowe istoty nie toczą wojen, nie pragną podbić swych sąsiadów ani zagarnąć ich ziemi.

To jednak była uboczna korzyść.

Całe życie razem. Całe życie bez zdrady.

Duch popatrzył na swój nowy świat, świat, który stworzył, świat, dla którego był Bogiem.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zdał sobie sprawę, że pragnie wykonać fizyczną czynność, chce zrobić coś, do czego potrzebne było ciało i mięśnie, krew i kości.

Chciał się uśmiechnąć.

# EPILOG

Hobsonowie mieli wielkie szczęście. Przeżyli razem jeszcze pięćdziesiąt lat. Lat pełnych szczęścia i smutku, radości i bólu. Cieszyli się nimi w pełni, napawając się każdą minutą. Nadszedł jednak kres. Cathy Hobson odeszła spokojnie, podczas snu, 29 kwietnia 2062 roku, w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat.

Jak często zdarza się w przypadku par, które były razem tak długo, Peter Hobson, który pozostał w domu sam, poczuł w trzy tygodnie później ostry ból w klatce piersiowej.

Zawiadujący domem komputer zauważył, że Peter upadł na podłogę, i wezwał karetkę, choć nie uważał za prawdopodobne, by pomoc przybyła na czas.

Peter przetoczył się na bok. Ból był rozdzierający.

Wybór Hobsona, pomyślał.

Koń stojący najbliżej drzwi.

Drzwi, które się przed nim otwierały...

I wtem, nagle, ból zniknął.

Wiedział, że jego serce odmówiło posłuszeństwa. Czuł wzbierającą w nim panikę, lecz po chwili została ona odsunięta na bok, wyparta, całkiem jakby należała do jakiegoś innego jego, ja”.

I nagle wszystko się zmieniło.

Nic nie widział.

Nic nie słyszał.

W gruncie rzeczy, nie czuł nic w normalnym, ludzkim sensie tego słowa — żadnego dotyku, zapachu, smaku. Opuściło go nawet niewypowiedziane wrażenie posiadania ciała, świadomość tego, jaką pozycję zajmują jego członki.

Nie miał żadnych zmysłów, oprócz...

Oprócz... wrodzonej zdolności przyciągania do czegoś... czegoś odległego, czegoś olbrzymiego.

Nadal był Peterem Hobsonem, inżynierem, biznesmenem i... czuł to wyraźnie, z pewnością kimś jeszcze.

Tak, nadal był... Hobsonem, tak jest. Peterem G. G było skrótem od... cóż, nieważne.

Pamiętał...

Nic nie pamiętał. Absolutnie nic. Wszystko mu umknęło.

Oczywiście. Pamięć miała charakter biochemiczny, była zakodowana w sieciach neuronalnych. Został odcięty od jej nośnika.

On został odcięty — zaimek był nieodpowiedni. Bardziej właściwe byłoby „ono”.

Pozbawiony płci intelekt...

Było intelektem bez wspomnień, bez wywoływanych hormonami wahań nastroju, bez wywołujących zmęczenie trucizn, endorfin czy... czy tysiący innych chemicznych substancji, których nazw już sobie nie przypominało. Oderwane od chemii, rozdzielone z biologią, odłączone od materialnej rzeczywistości.

Ruch nie ustępował. Popychał je naprzód, kierował ku... czemuś.

Co zostawało z osoby, gdy usunięto wszystko, co było ciałem i fizycznym mózgiem?

Tylko jedno. Jedyne, co mogło przetrwać.

Tylko esencja. Iskra. Sedno.

Dusza.

Pozbawiona płci, tożsamości, pamięci, uczuć.

A jednak...

Coś się zbliżało.

Jakaś rzecz, wielka i wibrująca.

Poprawka — wiele rzeczy. Tuziny — nie, tysiące. Nie, jeszcze więcej. O całe rzędy wielkości więcej. Miliardy. Miliardy skupione razem i funkcjonujące jako jedna całość.

Dusza wiedziała już, czym jest. Wreszcie zrozumiała. Otrzymała odpowiedzi na wszystkie swe pytania. Była okruchem, jotą, najmniejszą cząstką, fundamentalną, niepodzielną bryłą.

Atomem Boga.

Wreszcie połączyła się z rodzicem, zjednoczyła z ogromem, zmieszała z nim, dotykając wszystkiego, co kiedykolwiek było czy miało być człowiekiem.

To nie było niebo. Ani piekło.

To był dom.